

ADRIAN BEDNAREK



# RYWAL DIABŁA

Najważniejsze jest atakować tam,  
gdzie wróg nie będzie się bronił

Sun Tzu

**zaczytani**

ADRIAN BEDNAREK

**RYWAL  
DIABŁA**

**zaczytani**

*Dla Darii*

*Każdego dnia, budząc się przy Tobie, czuję radość.*

*Wszyscy mamy siłę, by mordować, ale większość ludzi jest zbyt przerażona, by jej użyć. Ci, którzy tego strachu nie odczuwają, naprawdę kontrolują życie.*

Richard Ramirez

## PROLOG

Kiedy zaczynał, nie przypuszczał, że jest zdolny delektować się ludzkim strachem. Na początku chciał tylko upewnić się, że to, co uroiło się w jego głowie, nie jest abstrakcyjną wizją. Wszak jego myśli z pozoru nie miały sensu. Opierał się na przeczuciu, spostrzegawczości i złudzeniu. Wierzył też w przypadek, i chyba dlatego ta wizja wydawała mu się taka realna, kusząc do podjęcia gry.

Grał przez całe życie, a gra zawsze była obarczona ryzykiem i wyróżniała się nieprzewidywalnością. Czasami odnosił wielkie zwycięstwa, nieraz ponosił druzgocące porażki, zdarzyły się też klęski, których skutki były nieodwracalne. Wiedział, że w grze nie ma znaczenia arena, sędziowie ani kibice – to otoczka, naprawdę liczyli się tylko gracze. Ją zdążył poznać. Ona umiała grać i byłaby zdolna do tego, o czym myślał.

Wiedział, co należy zrobić. Przeprowadził śledztwo. Zebrał silne poszlaki, przygotował się do ich weryfikacji, a gdy był gotowy, przez jego życie przeszedł tajfun. Musiał mierzyć się z jego efektami, strawić je i dopiero gdy to osiągnął, rozpoczął grę.

Najpierw wysłał list kontrolny. Chciał sprawdzić, co z tym zrobi. Gdyby jej sumienie było czyste, pewnie poszłaby na policję. Gdyby miała współnika, ściągnęłaby go. Tymczasem ona nie zrobiła nic. Przeszła nad listem do porządku dziennego. Teoretycznie mogła też zignorować przesyłkę i wyrzucić ją do kosza; przecież nie on jeden widział jej tatuaże. Obnosiła się z nimi, mogła pomyśleć, że ktoś pokusił się o idiotyczny żart. Przygotowując swój atak, symulował różne reakcje. Bierność przeciwnika też brał pod uwagę. Dlatego po dwóch tygodniach

wysłał następny list. Jego treści nie mogła potraktować obojętnie. I rzeczywiście, następnej nocy wykonała polecenie, tym samym przyznając się do winy.

Sonia Wodzińska miała na sumieniu ludzkie życie, mnóstwo ludzkich żyć.

Wcześniej, przed wysłaniem pierwszego listu, uważnie się jej przyjrzał. Nie widział jej od dawna, ale niewiele się zmieniła. Wciąż była pijaczką, dodatkowo doskwierała jej samotność. Zawsze wychodziła sama i sama zawsze wracała. Czasami gdzieś nocowała, ale nigdy nie zapraszała nikogo do siebie. Obserwował ją przez trzy tygodnie poprzedzające rozpoczęcie gry. Wtedy jeszcze obstawiał, że może być niewinna. Trochę było mu jej żal. Drugi list starł głupie uczucie w pył.

Teraz rozkoszował się jej samotnością nie mniej niż strachem. Wyobrażał sobie, jak bardzo musi cierpieć, gdy nie ma nikogo, kto by ją pocieszył. Często myślał o cierpieniu jej ofiar, ich strachu, bezradności i gehennie bliskich. On również swoje wycierpiał, a to wzmagało nienawiść, jednocześnie go motywując.

Grał z seryjną morderczynią i miał nad nią kontrolę, ale wciąż nie wiedział, jak to wykorzystać. Gra musiała mieć swój cel. Przez krótki moment rozważał policję. Szybko odrzucił ten niedorzeczny wybór. Wystarczyło, że przeszedł nocą po ulicy, na której mieszkała, od razu dostawał spazmów, krztusił się, wspominał dobre, złe i najgorsze. To go naprawdę bolało... Nie, ona nie mogła skończyć na sali rozpraw. Raz już tam trafiła i się wymigała.

Nie sprawdzał, czy codziennie wykonuje jego polecenie, nie musiał. Sprzeciwiając mu się, Sonia Wodzińska ryzykowała wyrok dożywotniego więzienia. O wiele bardziej opłacało jej się przystąpić do gry. I tak była w defensywie, szukała mniejszego zła. To mu pasowało. Trwał w stanie przyjemnego marazmu, nakręcając się jej strachem, co robiło mu dobrze. Nigdy nie sądził, że potrafi aż tak mocno nienawidzić, tak bardzo życzyć komuś upadku.

Czasami przyczajał się niedaleko jej firmy, patrzył przez lornetkę, jak otumaniona zsiada z motocykla. Noce musiały być dla niej straszne. Nagle nie mogła wychodzić do miasta, nie mogła się upijać, nie mogła wyjeżdżać ani spać. Mogła tylko czekać na spotkanie z przeznaczeniem. To ją wyniszczało kawałek po kawałku,

a jemu dawało siłę. Rozlewała się po jego wnętrzu jak lodowata wódka. Chciał gnębić Wodzińską jak najdłużej, ale potrafił też docenić przeciwnika, a Sonia, choć była przekleństwem, umiała być sprytna.

Przystój w grze pozwalał jej oswoić się z sytuacją, dawał też możliwość obmyślenia taktyki na kontrofensywę. Domyślał się, że kiedy jej nie widzi, ona próbuje rozszyfrować, kim jest nadawca listów. Miała środki, pewnie czuła się coraz bardziej zdesperowana, stawką było jej życie, a taki przeciwnik staje się nieobliczalny, podejmuje ryzyko zahaczające o głupotę i czasami wygrywa. Żeby wciąż kontrolować grę, należało przypomnieć Wodzińskiej, że układ sił nie uległ zmianie i w każdej chwili może spodziewać się ataku. Temu miał służyć trzeci list. Klejąc obrazki na kartkę, wreszcie zdecydował, co z nią zrobi.

\*\*\*

Siedziała w swoim gabinecie z głową opartą o blat biurka. Choć miała mnóstwo pracy, bo wynajmujący nagle zaczęli hurtowo odchodzić, Sonia nie dawała rady. Każdego dnia w okolicach południa, gdy słońce nagrzewało szklane szyby biurowca, dopadało ją potworne znużenie. Wówczas liczył się tylko odpoczynek. Potrzebowała snu, takiego prawdziwego, nieograniczonego krótkimi ramami czasowymi. Z podłogi podniosła kolorowy jasiek, wsunęła sobie pod czoło i zamknęła oczy. Zawsze gdy próbowała zasnąć w tym miejscu, myślami wracała do wydarzeń, które ukradły jej sen i uświadomiły, jak bardzo była nieostrożna...

Zaczęło się od koperty. Leżała na wycieraczce przed drzwiami jej mieszkania. W środku była kartka z narysowanymi półksiężycami, takimi samymi jak jej tatuaże na przedramieniu. Przy jednym ktoś nakleił wycinek z gazety opisujący zabójstwo Damiana Marcinkowskiego. Zabiła go prawie cztery lata wcześniej w Zabierzowie i nie poniosła konsekwencji. Sonia była świetna w zaspokajaniu wewnętrznego mroku. Tak przynajmniej myślała.

Pierwszą reakcją na przesyłkę był paniczny strach.

Spięła się nie na żarty, odwołała pilne spotkanie, nie umiała wytrzymać sama ze sobą, wydawało jej się, że lada chwila specgrupa wparuje do mieszkania.

W przypiływie lęku napisała wiadomość Kubie Sobańskiemu. Zaproponowała negocjacje w sprawie zdjęcia polisy na życie, która zawierała opis wszystkich jego zbrodni i osobisty list do dawnego kochanka. Właśnie dzięki niej nie musiała się obawiać Kuby, który ciągle nie potrafił pogodzić się z jej wybrykiem sprzed siedmiu lat.

Kit z tym, że wykupił się u naczelnika więzienia i przetrwał swój wyrok bez skazy. Kit z tym, że po wyjściu na wolność podarowała mu pół biurowca! Sobański nie wybaczał błędów! Był też jedynym człowiekiem, który znał jej tajemnicę, a ona desperacko potrzebowała jego pomocy. Całą noc wierciła wzrokiem telefon, czekając, aż on odpisze.

Nie odpisał.

Wykończona zasnęła nad ranem. Obudziła się koło południa. Ciepły sobotni dzień wypłoszył strach. Sonia spojrzała na dziwny list z zupełnie innej perspektywy. Przecież radziła sobie z wieloma przeciwnościami i zawsze spadała na cztery łapy. Prośenie Kuby o pomoc było oznaką słabości. A on i tak milczał. Miał ją gdzieś.

Postanowiła zmierzyć się z wyzwaniem sama. Przez cały dzień porządkowała swoje rzeczy. Spakowała peruki, czeskie karty do telefonów, zapasowe smartfony, z których czatowała, szukając ofiar, i wszystko, co mogło się kojarzyć z jej morderczym nałogiem, do worka na śmieci. Zasypała cały ekwipunek kretem i wyrzuciła do przypadkowego śmietnika podczas wieczornej przejażdżki ścigaczem. Nie mogła mieć w mieszkaniu żadnych dowodów. Zostawiła tylko nigdy nieużywany pistolet gazowy i dwa lśniące noże typu karambit. Kupiła je z myślą o kolejnym dniu.

Na niedzielę miała wielkie plany. Chciała zabić Donę, dawną przyjaciółkę, obecnie dziewczynę Kuby. Wszystko sobie poukładała: sposób ataku, alibi i nocną wizytę u Sobańskiego. Miał zrozumieć, że albo będzie z Sonią, albo każda jego dziewczyna skończy martwa. Czowała wilgoć między nogami na samo wyobrażenie sytuacji, w której przychodzi do niego i oznajmia mu, co zrobiła z blond cizią. Niestety zrezygnowała w obawie, że ten, kto podłożył kopertę, może ją obserwować. Zwłaszcza po zmroku. Poszła się upić, w poniedziałek leczyła kaca, zasypując go



kokainą i seks czatem. Faza pomogła, jej głowa oderwała się od rzeczywistości, w której... nic się nie działo.

We wtorek postanowiła skonfrontować się z Kubą. Jej morderczy ekskochanek wciąż milczał, głuchy na propozycję zdjęcia polisy, a Sonia nie mogła tego znieść. Stawiła się we Future o dziesiątej. Czekala przy recepcji. Bmw Sobańskiego wjechało na parking pół godziny później. Od razu poszła pod windę, gdzie jak zwykle zmierzyli się spojrzeniami. Wzrok Kuby zdradzał wściekłość z lekką domieszką zaciekawienia. Był na nią zły, tylko tym razem nie wiedziała czemu. Przecież nie zrobiła nic niewłaściwego. Gdyby odpisał od razu w piątek, wszystko by mu powiedziała. Wsiedli – ona pierwsza, on za nią. Niedawno przeniósł się na drugie piętro, więc czasu miała niewiele.

– To info z piątku... – zaczęła słodkim tonem, który miała opanowany do perfekcji.

Wciąż mogła powiedzieć mu prawdę, wyznać, że wpakowała się w kłopoty, a przecież jej kłopoty są jego kłopotami. Pomógłby, nie miałby wyjścia. Może faktycznie by to zrobiła, gdyby odezwał się choć jednym słowem, uśmiechnął do niej albo wykazał się jakąkolwiek reakcją, ale on patrzył tępo w lustro. Robił to, co obiecał po ich ostatniej wspólnej nocy. Traktował Sonię, jakby nie istniała.

– Wybacz, Kuba. Śniegowa jazda związana z tęsknotą, to się więcej nie powtórzy – powiedziała, kręcąc głową. – Polisa jest bezpieczna, ty też. Przynajmniej póki ja jestem bezpieczna. – Uśmiechnęła się do lustra.

Sobański dalej patrzył na siebie. Jego obojętność od dawna doprowadzała ją do szału! Kiedy winda stanęła, Sonia podciągnęła sukienkę, prezentując czarne pończochy i fragment pośladków. Tym razem wzrok Kuby powędrował w dół.

– Przynajmniej tym cię zaciekawiłam – powiedziała z niekrytą satysfakcją. – Odezwij się kiedyś. Mam dużo ciekawych tematów.

Sobański odwrócił się i wyszedł. Nawet na nią nie warknął, nie prychnął, nie kazał jej spierdalać. Mimo to Sonia poczuła się dobrze. Była zbyt przebiegła, żeby

prosić go o pomoc, a jej ciało wciąż na niego działało. Sama rozwiąże problem, nie pierwszy raz.

Przez kolejne dni starała się funkcjonować normalnie. Owszem, bała się, ale znacznie mniej. Czas sprawił, że przesyłka zaczęła wydawać się lekko śmieszna. Przecież to żaden dowód, żadna poszlaka, co najwyżej żart jakiegoś debila – tak myślała, lecz zawsze nosiła przy sobie gazówkę i co najmniej jeden karambit. Zapisła się na kurs samoobrony, ograniczyła alko, jednocześnie zwiększając intensywność ćwiczeń. Chciała podkreślić formę do maksimum. Sporządziła też listę ludzi, którzy widzieli się z nią przed i po zabójstwie w Zabierzowie. Nie miała wątpliwości – zdradziła ją dziara. Ktoś wyczał, kiedy zrobiła sobie półksiężyc, i dopasował datę do zbrodni.

Czas płynął, a Sonia dzieliła go na pracę, treningi, spotkania z ziomalką dla odstresu i śledztwo. Zaczynała odnosić wrażenie, że ten, kto podrzucił list, strzela na oślep i liczy, że to ona go odnajdzie albo z czymś się wyłoży. I wtedy dostała kolejną przesyłkę...

Tym razem bezczelnie wysłaną do firmy. Nadawca podpisał się jako Marcel Bręczyszczkiewicz. Oczywiście nikt taki nie istniał, za to wewnątrz koperty wykręciło jej flaki. Człowiek, który na nią dybał, nie strzelał na oślep. Przeciwnie, zebrał masę obciążających ją danych. Dołączył też swoje żądania. Nie napisał ich odręcznie ani nie wydrukował, tylko stworzył z wyrazów wyciętych z gazet i naklejonych na kartkę. Zagrał w starym stylu, prawie jak na filmach z zamierzchłej epoki.

Strach Soni zaczął narastać. Od tamtej pory każdy jej dzień wyglądał identycznie. Kładła się spać o piątej nad ranem. Wstawała o ósmej albo o dziewiątej, skrajnie wyczerpana. Kiedyś mogła kimać do południa, teraz musiała być obecna w firmie. Należało szukać kolejnych wynajmujących, kilka lokali wymagało remontu, co wiązało się ze ściąganiem różnych ekip. Pracę kończyła przed siedemnastą, prawie w ogóle nie mijala się z Kubą. Sobański swoje lokale miał pełne, nie musiał siedzieć w biurowcu. Sonia miała mętlik w głowie, traciła siły, była świadoma, że ktoś zepchnął ją do pozycji zaszczutego psa.

Po pracy nadal trenowała, ale to wychodziło jej słabo przez paskudne zmęczenie. Siedmiokilometrowy bieg zwykle kończyła otumaniona jak po kwasie. Ćwiczenia siłowe w ogóle nie miały racji bytu. Brak snu sprawił, że mięśnie kurczyły się i były zwiotczałe niczym wata, o dalszym kursie samoobrony mogła zapomnieć, nie starczało jej energii. Proces zmuszania się do jakiegokolwiek aktywności kończyła około dwudziestej trzydzieści. Potem brała prysznic, wcinała jedzenie, które przez ciągły stres smakowało jak tektura, i próbowała zasnąć.

Połowa maja, dwudziesta pierwsza. Mimo opuszczonych rolet godzina nierealna do kimy. Zwykle przewracała się z boku na bok, udając, że nie słyszy hałasów na osiedlu. Czasami fantazjowała, czasami się masturbowała, ale to ostatecznie bardziej ją męczyło, ewentualnie rozpalało, wciąż nie dając spać. Każdego dnia tęskniła za swoim mrokiem.

Brat gwałcący ją w koszmarach naprawdę nie byłby zły. Zawsze wzbudzał w niej agresję i chęć do działania. Tymczasem od zimowego tańca w Katowicach milczał, przez co Sonia czuła się osłabiona jak superbohaterka, której zabrano moce. Męczyła się tak codziennie do za kwadrans pierwsza. Potem dzwonił budzik i zaczynała się gehenna.

Nie mogła zignorować żądań. Dane, którymi dysponował człowiek, którego nazwała Listonoszem, były zbyt mocne, żeby policja je olała. Biorąc pod uwagę jej przeszłość, zaczęliby grzebać i pewnie coś by wygrzebali... Ryzyko było naprawdę duże. Dlatego zgodnie z wytycznymi każdej nocy o pierwszej otwierała okno w swojej sypialni.

Na początku kładła się na łóżku, ubrana w kurtkę i bieliznę termoaktywną, ale szybko zrozumiała, że popełnia błąd. Człowiek, który postanowił zmienić jej noc w bezsenną udrękę, właśnie na to liczy. Wejdzie oknem, wykorzysta jej zmęczenie i zaatakuje, zanim ona strzeli do niego z gazówki. Mógłby też wrzucić do pomieszczenia fiolkę z gazem łzawiącym, oślepiając ją. Jeśli miał lepsze dojścia, mógłby nawet użyć gazu usypiającego. Na pewno miał pomysł, skoro żądał otwarcia tego konkretnego okna.

Bestyjeczka doceniała jego spryt. Sama, gdyby chciała wejść do mieszkania niepostrzeżenie, też wybrałaby sypialnię. Za nią znajdował się nieduży ogródek należący tylko do Soni i patio z ławkami, będące częścią wspólną dla wszystkich mieszkańców. Naprzeciwko stał drugi blok, po lewej jeszcze jeden. Wszystkie łączyły się ścianami i podziemnym parkingiem. Ludzie opuszczali rolety na noc, bo nikt nie lubi sąsiadów gapiących się w okna. Patio od chodnika oddzielał płot zbudowany z niskich barierek. Bliskość lotniska i tory kolejowe tuż za parkingiem generowały regularne szумы. Wchodząc na patio w środku nocy, człowiek stawał się praktycznie niewidoczny i niesłyszalny.

Sonia przeniosła się do salonu. Zamykała drzwi od sypialni, przez co nie widziała okna, ale zyskiwała przestrzeń i czas na podjęcie działań. Nagły szturm Listonosza nie wchodził już w rachubę. Żeby spotkać się z nią twarzą w twarz, najpierw musiałby otworzyć drzwi prowadzące z sypialni do przedpokoju. Wówczas zdradziłaby go ruszająca się klamka. W dalszej części mieszkania to ona miała przewagę. Planowała zabójczy kontratak o nazwie „obrona konieczna”.

Pozbyła się karambitów. Zostawiła gazówkę, kupiła też japoński nóż do krojenia mięsa z kością – niezbędnik każdej maniaczki zdrowego żywienia, która nie gardzi mięsiwkiem, zero przypału. Widząc ruszającą się klamkę, zamierzała czmychnąć do kuchni. Potem należało słuchać kroków, szukać cienia, czekać, aż Listonosz się zbliży, i wziąć go z zaskoczenia. Spacyfikowałaby go spluwą, najlepiej przykładając łufę do karku, dowiedziałyby się, kim jest i czego chce, a następnie wbiłaby mu nóż w brzuch, ewentualnie przecięła tętnicę udową. Zrobiłaby tak, żeby wszystko wyglądało na atak maniaka, który wykorzystał otwarte okno i wparował do środka.

Sonia, młoda dama z przeszłością, uwielbiała chłód, dlatego nie zamykała okna. Czła się bezpiecznie na spokojnym osiedlu. Miała też lekki sen. Obudził ją dźwięk skrzypiącej ościeżnicy. Widząc niebezpieczeństwo, rzuciła się do ucieczki. Kierunek kuchnia. Niestety ten szalony napastnik pobiegł za nią, sięgnęła więc po nóż i zaczęła się bronić. Tak skutecznie, że go zabiła... Była ofiarą, której należało współczuć.

W ten sposób przedstawiłaby wszystko policji. Ewentualnie wcześniej związałaby Listonosza i pojechała do jego mieszkania, upewnić się, że nie zostały

w nim inne obciążające ją listy. Owszem, z Kubą byłoby to łatwiejsze – jedno mogłoby zostać w mieszkaniu, drugie pojechać sprawdzić dziuplę Listonosza, ale Sonia czuła, że poradzi sobie sama. Była przecież dużą dziewczynką, seryjną morderczynią...

Każdej nocy od pierwszej do piątej siedziała na kanapie z gazówką, nożem i telefonem. Odliczała czas, walcząc ze snem. Dopadały ją przeróżne kryzysy, wiedziała jednak, że nie może zasnąć. Musiała być gotowa. Bała się nie tylko Listonosza... Otwarte okno stanowiło zaproszenie dla wszelkiej maści oprychów. Niby osiedle należało do spokojnych, jednak nigdy nic nie wiadomo. Piła hektolitry kawy, czasami energetyki, zdarzało się, że jedno zapijała drugim. Biła się po twarzy, obmywała włosy lodowatą wodą, jarała fajkę za fajką, grała w gry na telefonie, czytała książki, ciągle szukała sposobów na niezaśnięcie. Często starała się analizować swoją sytuację i skupiać na śledztwie.

Druga wiadomość zmusiła ją do zagłębienia w znacznie szersze ramy czasowe. Autor osobliwych listów wiedział o niej bardzo dużo. W trakcie potwornych nocy wyselekcjonowała wreszcie kandydatów do roli Listonosza. Każdy coś o niej wiedział, każdy, przy dużym sprycie i wielkiej determinacji, mógł mieć szansę ją rozgryźć. Problem polegał na tym, że Sonia nie widziała ich od dawna. Ciągle nie wiedziała też, czemu mają służyć zagrywki Listonosza.

Czeka, aż zwariuję? Chce mnie zamęczyć? Będzie mnie szantażował? – te i wiele innych pytań cisnęło się na usta.

Każdego poranka o piątej budzik dzwonił ponownie, wtedy zamykała okno, a przetrwawszy kolejną noc, zasypiała od razu. Kilkugodzinny sen jej nie regenerował. W głowie kręciło się jak na kacu, przez panujący w mieszkaniu chłód miała zamulone zatoki, doszedł paskudny kaszel od przeginięcia z fajami, ciągle męczyła ją ta cholerna wiotkość mięśni. Jeździła do Future odbębnić robotę, która przestała sprawiać jej frajdę.

Dziś też nie miała na nią ochoty. Z głową na biurku i zamkniętymi oczami powoli odpływała. Sonia Wodzińska była zagubiona i zmęczona. Marzyła o sytuacji,

w której Listonosz wreszcie do niej przyjdzie, ona zrobi swoje, a potem zacznie normalnie spać.

– Czego znowu?! – ryknęła, bo dzwoniący telefon sprowadził ją do zmęczonej rzeczywistości. – Halo? – odebrała zaspanym głosem. Oczywiście wciąż miała zamknięte.

– Szefowo, dotarła poczta. – Usłyszała radosny świergot Marty, laski pracującej w recepcji. – Przynieść?

– Od kogo? – spytała, nie podnosząc głowy z biurka.

– Biuro maklerskie B-Wining, Tauron, urząd miasta, jakiś spam związany z targami budowlanymi i chyba coś prywatnego, Marcel Brzęczyszczkiewicz.

– Co?! – Z emocji wyprostowała się na fotelu. – Przynieś!

– To znaczy ter...

– Tak, kurwa! Teraz! – wydarła się i skończyła rozmowę.

Nerwy sprawiły, że serce zaczęło walić dzikim rytmem. Mimo to w głowie wciąż jej się kręciło ze zmęczenia. Musiała się rozbudzić, a był na to tylko jeden skuteczny sposób. Sięgnęła po pudełko na soczewki. Usypała kreskę kokainy i wciągnęła. Śnieg zawsze ją pobudzał, natomiast zjazd był męczący, dlatego unikała swojej ulubionej używki w nocy.

Recepcjonistka zapukała do drzwi po dziesięciu minutach, akurat kiedy Sonia kończyła palić fajkę. Wpuściła ją, Marta zostawiła papiery, ukłoniła się i wyszła.

Znów w samotności drżącymi rękami odpakowała list od Brzęczyszczkiewicza. Facet przykleił wydrukowane litery z adresem i dopiskiem „do rąk własnych”. W środku znajdował się kolejny list. Inny niż poprzednie. Nie było półksiężyców ani danych. Zawierał przesłanie.

Słowo „grzeczna” wcięte z gazety, dalej zdjęcie pudła z różową kokardką i „już niedługo” posklejane literami z różnych gazet, w różnych czcionkach.

– Grzeczna suczka... – wymamrotała pod nosem.

Przed oczami przebiegła mordercza projekcja jej wszystkich osiągnięć. Sonia Wodzińska zabiła trzynaście osób i nie poniosła konsekwencji. Poczwała, jak wzbiera

w niej złość. Żaloszny dupek myślał, że może wykańczać ją dzień po dniu. A przecież była cholerną Bestyjeczką!

– Niedoczekanie, sukinsynu! – ryknęła na całe gardło. Zabrzmiała demonicznie. – Taki jesteś spryciarz? – Przedarła kartkę na pół. – Masz mnie za suczkę? – Wciąż rwała papier. – Jestem kimś więcej! Należę do tego miejsca i nie dasz rady mnie usunąć!

Targała list, czując wzbierającą złość. Miała dosyć męczarni, dosyć unoszenia się idiotycznym honorem i dosyć samotnej walki z problemem. Dwa tygodnie nocnej mordęgi to zdecydowanie za długo. Listonosz nie wiedział, jak ją podejść, niecierpliwił się, liczył, że wysyłając kolejny kretyński list, do czegoś ją sprowokuje.

– Ty naprawdę nie wiesz, z kim zadzierasza... – powiedziała do pustej przestrzeni biura, zaskakując samą siebie subtelnością swojego głosu. Brzmiała tak, bo jej ulżyło. Zniknęły opory, wreszcie wiedziała, co chce zrobić. – Ale z jednym masz rację, już niedługo...

Sięgnęła po telefon i wybrała numer Kuby. Bez względu na wszystko to był ich wspólny raj i razem musieli dbać o swoje bezpieczeństwo.

# 1

Urlop, restart od codzienności, dziesięć dni z daleka od problemów, korków, marketów, biurowców i ludzi próbujących swą obecnością uprzykrzyć mi życie. Ostatni raz podobnej beztroski zaznałem... sam nie pamiętam kiedy. Chyba podczas studiów. Później robiłem karierę, leczyłem smutek po zabiciu Ady Remiszewskiej, poznałem damską kopię samego siebie i trafiłem przez nią do więziennego czyścica. I choć po powrocie na wolność, w dużej mierze dzięki Soni, odzyskałem należną mi pozycję, to ani razu nie wpadłem na pomysł zorganizowania urlopu. Zrobiła to za mnie długonoga blondynka, której uroda jest równie fascynująca co charakter.

Dona Sabinowska odbywa staż w jednej z najlepszych kancelarii adwokackich w mieście i od kilku miesięcy jest moją dziewczyną. Ciągłe próbuję ją odkrywać. Z różnym skutkiem. Jeszcze nie udało mi się zdobyć kodu do jej telefonu, nie wiem, o czym pisze ze swoim kuzynem, świeżakiem z wydziału kryminalnego, nic nie wiem o reszcie jej rodziny, nie mam pewności, kiedy jest szczerą, a kiedy udaje, i co jeszcze przede mną ukrywa. Mimo to zachowuję spokój i cieszę się moją blond pięknnością.

Dona wszystko robi na maksa. Pracuje na maksa, w związek angażuje się na maksa, podobnie rzecz ma się z zabawą, seksem, dopingowaniem ukochanej drużyny piłkarskiej i strzelaniem fochów, o czym dobitnie przekonałem się na własnej skórze. O ile pierwsze osiem dni urlopu było fantastyczne, o tyle ostatnie dwa wyszły absolutnie wkurwiająco.

– Możesz się wreszcie uśmiechnąć? – pytam, kładąc dłoń na jej udzie.



Sztruksowe spodenki odsłaniające więcej, niż powinny, kuszą przez cały lot powrotny. Podczas podróży w tę stronę Dona była do tego stopnia rozluźniona, że zaliczyliśmy numerek w toalecie rozmiarów połowy budki telefonicznej. Nie miałbym nic przeciwko powtórce, ale wydaje się równie prawdopodobna co sytuacja, w której stewardesy zaczynają robić striptiz.

– Niby czemu mam się uśmiechać? – odpowiada z niechęcią. Nawet nie musi odpychać mojej dłoni. Wściekłe spojrzenie jej oczu pali w skórę, więc dobrowolnie cofam rękę. – Może dlatego, że związałam się z kłamcą?

Każda próba nawiązania rozmowy kończy się tym samym. Dona przypomina mi, że złamałem dane słowo.

– Wyolbrzymiasz, przecież nie gadałem z nią od pięciu miesięcy... – tłumaczę się w ten sam sposób, co za każdym razem. – Dobrze wiesz, że teraz nie mam wyjścia. Wspólnie zarządzamy biurowcem.

Pięć miesięcy temu Dona zastrzegła, że jeśli między nami ma coś być, muszę definitywnie zerwać kontakt z Sonią. Bestyjeczka zna moje sekrety, ja znam jej. Po grudniowym zabójstwie, które w dziwny sposób zahibernowało demona Klary, uwalniając mnie od najmroczniejszej potrzeby, postanowiłem dać jej ostatnią szansę. Zażądałem zlikwidowania polisy na życie. Odmówiła, więc zerwałem z nią kontakt i zacząłem spotykać się z Doną.

Sonia nie wie, że potajemnie przejąłem obciążające mnie papiery i odmowa oznaczała dla niej wyrok śmierci. Prawie udało mi się go wykonać. Problem w tym, że Bestyjeczka zbudowana jest z furtki i w noc, w którą chciałem ją zabić, przysłała mi wiadomość, a to oznaczało powiązanie mnie z zabójstwem, odłożyłem więc swój plan na dalszy termin.

– Nie, Kuba. Macie po połowie biurowca każde, więc nie musicie nic razem załatwiać. A ja znam Wodzińską. – Wskazuje palcem bliźnię na policzku, efekt chorej fazy Soni. W grudniu ugodziła Donę szkłem. Chciała ją oszpeciwać, tymczasem z bliźnię moja dziewczyna jest jeszcze bardziej intrygująca. – Ona coś knuje, a ty łykasz jej ściemy jak pelikan.

Po części ma rację. Wiem, że Sonia kombinuje, ale nasza rozmowa sprzed dwóch dni okazała się zbyt dosadna, żebym ją zignorował.

\*\*\*

To był kolejny urlopowy dzień daleko od rajów. Wczesnym rankiem zaliczyłem jogging, potem śniadanie z Doną, wspólną kąpiel w basenie, trochę powylegiwaliśmy się na plaży, skoczyliśmy na przejażdżkę boją holowaną i naładowani adrenaliną przeżyliśmy namiętny popołudniowy numerek. Kiedy blond piękność leżała zaspokojona, ja wyszedłem na balkon papierosem spuentować nasz seks. Nie nacieszyłem się dymem, ciszą i przypiekającym słońcem, bo zza szyby pokoju dobiegł dźwięk marimby.

– Houston, mamy problem. – Dona wyszła na balkon, trzymając mój telefon. – Potworzyca się aktywowała. – Na wyświetlaczu widniał napis „Sonia”. – Odrzucić czy dać jej się wydzwonić?

Poza strojeniem głupich min i jeszcze głępszymi próbami zalotów Sonia od dawna się ze mną nie kontaktowała. Wyjątek stanowiła wiadomość, która miesiąc temu ocaliła jej życie. Ciekawość, czemu nagle zachciało jej się negocjować likwidację polisy, zżerała mnie wtedy niczym rak. Mimo to gdy następnego dnia obudziłem się obok Dony ze świadomością, że czeka mnie sobota w towarzystwie tej ślicznotki zwieńczona spotkaniem biznesowym, postanowiłem wziąć Bestyjeczkę na przetrzymanie. Nie odpisałem, licząc, że jeśli ma problem, to sama do mnie przybiegnie. Albo chociaż zadzwoni.

Milczała cały weekend. Założyłem więc, że napisała do mnie z tęsknoty, przepicia albo przecpania, ale kiedy w poniedziałek nie pojawiła się w firmie, zacząłem się martwić. Byłem bliski, żeby odpisać, a nawet samemu zadzwonić. Walczyłem z pokusą cały dzień i całą noc. Postanowiłem poczekać jeszcze dobę i we wtorek trafiłem na Sonię we Future. Ulżyło mi.

Sonia przyznała, że wiadomość napisała na fapie. Fart znów ocalił jej zgrabne ciało. Zirytowana brakiem mojej reakcji pokazała kawałek pupy i... tyle. Od tamtej

pory mineliśmy się może ze trzy razy. Ostatnim, czego się spodziewałem, było połączenie przychodzące od niej.

– Daj mi komórkę. – Nie czekając, aż Dona spełni moją prośbę, wyrwałem jej aparat.

– Serio? – jęknęła, robiąc przy tym uroczo kwaśną minę, która w połączeniu z rozczochranymi włosami i czerwonym kostiumem kąpielowym była szalenie kusząca. Mimo to ciekawość zwyciężyła.

– Czego? – przywitałem się z udawaną niechęcią.

Ostatni raz otworzyłem do Soni usta w grudniu. Potem, gdy na siebie wpadaliśmy, starałem się nie okazywać cienia emocji, choć muszę przyznać, że te krótkie momenty w windzie pobudzały moje zmysły. Na balkonie hotelowego pokoju też poczułem przyspieszone bicie serca, odruchowo napiąłem mięśnie, jakby Sonia stała obok, a ja chciałbym przypomnieć jej, co straciła.

Poczułem suchość w gardle, czekając na odpowiedź.

– Okej, Sobański, wygrałeś ignorowaniem mnie. Mam dosyć naszych przepychanek, dziecinady i całej reszty tego gówna! – Sonia mówiła szybko i niewyraźnie. – Możemy się bawić w damsko-męskie gry, *no problemo*, ale klimat kina niemego mi nie odpowiada!

– No ja jebię – zareagowała Dona, widząc, że ściszam dźwięk guzikiem zewnętrznym, i weszła do pokoju, trzaskając drzwiami.

– O! Chyba blondi się nadała – kontynuowała Bestyjeczka. – Mniemam, że teraz jesteś sam?

Jej głos pobudzał nostalgię, przypominał o liście, który napisała jako dodatek do polisy. Wyznała mi w nim obłąkańczą wręcz miłość. Ciągłe go nie wyrzuciłem. Sonia wzbudza we mnie same skrajne emocje. Wcale nie chcę jej zabijać. Po prostu jej śmierć jest mi potrzebna do odzyskania pełnego spokoju.

– Czego? – powtórzyłem, maskując targające mną napięcie.

– Jak to czego?! Mówię ci przecież, że wygrałeś! Oddam ci polisę! Bestyjeczka ogłasza bezwarunkową kapitulację! – Jej słowa sprawiły, że przeciągnąłem szluga

aż do pomarańczowego filtra. – Super, słyszę, że przepaliłeś newsa i jesteś zadowolony!

Wrócił jej cwaniacki ton. Sonia to mieszanka wielu sprzeczności. Wciąż ma w sobie dużo z zakochanej nastolatki, jednocześnie kontroluje morderczy nałóg, prowadzi biznes i zaskakuje dojrzałością. Jedyne, czego nigdy się nie nauczyła, to tłumienie uczuć, którymi mnie darzy. Nostalgia zakłuła w tyłek. Odpaliłem jeszcze jedną fajkę.

– Halo, Kuba! – krzyknęła, nie mogąc znieść mojego milczenia. – Polisa leży w depozycie u częstochowskiej notariuszki. Wystarczy po nią pojechać. Umawiamy się?

– Jestem na urlopie. – Nic więcej nie mogłem powiedzieć. Coraz bardziej się denerwowałem. Na moim ciele mimo upału pojawiła się gęsia skórka. Wiedziałem, gdzie Sonia ukryła polisę, nie kłamała, a więc naprawdę zależało jej na odzyskaniu ze mną kontaktu...

– Przecież, kurwa, wiem! Martusia mi mówiła, pan prezes polecił odpocząć... – Prychnęła do słuchawki. – U mnie dla odmiany sajgon, co chwilę ktoś spierdala albo bankrutuje! Dryndnij zaraz po powrocie. Dobra? – zadała pytanie świetnie opanowanym, słodkim tonem.

– Dobra.

– Kuba... – zaciągnęła marudnie.

– No?

– Cieszę się, że to wreszcie się skończy. Postąpisz, jak uważasz, ale przynajmniej będziesz wiedział, że ja ci ufam.

– W taczku. – Przerwałem połączenie, dogasiłem fajkę i wróciłem do pokoju.

Dona stała przy szafce nocnej. W ręce trzymała szklanekę z winem.

– Jeśli spytam, czego chciała, jest szansa, że powiesz mi prawdę? – zagaiła, gdy tylko wszedłem. – Nie ściszyłeś głośnika przypadkowo...

– Chce się spotkać. Ma jakąś sprawę związaną z Future. Szczegóły nie na telefon.

– I...?

– Załatwię to.

– Fantastycznie! – Podniosła ton do krzyku. Wcześniej słyszałem go tylko podczas meczów piłkarskich. – Dałam sobie pociąć mordę, żeby mieć ją raz na zawsze z głowy! – Napiła się wina. – Zadzwoń, proszę, do niej i odwołaj to, na co się umówiłeś.

– Nie mogę...

Naprawdę nie mogłem.

– No to się bujaj, kłamco! – Chlusnęła mi winem w twarz i wyszła, tak jak stała, na bosy, w samym kostiumie.

Chwilę zajęło mi ochłonięcie, potem poszedłem jej szukać. Znalazłem ją nad brzegiem morza, daleko od hotelu. Była smutna. Usiadłem obok niej, ale mnie ignorowała, głucha na to, co mówię. Nie pozwalała się dotknąć, zachowywała się tak, jakbym nie istniał. Ciągle patrzyła w horyzont.

Kiedy słońce zaczęło zachodzić, wróciła do hotelu. Szedłem za nią jak cień, próbując zagadać. Dalej mnie ignorowała. Podobnie było podczas kolacji i w pokoju. Chciałem ją przytulić, wyrwała się. Potem, gdy się położyła, dotknąłem jej tyłka, w odpowiedzi sprzedała mi siarczysty policzek. Nie bolało, ale w oczach dziewczyny zobaczyłem przykrą niechęć. Zrozumiałem, że nic nie ugram, więc zgasiłem światło i położyłem się po swojej stronie łóżka.

Tamtego dnia poczułem się dokładnie tak, jak przez ostatnie miesiące musiała czuć się Sonia. Mając pewność, że Dona zasnęła, wziąłem butelkę wina i wyszedłem na balkon. Piłem, paliłem i zastanawiałem się, co spowodowało, że zabójcza drapieżnica nagle postanowiła pozbyć się jedynej rzeczy, która gwarantowała jej możliwość beztrudnego życia.

## 2

– Jeśli Sonia kombinuje, przynajmniej dowiem się co – odpowiadam Donie, urywając wspomnienie tamtego dnia.

Dziś w samolocie blond piękność zachowuje się tak samo jak wczoraj. Ciągle się rzuca. W sumie lepsze to niż cholerne milczenie w dniu mojej rozmowy z Bestyjeczką.

– Pewnie umierasz z ciekawości – burczy. – Prawda jest taka, że gdybym przypadkiem nie zauważyła, kto dzwoni, odebrałbyś tajniacko i nie powiedziałbyś mi o tym. Zgadza się?

Trudno zaprzeczyć. Jeden głupi telefon rozwalikł mój urlop. A przecież Sonia mogła zadzwonić rano, kiedy biegałem, wieczorem, kiedy Dona brała prysznic, albo jak schodziłem przed kolacją do baru na espresso i szluga. Miałem pecha i przez to odświeżam sobie sytuację o nazwie „konflikt w związku”.

– Donka... – Nachyłam się nad nią. Jak zawsze pachnie zajebicie, wygląda zajebicie, smakuje pewnie też zajebicie. Ona cała jest zajebista. – Lubię, kiedy okazujesz zazdrość. – Próbuję pocałować ją w ucho, jednocześnie migając się od odpowiedzi, ale uderza skronią w mój nos.

– Soniaczka nigdy nie odpuści! Ja zrobiłam jej świństwo, okej, jednak wszystko było zgodne z naszymi zasadami! Potrafię też zrozumieć jej chorą ambicję, przez którą oszpeciła mi twarz! – Donie puszcza nerwy, drze się tak, że pozostali pasażerowie zaczynają zwracać na nas uwagę. – Ale ty, zgadzając się na spotkanie, stwarzasz jej okazję i jednocześnie wywołujesz problemy! Ona może wyjść ze skóry, ale wie, że nic nie działa, póki ty się na nic nie zgodzisz! – Uderza dłonią

w plastikowe oparcie fotela. – Naprawdę, Kuba, jeśli łapie cię kryzys przed czterdziestką i musisz coś sobie udowodnić albo zwyczajnie masz mnie dość, powiedz wprost.

– Jaki znowu kryzys? – Rozkładałam bezradnie ręce. – Przecież to nie ja zadzwoniłam. Uwierz mi, wolałbym załatwić interesy z podstarzałym cwaniakiem, ewentualnie sześćdziesięcioletnią businesswoman niż z byłą kochanką – kłamię. – Ale nie mam na to wpływu, a Future jest moim głównym źródłem dochodu. Muszę go pilnować.

– Pewnie, bo nie stać cię na zatrudnienie pełnomocnika... – Jej prawniczy instynkt czasami mnie podnieca, a czasami wkurwia. – Ty po prostu ciągle na nią...

Rozmowę przerywa głos stewardesy dobiegający z głośników. Mamy zapiąć pasy, zaraz będziemy podchodzić do lądowania.

– Dona, nie ufam pełnomocnikom. Nikt nie dopilnuje twoich spraw lepiej niż ty sama, mam rację?

Nie odpowiada. Bezcelnie zamyka oczy i odwraca się w kierunku okna. W ten sposób pokazuje, że dalsza dyskusja nie ma sensu.

Na polskiej ziemi jest jeszcze gorzej. Foch Dony zdaje się rozwijać i znów skręcać w stronę milczenia. W ciszy przechodzimy odprawę, w ciszy czekamy na bagaże, a potem, gdy chcę po kilku godzinach detoksu spokojnie wypalić szluga, ona idzie gdzieś, zostawiając mnie pod wyjściem z terminala. Po chwili orientuję się, że zmierza na postój taksówek. Wywalam więc fajkę i ruszam za nią. Ledwie udaje mi się ją dogonić przed pierwszą taryfą.

– Aż tak ci odbija? Włączyła się opcja damulka? – zagaduję, chcąc wpłynąć na jej myślenie. – Ponoć jesteś lepsza od takich!

– Dopadło mnie rozczarowanie. – Omija taksówkę i idzie na parking. Chociaż tyle. – Serio myślałam, że ogarnąłeś współpracę z Soniaczkim na poziomie bezkontaktowym. Miałam cię za mądrzejszego, a dajesz się podejść jak gówniarz. Odwieź mnie do domu. – Stawia walizkę przed moim bmw 640i, splata ręce na brzuchu i czeka.

– Dopóki nie dowiem się, o co jej chodzi, nie możesz mieć pewności, że mnie podeszła.

Otwiera usta, chce coś powiedzieć, ale ostatecznie macha ręką i rezygnuje.

W trakcie jazdy słuchamy muzyki. Mnie też przechodzi ochota na rozmowę. Zbyt długo męczę się z fochami Dony, co niebezpiecznie kojarzy się z czasem spędzonym z Julią. Królowa Piękności też lubiła obrażać się o bzdury. Urlop przypomina mi, że zbyt wiele dni we dwójkę wywołuje niepotrzebne konflikty, redukuje prywatność i stwarza problem z utrzymywaniem tajemnic.

Początek związku był o wiele spokojniejszy. Dona miała stanowić przyjemny wypełniacz czasu, a nie element dodatkowego wkurwu. Mimo to chcę się z nią widywać. Chcę degustować jej ciało, spędzać wolne popołudnia i wieczory, chodzić na mecze, do knajp, cieszyć się zwykłą odmianą życia. Chcę też pomagać jej w wygrywaniu rozpraw, a potem otworzyć dla niej kancelarię i ocierać się o życiową pasję, której przez Sonię nigdy nie będę mógł wykonywać.

Na przekór moim myślom, w trakcie pełzania po krakowskich ulicach, Dona stara się jeszcze bardziej mnie rozdrażnić. Skacze między stacjami radiowymi, zastępując klasycznego rocka boysbandami z lat dziewięćdziesiątych. Przyjemność porównywalna z wsadzaniem długopisu do cewki moczowej. Zażywam jej przez długie trzydzieści minut, aż w końcu docieram na ulicę Łazarza, gdzie w starej kamienicy blond piękność wynajmuje jednopokojowe mieszkanie. Zwykle parkuję na płatnym niestrzeżonym kilkadziesiąt metrów dalej. Dzisiaj zatrzymuję samochód na chodniku, świadom, że i tak nie zostanę zaproszony do środka.

Dona wysiada, ja również.

– Nie musisz mi pomagać – rzuca tonem zadufanej księżniczki. – Jak wiesz, radziłam sobie z o wiele gorszymi tematami niż taszczenie walizki po schodach.

Przypomina mi, że jest twardą sztuką. Gdy była nastolatką, uporała się ze śmiercią swojego dawnego faceta, narkokuriera zabitego przez mafijnych bossów. Dona ma traumę, i to też mnie w niej kręci.

– Zaczekaj... – Chwytam jej ramię, kiedy schyla się nad bagażnikiem.



– Co?

Patrzy na mnie. W jej oczach widać rezygnację. Nie chce dalszej kłótni. Wjechało znużenie podróżą, a dwa dni strojenia fochów kosztowały ją sporo energii. Jutro wraca do pracy, musi wypocząć i złapać formę. Krakowska rzeczywistość prawnicza zaowocuje chęcią przywrócenia wcześniejszego ładu. Musi mieć czystą głowę, jeśli chce osiągnąć sukces. Foch jej przejdzie, ale dodatkowa motywacja mająca przyspieszyć ten proces nie zaszkodzi.

– Pomyśl, co zrobiłabyś na moim miejscu. – Przyjmuję oschły ton i robię poważną minę, jakbym zamierzał oznajmić, że zdiagnozowano mi śmiertelną chorobę. – Sonia pieprzy o sprawie związanej z Future. Być może to pretekst, nie wiem. – Pocieram ręką jej ramię. – Wiem natomiast, że jeśli się z nią rozmówię, to wszystko wróci do normy. Lepiej tak, niż czekać, aż znów zacznie się narzucać, prawda?

Dona jest mądra, a ja wyłożyłem logiczne argumenty.

– Pomyślę, co zrobiłabym na twoim miejscu. – Cofa rękę, a ja wyjmuję jej walizkę.

– Mogę chociaż wnieść ci ją na górę?

– Nie ma opcji. Spróbuj, a zacznę piszczeć.

– Kiedy się widzimy?

– Czas pokaże. Dzięki za fajne wczasy, szkoda, że musiałeś zabrać telefon... – Idzie do klatki schodowej, a ja mogę tylko podziwiać, jak prowokująco porusza biodrami.

Kiedy pokaz dobiega końca, a Dona znika, wsiadam do auta i jadę na Salwator. Dziesięć dni urlopu poza fantastycznymi chwilami i chujową końcówką oznaczało również odstawienie. Dlatego gdy tylko wchodzę do swojego apartamentu, od razu wciągam kreskę. Ostatnio się nie ograniczam. Białą fazę serwuję sobie co najmniej trzy razy w tygodniu, choć staram się nie robić tego przy Donie. Zawsze kręci nosem na śnieg, sama nie chce spróbować. Kolejny minus związku z normalną dziewczyną.

Kokaina szybko uderza do głowy, pojawia się uczucie zajebistości, przestaję myśleć o problemach.

Włączam laptopa i sprawdzam firmową pocztę. Na wyjeździe to jedno całkowicie sobie odpuściłem. Czytam kolejne maile i uczucie zajebistości jeszcze się powiększa. W mojej części Future wszystko działa, jak należy. Najdroższe, drugie piętro jest w całości wynajęte. Zawdzięczam to Ligudzińskiemu, mojemu koledze z aresztu, dawniej politykowi, obecnie cwanemu biznesmenowi. Przelewam mu odpowiednią kwotę za konsultacje w zakresie doradztwa finansowego. W ten sposób jak co miesiąc odwdzięczam się za przysługę.

Na czwartym piętrze też panuje spokój. Wynajmujący zapłacili czynsze, nikt nie zgłasza uwag, nikt nie chce się wyprowadzać, nie było awarii, nie potrzeba żadnych remontów. Luz totalny, nawet nie muszę jechać jutro do biura. Podobny ład panuje w moich lokalach na Azorach i w Rzeszowie, które kupiłem pod wynajem.

Płacę bieżące rachunki i z dumą oglądam stan konta. Urósł podczas mojego wyjazdu, choć na urlopie wcale sobie nie żałowałem. Wciągam drugą ścieżkę, odpalam fajkę i wracam myślami do Soni. Umieram z ciekawości, czemu zdecydowała się na radykalny ruch, jakim jest zlikwidowanie polisy. Chce obdarzyć mnie pełnym zaufaniem, w ten sposób akceptuje ryzyko. Godzi się z tym, że może stać się moim celem...

Jeszcze bardziej jestem ciekaw jej reakcji, gdy zorientuje się, że polisa nie istnieje. Zdaję sobie sprawę, że to, co wydarzy się u notariuszki, wiele zmieni. Sonia przeczyta samobójczy list, który napisałem w jej imieniu, dowie się, że chciałem ją zabić... Ale gdybym odmówił wycieczki do Częstochowy, nabrałaby podejrzeń, pojechałaby sama i też by się dowiedziała. Lepiej, żeby odkryła to przy mnie. Przestaję nad tym dumać i wysyłam jej eskę.

„Wróciłem. Jutro 9.00 BP Rondo. Ja prowadzę”.

Odpowiedź przychodzi niemal od razu.

„Super, zrestartujemy system naszej znajomości :)”.

### 3

Od rana męczy mnie dziwna odmiana kaca. Za dużo śniegu, za dużo fajek plus dwa piwa wypite w przypiływie narkotykowej zajebistości sprawiły, że głowa pęka, jakby ktoś walił w nią młotkiem od wewnątrz. Łykam trzy tabletki przeciwbólowe, które od razu zaczynają działać, i zajeżdżam na BP punktualnie. Sonia już czeka, stoi między wejściem a myjnią i pali szluga. Na mój widok gasi go i idzie do auta.

Spodziewałem się, że przygotuje coś kuszącego, typowo w jej stylu, tymczasem wygląda jak po ciężkim melanzu. Pomięte džinsowe spodenki przed kolana, jeszcze bardziej wygnieciona koszula w biało-różowe paski, widać na niej dwie czerwone plamy po jedzeniu albo winie, na nogach mocno znoszone trampki. Włosy spięła w kok, co rzadko jej się zdarza. Zamiast torebki przez ramię przewiesiła jakiś dziwny worek. Oczy ma podkrążone, usta sine, na czole wyskoczyły krosty, których nie próbuje zakryć tapetą. Mimo nietypowego wyglądu to wciąż Sonia Wodzińska i choćbym nie chciał, muszę spojrzeć na jej obłądny tyłek, zanim posadzi go na fotelu pasażera.

– Fajnie znów wsiąść do tej fury – mówi nosowym głosem. Ma zatkanie zatoki.

Z bliska w jej oczach dostrzegam potworne zmęczenie, jakie zwykle wywołuje brak snu. Pewnie do końca się wahała, całą noc prowadziła analizę, rozważała moje ruchy, po tym jak zobaczę polisę. A może znów dopadł ją mrok, brat gwałci ją w koszmarach i zwyczajnie potrzebuje pomocy? Niby beze mnie świetnie sobie radziła, ale sama przyznała, że we dwójkę polowania są lepsze.

– Adres – rzucam twardo.

– Aha, też się cieszę, że wreszcie mogę cię zobaczyć... – Nachyliła się nad kokpitem nawigacji i wklepuje odpowiednie parametry. – Notariuszka umówiona na jedenastą. Możesz jechać.

Kiedy jest tak blisko, czuję, że jej ciuchy zalatują, jakby wyjęła je z kosza na brudną bieliznę albo jakby w nich spała i zdążyła je przepocić. Przykry zapach miesza się z irysowymi perfumami i popapierosowym oddechem. O dziwo Sonia nie zionie alkoholem.

– Powiesz, o co dokładnie chodzi ci z polisą? Nie bardzo kupuję sytuację, w której robisz to ze zwykłej nostalgii do nas normalnie ze sobą rozmawiających... – Zawracam na światłach pod Ikeą. – Dobrze wiesz, że nie odciągniesz mnie tym od Dony.

Rozważałem taką opcję. Sonia może liczyć, że gdy okaże mi całkowitą szczerą, zrezygnuję z blond piękności, która w jej mniemaniu jest tylko zastępstwem, zapalam do niej uczuciem i znów zaczniemy razem polować.

– Kuba, sam ustaliłeś, że póki nie oddam polisy, traktujesz mnie, jakbym nie istniała. Czekałam na ciebie długo, poczekam jeszcze trochę... – Otwiera worek, wyjmuję z niego słuchawki i wkłada sobie do uszu. – Teraz to chętnie się zdrzemnęę... – Ziewa, opuszcza oparcie fotela i zamyka oczy.

Momentalnie odpływa. Jeszcze zanim dojeżdżam do bramek na autostradzie, zaczyna chrapać. Kiedy śpi, wygląda słodko i niewinnie, co pobudza nostalgiczną część mnie. Wczoraj też ją pobudziłem. Po czwartej ścieżce, kiedy organizm zdawał się pękać z poczucia własnej wyższości, otworzyłem sejf i przeczytałem list. Wywołał całą gamę kuszących myśli. Najważniejsze dotyczyły tego, żeby jej odpuścić.

Sonia wreszcie chce obdarzyć mnie zaufaniem, mógłbym odwdzięczyć się tym samym, tylko wówczas już zawsze musiałbym liczyć się z tym, że zadzwoni do mnie w środku nocy, prosząc o pomoc, bo właśnie kogoś zabiła i nie ogarnia bałaganu na miejscu zbrodni... Zawsze byłbym od niej zależny. Właśnie to sprawia, że

zamierzam się jej pozbyć, ale kiedy patrzę na jej śpiące oblicze, dopada mnie tęsknota.

Im dłużej jestem z Doną, tym bardziej brakuje mi dziewczyny, przy której mogę swobodnie wciągać koks, jarać w każdym pomieszczeniu i nie muszę kryć się z serią popełnionych morderstw. Dziewczyny takiej samej jak ja. Paradoksalnie gdy długo przebywałem z Sonią, wcale tego nie chciałem. Bestyjeczka ma tyle samo plusów, co minusów. Rozważam je całą drogę i wciąż nie potrafię określić, czego naprawdę chcę. Dawno nie byłem na takim rozdrożu. Może kiedy dowiem się, jak zareaguje, będzie mi łatwiej.

– Pobudka. – Szarpię ją za rękę. To mój pierwszy kontakt z jej skórą od wielu miesięcy. Dreszcze podniecenia pojawiają się mimowolnie. – Wstajemy! – krzyczę, bo Sonia jest jak maszyna odłączona od prądu. Wciąż śpi. – No dawaj! – Zirytowany szczypię ją w udo.

Krągła część jej ciała wywołuje przyjemne ciepło na żołądku. Ona nadal ma w sobie to coś. Nigdy nie przestała mnie pociągać.

– Już...? – Powoli otwiera oczy i rozgląda się dookoła. – Kurwa, mogłabym jeszcze pospać... – Ściąga słuchawki, wyjmuje fajkę. Pali w ciszy.

Ja w ogóle nie mam ochoty na tytoniową rozkosz. Czuję coraz większe napięcie. Stoimy na parkingu pod smutną kamienicą przy ulicy Focha w Częstochowie. Na drugim piętrze mieści się biuro notarialne Iwony Świerczewskiej. Zimą napadłem na nią i wykorzystując wiedzę o jej romansie, dobrałem się do polisy.

– Idę z tobą – oznajmiam Soni, kiedy gasi szluga.

Podczas napadu byłem zamaskowany, zmieniałem głos, jak tylko się dało, ale wolałbym uniknąć konfrontacji ze Świerczewską. Mimo to lepiej mieć Bestyjeczkę na oku.

– Pewnie, inaczej posądzisz mnie o kręactwo, a od dziś koniec z takim klimatem... – Wysiada.

Kancelaria niewiele się zmieniła, notariuszka też. Wciąż jest w miarę atrakcyjną kobietą koło trzydziestki. Zastanawiam się, czy nadal sypia z żonatym deweloperem

czy jednak mój atak sprawił, że zmieniła priorytety. Na dole nie widziałem jej starego Citroëna. Stał inny, nowszy, co każe przypuszczać, że forsa nadal jest dla niej ważna. Z Sonią rozmawia swobodnie, mówią sobie po imieniu, jedna pyta drugiej, co u niej słyhać, a potem udzielają sobie zdawkowych odpowiedzi. Utwierdza mnie to w przekonaniu, że Bestyjeczka wytrzasnęła ją z imprezowego okresu, kiedy notariuszka studiowała w Krakowie. Sam poza krótkim „dzień dobry” w ogóle się nie odzywam.

Świerczewska ma już przygotowane papiery. Mówi, że ziściły się przesłanki do zwrotu depozytu, i przechodzi do odczytywania protokołu. Kiedy czyta, chwytam Sonię za nogę pod stołem. Nie wiem czemu, po prostu mam ochotę. Ona zerka na mnie i puszcza mi rozkosznie uwodzicielski uśmiech.

– Proszę, sprawdź jeszcze raz, czy wszystko w porządku. – Świerczewska przekazuje Soni dokument.

Bestyjeczka sprawdza, a notariuszka patrzy na mnie z rosnącym zaciekawieniem. Po chwili zaczyna mnie perfidnie lustrować, jakbym miał na twarzy wypisane tajemnice swojego życia.

Kojarzy mnie? Moja sylwetka zapadła jej w pamięć? – pierwsze obawy uderzają do głowy.

– Coś nie tak? – pytam, nie mogąc znieść siły jej spojrzenia.

– Wiem, kim pan jest – odpowiada, a ja czuję ból w dolnej części ciała. To stres. – Zabił pan człowieka.

Błąd, liczba jest dwucyfrowa.

– Nie człowieka, tylko gwałciciela – prostuję i od razu robię się spokojniejszy.

Ona zna historię opowiedzianą przez Sonię. Jak każdy jej znajomy.

– Uważa pan, że ktoś taki zasługuje na śmierć?

– Lepsze byłoby więzienie, w którym poczułby to samo, co ofiara. Dopiero potem przydałaby się śmierć – mówię zgodnie z prawdą.

– Doksy ogarnięte, wszystko w porządku – przerywa naszą rozmowę Sonia i oddaje notariuszce pismo.

– Okej, idę po depozyt.

Ulatnia się do gabinetu, tam otworzy szafę – tę samą, którą ja otwierałem. Wyjmie z niej kopertę z numerem referencyjnym i pieczętą. W środku leży następna koperta zabezpieczona lakiem.

Czekając na notariuszkę, Sonia gładzi mnie po brzuchu. Jest to jeden z tych gestów, które mocno na mnie działają, i ona dobrze o tym wie. Chce, żebym znów jej pożałował.

– Cieszę się, że to robię – mówi półszepem. – Wreszcie będzie inaczej.

Ma rację, choć nie zdaje sobie sprawy, na czym może polegać zmiana.

– Proszę, twój depozyt. – Świerczewska wraca z kopertą.

Sonia rozrywa papier i zagląda do środka. Na pierwszy rzut oka wszystko wygląda identycznie jak w dniu, w którym założyła depozyt notarialny. Biała, zalakowana koperta wypchana naszymi tajemnicami.

– Umowa sprzedaży działki w Wielkiej Wsi pod Krakowem w formie aktu notarialnego. Wszystko jak w protokole – mówi Bestyjeczka, tak dla zachowania pozorów. W rzeczywistości notariuszka za łapówkę nie sprawdziła zostawionych jej dokumentów. – Możemy się rozliczyć. – Uśmiecha się chytrze.

Nie wiem, co jeszcze chcą rozliczać, i wcale mnie to nie obchodzi, bo Świerczewska ciągle na mnie lipi, a w jej oczach maluje się dziwna ciekawość.

– Czekam w samochodzie – oznajmiam, podnosząc tyłek z krzesła. – Do widzenia.

– Do widzenia, panie Kubo – odpowiada notariuszka.

Ulatniam się, na wypadek gdyby wcześniejsza dyskusja służyła temu, żeby mogła jak najdłużej słuchać mojego głosu. Przecież może kojarzyć mój akcent i tonację. Z pewnością atak zamaskowanego napastnika wyrył jej się w pamięci, nawiedzał ją w sennych koszmarach, myślała o tym, stojąc w korku, usypiając dziecko czy zdradzając męża. Nie ma opcji, żeby całkowicie przeszła nad tamtym wydarzeniem do porządku dziennego, z pewnością jest teraz czujniejsza i bardziej podejrzliwa.

Wie, że siedziałem w więzieniu, i nagle zjawiam się w jej kancelarii z dziewczyną, która wręczała jej łapówki. Lepiej nie dać jej szansy do dłuższej analizy.

Na zewnątrz zapalam szluga. Niby czuję ulgę, bo wyszedłem stamtąd i nigdy więcej nie wrócę, ale szybko pokrywa ją napięcie. Lada moment mój świat znów wywróci się do góry nogami. I znów stanie się to z inwencji niezwyklej istotki, którą teraz obserwuję przez okna na korytarzu kamienicy. Zbiega po schodach. Kiedy jest na dole, gaszę fajkę i wsiamam do bmw.

W aucie Sonia od razu macha zalakowaną kopertą.

– Gotowy otworzyć polisę?

Uśmiecha się szeroko, jej twarz promienieje, w oczach widać radość i znamiona triumfu. Ostatnie miesiące ją niszczyły, zaliczała przypadkowych facetów, upijała się, wyżywała na Donie i samej sobie. Tęskniła za nami. W kancelarii zaczęliśmy się dotykać, a za chwilę pochwali mi się swoim wyznaniem w postaci listu. Domyślam się, że w jej ślicznej główce trwa właśnie pokaz fajerwerków.

– Nie tutaj, znajdziemy intymne miejsce.

Reakcji tak szczęśliwej Bestyjeczki na to, co zobaczy, nie jestem w stanie przewidzieć. Mogę tylko zredukować skutki, więc jeśli ma wybuchnąć, lepiej, żeby stało się to gdzieś, gdzie nikt nas nie będzie widział i w razie kłopotów zyskam możliwość interwencji.



## 4

Przeglądamy Google Maps, poszukując miejscówki, którą można uznać za intymną. Pada na ulicę Korfantego. Ludzik postawiony na wirtualnej mapie pokazuje wąską drogę i zielone tereny niedaleko ocynkowni, huty szkła oraz walcowni. Droga znajduje się blisko trasy DK1, która prowadzi do Krakowa. Jedziemy.

Po drodze Sonia sprawia wrażenie totalnie wyluzowanej. Przyciska kopertę do serca, jakby była jej amuletem, pali szluga i śpiewa to, co leci w radiu. Stawiamy na muzyczną neutralność. Ja lubię rocka, ona od dawna woli techno, słuchamy więc popu. Moje obawy rosną. Stresuję się tym, co nastąpi.

– Może tu? – pytam, wskazując polanę.

Wokół nas prawie same drzewa, za plecami zostawiliśmy walcownię i tory prowadzące do huty szkła. Od tamtego miejsca nie minęliśmy ani jednego samochodu.

– Jasne, pasi! – Głos Soni zdradza podniecenie.

Gdy tylko zjeżdżam z drogi, odpina pas, ściąga buty, siada po turecku na fotelu i obraca się w moją stronę. W jej zmęczonych oczach widać radość. Nie ma pojęcia, jakiego liścia zaraz dostanie.

– Pokaż... – Gaszę silnik, opuszczam szyby. Zapalam fajkę, licząc, że to lekkie, przyjemne zajęcie trochę mi pomoże.

Sonia powoli kruszy lak, rzucając mi cwaniacką minę. Zamiast skupić się na jej twarzy, patrzę na uda. Są piękne, zahaczają o doskonałość. W tej chwili mam ochotę je polizać, a potem pozwolić im zakleszczyć się na moim ciele. Nostalgia męczy, znów próbuje podpowiedzieć, że Bestyjeczka powinna żyć. Tak wiele zrobiła, żeby

odkupić swoje winy. Pokusa ostatecznego pojednania drażni mnie jak niezaleczona kontuzja. Nie czułem tego, gdy nie przebywałem tak długo w jej towarzystwie.

Lak jest skruszony, górna część koperty rozerwana. Kiedy Sonia chwyta dokumenty, jej ręce drżą jak u pijaka w delirce. Wie, że właśnie przekracza najniebezpieczniejszą granicę, ale wierzy, że nigdy jej nie skrzywdzę.

– Proszę, oto dowód mojego zaufa... – Milknie, gdy spogląda na papiery.

Pierwsze dwie strony to list samobójczy, który napisałem w jej imieniu. Resztę stanowią czyste kartki, wepchnąłem je, żeby grubość się zgadzała. Sonia czyta, otwiera przy tym szeroko usta, porusza dolną szczęką, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie wydaje żadnych dźwięków. Włoski na rękach stają jej dęba, na nogach pojawia się gęsia skórka, mocno pręży palce u stóp. Zaciska dłonie na rogach drugiej kartki. Szarpie i rozdziera ją na pół.

– Kuba, jak...? – Jej głos przypomina miauczenie, w oczach gości dezorientacja, widzę też dobrze mi znany błysk strachu. – Chciałeś mnie... – Spuszcza głowę.

Dotąd każde niepowodzenia i każdą sytuację działającą na swoją niekorzyść Bestyjeczka odreagowywała niekontrolowaną wściekłością. Biła, rzucała rzeczami, krzyczała. Przypominała odpaloną bombę. Teraz zwyczajnie siedzi ze spuszczoną głową. Z jej oczu kapią pojedyncze łzy. Niby jest lepiej, niż zakładałem, ale nostalgia zaczyna kłuć w tyłek, żebra i gardło. Parszywy ból zdaje się mnie rozrywać od wewnątrz. Zaciskam szczękę, żeby nie krzyknąć, pot oblewa mi czoło, wiem, że chcę czegoś, czego nie powinienem chcieć.

– To już nieaktualne, nie bój się. Nic ci nie zrobię.

Ból znika i moje wnętrze wypełnia spokój. Jestem całkowicie pewien szczerości swoich słów. Widok pokonanej Soni sprawia, że rozsądniejsza część mnie zostaje wchłonięta przez nostalgiczną. Mogę się oszukiwać, zmuszać do logicznego myślenia, ale przecież to Bestyjeczka, w mojej relacji z nią logika od samego początku nie miała racji bytu. Zawsze postępowałem wedle swoich potrzeb, a nie rozsądnych przesłanek. Ona stała się seryjną zabójczynią, bo ja tak chciałem, ja pokazałem jej, że w ten sposób uciszy swój mrok, choć pewnie istniały inne,

bezpieczniejsze metody. To ja zrobiłem z niej potwora i powinienem był liczyć się z tym, że nie zawsze będzie mi posłuszna. Tak samo jak powinienem był zaakceptować ją żywą. Smutną, szczęśliwą, wściekłą, obojętną, ale żywą.

Nie mogę dłużej się oszukiwać. Lubię świadomość, że ona jest, dzieli ten sam nałóg i czasami możemy spotkać się na jednym skrzyżowaniu w naszej podróży przez raj. Sonia stanowi bufor bezpieczeństwa, na wypadek gdybym potrzebował być z kimś szczery. Boję się, że bez niej będzie mi źle. Dość już mam tęsknoty za kimś, kogo zabiłem. Nie chcę tego, nawet jeśli stanowiłoby to dla mnie bezpieczniejsze rozwiązanie.

– Czytałeś list... – Sonia rozdziera kolejną kartkę. Jej twarz czerwienieje, głos robi się szorstki. Jednak skręca w stronę wybuchu. – Czytałeś list, a i tak jarało cię, że cierpię! O Jezusie niedojebany! – Drze papier na dziesiątki małych kawałków. Podskakuje przy tym na fotelu, jej oczy są czerwone, ale udaje jej się zatrzymać dalszy wyciek łez.

Gdy tak na nią patrzę, nie czuję złości i nienawiści ani nawet satysfakcji po triumfie. To minęło. Teraz jest mi jej... żal. Sonia to moje odbicie lustrzane, tylko w damskiej wersji. Jak mogłem chcieć ją zabić?

– Powiedzmy, że już ci ufam. Nigdy cię nie skrzywdzę. – Nieśmiało dotykam jej kolana.

Wzdryga się, jakby wszedł na nią jadowity pająk.

– Pokazałaś mi dzisiaj, że jesteś tego warta. Wyprostujmy, co między nami, i wspierajmy się. Wiesz, dwójka ludzi dzierżąca wspólne tajemnice. Jak to mówiłaś...? – Udaję, że się zastanawiam, choć doskonale wiem, co powiedzieć. – Zresetujmy system naszej znajomości.

Chętnie zaproponowałbym coś innego. Pocałowałbym ją teraz i zrzucił z niej ubrania, tyle że nasze zbliżenia zawsze prowadziły do katastrofy. Teoretycznie usypialiśmy demony, w praktyce i tak kończyło się polowaniem i zabójstwem. Poza tym zależy mi na Donie. Sonia to sprzeczność, moja *guilty pleasure*. Zdaję sobie

sprawę, że nasz romans jest zamkniętym rozdziałem, ale zawsze może na mnie liczyć.

– Wal się, ty bezduszny kutasie! – Rzuca we mnie fragmentami porwanej kartki. – Odpierdoliło ci do reszty! – Spluwa na dywanik. – Odwieź mnie i zniknij! Po prostu, kurwa, zniknij z mojego świata! – piszczy, wrzeszczy, kręci głową, jakby w ten sposób mogła zaprzeczyć. – Pozwól mi o tobie zapomnieć! – Zaciska pięści na swoich udach, szarpie skórę, szuka sposobów, żeby zadać sobie ból i jednocześnie wyładować niemoc.

Miesiąc temu sprawiłoby mi to frajdę, teraz nie.

– Sonia, zrozum, kiedy znalazłem polisę, inaczej o tobie myślałem. Już raz wpakowałaś mnie do wię...

– Skończyłeś tam przez gówniarę, którą byłam!

Chcę powiedzieć coś pocieszającego, ale ona i tak przerywa mi w pół słowa.

– Teraz jestem inna i ty dobrze o tym wiesz!

– Nie doceniałem cię, to prawda. Wiem, że drugi raz nic nie zjedziesz... Chcę, żebyś żyła.

– Wow, co za, kurwa, łaska! – Otwiera swój worek, wyjmuje z niego słuchawki, od razu wkłada sobie do uszu. – No jedź! – Uderza mnie w bark. Widząc, że nic to nie zmienia, wali pięścią w kierownicę. – Proszę, jedź i uwolnij mnie od swojego towarzystwa! – Wyjmuje telefon, włącza muzykę i gapi się w podsufitkę.

Nie pozostaje mi nic innego, jak spełnić jej prośbę.

Droga powrotna mija w pełnym napięciu. Żołądek ściska mi z nerwów, słucham rocka i jadę do bólu przepisowo, świadom, że każdy pokonany kilometr przybliży mnie do ostatecznego rozstania z Sonią. Jej reakcja mówi sama za siebie. Bestyjeczka wie, że miała popełnić samobójstwo. Nie boję się rewanżu z jej strony. Nawet gdyby chciała, nie dałaby rady mnie zabić. Niepokoi mnie coś innego: jej motywacja. Miesiąc temu wiadomość z propozycją negocjacji, teraz bezwarunkowe zlikwidowanie polisy... Tu musi chodzić o coś więcej niż tęsknotę.

Zbieram się w sobie, co chwilę zerkając na Sonię. Siedzi po turecku, czoło opiera o szybę. Jej ciało drży, jakby wyszła z chłodnego basenu w upalny dzień. Przez pół godziny jazdy zdążyła obgryźć skórki przy wszystkich paznokciach i wypluć na dywanik. Strzępy listu walają się po samochodzie. W końcu nie wytrzymuję tego rozsadzającego milczenia i zrywam słuchawki z jej uszu.

– Przestań się dąsać. Powiedz, czemu zlikwidowałaś polisę. – Siłę się na obojętny ton. Słabo mi to wychodzi, nie potrafię ukryć troski.

– Polisę... – prychna, nawet na mnie nie patrząc. – Z tego, co przeczytałam, to miała być twoja polisa. – Sięga do worka po fajki. – Pięknie wyjaśniłeś moją śmierć. List wykurwiście wiarygodny, to muszę ci przyznać. Poznałeś mnie na tyle, że potrafisz mówić moim językiem. – Odpala jednego szluga, nie jak kiedyś, gdy zapalała jednocześnie dla siebie i dla mnie. – Jak dotarłeś do Świerczewskiej? – Sonia wciąż jest potężną drapieżnicą i gdy pierwszy szok mija, próbuje szukać własnych błędów.

Nie mam wyjścia, opowiadam o tym, jak manipulowałem nią podczas naszego górskiego wyjazdu kamperem. Mówię o odblokowaniu jej telefonu, sklonowaniu go i mozolnych poszukiwaniach, które doprowadziły mnie do częstochowskiej notariuszki, a także o tym, jak podmieniłem dokumenty. Sonia co chwilę kręci głową, śmieje się sama z siebie, ale śmiech jest gorzki. Chce wiedzieć, w jaki sposób miała popełnić samobójstwo. Udaję, że nie słyszę pytania. Pojmuje aluzję.

– W pewnym momencie odniosłam wrażenie, że już mi odpuszczasz... – Kręci głową, uchyla szybę i wywala reszkę kolejnej fajki, którą wyjarala, słuchając mnie. – Byłam głupia, jak zawsze w twojej kwestii... Należało olać cię po wyjściu z pierdla i zająć się samą sobą.

– Powiesz wreszcie, o co chodzi z likwidacją polisy? – wracam do najważniejszego.

Muszę wiedzieć, czy wszystko z nią w porządku. Jej problemy nadal są moimi problemami. Jeśli ma żyć, to jedno nigdy się nie zmieni. O dziwo teraz wcale mi to nie przeszkadza. Mam gwarancję, że będę blisko mrocznej sfery życia Bestyjeczki.

– A o co miało chodzić?! – Ściska swój worek. – Tęskniłam! Kurwica mnie brała na myśl, że ruchasz się z Doną, a nie ze mną! – Boksuje go drugą ręką. – Chciałam cię odzyskać i tyle... – Milknie i mocno przygryza dolną wargę. – Nie martw się, następnej polisy nie będzie. Styka mi ciebie i twojej niedojebanej cizi. Chcesz mi coś zrobić, to zrób.

– Nie wpakowałaś się w nic? Żaden typ, z którym spałaś, nie zrobił ci krzywdy? – Troska w moim głosie jest zbyt dobrze wyczuwalna. – Nikt ci nie zagraża?

Nie sądziłem, że kilka godzin sam na sam z Sonią i jej cierpiące oblicze aż tak na mnie podziałają. Myślę o niej zupełnie inaczej niż tydzień temu, inaczej nawet niż rano, kiedy wsiadła do auta. Gdyby demon mojej siostry nie został zahibernowany, z pewnością usłyszałbym teraz jego karcący głos. Klara powiedziałaby mi, że jestem słaby. Ale Klary nie ma.

– Zagraża... Taki jeden zjeb.

Gdy to mówi, moje serce przyspiesza, stopa automatycznie uderza w pedał gazu, a ręce zaciskają się na kierownicy. Zgniółłbym nimi każdego, kto chciałby zrobić Bestyjeczce krzywdę.

– Kto to?

– Sobański, pewnie go znasz. Chciał, żebym popełniła samobójstwo.

– Sonia... – Próbuję dotknąć jej ręki.

– Weź spierdalaj! – Odpycha mnie, nie zważając na to, że prowadzę. Sięga po słuchawki i wkłada je sobie do uszu.

Dalsza droga mija w paskudnej ciszy. Sonia znów patrzy w podsufitkę i obgryza skórki. Kiedy mijamy bramki na autostradzie, słyszę jej ciche pochlipywanie. Męczy mnie ta sytuacja. Nie umiem pogodzić z tym, że znów zadałem jej ból. Ona ma dziwne moce, pobudza najgorsze i najlepsze części mnie.

Parkuję pod jej balkonem, nie gaszę silnika. Czekam. Sonia powoli ściąga słuchawki, wrzuca je do worka i odwraca się w moją stronę. Jej twarz jest biała jak papier, nie licząc krost, które jeszcze bardziej się wyróżniają, zaczerwienionych gałek ocznych i sinych warg. Wygląda jak żywy obraz psychicznego cierpienia.

– Dziś rano myślałam, że gdy przeczytasz list, to coś między nami znów zaiskrzy. Przeczytałeś już dawno i, jak widać, nie zaiskrzyło... – Głos jej drży, brzmi jak nastolatka ze złamanym sercem. – Ty po prostu musisz mnie nienawidzić. Dla ciebie najlepiej byłoby, gdybym umarła. – Słowa Bestyjeczki kłują niczym sztylet.

– Nie chcę, żebyś umarła. Przysięgam. Jeśli potrzebujesz pomocy, możesz na mnie liczyć.

– Naprawdę, Kuba, mam większe zmartwienia niż ty i twoje ego.

Wysiada, trzaska drzwiami, a ja, choćbym chciał, i tak za nią nie pójdę. Muszę dać jej czas na ochłonięcie. Tak samo jak daję go Donie. Pozostaje ciężkie popołudnie w towarzystwie kokainy i własnych myśli, a te podpowiadają, że w sprawie polisy Bestyjeczka nie jest ze mną szczerą.

## 5

Nie dostaję szansy na zastanowienie się nad szczerością Soni. Ledwie wysiadam z windy w apartamentowcu na Salwatorze, a od razu przychodzi SMS. Dona.

„Odezwij się, jeśli Wodzińska nie wyprała Ci mózgu ani kutasa i ja nadal Cię interesuję. Jeśli jest inaczej, miej jaja i się przyznaj. Jestem za młoda i za piękna, żeby tracić czas”.

Bez względu na sytuację z Sonią to Dona stanowi spuentowanie powięziennej rzeczywistości. Dzwonię do niej po wejściu do mieszkania.

– Wow, szybka reakcja. To lubię – wita mnie śpiewnym głosem. W tle słycać stukot kół tramwaju o szyny. – Nadal wierny?

– Zawsze wierny.

– Super, czego chciała?

– Musiałem jechać z nią do Częstochowy. Ma tam zaprzyjaźnioną notariuszkę. Ściemniła, że chodzi o jakieś papiery dotyczące parkingu przy Future. Naprawdę trzymała u niej akt własności działki pod Krakiem. Wyjęła go i próbowała namówić mnie, żebyśmy zainwestowali i wybudowali kilka szeregowców na sprzedaż. Miałaś rację, cała akcja to był pretekst... Liczyła, że mnie oczaruje i do czegoś między nami dojdzie.

– Głupia sucz! Zero lojalności! Zero zasad! – krzyczy, nie przejmując się tym, że jedzie tramwajem. – W sumie jesteśmy podobne, nigdy się nie poddajemy. Twarde z nas dupy. – Szybko zmienia narrację. – Posłałeś moją drogą przyjaciółkę do wszystkich diabłów?



– Raczej. Nie uśmiecha mi się nic z nią budować... – Wchodzę do salonu. Na stole leży woreczek ze śniegiem. Wysypuję trochę, w sam raz na pobudzenie odpowiednich komórek mózgowych. – A jak pierwszy dzień po urlopie?

– Wyczesanieeeeeee! – piszczy tak głośno, że muszę odsunąć telefon od ucha. – Dostałam sprawę! To znaczy oficjalnie prowadzi ją Merk, ja przecież nie mogę, ale upoważnił mnie i mogę robić wszystko za niego! Samodzielnie!

– Gratulejszyn! – Siłę się na radosny ton, choć daleko mi do radości jak z Krakowa do Irkucka. – Pochwal się, czego dotyczy twoja pierwsza indywidualna gra.

Kucam nad stołem. Zamierzam wciągnąć kreskę tak, żeby Dona słyszała. Spotkanie z Sonią sprawiło, że nabrałem ochoty na nowe reguły w naszym związku. Od teraz nie będę się krępował ze swoimi używkami. Dona musi zaakceptować istotny fragment mojej mrocznej strony.

– Jedziesz jutro do firmy? – pyta, zamiast udzielić odpowiedzi. – Bo jak nie, to jeszcze dziś zapraszam do Poznania!

Zastygam z głową nad stołem. Wygląda na to, że czeka mnie kolejna wycieczka, a nie chcę prowadzić po śniegu.

– Do Poznania? Po co?

– Si, mam tam spotkanie z klientem. U niego na chacie, jutro ósma trzydzieści. Możemy pojechać dzisiaj, zamiast ruszać w środku nocy. Powiedzmy, że zaprosisz mnie na romantyczną kolację, która zakończy nasz krótki, acz intensywny spór. Wiesz, jak to jest, Poznań miasto doznań... – Śmieje się. – Za hotel płaci kancelaria Merka. Już dokonałam rezerwacji.

– A jeśli nie mam czasu, to co zrobisz? – pytam lekko zirytowany jej działaniami. – Weźmiesz taryfę czy pójdziesz na pociąg?

– Kuba, wiem, jaki charakter ma twoja praca. Ty natomiast wiesz, że przełknęłam twoje spotkanie z paniusią, którą posuwałeś, jeszcze kiedy była smarkułą, więc należy mi się rekompensata i powinieneś zrobić wszystko, żeby mi ją zapewnić. Tak?

Trudno zaprzeczyć.

– Kiedy będziesz gotowa?

– Wpadnij po mnie za godzinę.

Przez moment zapomniałem, jak sprytna potrafi być Dona. Od początku nasza relacja w dużej mierze opiera się na grach i stawianiu na swoim. Wyniki tych potyczek bywają różne, ale na koniec oboje czujemy satysfakcję. Zwykle osiągając ją w łóżku.

\*\*\*

Potyczka o nazwie „nagły wyjazd na życzenie Dony” swój kulminacyjny punkt również ma w łóżku. Tym razem jest to łóżko na dwunastym piętrze poznańskiego Novotelu. Ubrania zrzucamy zaraz po przekroczeniu progu. Foch blond piękności odszedł w niepamięć. Nie potrzebowała czasu, logicznych przemyśleń ani powrotu do krakowskiej rzeczywistości. Wystarczyła jej świadomość, że spotkałem się z Sonią i Bestyjeczka mogła mnie uwieść.

Dona nie umie przegrywać. Potrafi za to wykorzystywać swoje atuty. W trakcie namiętnego zakopywania topora wojennego szczytuje dwa razy, a gdy jest w pełni zaspokojona, bierze mnie do ust. Mój orgazm kwituje cwaniacką minką i tekstem:

– Pamiętaj, jedna niewłaściwa zagrywka i tracisz to na zawsze.

Odurzeni seksem wychodzimy na miasto. Spacer zabytkowymi ulicami, kolacja na Starym Rynku, piwo w Kultowej na Wrocławskiej, gdzie Dona wdaje się w dyskusję z jakimiś lokalsami, próbując przekonać ich o wyższości Wisły Kraków nad Lechem Poznań, oraz kolejny spacer z dużą liczbą całusów i przytulaneek zaskakująco łatwo uspokajają nostalgiczne myśli o Soni. Moja mordercza bliźniaczka nie musiała zakładać polisy, to był jej wybór. Mogła ją zdjąć, gdy dałem jej szansę, powinna być też świadoma, że spróbuję ją przejąć, a przecież i tak przysiągłem, że nasz spór dobiegł końca.

Jestem o wiele spokojniejszy. Sonia wie, że może na mnie liczyć. Jeśli rzeczywiście ma kłopoty, ochłonie i zadzwoni. Po powrocie do hotelu jeszcze raz

kocham się z Doną i zasypiam wykończony szalonym dniem pełnym skrajnych wrażeń.

Ranek jest inny. Przyjemną beztroskę zastępuje atmosfera pracy. Dona zamienia wczorajsze džinsy, T-shirt i skórzaną kurtkę na marynarkę i spódnicę w czarno-białą kratę. Czerwone vansy zostają zastąpione szpilekami, a dwa słodkie warkocze kucykiem. Jest mieszanką stylów, nigdy nie wiem, jak będzie wyglądała następnego dnia, co też czyni ją zajebistą.

Po śniadaniu jedziemy na zachodnie obrzeża miasta, gdzie mieszka jej klient.

– Powiesz wreszcie, o co biega i czemu przyjechaliśmy do Poznania? – pytam, przeciskając się przez poranne korki.

Wczoraj w ogóle nie rozmawialiśmy o sprawie. Na mieście rządziła beztroska, a w podróży Otodom, OLX i oferty najmu mieszkań. Dona dostała podwyżkę, zamierza wyprowadzić się z klitki na Łazarza do czegoś nowocześniejszego. Przyjąłem na klatę kilka elaboratów na temat wad i zalet różnych lokalizacji, możliwości przemieszczania się, czynszów, wystroju wewnątrz i innych pierdół. Potem przeszła do używanych samochodów. Słuchanie było nawet przyjemne dzięki możliwości masowania jej ud.

– Cyprian Borysiuk, lat dwadzieścia sześć. To nasz klient – mówi, nawet nie zerkając do skórzanego teczki, w której trzyma akta. Nie wiem, kiedy zdążyła się ich nauczyć. – Synuś wyłącznego importera trzech skandynawskich wódek. W miarę zarobieni, przynajmniej na tyle, że stać ich na kancelarię Merka. Typ odwalił manianę w Krakowie i potrzebuje pomocy.

– Jakiego rodzaju manianę, skoro nie siedzi w areszcie, tylko w domu?

– Totalnie nic wielkiego, sprzedał plaskacza panience, dość mocno. Jak wiesz, nie kwalifikowało się to do pobicia ani tym bardziej ciężkiego uszczerbku na zdrowiu...

Spodziewałem się, że Merk nie da jej na pierwszy samodzielny raz niczego grubego.

– Laska atakuje z oskarżenia prywatnego, artykuł dwieście siedemnasty KK, przestępstwo naruszenia nietykalności cielesnej.

– Co za skurwiel – warczę. – Obrzydzają mnie damscy bokserzy, gwałciciele i wszelkiej maści dno krzywdzące kobiety... – Wyjątek stanowią mordercy. Oni robią to z wyższych pobudek, ale nie zamierzam wspominać o tym Donie. – Kiedy byłem adwokatem, chętnie brałem sprawy gwałcicieli i równie chętnie je przegrywałem. Na śmiecia, co policzkuje dziewczynę, nie splunąłbym, nawet gdyby dawał mi milion. Powinnaś postąpić tak samo. Rusz się, cioto! – Poirytowany trąbię na samochód, który stoi przed nami, mimo że jest zielone światło.

– Wyobraź sobie, że nie dostałam od rodziców apartamentu na szczycie Salwatoru, bryczki ani floty na beztróską młodość, więc skoro Merk pozwala mi prowadzić sprawę, nie wybrzydza. Przeciwnie, zamierzam wygrać. Zwolnij! – Szybki slalom w ciasnocie między autami trochę ją wystraszył. – O ile dobrze kojarzę, zabójcy kobiet jakoś ci nie przeszkadzali... Ich chętnie broniłeś – przypomina nadąsanym tonem.

– Nie musiałem patrzeć w oczy ofiarom ich szaleństwa, bo leżały w prosektorium. Tak było łatwiej. – Chcąc nie chcąc, muszę coś odpowiedzieć.

– Uroczą argumentacją. – Daje mi pstryczka w policzek. – Ja będę rozmawiała z klientem, *comprende?* – Kiwam głową. – Nie chcę, żebyś się wtrącał, zwłaszcza że znam już twoją opinię. Słuchaj, wyciągaj wnioski i jeśli coś wpadnie ci do głowy, potem mi powiesz.

– To tu – oznajmiam, gdy dojeżdżamy pod nieduży parterowy dom otoczony drewnianym płotem, na którym wisi kamera. Naciskam klakson i trzymam, czekając, aż ktoś nam otworzy.

– Wyluzuj, do cholery! – ruga mnie, a kiedy przestaję trąbić, wyjmuje telefon i dzwoni. – Dona Sabinowska z kancelarii Merka, jestem pod pana domem – mówi do aparatu. – Tak, to czarne bmw, które przed chwilą trąbiło. – Z domu wychodzi facet w białym szlafroku. Przy uchu trzyma telefon. – Mężczyzna? Ach, to mój

konsultant. Tak, był adwokatem karnym, wciąż jest znakomitym fachowcem. Jego obecność może wpłynąć korzystnie.

Facet znika, a po chwili brama zaczyna się otwierać.

– Poznajmy gówna, które jest twoim klientem... – odzywam się i wjeżdżam na podjazd.

## 6

Cyprian Borysiuk, pierwszy klient Dony, ma około metra osiemdziesięciu wzrostu, zagubioną minę mieszkańca stuosobowej wsi, który nagle obudził się w centrum Paryża, nie wiedząc, co począć, chudą sylwetkę z lekko odstającym mięśniami piwnym i rzadkie włosy zaczesane na bok. W jego oczach widać pychę i arogancję.

Wymieniamy sztucznie uprzejme teksty na powitanie i idziemy za nim do salonu. Tam zrzuca nagle szlafrok. Rozmowę ze swoją prawniczką zamierza prowadzić w luźnych bokserkach, klapkach i koszulce z wielkim logo skandynawskiej wódki.

– Dobrze, że zażądałem kogoś nowego. – Rozsiada się w fotelu, gestem ręki każe nam usiąść na kanapie naprzeciwko. – Mecenas Rauch był niekompetentny, nic nie umiał załatwić... – Kręci głową, z uwagą przypatruje się bliźnie na policzku Dony, a ja lustruję jego włosy.

Wnętrze chaty jest przestronne i nowoczesne. W salonie dominuje sztuczna skóra, szkło i elektronika. W przejściu do kuchni ma trzy designerskie chłodziarki do wina. Każda załadowana do pełna butelkami wódki. Na stole przed nami jest szklanka z niedopitym drinkiem, zapalniczka, notes z długopisem i jakiś kolorowy magazyn z branży HoReCa.

– Jak dokładnie wygląda pana sytuacja? – pyta Dona. – Co się wydarzyło?

– Pani nie wie?

– Znam akt oskarżenia, ale chciałabym usłyszeć pana wersję. – Zakłada nogę na nogę.

Borysiuk odkleja wzrok od blizny i zerka na jej udo. Mam ochotę wstać i mu przyłożyć. Powstrzymuję się, głównie dla rozwoju kariery mojej dziewczyny.

– Perspektywa klienta pozwoli mi szerzej spojrzeć na sytuację. Proszę opowiadać, mamy tylko dwa tygodnie do rozprawy.

– Otóż w marcu byłem na imprezie w Krakowie. W klubie Top Dog zdarzył się mały incydent. W przejściu między lożami VIP zaczepiłem pewną panią. Młodą, atrakcyjną, teraz już wiem, że nazywa się Arletta Mikulska. Chciałem zaprosić ją na drinka. Przez wypity alkohol nie pamiętam, co dokładnie mi odpowiedziała, ale kojarzę, że w trakcie dość wulgarnej odmowy obraziła moją mamusię. – Co za pojeb. – Nie akceptuję takiego zachowania, więc targany impulsem postanowiłem ją skarcić. Wiecie państwo, w stylu, w jakim karci się kogoś, kto obraża mamusię. Ręcznie...

Gdy to mówi, drapie się po wewnętrznej stronie prawej dłoni. W jego oczach zaczynają tańczyć kurwiki, mina robi się chytra. Widzę, jak powiększają mu się nozdrza, znów luka na bliznę Dony. To ledwie zauważalne gesty, ale dla doświadczonego zabójcy, takiego jak ja, stanowią oczywisty przekaz. Borysiuk podnieca się, wspominając tamten moment. Przyłożył kobiecie, chętnie zrobiłby to ponownie. Być może nie był to jego pierwszy raz, ale żadna wcześniej nie oskarżyła go z artykułu dwieście siedemnastego Kodeksu karnego.

– Po wymierzeniu sprawiedliwości przeszła mi chęć na dalszą imprezę w tym klubie – ciągnie swą opowieść. – Natychmiast opuściłem lokal i poszedłem na samotnego drinka do pubu. Kolegów poinformowałem o tym SMS-em. Niestety Arletta Mikulska postanowiła wnieść sprawę.

– Jej błąd. Powinna była skrzyknąć kilku chłopaków, którzy skarciliby cię w stylu, w jakim karci się kogoś, kto bije kobietę, zamiast tracić czas na sądy – mówię.

– Kuba! – Siła spojrzenia Dony zdaje się wypalać dziury w mojej skórze.

– Sorki, przyływ szczerości... – Dotykam jej nogi i szybko cofam rękę.

– W porządku, w porządku, nie interesują mnie opinie ludzi. Płacę za działania, nie za uprzejmości. – Borysiuk jest kompletnie niewzruszony. – Zdaję sobie sprawę, co mi grozi. Przepis znam na pamięć. Kto uderza człowieka lub w inny sposób

narusza jego nietykalność cielesną, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do roku – mówi oficjalnym, kompletnie niepasującym do niego tonem.

– Jest pan niekarany, ma pan nieposzlakowaną opinię, nigdy nie było żadnych problemów z prawem, a finalnie to zwykły policzek. W najgorszym wypadku sąd uzna, że zawieszenie wykonania kary więzienia będzie wystarczające, w najlepszym dostanie pan grzywnę. Oczywiście można się będzie od takiego wyroku odwoływać, ale sam pan widzi...

Dona sięga do teczki. Wyjmuje zdjęcie z opisem. Na zdjęciu jest młoda szatynka z włosami kręconymi jak sprężyny. Ma poważną twarz, nieobecny wzrok i czerwony ślad na policzku. Borysiuk musiał jej mocno przyłożyć. Gdyby nie Dona, chętnie zapoznałbym go z moimi nożami. Tak w ramach dobrego uczynku.

– Jest jeszcze film nagrany przez jednego z uczestników imprezy – kontynuuje moja dziewczyna. – Nagrywający skupiał się na czymś innym, ale i tak dobrze widać pana profil i moment, w którym narusza pan nietykalność cielesną Arletty Mikulskiej. Niestety słychać tylko bity. Gdyby dało się usłyszeć, jak obraża pana matkę, mogłabym próbować udowodnić, że do popełnienia przestępstwa doszło wskutek wyzywającego zachowania pokrzywdzonej. Wówczas sąd mógłby odstąpić od wymierzenia kary.

Blond piękność brzmi fachowo i racjonalnie. W ogóle nie rusza jej, że rozmawia z damskim bokserem. Nadaje się do tej roboty.

– Wiem, na fotce Arletta wyszła jak ucharakteryzowana. Film również działa na moją niekorzyść. Nie ma szans, żeby odwołanie po niekorzystnym wyroku coś zmieniło. Mecenas Rauch już mi to mówił – stwierdza Borysiuk. – Jediną szansą na uniknięcie problemów z prawem jest uzyskanie pojednania, ale ona nie chce się zgodzić. To kretynka, proponowałem jej dwadzieścia kawałków. Odmówiła... – Stuka się w czoło. – Przecież jest biedną studentką!

Borysiuk natomiast jest rozpieszczonym gnojkiem, który kupuje wszystko. Dom, auto, dziewczyny, pewnie też kumpli. Nie dociera do niego, że dla skrzywdzonej



kobiety satysfakcja może być ważniejsza niż szmal.

– Nie rozumiem, czemu tak bardzo zależy ci na pojednaniu – wtrącam, znów olewając prośbę Dony o milczenie. – Grzywnę liczy się w stawkach dziennych, wyjdzie najwyżej kilka tysiaków, choć patrząc na zdjęcie i wyobrażając sobie, jak wygląda film, obstawiałbym zawiasy, które i tak wiele nie zmienią. Czemu ma służyć to całe zamieszanie? Dlaczego proponujesz jej tak dużo szmalu? Po co zatrudniłeś renomowaną kancelarię z Krakowa? Co chcesz ugrać?

Cyprian Borysiuk wzdycha głośno i rozwała się na fotelu. Przez nogawkę w jego bokserkach widać fragment dyndających jaj. To obrzydliwe, jak wszystko, co z nim związane.

– Problem ludzi mojego pokroju polega na tym, że mają wrogów w każdym kręgu. Wśród kumpli również... – Nachyliła się nad stołem, kończąc pokaz genitaliów. – W Krakowie balowałem z trzema ziomkami, jednemu z nich posunąłem w zeszłym roku siostrę. Była zadowolona, on nie bardzo. – Szczerzy kły. – To właśnie on zdradził Mikulskiej moją tożsamość. Powiedział też, że we wrześniu otwieram firmę z już nagraną licencją na wyłączny import szwedzkiej wódki klasy premium. Ta wódka to prawdziwy rarytas. Wytwarzana z organicznych zbóż, kluczem do jej sukcesu jest destylat powstający w miedzianym alembiku o...

– Dalej nie rozumiem, na czym polega problem – wtrącam, przerywając jego wywód.

Dona szczypie mnie w rękę. Chyba chciała powiedzieć to samo.

– Żeby uzyskać zezwolenie na nabywanie wyrobów akcyzowych jako zarejestrowany odbiorca, muszę przedstawić między innymi zaświadczenie o niekaralności! – wreszcie wyjaśnia, w czym rzecz. – Jeśli nie zacznę działać w ustalonym terminie, wszystko przepadnie! Producentowi wódki zależy na czasie, więc zwącha się z konkurencją. Mikulska zniszczy mi plany na przyszłość i dobrze o tym wie! – krzyczy, a w kącikach jego ust pojawia się piana. Nerwy i wietrzejący alkohol. – Mnie nie robi różnicy, czy dostanę grzywnę czy zawiasy, i tak nie będę już miał niekaralności! – Podrywa się z fotela. – Pani Dono, ja muszę doprowadzić do

pojednania! Właśnie dlatego wynająłem kancelarię Merka, działacie w Krakowie, znacie ludzi, wymyślcie coś!

Siada z powrotem, chwyta się za głowę. Dopiero teraz widać, ile nerwów kosztuje go to oskarżenie. Pewnie długo szukał odpowiedniego towaru na import, jeszcze dłużej dogadywał się z producentem na wyłączność. Forsę i kanały zbytu ogarnął przez ojca. Pozostało załatwić papierologię niezbędną do uzyskania pozwoleń, przyjąć towar do magazynu, narzucić marżę i puścić dalej. Wówczas, mając dom, furę i coś tam do odziedziczenia, z własną firmą stałby się niezależny. Mógłby do woli chlać, zwiedzać kluby i policzkować dziewczyny.

– W porządku – mówi Dona, nie patrząc na klienta. Wzrok wlepia w komórkę. Zaczęła w trakcie jego wywodu. – Powiedzmy, że mam pomysł na załatwienie pojednania.

– Jaki? – pyta z zaciekawieniem.

– Pan nie musi wiedzieć... – Jeszcze chwilę grzebie w telefonie, po czym blokuje go i chowa do torebki. – Ile wynosi maksymalna kwota, jaką gotów jest pan zapłacić za pojednanie? Oczywiście nie licząc stawki ustalonej z kancelarią... – Bezpośredniość Dony trochę mnie zaskakuje.

Cyprian Borysiuk zamyka oczy. Chyba przelicza sos, jaki ma do dyspozycji.

– Maksymalnie trzydzieści pięć tysięcy – odzywa się, dokonawszy kalkulacji. – Na więcej nie mogę sobie obecnie pozwolić. Mówiłem już, jestem w trakcie dużej inwestycji.

– Wobec tego przekaże pan tę kwotę mnie i ja zajmę się resztą. Zgoda?

– Niech pani zapisze swój adres. – Wskazuje notes i długopis. Nie zastanawia się ani chwili. – Kurier zadzwoni w przyszłym tygodniu. Przyjedzie z forszą.

Dona robi to, o co prosi Borysiuk, zamyka teczkę i wstaje. Żegnamy się z obleśną kreaturą bijącą dziewczyny. Facet kłania się przed blond pięknnością, mnie chce dać grabę. Udaję, że nie widzę. Prędzej wsadziłbym rękę w tyłek szympanowi.

– Miałeś się nie odzywać, zamiast tego wyświergotałeś mu odę do nienawiści...

– karci mnie Dona, gdy tylko wsiadamy do auta. – Ciesz się, że jest tak

zdesperowany. Gdyby zażądał zastąpienia mnie kimś innym, przy kolejnej doustnej zabawie zębki omsknęłyby mi się na twoje bezcenne przyrodzenie. – Dotyka mojego kroku przez dzinsy. – Śmigamy do Kraksy, a po drodze szamka?

– Powiedz mi, jak ty to robisz, że w jednej chwili umiesz być bezwzględna i wyrachowana, a w drugiej słodko infantylna?

Dona jest naprawdę trudna do rozgryzienia.

– Cóż, potrafię oddzielić pracę od bytu. I jestem najlepszym, co cię w życiu spotkało, tylko jeszcze o tym nie wiesz.

Brama się otwiera, wyjeżdżam na ulicę.

– Dam znać, kiedy się dowiem. A na razie zdradź, jak zamierzasz namówić Mikulską do pojednania. Nie chce keszu, to znaczy, że zależy jej na udupieniu skurwysyna.

– Kiedy paplał, zinstagramowałam tę laskę, wcześniej o tym zapomniałam. – Wali się otwartą dłonią w czoło. – Z fotek na profilu oraz fotek, na których ją oznaczano, wynika, że ostatnimi czasy regularnie odwiedza Full House. – Ma na myśli klub, w którym wiele lat temu Sonia zamordowała żonę prokuratora i w którym później Dona pracowała jako managerka. – Pojedziemy, pogadamy, dowiemy się czegoś. Zamierzam znaleźć słaby punkt tej dupy i zmusić ją do pojednania. W sądzie jesteśmy skazani na porażkę.

– Szantaż zamiast rozprawy, pretendujesz do roli seksownej gnidy.

– Mówiłam ci już, jestem najlepsza.

## 7

Im bliżej Krakowa jesteśmy, tym więcej znów myślę o Soni. Od naszego pożegnania pod jej blokiem nie zadzwoniła, nie wysłała mi też żadnej wiadomości. Podczas jazdy, kiedy Dona zajęta jest swoim telefonem, zerkam na socjale Bestyjeczki. Często cierpiąc, wrzucała relacje, wczoraj też jej się zdarzyło. Fotkę licznika w ścigaczu ze wskazówką na stu sześćdziesięciu kilometrach, podpisaną „All I need is speed”, dodała późnym popołudniem. Musiała się solidnie wyżyć, w dodatku prowadziła jedną ręką.

Gdy robimy przerwę na obiad w cuchnącym fast foodzie, sprawdzam, kiedy ostatni raz Sonia była aktywna na komunikatorach. Wychodzi, że wiele godzin temu.

– Idę zajarać i dryndnąć do Future – oznajmiam Donie, która nadal wcina frytki.

Na zewnątrz wybieram numer Marty. Recepcjonistka wie o każdym, kto wchodzi i wychodzi z budynku, poza tym jest młoda, komunikatywna i w przeciwieństwie do wynajmujących nie uczestniczy w wyścigu szczurów. Można z nią normalnie rozmawiać.

– Dzień dobry, panie prezesie! – wita się głosem pełnym optymizmu. – Urlop udany?

– Ujdzie... – Odpalam fajkę, zerkam przez szybę na Donę. Blond piękność pije napój i gapi się w telefon. – W firmie wszystko w porządku?

– W pana części jak najbardziej. Nikt nic nie zgłasza. Chyba nigdy nie było aż takiego spokoju. – Ma rację. Nie pamiętam sytuacji, w której nie musiałem odwiedzać biur i kontaktować się z ludźmi przez dwanaście dni z rzędu. – Gorzej wygląda sprawa u pani prezes Wodzińskiej... – dodaje smutno.

Kiedy rozmawialiśmy podczas urlopu, Sonia wspominała o firmowych kłopotach. Może dlatego chciała zdjąć polisę? Może wizja Bestyjeczki, która wpakowała się w tarapaty przez swoje romanse, jest tylko moim urojeniem, a tak naprawdę potrzebuje pomocy przy pracy? Mógłbym temu zaradzić, w odwodzie mam Ligudzińskiego i jego niekończące się kontakty.

– Co się u niej dzieje?

– Ostatnio ubyły kolejne firmy z trzeciego piętra. Wczoraj po południu przyszli klienci oglądać wolne biura. Byli umówieni, ale pani prezes nie przyjechała. Dzwoniłam do niej, oni do niej dzwonili, za każdym razem odrzucała połączenia i w końcu wyłączyła telefon. Dzisiaj w ogóle nie było jej we Future, a siedzę od siódmej.

Najwyraźniej Soni załączyła się krnąbrna nastolatka i problemy osobiste nakazały ignorowanie każdego żywego człowieka.

– Nie chcę się wtrącać, ale uważam, że powinien pan z nią porozmawiać. Ostatnio nie jest sobą. Często chodzi taka... zamulona. Poprzednie trzy dni siedziała natomiast w biurze od wczesnego ranka, co nigdy jej się nie zdarza, potem gdzieś wychodziła i wracała koło siedemnastej, kiedy wszyscy szli do domów.

– Zobaczą, co da się zrobić. – Spoglądam za szybę fast fooda. Dona wyrzuca resztkę jedzenia i idzie do wyjścia. – Kończę, jutro będę w firmie, to pogadamy.

– Jak pan sobie życzy. Miłego popołudnia.

– Wypaplany i wyjarany? – Dona mocno mnie przytula, po czym wbija język do moich ust. – Smakujesz jak marlboro. Ohyda.

– Ciesz się, że nie jak popularne bez filtra. – Ściskam ją za tyłek. – Jedziemy?

Do Krakowa docieramy tuż po czternastej, co pozwala uniknąć drogowego szczytu. W międzyczasie Dona dzwoni do Idy. To dziewiętnastolatka, do której ojca należy Full House. Kręciła się z blond pięknnością i Bestyjeczką pod koniec ich imprezowego okresu. Od pewnego czasu tatuś pozwala jej zarządzać lokalem w niedziele, ale z tego, co słyszę, w tygodniu też spędza tam sporo czasu.

Parkuję pod Hotelem Maltańskim, skąd idziemy do klubu. W środku ostra krzątanina. Ludzie ładują alkohol do lodówek, wypakowują browary ze skrzynek, czyszczą stoliki, ktoś inny myje podłogę, ktoś ogarnia didżejkę. Jeśli wierzyć reklamom, dziś jest studencka środa. Będą zniżki na piwo, pieniądź zacznie krążyć. Ida już na nas czeka.

– Donka! Szmata czasu! – wrzeszczy, rzucając się Donie na szyję. – Brakowało mi ziomalki i najlepszej managerki *ever!*

Nie wątpię. Odejście mojej dziewczyny z Full House jest dla Idy tragedią. Jeśli chce odziedziczyć klub, naprawdę musi pracować.

– Witam zabójcę gwałciciela – zwraca się do mnie, nawet nie podając ręki. Ciągle się mnie brzydzi. – Najpierw Soniaczka, teraz pani najpiękniejsza, do zaliczenia świętej trójcy brakuje ci już tylko mnie. Ale to opcja dostępna jedynie w twoich marzeniach.

– Raczej w koszmarach – odgryzam się.

Ida jest przesadnie wychudzoną brunetką, nakłada mnóstwo makijażu, przez co jej twarz przypomina lalkę. Znaczna część jej lewego przedramienia zakryta jest frotkami, bluzka kończy się w połowie brzucha, ma dzinsową kurtkę bez rękawów i spodnie z wielkimi dziurami na udach, na których wytatuowała sobie wstążki. Wygląda dziwnie.

– Co za interes sprowadza was do mojego klubu? – pyta, kiedy zajmujemy miejsca przy barze, i stawia przed nami puszki z red bullem.

– Ten lokal nie jest twój... – Nie mogę sobie odpuścić. Nie lubię Idy.

– Maturka za kilka tygodni, potem w pewnym sensie będzie mój – stwierdza z przekąsem.

– Darujmy sobie ustalanie poziomu własności Full House, nie przyszłam dziś na ploteczki ani na słowne docinki – mówi Dona.

– Ty ostatnio w ogóle nie przychodzisz na ploteczki. Nic, tylko facet i kancelaria, nuuuda! – mędzi jak gówniara Ida. A myślałem, że to blond piękność bywa dziecinna. – Przez telefon wspominałaś o interesach. Słucham.

– Kojarzysz ją? – Dona wyjmując zdjęcie spoliczkowanej Arletty Mikulskiej.

– Niezłego strzała przyjęła... – Ida pociąga red bulla, gapiąc się na fotografię. – Kto ją tak urządził?

– Nieważne. Wiem, że często tu bywa. – Pokazuje telefon z selfie Mikulskiej na karaokę w Full House.

– Donka, odwiedza nas sporo ludzi i wielu robi sobie selfie... – Wlepia wzrok w wystawę alkoholi.

– Pracowałam tu i wiem, że stałych bywalców się nie zapomina. Proszę, fota z soboty. – Porusza palcami po ekranie. – Ta jest z piątku, tu koleżanka oznaczyła ją w środę, tu inna zrobiła to samo w poprzednią sobotę. Przestań ściemniać i pomóż, Ida! – Wali pięścią w blat. – Wisisz mi przysługę, si? A może zapomniałaś, co oznacza definicja tego słowa, i trzeba ci przypomnieć? Może tatuś powinien dowiedzieć się, że to wcale nie jego córeczka tak efektywnie zarządzała lokalem we wszystkie niedziele od listopada do kwietnia, tylko ja, a Idusia tak naprawdę gziła się wtedy, chuj wie z kim i chuj wie gdzie? Numeru dawnego szefa nie skasowałam.

– Masz rację, sorry. – Ida dotyka policzka Dony, jakby chciała w ten sposób pobudzić swoje wyrzuty sumienia. – Marco! Chodź tu! – Kiwa palcem na chłopaka ubranego na czarno, który krząta się przy didżejce. – Marco przejął po tobie rolę menago, odpowiada też za dobór muzy i social media klubu – tłumaczy.

– Marek Smolarczyk – przedstawia się chłopak, kiedy do nas podchodzi.

– Kojarzysz ją? – pyta gówniara.

Nowy manager bierze telefon, powiększa zdjęcie i przygląda się uważnie.

– Letka, stała bywalczyni naszego karaokę. – Śmieje się. – Ty też powinnaś ją kojarzyć.

– Często tu bywa? Dużo wydaje? – wtrącam.

– Średnio dwa, trzy razy w tygodniu. Kiedyś chodziła do Top Dog i Winowajców. W obu stałam za barem. Ile wydaje? Nie mam pojęcia. – Marco wzrusza ramionami. – Jeśli macie jej nazwisko, możecie sprawdzić w historii operacji na koncie klubu. Może płaci kartą.

Opcja ciekawa, ale wątpię, żeby córeczka właściciela miała dostęp do konta.

– Dlaczego powinnaś ją kojarzyć, co, Ida? – pyta podejrzliwie Dona.

– No właśnie, czemu powinnam, Marco? – Gówniara albo ma słabą pamięć, albo próbuje rznąć głupa.

Chłopak rozgląda się dookoła, wsadza ręce do kieszeni, kręci głową, robiąc speszoną minę, zamiast gadać. Mam dosyć jego bierności.

– Gościu, ogarnij się! – Zeskakuję z krzesła, chwytam go za koszulkę, ciągnę za materiał i trafiam pięściami w splot słoneczny. Nie muszę, ale chcę. Za dużo nerwów mi się nazbierało, żeby jeszcze użerać się z gówniarzem. – Dona prowadzi sprawę karną! Możesz powiedzieć nam, co wiesz, i damy ci spokój, albo będziesz milczał i wtedy zajebicie uprzykrzymy ci życie. Serio, chcesz zadzierać z najlepszą kancelarią w mieście?

– Letka jest dziewczyną Rachida, naszego barmana! – wyrzuca na jednym wydechu. Puszczam go. – To przystojny, dobrze zbudowany Afgańczyk. Podpite laski zamawiają u niego dużo drogich trunków. Wiesz, lansują się, co to nie one, licząc na przygodę, a klub na tym zyskuje. Zakotwiczył u nas miesiąc temu, właściwie to ja go ściągnąłem z Winowajców. W porządku gość.

– Jest legalnie zatrudniony? – Pytanie jednocześnie wyskakuje z ust moich i Dony.

– Właściwie... – Marco urywa. – Chyba nie muszę wam o tym mówić. – Uświadomił sobie, że jednak go nie pobiję, bo jego głos zrobił się pewny.

– Nie musisz, za to my mamy narzędzia i możliwości, żeby to sprawdzić – wyjaśnia Dona całkowicie bezemocjonalnym tonem. – Jest monitoring, będą zeznania gości i pracowników, są zdjęcia w mediach społecznościowych. Znajdziemy sporo dowodów na to, że stoi za barem. Przyślemy wam kontrolę i wtedy się dowiemy. Szef z pewnością będzie szczęśliwy – dodaje z przekąsem. – Musisz jednak zrozumieć, że nam szkoda czasu na takie bzdety. Chcemy po prostu wysłuchać historii tych dwojga, więc zacznij gadać i nie utrudniaj.

– No, nie do końca jest na legalu... – Chłopak znów traci pewność. Zerka na Idę.



Dziewczyna sący red bulla, w jej oczach widać zdziwienie. Pracownicy i metody zatrudnienia to nie jej liga.

– Rachid stoi tylko podczas największych imprez, kiedy w Full House są tłumy. Środa, piątek, sobota. Dostaje kasę do ręki plus napiwki, nie figuruje w papierach. Fajnie nakręca ruch wśród damskiej klienteli. Jakiś czas temu zakochał się w Letce, z wzajemnością. Ona często tu przychodzi, bo chce mieć go na oku. Zwykle luka na niego z sali karaoke. Jest zazdrosna, choć nigdy nie dał jej powodów. Uśmiecha się do dziewczyn, ale tylko żeby łąpać napiwki. O niej nic więcej nie wiem.

– Jesteś pewien, że im na sobie zależy? – dopytuje Dona.

– Tak, gołym okiem widać, kiedy jakaś para szczerze do siebie łągnie. Siedziałaś w branży, napatrzyłaś się na zakochanych, napalonych, niezdecydowanych i po prostu najebanych. Umiesz ich rozróżnić.

– Mhm.

– Od kiedy się spotykają? – pytam.

– Nie mam pojęcia. Znam Rachida tylko z roboty, ale pierwszy raz widziałem ich razem jakieś dwa, może dwa i pół miesiąca temu. To wszystko?

– Może iść – mówię.

– Dzięki, Marco, wracaj do swoich zajęć. – Ida zgniata puszkę, tym razem w jej oczach widać strach. Boi się, że narobi kłopotów sobie i tatusiowi.

Wymieniamy z blond pięknnością porozumiewawcze spojrzenia. Błysk w oczach mówi wszystko. Dostała to, po co przyszła. Pora się zmywać.

– Hej, zabójca, wiesz może, co u Wodzińskiej? – Słowa Idy sprawiają, że przestaje mi się spieszyć do wyjścia.

## 8

Temat Soni powraca niczym mroczny bumerang. Ciągłe uderza w tę najgorszą, nostalgiczną część mnie. Wystarczyła wzmianka o Bestyjeczce, żebym znów zaczął się o nią martwić. Czy naprawdę zawsze muszę mieć kogoś, kogo nienawidzę i jednocześnie żałuję? Wczoraj zachowałem się jak mięczak. Uśpienie demona Klary mnie osłabia. Powinienem był wyśmiać naiwność Soni i zalecić dodatkową ostrożność przed Rzeźnikiem Niewiniątek, zamiast tego zapewniłem ją o nieagresji. Może w tym wszystkim chodzi o coś jeszcze?

Troska, pociąg seksualny, swoboda wspólnego towarzystwa i duża domieszka nienawiści niepozwalająca na przekroczenie granicy fizycznej krzywdy. Czy nie tak właśnie wygląda trudna i niewłaściwa... miłość? Nie! To, kurwa, niemożliwe!

– Kiler, mówię do ciebie! – Ida pstryka mi z palców przed oczami. – Coś się tak zawiesił?

Szybko wracam do rzeczywistości. Stoimy blisko baru. Dona ściska teczkę z dokumentami i obrzuca mnie zniesmaczonym spojrzeniem. Nie chce rozmawiać o Soni, zwłaszcza że właśnie dostała kawał pysznego mięska, które trzeba jak najszybciej schrupać.

– Średnio orientuję się, co z Sonią... – mamrocze pod nosem.

Serce bije mi szybciej, w żołądku pojawia się dziwne napięcie, uda swędzą, a ślina zdaje się wysychać. Ekscytuję się, za bardzo. Mam ochotę pogadać z Idą, choćby dlatego, że naprawdę lubi Bestyjeczkę. Niedobrze...

– My niedawno sporo się razem bujałyśmy. Niektóre przyjaciółki lubią ploteczki i drineczki. – Ida wymownie spogląda na Donę. – Mówiłam ci, na zawsze jesteśmy

kumpelami, a wasze cięcia skóry mnie nie dotyczą. Swoją drogą, trochę miała do tego prawo. Mam rację, pani przyszła adwokat?

– Trochę. Musiała zostawić na mnie jakąś ryseć za to, że przejęłam jej trofeum – kwituje Dona.

– Często się z nią bujałaś? – pytam, ignorując słowa, które przyjemnie głaskają poczucie własnej wartości.

– Tak, zwłaszcza po tym, jak pokazałeś jej faka, ale ostatnio się ode mnie odcięła jeszcze perfidniej niż Dona. Ta przynajmniej na odchodne powiedziała wprost, że ma wyższe priorytety niż knajpowa niby-przyjaźń.

– Nie wiedziałem, że potrafi być aż tak bezczelna.

– Twierdzi, że to szczerść, nie bezczelność.

– Powiesz coś więcej o Soni?

– Kuba, serio? – Dona nie może uwierzyć.

– Serio. Słyszałem, że są przez nią problemy we Future. Chcę czy nie, ludzie kojarzą nasz biurowiec jako jedność. – Siadam z powrotem przy barze. – Ona szarga opinię nie tylko swojej firmy, ale również mojej. No więc... – Odpalam fajkę. – Czemu się odcięła?

– Zima i znaczna część wiosny to był szczyt naszej przyjaźni. – Ida sadza tyłek na barowej ladzie. Jej chude, wydziergane uda znajdują się tuż przed moją głową. – Knajpy, obiady, melanże, przejażdżki na ścigaczu. Świetnie się bawiłyśmy. Czasami wjeżdżały też zgrzyty. Soniacz lubił... – chwyta puszkę z reszką mojego red bulla i pociąga łyk – niezobowiązujące przygody z randomowymi kolesiami, a to nie mój klimat.

– Sknociło się wam po moim odejściu z Full House? – Dona podchodzi i kładzie mi rękę na kolanie. Gest przynależności, fajny. – Przecież musiałaś naprawdę nauczyć się zarządzać klubem, do tego masz jeszcze szkołę, a ta kradnie czas.

Ciekaw jestem, czy naprawdę ją to obchodzi, czy liczy, że dzięki swojemu udziałowi w dyskusji szybciej wyjdziemy.

– Niezupełnie. Soni odwaliło jakieś dwa tygodnie temu. – Ida ciągnie za frotkę, jakby chciała ją rozerwać. – Nagle, zupełnie bez powodu przestała dryndać, odbierać, totalnie mnie zignorowała!

– Próbowalaś sama złapać z nią kontakt? – Gaszę fajkę.

– Oczywiście, to moja przyjaciółka. – Parska gorzkim śmiechem. – Ciągle ją atakowałam, więc w końcu łaskawie zdecydowała się na marne namiastki odpowiedzi. Sami zobaczcie. – Sięga do kurtki, wyjmuje telefon i pokazuje wiadomości wysłane przez Sonię.

„Nie mam czasu”.

„Praca”.

„Daj mi spokój”.

„Młoda, zajmij się sobą!”

– Potem w ogóle przestała odpisywać. Dziwne, nie?

Sonia w wielu sprawach jest dziwna.

– Może jej się znudziłaś? – zgaduje Dona, a ja przypominam sobie, co kiedyś powiedziała mi Bestyjeczka.

*Ciebie kocham, reszta świata może zdechnąć.*

Jest wielce prawdopodobne, że małolata przestała być dla niej użyteczna.

– Może tak być, w końcu dałam sobie spokój... – Ida smutnieje. – Bez was, laski, jest chujnia. Rówieśniczki są do bani. One nie mają rozwiedzionych ojców z własnymi klubami. Nie mogą tak często przebywać na mieście jak ja. Brakuje mi was... – Spogląda na Donę z sentymentem. – *Anyway*, gdybyś, kiler, spotkał ją w robocie, przekaz jej, że czekam na kontakt, kiedy tylko najdzie ją chęć.

– Jasne. – Choć dyskusja o Soni sprawia mi większą przyjemność niż próby uniewinnienia damskiego boksera, zdaję sobie sprawę, że ta rozmowa dobiegła końca.

Na zewnątrz Dona chwyta mnie za rękę i narzuca szybkie tempo marszu, które w magiczny sposób jest w stanie utrzymać mimo szpilek.

– Ida zraża do siebie wszystkich – stwierdza, chyba zgodnie z prawdą. – Cóż, przyznaję, chciałabym, żeby było inaczej, ale ja też tęsknię za Soniaczką. Nasza dożywotnia kosa siedzi mi na żołądku. Przez ciebie już nigdy nie będziemy sobie bliskie. Trudno, takich dokonałyśmy wyborów. – Mocno ściska moją dłoń. – Grunt, że sprawa Borysiuka zaraz będzie wygrana.

Celowo sugeruje zmianę tematu, bo przecież mógłbym zagłębić się teraz w słuszność jej wyborów i przypomnieć, że sam decyduję o tym, z kim się spotykam.

– Chcesz rozegrać ją przez Afgańca? – pytam, zamiast drażyć. – Pewnie ma wizę turystyczną albo studencką, dlatego robi w Full House na lewo. Arletta zgodzi się na pojednanie lub ktoś, konkretnie ty, nada na niego donos. Rachid straci wizę, wróci do ojczyzny i jej związek pójdzie się jebać...

– Tak, dokładnie to jej powiem, ale żeby nie wyjść na całkowitą pizdę, zaproponuję też hajs. Niech weźmie te dwadzieścia patoli i się odpiardoli, inaczej sama jej przyłożę, i to tak, że efekt będzie się nadawał na artykuł sto pięćdziesiąty siódmy Kodeku karnego.

– Słusznie kombinujesz. Z łatwością udowodnimy, że pracował na lewo.

– Już nawet mamy pierwsze zeznania. – Klepie torebkę. – Nagrywałam całą rozmowę. Niby nie można jej użyć w sądzie, ale wystarczy na zastraszenie. À propos brudnych zagrywek, nie musiałeś szarpać tego łebka i ryzykować pozwu... – kwituje z ironią.

– Ryzyko było zerowe – mówię. – Nie mogę tylko skumać, czemu Mikulska od razu nie wzięła forsy. Rozumiem urazę do Borysiuka, ale przecież jej facet zarabia na lewo. Ona musi zdawać sobie sprawę, że pakuje go do paszczy lwa.

– Poprzedni adwokat Borysiuka był leszczem. Może ona wcale nie jest świadoma konsekwencji, które grożą pukającemu ją Afgańcowi.

– Masz jej adres, zaraz się przekonamy.

Stajemy na pasach przy Straszewskiego. Po drugiej stronie jest nasz parking.

– Nie my. – Dona puszcza moją rękę. – Jadę ja, a zawozi mnie pan Bolt.

– Co?!

– Wybacz, Kuba, ale tę rozmowę chcę przeprowadzić bez ciebie. – Przeszywa mnie dziwnym wzrokiem. Widzę w nim szczyptę smutku, trochę zalotności i załzązek niechęci. – Miałeś się nie wtrącać. Ja wiem, ciebie nie da się poskromić, dlatego lepiej będzie, gdy wrócisz do domu.

– Lepiej dla kogo? – Wściekły zgrzytam zębami. Nie przywykłem do bycia odstawianym na boczny tor.

– Dla mojej kariery, skarbie. – Zaplata mi ręce na szyi. Jej delikatna skóra wywołuje ciarki. – Załatwię to, potem przyjadę na Salwator i wszystko ci opowiem. – Wzrok Dony łagodnieje, zbliża usta do moich i przedziera się przez wargi swoim wilgotnym językiem.

Zachłanny, publiczny pocałunek trwa krótką chwilę. Wystarcza na kilka zaczepnych komentarzy mijających nas przechodniów. Standard w naszym przypadku.

\*\*\*

W domu od razu rzucam się na śnieg. Potrzebuję zajebistości. Niestety, wchodzi negatyw. Przypominam sobie, jak dobrze mi było, gdy wciągaliśmy razem z Sonią, ja ją odpychałem, a ona kleiła się do mnie niczym przyssawka. Mimowolnie, jakbym był sterowanym robotem, przemieszczam się do łazienki. Otwieram sejf, w nim obok czarnej maski mima, kilku tabletek i zestawu noży trzymam list, który napisała Bestyjeczka.

Wyjmuję go, idę do sypialni, ściągam koszulkę, odpalam szluga i czytam wyznanie obsesyjnej miłości, deklarację wspólnego zabijania i pragnienie bycia razem. Bez wstydu, bez ograniczeń, aż do śmierci. Zagłębiam się w poryty rysunek, jaki mógł urodzić się tylko w uszkodzonej wyobraźni Soni Wodzińskiej.

Katuję się świadomie. Wiem, że wczorajszy dzień coś mi przestawił. Chęć zobaczenia się z nią rozpierdala mnie od środka, zupełnie jakby Bestyjeczka zasiała we mnie część siebie i ta zaczęła teraz rosnąć, wypełniając pustkę po Klarze. Sonia ma mrok, którego Dona nigdy mieć nie będzie, ale przecież to właśnie on wpakował mnie za kraty...

Gaszę fajkę, z automatu zapalam następną. Chcę czytać od nowa, lecz głowa ma już tego dosyć. Chłodny umysł zawsze był sprzymierzeńcem, teraz podpowiada, że rozczulanie się jest domeną głupców. Zamiast tego potrzeba mi analizy.

Sonia mówiła, że ma większe zmartwienia niż ja i moje ego. Ida powiedziała, że od dwóch tygodni mordercza drapieżnica całkowicie ją olewa. Wczoraj zignorowała klientów, a przecież ma problemy w pracy. Gdyby chodziło o nie, mimo naszej scysji odbierałaby ich telefony...

Chwytam komórkę i czując, jak ze wszystkich porów na mojej skórze wydziela się pot, dzwonię do Soni. Muszę dowiedzieć się, o co jej chodzi. Muszę opowiedzieć o braku Klary i spytać, czy ona ma to samo. Jak nigdy wcześniej zaczynam doceniać możliwość swobodnego rozmawiania o demonach.

– Cześć, tu Sonia. Wyłączyłam telefon, prawdopodobnie uprawiam seks. Zostaw wiadomość po sygnale, dojdę, może oddzwonię – odpowiada poczta głosowa.

Chwilę trwam w zawieszeniu, dopalam szluga i próbuję ponownie. Znów to samo. Jeśli Sonia nie baluje ani nie rżnie się z kimś przypadkowym, to jest w domu. Może weszła na czat.

– Oszaleję, jeśli nie sprawdzę!

Poirytowany macham listem i w końcu zanoszę go do sejfu. Zakładam bluzę, zgarniam fajki i jadę do Bestyjeczki. Nasze mieszkania dzielą dwa kilometry. Poszedłbym pieszo, ale istnieje ryzyko, że w swojej irytacji mógłbym kogoś po drodze obić. Dojazd zajmuje kwadrans, podczas którego podświadomie katuję się słuchaniem techno.

Rolety są opuszczone. Standard. Naciskam guzik w domofonie. Serce łomocze jak po kawie zalanej gotowanym red bullem. Stresuję się, co samo w sobie jest głupie, ale nie umiem tego kontrolować. Sonia nie otwiera. Wracam do punktu wyjścia: impreza, dymanie albo czat.

– I tak się dowiem – mamroczę pod nosem jak psychol, wracając na parking.

W aucie ciągle wożę klucze do jej mieszkania. Są spięte z tymi, które otwierają naszą kiedyś wspólną wnękę na ostatnim piętrze Future. Nigdy się ich nie pozbyłem,

nigdy nawet nie zamierzałem. Jeśli Bestyjeczka czatuje, to jej przerwę. Jeśli gdzieś wyszła, poczekam na nią.

Wchodzę na klatkę schodową i staję przed drzwiami antywłamaniowymi. Zaraz, po wielu miesiącach przerwy, wejdę do mieszkania kobiety, która mimo tysiąca różnych wad sprawiła, że moje życie w raju stało się pełniejsze.



*Poprzedniego dnia*

To, co działo się w Częstochowie, wykreciło ją jak przesiąkniętą moczem szmatę. Nigdy, przenigdy Sonia nie czuła się tak upokorzona i tak samotna! A przecież wszystko wreszcie miało dobrze się ułożyć...

Gdy dostała trzeci list, omamiona wściekłością zadzwoniła do Kuby i poleciała po bandzie. Bezwarunkowa kapitulacja! Tak właśnie miało to wyglądać. Naprawdę chciała oddać mu polisę, złuzować jego poczucie zagrożenia, a przede wszystkim pokazać, że mu ufa.

W głębi swego mrocznego serca liczyła, że gdy Sobański przeczyta list, zrozumie, jak bardzo jej na nim zależy. Prędzej jednak oczekiwała, że ją wyśmieje, co byłoby w jego stylu, ewentualnie każe jej mieć się na baczności. Wówczas od razu powiedziałyby o Listonoszu. Razem dorwaliby śmiecia, co być może naprawiłoby również ich relację.

Noc po telefonicznej rozmowie, kiedy Kuba ciągle był na wakacjach, standardowo minęła Soni przejebanie. Koczowała na kanapie, uzbrojona i gotowa na atak, który nie nastąpił. Ekscytacja tym, że ma sprzymierzeńca, nie pozwoliła jej zasnąć również o poranku. Zresztą miała dosyć swojego mieszkania. Coraz bardziej kojarzyło jej się z ubezwłasnowolnieniem. Wzięła więc laptopa, pojechała do Future i tam próbowała skupić się na śledztwie. Ledwie zaczęła, a od razu dopadło ją zmęczenie. Odespała noc z głową na biurku, potem przewietrzyła się, śmigając motocyklem po ulicach, i wróciła do biurowca, żeby zmusić się do normalnej roboty. Na chatę zjechała dopiero przed północą.

Następne dwa dni i dwie noce wyglądały podobnie, z tą różnicą, że siedząc we Future, robiła też głupie rzeczy, próbując na siłę pobudzić swój mrok. Nie udało się, za to wreszcie wytypowała podejrzanego. Wiedziała, kto dobrze ją znał, miał okazję do rozszyfrowania jej tajemnic i motyw, żeby nią gardzić. Wcześniej nie brała tej opcji pod uwagę, blokowała ją, ale czas dobrze wpływał na jej procesy myślowe. Od razu pojechała sprawdzić trop w terenie. Niewiele to zmieniło. Podejrzenia mogłaby zweryfikować w salonie tatuaży, ale typ, z którego usług korzystała od lat, przebywał akurat na urlopie.

Cóż, trudno. Najważniejsze, żeby Kuba był przy mnie – myślała.

Wsiadając do jego auta, znów poczuła motylki, a raczej skarabeusze przyjemnie drażniące jej wnętrze. Mimo to nie zdecydowała się na dyskusję. Była padnięta, musiała się wyspać i złapać odpowiednią formę. Poza tym wolała opowiedzieć Kubie o swoich problemach, gdy zapozna go z treścią listu.

Kiedy otworzyła zalakowaną kopertę, dotarło do niej, że choćby chciała, choćby skręcała się z bólu, a żal zżerał ją jak rdza, musi pogodzić się z tym, że Kuba Sobański naprawdę jej nienawidzi!

Czytał list dawno temu, wiedział, co Sonia do niego czuje, a jednak go to nie ruszyło. Przeciwnie, chciał ją zabić, pozorując samobójstwo! W sumie już się tego nie bała. Podarła parszywe kartki i wtedy nagle Sobański złożył jej obietnicę. Najgorsze, że brzmiał szczerze...

– Chuj z tym, co mówisz, ty obrzydliwy egoisto! – krzyknęła do pustej przestrzeni mieszkania, wspominając ich spotkanie sprzed niecałej godziny.

Jeszcze rano liczyła, że wszystko pójdzie dobrze. A jednak wciąż miała potwora na karku, jej mrok wyparował, a jedyny człowiek, który mógł pomóc, nie przejmował się jej losem. Do końca będzie musiała walczyć sama, i to strasznie ją dołowało. Smutek tradycyjnie próbowała przekuć we wściekłość. Naparzała powietrze nożem, wyobrażając sobie, że to Kuba. Ależ miała ochotę pociąć mu tę zarozumiałą gębę! Gębę, którą wciąż kochała...

Nóż nie pomógł, więc wyżyła się na swoim ciele za pomocą atlasu do ćwiczeń. Męczyła zwiotczałe mięśnie przez dobrą godzinę. To też wiele nie dało, w dodatku ciągle dzwoniли klienci, zasrani upierdliwcy, którzy oczekiwali od niej usłużności jak od kelnerki w knajpie. Odrzuciła wszystkie połączenia i wyłączyła telefon. Nie miała ochoty użerać się z kretynami. Potrzebowała prędkości.

Jeździła całe popołudnie. Muzyka pod kaskiem zagłuszała myśli. W przyływie adrenaliny włączyła na chwilę komórkę i podczas szalonej jazdy z jedną ręką na kierownicy zrobiła zdjęcie, które wrzuciła na relację.

Niech Sobański wie, że ryzykuję, bo nie mam już nic do stracenia!

Kilkanaście kilometrów później adrenalina zesła. Sonia zdała sobie sprawę, że Kuba ucieszyłby się, gdyby zginęła w wypadku. Wolał Donę. Przedkładał sztuczność i odgrywanie normalnego nad całkowity brak wstydu. Miała dosyć jazdy.

Wróciła do mieszkania i nie mogąc oprzeć się pokusie, weszła na czat. Odegrała kilka mocnych, wyuzdanych scen. Bawiła się w siostrę molestowaną przez brata. Na kilka sposobów, z kilkoma kolesiami. Wkładała wibrator między nogi, do ust, biła się nim po twarzy, nawet w pewnym momencie połała go octem, żeby w środku ją szczypało. Starła się odtworzyć swój największy dramat. Liczyła, że w ten sposób wreszcie odzyska mrok, który czynił ją kimś więcej. Bez efektu.

Między kolejnymi czatowymi jazdami układała plan na przyszłość. Najpierw należało pozbyć się Listonosza. Znajdzie go, o ile on nie zaatakuje jej pierwszy. W sumie niewielka różnica. I tak go zabije. Później pozbędzie się Dony. Bez względu na wszystko nie pozwoli blond zdzirze cieszyć się Kubą. Dawna kumpela skończy martwa, to postanowione. Potem Sonia rozpocznie kolejny, być może najtrudniejszy pojedynek. Będzie walczyła o to, żeby ostatecznie zapomnieć o Kubie Sobańskim. Sęk w tym, że wcale tego nie chciała. Kilka wspólnych godzin roztrzaskało pancerz wzmacniany od dnia ich rozstania.

– Nie! Nie! Nie! – wykrzyczała swą niemoc i zanurkowała głową w poduszkę. – Ja tak nie chcę!

Ryczała, dając upust dziewczęcej stronie swojej natury. Ostatni raz – tak sobie przysięgła. Więcej już nigdy się nie rozklei. Wypłakawszy wszystkie łzy, zwróciła się do brata:

– Wróć do mnie, proszę... Skrzywdź mnie i pozwól mi znów być silną...

Głos w głowie milczał, a czas otwarcia okna nadchodził nieubłaganie. Chcąc nie chcąc, Sonia wzięła się w garść. Zjadła kanapki, wypłała cztery kawy, włożyła legginsy, koszulkę i w pełni uzbrojona otworzyła okno.

– Dzięki za samotną rzeczywistość, Sobański.

Splunęła na podłogę, po czym przeszła do salonu.

Długo zachowywała pełną koncentrację, ale tuż przed trzecią błogość zaczynała straszyć porwaniem w swe objęcia. Sonia sięgnęła po energetyk, przejrzała socjale i znów ścisnęła broń, zastanawiając się, ile to jeszcze potrwa. Była coraz bardziej zmęczona, w końcu koło czwartej zaryzykowała i wciągnęła ścieżkę.

– Dziś już nie przyjdiesz.

Od razu poczuła się swobodniej. Odpaliła na raz dwie fajki, tłumacząc sobie, że jedna jest dla Kuby. W wyobraźni zobaczyła go obok siebie. Siedział na kanapie, dodawał jej otuchy, choć zganił ją też za nieostrożność z tatuażami. Miał rację, zasłużyła. Grunt, że był przy niej. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że jej odbija, ale było to zbyt przyjemne, żeby przerywać.

– Spoko, jestem zajebista, nie będę długo rozpaczać – powiedziała. – Wycierpię swoje i zapomnę. Ale jeszcze nie dzisiaj. – Zaciągnęła się obiema fajkami na raz. – Dzisiaj jestem ćpunką uzależnioną od trefnej używki.

Palila dalej, rozmawiała z wymagowanym obliczem Sobańskiego, nawet kilka razy zaśmiała się z jego docinek. Potem uroiła sobie, że go całuje. Poczula jego gorzki język w swoich ustach, dotknęła nóg, fantazjując o tym, że to jego silne dłonie pieszczą jej ciało. Szły w górę do krocza... Mruknęła. Dogasiła szlugi i rozchyliła lekko uda, szykując się na fantazję o najlepszym, co życie miało jej do zaoferowania, gdy nagle rozbrzmiał sygnał domofonu.

Obraz momentalnie się rozmył. Sonia stanęła na baczność, chwytając nóż i gazówkę. Wzrok skupiła na klamce od sypialni. Ta ani drgnęła, za to na zewnątrz ktoś znów wcisnął przycisk domofonu.

Oszukałeś mnie z tym oknem! To ty! Wiedziałeś, że cię rozpracuję, dlatego wchodzisz na bezczela! Wiesz, że nie ma kamer na osiedlu, a to przecież miał być mój atut...

Jej ciało zrobiło się sztywne, nerwy zdawały się naciągać jak guma do skakania, krew w żyłach zamarzała, podobnie serce. Panika połączona ze strachem i chęcią działania – tak odbierała swój nienaturalny stan. Zaraz miała rozpocząć pojedynek z Listonoszem... Dłonie zmieniły się w mordercze uchwyt, chyba jeszcze nigdy nie czuła w nich takiej mocy, takiej chęci do walki. Każda ścisnęła inną broń. Za pas legginsów wsadziła sobie telefon, na wszelki wypadek, i ruszyła do drzwi wejściowych.

Instynkt jej się wyostrzył, strach zastąpiła odwaga. Idąc, poczuła coś jeszcze. Najpierw było szczypanie między nogami, a potem to parszywe swędzenie na plecach. Przypominało stado maszerujących mrówek. Nadchodziły zawsze, gdy miała ochotę zabić. W głowie usłyszała cichutki podszept brata. Dopiero się przebijał, ale wkrótce miał pokazać pełnię swych możliwości. Bestyjeczka wracała, gotowa na każde starcie.

Kiedy była blisko drzwi, w jej głowie zakiełkowała wyjątkowo optymistyczna myśl.

To nie Listonosz. Kimkolwiek jest, nie ryzykowałby robienia hałasu na klatce schodowej. To Kuba! Dopadły go wyrzuty sumienia i chce ze mną porozmawiać... Dzwonił, ale wieczorem miałam wyłączzonego fona, dlatego przyszedł.

Chłód w sercu zastąpiło kojące ciepło. Złość mijała, jedynie mrówki wciąż maszerowały, zwiększając podniecenie.

Wybaczę mu, oczywiście, że mu wybaczę! Zaczniemy od nowa, bez tajemnic i kłamstw.

Gdy podnosiła słuchawkę, nie czuła nic oprócz nadziei.

– Kto tam? – spytała.

Potem usłyszała głos i uświadomiła sobie, jak wielki popełniła błąd. Musiała natychmiast go naprawić.

## 10

Trzymam dłoń na kluczu, klucz jest w zamku, ale ciągle go nie przekręciłem. Ręce mi drżą, napięcie uderza do głowy. Wiem, że jeśli wejdę do środka, to nawet gdyby jej nie było, prędzej czy później i tak wróci. Wiem też, że się z nią pogodzę. Moje przyjście stanowi jasne potwierdzenie zakończenia zidiociałej przepychanki. Jestem słabością Soni, ona moją w pewnym sensie też. Teraz mam tego pełną świadomość.

Nie wiem tylko, jak na nią zareaguję. Będę chciał ją przelecieć czy może spytać o problemy? Nie wiem też, co po spotkaniu zmieni się między mną a Doną. Bestyjeczka na bank pochwali się tym, że do niej przyszedłem. Ciągle mogę zrezygnować, spotkać się z Sonią we Future i tam porozmawiać. Bez przypału, bez ryzyka rozwalenia relacji z blond pięknnością.

– Kurwa, brak Klary naprawdę mnie rozmiękcza... – mamroczę pod nosem tak cicho, że ledwie słyszę wypowiedane słowa.

Wciąż się zastanawiam, a zdrowy rozsądek zaczyna się dogadywać z nostalgią i podpowiada, że nie przyszedłem tu z sentymentu czy tęsknoty, to wątki poboczne. Przyszedłem, bo nie wierzę, że Sonia ot tak zlikwidowała polisę.

Przekręcam klucz, wchodzę.

W środku wita mnie ciemność. Przez opuszczone rolety nie przebija się choćby minimalny promień światła. Nie słychać też odgłosów świadczących o klikaniu w klawiaturę ani o masturbacji. Panuje grobowa cisza. Soni nie ma. Czuć za to parszywy smród. Niby nic nowego, Sonia, walcząc z kryzysami, potrafi nie sprzątać, nie prać i nie wyrzucać śmieci. Już to przerabiałem. Ale ten smród wydaje mi się

inny... Gorzka woń, kojarząca się z niespuszczonym kłosem, i słodycz gnijących owoców.

Tak śmierdzą zwłoki!

Sonia zabiła kogoś u siebie, może jakiegoś gnoja z czatu! Chce, żebym pomógł jej pozbyć się ciała, dlatego zdjęła polisę!

– Zapal wszystkie światła... – Stres wiąże mi struny głosowe. Mówię tak cicho, że czujnik nie reaguje. – Zapal wszystkie światła! – Zmuszony do krzyku, w końcu sprowadzam jasność. – Sonia?! – wołam, choć przecież wiem, że jej tu nie ma.

Jestem wściekły kolejnym idiotycznym pomysłem Bestyjeczki. Zabijać w swoim mieszkaniu? Po co? Chciała mieć trupa jako rekwizyt przypominający brata? Nie powinienem był zostawiać jej samej na tak wiele miesięcy...

– Odbiło ci – mówię na głos.

Chcę wejść do sypialni, przekonany, że właśnie tam Bestyjeczka trzyma swoje trofeum, kiedy w końcu dociera do mnie coś, co powinienem był uświadomić sobie od razu. Soni nie ma, a alarm jest wyłączony...

Natychmiast przyklejam się plecami do ściany między sypialnią a pokojem motocyklowym. Jestem gotów odeprzeć atak, gdyby zza którychś drzwi wyskoczyło zagrożenie. Długo zbierałem się do wejścia, jeśli ktoś jest w środku, zdążyłby się schować. Zerkam w stronę uchylonych drzwi do łazienki. Tam nikogo nie ma. Potem patrzę na salon i nagle mój świat zawala się, jakby był budynkiem dziurawionym przez pociski wystrzeliwane z potężnych armat.

Wybuchy rozsadzają mi czaszkę. Następuje pieprzone formatowanie wszystkich myśli dotyczących teraźniejszości i przyszłości. One już nic nie znaczą, bo tego, co było minutę temu, nie ma, choć pewna część mnie, ta najgłupsza, próbuje zaprzeczyć. Mam ochotę powiedzieć Soni, że trzymanie zwłok w swoim mieszkaniu to tak naprawdę nie byłoby nic złego. Podobnie jak niczym złym nie jest polowanie bez mojej wiedzy, pakowanie mnie do pierdła, wybieranie mi ofiar, szpecenie Dony oraz wszystkie następne szaleństwa, które nawywija w przyszłości. Kretyńskie wizje



biorą się stąd, że ciągle brakuje mi odwagi, żeby zmierzyć się z tym, co jest w salonie.

Obraz przed oczami zdaje się pękać, serce wali, nogi się napinają. One jedne chcą, żebym podszedł bliżej. Słucham ich. Idę powoli, próbując przyzwyczaić się do widoku. A ten jest okropny, już wiem, że będzie towarzyszył mi zawsze. Stanie się nieścieralną rysą, być może najgorszą. Taką, która naznaczy brak mojej duszy w sposób, jakiego dotąd nie doświadczyłem.

Sonia leży pośrodku salonu, na boku, stopami zwrócona w moją stronę. Nogi ma zgięte w kolanach, ręce ułożone wzdłuż ciała. Z szyi na włochaty dywan wypłynęły teraz zaschnięta już krew i tkanki. Smród zwłok przestaje mi przeszkadzać. Przeciwnie, odbieram go jako przyjemny, bo przecież należy do niej. Kawałek dalej leży odcięta głowa, ułożona czołem do góry. Na dole widać wystającą kość i mięso. Skóra jest sina, pomarszczona, żyły zrobiły się wypukłe. Usta ma otwarte. Kiedy skupiam się tylko na prawej części jej czaszki, przypomina pograżoną we śnie.

Wspomnienie śpiącej Bestyjeczki jest okropne, ale jeszcze gorzej dzieje się, kiedy spojrzę na lewą część jej głowy. Czaszka na wysokości skroni jest wgnieciona do wewnątrz, oko ma zmiażdżone, kość policzkowa przypomina plastikową piłkę, którą przejechał samochód. Walczyła, ale poległa. Brakło jej sprzymierzeńca.

– Kurwaaaaa! – drę się, a gardło pali, jakbym połykał denaturat. Wiem już, że nikt mnie nie zaatakuję. Ktoś tu był, zrobił swoje i uciekł. – Neeee, nie w ten sposób!

Moje ciało zostaje wypompowane z energii, jestem balonem, z którego uchodzi powietrze. Padam przed martwą Bestyjeczką. Mam ochotę ją dotknąć, przytulić, ale też ochrzanić, bo padła ofiarą własnej głupoty.

– Ktoś na ciebie dybał, a ty mi nie powiedziałaś! – Walę pięścią w podłogę. – Przecież cię uczyłem! Najpierw myślenie, dopiero potem uczucia!

Wciąż nie pojmuję, jak to jest możliwe. Soni nie ma, przepadła...

*Masz, co chciałeś, tylko w zupełnie inny sposób. Raj beze mnie będzie smutny, prawda?* – w głowie rozbrzmiewa jej głos.

– Przestań! – Przesuwam się bliżej niej. – Proszę! Nie pozwól mi zwariować! – zwracam się do najmroczniejszej części samego siebie, bo czuję, że w moim wnętrzu zachodzą nieodwracalne zmiany. – Nie chcę cię słyszeć... – Zatykam uszy, jej głos zastępuje potworny gwizd.

Zaczyna docierać do mnie, że zostałem sam. Pierwszy raz od wielu lat.

Sonia była, odkąd zacząłem bronić jej wolności. Przed nią jedyną się otworzyłem, i to z własnej woli, a teraz wbrew własnej woli będę dźwigał wszystkie tajemnice samotnie.

*No właśnie, braciszku. Znów jesteś samotny, i to nie ty o tym zadecydowałeś.*

Gwizd zmienia się w szyderczy śmiech Klary. Czuję dreszcze na plecach, zdają się pompować moje przebite ciało. Tak dawno jej nie słyszałem...

Wciąż leżę obok Soni. Czuję dziwne ruchy pod spodniami. Coś dotyka moich pośladków, przebija się głębiej, próbuję to zablokować, ale nie potrafię. Dobrze wiem, co to jest...

– Aaaaaa! – ryczę z bólu, kiedy gumowa pałka Klary łączy się z moim ciałem.

Wiercę się i zwijam na podłodze, a parszywe ciepło rozlewa się po moim wnętrzu. Znów jestem małym chłopcem zdanym na łaskę pedofilki. Cierpię, krzyczę, łzy zalewają mi oczy. Zagryzam zęby na bluzie. Klara napiera. Jej pałka jest taka realna... Krzywdzi mnie, a ja cały czas patrzę na Sonię. Ona już nie może mi pomóc, nie stłumi demona, tak jak ja nie pomogę jej.

– Powiedz coś do mnie! – desperacko zwracam się do Bestyjeczki. Przed chwilą nie chciałem słyszeć jej głosu, teraz ból jest tak straszny, że o niczym innym nie marzę. – Potrzebuję twojego wsparcia! – Wyciągam rękę, żeby ją chwycić, ale Klara zwiększa nacisk. Pałka prawie przebija mnie na wylot. Kulę się i zwijam w kłębek.

Wiem, że to iluzja, ale realizm jest przytłaczający. Czuję wszystko. Twardość wewnątrz mnie staje się uzupełnieniem tego, co zobaczyłem na zewnątrz. Koszmar trwa tak długo, aż ból odbiera mi siły do dalszego układania wizji i wszystko się wyłącza.

Gdy włączam się ponownie, nadal jestem w mieszkaniu Soni i nadal leżę obok jej zwłok. Różnica polega na tym, że nie czuję bólu, strachu ani żalu. Nie chcę też zaprzeczać temu, co widzę. Wszystkie dotychczasowe uczucia zastępuje jedno: nienawiść.

– Znajdę go – mówię, patrząc na odciętą głowę Soni. Dotykam jej policzka. Jest chłodny jak lód i trochę gumowaty. – Przysięgam ci. – Głaskam ją po głowie. Włosy zdają się żywe jak zawsze. – Zanim umrze, będzie żałował, że się urodził. – Nachylam się nad jej twarzą. – Będzie błagał o litość, wykrzykując twoje imię. – Nie mogę się powstrzymać, przejeżdżam ustami po jej sinych wargach. Ostatni raz. – Byłaś wyjątkowa, zawsze będziesz częścią mnie. – Dotykam językiem jej zębów i wstaję.

Moje mięśnie zdają się rosnąć, oddycha mi się coraz lepiej. Znow jestem silny i gotowy do walki. Wiem, że ta siła nie wzięła się znikąd. Wciąż czuję w sobie resztki szaleństwa mojej siostry. Jeśli Klara czekała, aż osłabnę, lepszych okoliczności nie mogła sobie wymarzyć. Teraz moja nienawiść jest większa niż kiedykolwiek przedtem. Pochodzi od więcej niż jednej osoby. Człowiek, który zabił Sonię, zadał mi jeszcze większy ból niż siostra.

– Klarę mogę zastąpić, ciebie nigdy – zwracam się do Bestyjeczki. – Zostawiłaś mi chociaż jakiś trop? – pytam na głos, bo tak mi lepiej.

Na stole nie ma komputera, laptopa ani telefonu. Leżą jakieś czasopisma, protokół z wczorajszej wizyty u notariuszki, puszki po energetykach, tacka z kokainą, fajki, filiżanki po kawie i karton z pizzą. Zaskakujący porządek jak na Sonię.

Zamierzam iść poszukać sprzętu gdzie indziej, ale zauważam kartkę. Wystaje spod ud Bestyjeczki. Wcześniej nie zwróciłem na nią uwagi. Schylam się, podnoszę, czytam i uświadamiam sobie, że ten, kto ją zostawił, wciąż może zniszczyć resztki tego, co ocalało po zbombardowaniu mojego życia w raju.

Przyglądając się kartce, pojmuję, że tak naprawdę oboje byliśmy głupi. Tak Sonia, jak i ja. Ona, bo się dąsała, ja, bo jej nie przycisnąłem. Gdybym to zrobił, pewnie wciąż by żyła. A tak nawet po śmierci Soni jej problemy pozostały moimi problemami.

Przekaz z kartki jest jasny. Ktoś namalował półksiężyc w układzie identycznym jak na jej ręce. Przy trzech naklejone są tytuły prasowych artykułów, daty i miniaturowe fotki ofiar. Pierwszą z nich jest jej brat, kolejny to nastolatek zabity w Mikołajkach i ostatni w Zabierzowie, dwa lata przed moim powrotem na wolność. Przy pozostałych rysunkach stoją znaki zapytania. Na szczycie kartki widnieje napis złożony z liter wyciętych z gazet. „Znajdźcie pozostałych, szukajcie po tatuażach”. Na odwrocie kolejny napis: „Robiąc, co każę, przyznała się do winy”.

Skóra mi cierpnie, gdy na to patrzę.

– Rozgryź cię – znów mówię do Soni. – Kontaktował się z tobą i wydawał ci polecenia. Dlatego byłaś taka spękana i zlikwidowałaś polisę.

Bestyjeczka nie żyje, nic tego nie zmieni. Nienawiść podpowiada, że muszę całkowicie zablokować smutek i zastanowić się, co dalej. Trzeba wezwać gliny, to oczywiste. Moje auto stoi pod blokiem, na dworze kręcą się ludzie, a ja jestem niewinny. Pytanie, co z kartką i z akcesoriami do polowań, które Sonia trzyma w mieszkaniu.

– Nie mogą dowiedzieć się, kim byłaś. Zabójcy o to chodzi, a gdyby się dowiedzieli, miałbym poważny problem – znów prowadzę z nią jednostronny dialog.  
– Kiedy się do ciebie przyczepił? Próbowowałaś odkryć jego tożsamość?

Chyba wiem, gdzie szukać odpowiedzi.

Ściągam buty. Mogę wezwać pitbulli z opóźnieniem, ale jeśli skapną się, że łąziłem po całym domu, zrobią się podejrzliwi. A muszę namierzyć małą stacjonarkę wbudowaną w niewielki monitor, laptopa i telefon Soni. Do komputera znam hasło, laptop odblokowuje jej odcisk palca, komórkę skan twarzy. Poradzę sobie.

Zaczynam od kuchni. Liczę, że może rzuciła gdzieś torbę z laptopem albo telefon. Niestety, są tylko brudne talerze i zgniecione butelki po wodzie. Nie ma flaszek po alkoholu, dziwne.

Skoro nie tu, to w sypialni – myślę i ściskając kartkę, przechodzę do intymnej strefy Bestyjeczki.

W pomieszczeniu czuć rzeźkość, choć brudny wibrator na środku łóżka, pomięte chusteczki, otwarta butelka wody i... flaszką octu świadczą o tym, że raczej powinno zalatywać charakterystycznym rodzajem potu, jaki wywołuje długotrwała masturbacja.

– Nigdy nie wietrzysz, coś ci się odwidziało? – znów gadam do siebie.

Rozglądam się po sypialni. Klawiatura leży na specjalnym stoliku wbudowanym w ramę olbrzymiego, multifunkcyjnego łóżka, zasilacz wystaje z kontaktu, podobnie ładowarka do iPhone'a, ale brakuje zarówno komórki, jak i komputera wbudowanego w monitor.

Kładę kartkę na podłodze, sprawdzam szafkę nocną, szuflady w szafie, schowki w dolnych ramach łóżka. Oprócz kompa i telefonu szukam pendrive'ów, przenośnych dysków, czegokolwiek, co mogłoby zawierać jakieś dane. Wszystkiego dotykam przez bluzę, nic ciekawego nie znajduję. Sypialnia pozbawiona jest dowodów zabójczego nałogu Soni, a także cyfrowych wskazówek dla mnie. Jeśli nie ma ich tu, to są w...

– Pokój motocyklowy – mówię, biorę kartkę i kieruję się do sąsiedniego pomieszczenia.

Sonia trzyma w nim masywną komodę, w której za drzwiami znajduje się sześć szuflad. Większość zawiera akcesoria do polowań, takie jak peruki czy telefony na

kartę. W pokoju są też stroje do jazdy na ścigaczu, kaski, buty, drukarka. No i ściana opętania, jak ją nazwałem. Na niej wisi nasze wspólne zdjęcie oprawione w ramkę, jej fotki z ważnych wydarzeń, zdjęcie nekrologu brata i artykuł o jej uniewinnieniu.

– O kurwa... – mamroczę na widok zmian, które zaszły tu od mojej ostatniej wizyty.

Stroje wiszą, jak wisiały, naszego zdjęcia już nie ma. Zniknął też nekrolog i artykuł. Zostały zwykłe foty Bestyjeczki, a w centralnym punkcie plakat ścigacza. Ściana w niczym nie przypomina świadectwa jej szaleństwa. To plus, uniknę odpowiedzi na trudne pytania. Minus jest taki, że nadal nie znalazłem laptopa, komputera ani telefonu!

Jest jeszcze ta przekłeta komoda. Poprzednio klucz do niej był schowany w sejfie, ale wtedy Sonia specjalnie go tam włożyła, świadoma, że włamię się do jej mieszkania. Wówczas przewidywała każdy mój ruch, teraz zachowała się jak...

– Naiwna, nadąsana księżniczka – warczę, gapiąc się na rysunek z tatuażami.

Wiedza o przesłaniu od zabójcy stanowi mój handicap, przewagę nad policją. Wyjmuję telefon i fotografuję kartkę. Wysyłam fotkę na maila, o którym wiem tylko ja, i kasuję ją z pamięci, po czym odrywam spory kawałek papieru, zgniatam i wkładam do ust. Rozmiękczam go śliną, szatkuję zębami, połykam i odrywam następne kawałki. Papier klei się do żołądka, wywołując uczucie zamulenia. Męcę się, jest mi mdło, ale ostatecznie przesłanie znika w moim brzuchu.

Żując ostatni kęs, chwytam drzwiczki od komody. Są otwarte. Od razu zaglądam do szuflad, zastanawiając się, gdzie ukryję mordercze akcesoria Soni, tyle że... nic nie znajduję. Zniknęły peruki, prepaidy i wszystko inne. Są dokumenty do motocykli, do auta, prawo jazdy, akty notarialne, szlugi i inne duperele. Zwykła komoda ze zwykłymi rzeczami. Chyba już rozumiem, czemu Bestyjeczka dokonała tych wszystkich zmian, choć żeby mieć pewność, muszę zajrzeć do łazienki.

Tu też ani śladu elektroniki. Są za to brudne ubrania, kosmetyki i kombinezon motocyklowy. Naciskam odpowiednią płytkę na ścianie przy lustrze, otwierając

ukryte drzwi. Za nimi mieści się sejf. Ustawiam zamek na datę śmierci Przemka Wodzińskiego. Poprzednio właśnie taki miała szyfr. Nie zmieniła go.

W sejfie nie ma noży ani maski. Sonia pozbyła się wszystkiego, co łączy ją z zabójstwami. Są za to... dwie kolejne kartki. Na pierwszej zabójca narysował półksiężyc, przy jednym wkleił wycinek z gazety, ten dotyczący Zabierzowa. Tył kartki jest czysty. Druga wygląda podobnie do tej, która skończyła w moim żołądku. Półksiężyc, trzy ofiary dopasowane, a na odwrocie wyrazy wycięte z gazet. „Kopiujesz śmierć brata, znalezienie pozostałych to kwestia czasu. Jeśli nie chcesz, żeby moja wiedza trafiła na policję, każdej nocy otwieraj okno w sypialni 1.00–5.00. Kiedyś zajrzę”. Wzdłuż półksiężyców widnieje kolejny napis, tym razem zrobiony długopisem, poprawiany kilkakrotnie.

„Listonosz”.

– Wszedł oknem, stąd ta rzeźkość – stwierdzam, co oczywiste. – Przygotowywałaś się do zabójstwa w samoobronie, dlatego wywaliłaś wszystko, co mogłoby kojarzyć się z polowaniami – mówię, przeżuwając kolejne kawałki papieru. Wcześniej zrobiłem im zdjęcia. – Listy sobie zostawiłaś, ale gdybyś go zabiła, mogłabyś je zniszczyć przed wezwaniem glin. Gdybyś powiedziała mi o swoim problemie, razem byśmy go zabili... – Świadomość tego, że nie poprosiła mnie o pomoc, jest parszywa.

*Miałaś ją gdzieś, braciszku, nagle ci jej żal?* – głos Klary znów przebija się przez odmęty najgorszych myśli.

– Sonia należała do mnie, tylko ja mogłem decydować o jej losie – odpowiadam, choć wiem, że to chore, ale wszystko tu jest chore. – Nie zrozumiesz, zawsze byłaś ze swoim szaleństwem sama.

Żując papier, zamykam sejf i wracam do salonu. Wydaje mi się, że ciało Soni wygląda gorzej niż przed chwilą. Ulatnia się jej wyjątkowość. Niedługo zawiną ją w worek, przewiozą do prosektorium, pokroją, a potem zamkną w trumnie albo spalą. Zostaną mi zdjęcia i wspomnienia jej zniewalającego uśmiechu, pięknych

oczu, morderczych rąk oraz głosu, który najlepiej brzmiał wtedy, gdy udawało jej się mnie w coś przechytryć.

– Listonosz ukradł twoją elektronikę – mówię do niej, jedząc trzecią kartkę. Brzuch boli, jakbym oberwał kopniakiem. – Wolał, żeby gliniarze nie wiedzieli, kogo googlujesz i jakie rzeczy sprawdzasz. – Skóra cierpnie mi na myśl o tak wyrafinowanym i przewidującym zabójcy. – Zwykły leszcz nie dałby ci rady...

Brak kompa, lapa i komórki teoretycznie jest niekorzystny, ale podsuwa mi pewien pomysł, jak skierować śledztwo na niewłaściwe tory. Jeszcze raz analizuję swoje ruchy. Chodzę po mieszkaniu, przeprowadzam w głowie szybką symulację przesłuchania, odhaczam kolejne odpowiedzi i przypominam sobie o kluczach.

Psy mogą zarekwirować mój komplet. Wiem, jak to obejść. Sonia do kluczyków od każdego z motocykli i od samochodu przypinała klucze do mieszkania, do Future oraz pilota do garażu. Robiła tak, żeby było jej wygodnie, bo zwykle rzucała kluczyki, gdzie popadnie, i nie mogła ich znaleźć. Przed wyjściem chwyciła komplet, który akurat był pod ręką. Tym razem wszystkie wiszą na haczykach w przedpokoju. Ściągam je i z każdego odpinam klucze oraz piloty. Jeden zestaw wkładam do bokserek. Niby istnieje minimalne ryzyko przeszukania, ale muszę je podjąć.

– Nie zajrzą mi do gaci – uspokajam samego siebie.

Na haczyku zostawiam kluczyki do motoryzacji i osobno jeden zestaw kluczy: dom, klatka schodowa, pilot, Future. Resztę wrzucam do sejfów, a swój komplet do kieszeni. Na koniec czyszczę bluzę wszystkie rzeczy, których dotykałem, i odpalam szluga.

Pierwsze zaciągnięcie się, odkąd na świecie nie ma Soni, gryzie niczym kometa przy jaraniu zioła z lufki. Nie ma choćby namiastki przyjemności, jest tylko kaszel. Palę, kręcę się po salonie, zaglądam pod kanapy i pod stół. Mniej więcej w połowie jego szerokości znajduję długi kuchenny nóż. Kawałek dalej leży gazówka. Akcesoria obronne, które powinienem był zauważyć wcześniej, świadczą o jednym.

– Walczyłaś.



Gaszę fajkę, chowam nóż do szuflady w kuchni, gazówkę zanoszę do sejfu i wybieram numer kuzyna Dony.

– Siemasz, prezes! – Dorian brzmi, jakby był w dobrym humorze. – Urlopić udany? Miałem do ciebie pisać, jak skończę służbę. W sobotę Wisła gra z Piastem – ciągnie, nie czekając, aż odpowiem. – Jutro zamówię bilety, dla was również. Majka też idzie. – Ma na myśli swoją dziewczynę. – Przed i po skoczmy do pubu, żeby się nawodnić. Powiedz Donie, ucieszy się z niespodzianki! – Milknie na chwilę. – A właściwie, w jakiej sprawie dzwonisz? – Nagle sobie przypomina, że to nie on wybrał mój numer.

– Sonia Wodzińska nie żyje. – Moje słowa wydają się nierealne. Podobnie jak wszystko, co wydarzyło się w mieszkaniu jedynej istoty, przed którą nigdy nie musiałem udawać.

## 12

– Była kochanka zostawiła ci klucze, a ty postanowiłeś zrobić jej wieczorną niespodziankę? – pyta podkomisarz Paulina Szyszka.

Jest szczupłą kobietą w podobnym wieku co ja. Czarne włosy, niebieskie oczy i oliwkowa cera czynią jej urodę egzotycznie intrygującą. Ma spodnie bojówki i koszulkę podkreślającą wyrzeźbione ręce. Za paskiem trzyma kaburę ze spluwą. Przyjechała razem z Dorianem, dwadzieścia minut po tym, jak do niego zadzwoniłem. Szybko. Przed chwilą dołączyli technicy i reszta grupy operacyjnej. Zaczęły się oględziny miejsca zbrodni. Siedzę w pokoju motocyklowym, plecami oparty o ścianę. Nogi mam złączone, klucze schowane w bokserkach dźgają mnie w penisa. Policjantka stoi nade mną.

– Klucze Sonia zostawiła mi dawno, nigdy nie prosiła o zwrot. Dzisiaj musiałem z nią porozmawiać. – Głos mam suchy, wyzbyty z mocnych tonacji. Brzmie, jakbym cierpiał, co nie jest żadną sztuką, bo naprawdę cierpię, choć ból schowany jest pod kołdrą nienawiści.

– Jaki temat sprawił, że wszedłeś tu, nie pytając jej o zgodę?

Szyszka chciała przewieźć mnie do komendy, żebym tam złożył zeznania, ale ja nalegałem na możliwość opowiedzenia wszystkiego na miejscu. Powiedziałem, że chcę jak najszybciej wrócić do domu. Zgodziła się ze względu na moją znajomość z Dorianem, ale zastrzegła, że jutro mam stawić się na komendzie i powtórzyć wszystko od nowa, do protokołu. Najpierw spytała, co dokładnie łączy mnie z Sonią Wodzińską. Długo zajęło mi streszczenie naszej relacji. Dopiero teraz przechodzimy do konkretów.

– Wczoraj Sonia nie stawiała się na umówione spotkanie z potencjalnymi klientami. – Szczera prawda, którą można zweryfikować. Jakże pomocna. – Dzwoniłem, ale wyłączyła telefon. Wszedłem do niej, bo chciałem się dowiedzieć, czemu olewa pracę i psuje reputację naszego biurowca.

– Kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

Opowiadam o wycieczce do Częstochowy, bo i tak się dowie. Gorzej, jeśli przesłucha Świerczewską, a ta palnie coś głupiego. Wierzę jednak, że notariuszka zezna mniej więcej to samo, co ja. Sonia trzymała u niej w depozycie akt własności działki, są na to papiery. Dodaję, że wybrała notariuszkę z innego miasta, bo znały się z imprezowych czasów i chciała wspomóc ją finansowo, gdy ta otwierała kancelarię. Trudno będzie to podważyć. Mówię też o propozycji wspólnej budowy domków. Kolejna rzecz nierealna do zweryfikowania.

– Około czternastej odstawiłem ją pod blok. Potem pojechałem do Poznania. Dzisiaj zjawiłem się tu około osiemnastej. Gdy ją zobaczyłem... – Mrużę oczy, spuszcza głowę, przyjmuję pozę załamanego człowieka. – Zemdlałem. – W ten sposób wyjaśniam, czemu tak późno wezwałem gliny. – Gdy się ocknąłem, zapaliłem papierosa, znajdziecie mój niedopałek w popielniczce...

– Zostałeś w Poznaniu na noc?

– Tak. – Wyjaśniam powód mojej wycieczki i wymieniam miejsca, w których się zatrzymywałem.

– Podczas wyjazdu do Częstochowy nie zauważyłeś w zachowaniu Wodzińskiej niczego nietypowego? Może miała z kimś na pieńku, a wycieczka stanowiła pretekst, żeby z tobą pogadać?

– Nie wiem... – Kręcę głową, chwytam się dłońmi za skronie. Przypominam sobie odciętą głowę Bestyjeczki, ból w tyłku i drwiący głos Klary. W ten sposób łatwiej wywołać szal. – Naprawdę, kurwa, nie wiem! Nie mówiła nic niezwykłego! Chciała budować pierdolone domki na wsi!

– Spokojnie, może wolisz dokończyć tę rozmowę jutro? – pyta z troską. – Sekcja da mi pewność, ale po stanie zwłok z doświadczenia wnioskuję, że Wodzińska nie

żyje co najmniej od dwunastu godzin. Nie oskarżam cię o nic.

– Sam fakt, że chciała ze mną jechać, wydał mi się dziwny. – Ignoruję jej gadkę.  
– Zimą zacząłem spotykać się z Aldoną Sabinowską. Dona i Sonia kumpłowały się od ogólniaka. Sonia miała do mnie żal, dlatego schrzanił nam się kontakt. – Patrząc w pustą przestrzeń pokoju i robię zadumaną minę. – Jeśli czegoś ode mnie chciała, brakło jej odwagi, żeby to powiedzieć.

– Czyli nie wiesz, z kim się widywała w ostatnim okresie? Z kim robiła interesy? Kogo zapraszała do domu?

– Jej ojciec dzwoni do mnie od czasu do czasu. Raz powiedział, że Sonia dużo imprezuje i podobno sypia, z kim popadnie. – Kręcę głową. – Liczył, że się zejdziemy, choć nigdy nie byliśmy parą. Ja tylko...

– Zabiłeś człowieka, który ją zgwałcił – wchodzi mi w zdanie, przypominając to, co sam powiedziałem na początku przesłuchania.

– Ostatnio bujała się z Idą, nie znam nazwiska, ale jest córką właściciela lokalu Full House. – Wspominam naszą dzisiejszą wizytę w klubie. – Podobno niespodziewanie Sonia odcięła się od niej, może to świadczyć o problemach albo o czymś innym... – Udaję, że się zastanawiam. – Sonia ma pewne słabości. Wątpię, żeby chwaliła się nimi Idzie. Pani na pewno prędzej czy później by do tego dosz...

– Jakie słabości? – znów mi wchodzi w słowo.

Zamierzam odpowiedzieć, ale marimba zaczyna dzwonić w kieszeni. Powolnym ruchem sięgam po telefon.

– Moja dziewczyna, mogę? Ona jeszcze nie wie... – brzmię, jakbym był otępiały.  
– Nie wie nawet, że przyjechałem do Soni. Muszę... Muszę jej to jakoś wytłumaczyć.

– Odbierz... – Policjantka wzdycha.

– Cześć, Dona – zaczynam chrapliwym głosem.

– Wybacz, skarbie, że tak późno się odzywam, ale ssalo mnie jak dziką i musiałam coś wszamać. W międzyczasie zadzwonił Merk, zaprosił mnie na kawę, chciał poznać efekty moich działań. Nie mogłam odmówić. Ale już jestem wolna. –

Jej rozkoszny głos redukuje sporo złych myśli. – Wracając do naszej sprawy, nie uwierzysz! Rachid w noc zdarzenia stał za barem w Top Dog! – Podniecona brzmi prawie jak w łóżku. – Ciekawe, czy tam też pracował na lewo, ale mniejsza o większość... Arletta poszła do niego chwilę po tym, jak mój klient ją spoliczkował. Uważaj, zaraz będzie najśmieszniejsze!

Przerywa nagle, w tle słyszę jakieś pikanie i mechaniczny głos automatu. Chyba jest w sklepie przy kasie samoobsługowej.

– To Rachid namówił ją na sąd! – Pikanie ustaje, Dona kontynuuje jeszcze bardziej podjarana. – Poprosił Arlettę, żeby od razu, na gorąco pogadała z kumplami Borysiuka, kiedy ci ciągle chlali w loży, i spróbowała coś o nim wyciągnąć. Powiedzieli jej o firmie, ona przekazała to Afgańcowi, a ten postanowił za zniewagę swojej kobiety zabrać Borysiukowi coś, na czym naprawdę mu zależy. Poprzedni adwokat nie potrafił tego odkryć. Debil – prycha. – Arletta powiedziała mi, że temat pojednania musi obgadać z Rachidem. Miałam szczęście, bo akurat zjawił się w mieszkaniu w trakcie naszej dyskusji. To on jest osobą dominującą, wyjaśniłam mu więc, w czym rzecz. Strasznie się rzucał, że niby stosuje szantaż. Dałam mu się wykrzyzczyć i jeszcze raz przypomniałam, że ma do wyboru: deportacja albo kasa. Nagrania, w którym kumpel z Full House go wsypuje, jeszcze nie puściłam. Trzymam asa na później, gdyby dalej zgrywał upartego osła. Na razie dałam mu czas na zastanowienie. Skarbie, a w ogóle co u ciebie?

Spoglądam na panią podkomisarz. Patrzy na mnie i kręci głową. Z pewnością chciałyby już posłuchać o słabościach Soni Wodzińskiej.

– Sonia nie żyje – powtarzam tę samą abstrakcję, którą powiedziałem jej kuzynowi. – Ktoś ją zamordował – dodaję.

– Jak to? Co ty mówisz?! – W jej głosie nie słyszę smutku. Prędeż niedowierzanie. – Skąd wiesz? – Teraz pojawia się zaciekawienie.

– Jestem na miejscu zbrodni. Właśnie składam zeznania.

– Miejscu zbrodni? Gdzie? We Future?

– U niej w domu.

– U niej w domu... – powtarza niczym echo.

– Niech cię odbierze spod bloku – wtrąca poirytowana policjantka. – Tylko już skończ.

– Przyjedziesz po mnie? – pytam. – Znasz adres.

– Jestem na Kazimierzu, złapię Bolta i jadę. – Nie komentuje, nie dopytuje, wie, że na to nie pora. Rozłączam się i chowam telefon.

– O jakich słabościach Soni chciałeś mi powiedzieć? – Szyszka błyskawicznie wraca do sedna.

– Sonia lubiła... – Urywam, bo tak powinien zrobić ktoś, kto chce przekazać krępujące informacje.

– Wyrzuć to z siebie, człowieku! – Szyszka podnosi głos. Koniec z taryfą ulgową. – Ona została zamordowana! Każdy detal może mi pomóc!

– Sonia lubiła cyberseks, często wchodziła na czaty erotyczne. Śmiecia, który ją zgwałcił, też poznała w ten sposób! – Nienawiść podpowiada mi kolejny ruch. Wstaję, udając wzburzenie. – Ostatnio musiała być samotna, pewnie szukała przygód! Widziała pani kokainę na stole? – Potwierdza skinieniem głowy. – Nie jestem gliną, ale umiem się domyślić, że zabójca wszedł jakoś do mieszkania. Antywłamów raczej nie rozbroił, więc albo zaskoczył Sonię na klatce schodowej, albo sama go wpuściła. Wiele jej zawdzięczam i zależy mi bardziej niż pani, żeby zabójca poniósł karę! Tylko że więcej nie jestem w stanie pomóc!

W oczach Szyszki dostrzegam błysk. Właśnie dostała konkret. W mieszkaniu brakuje komputera i komórki, są za to ładowarki, na łóżku leży wibrator. Zacznie szukać typów, z którymi Sonia sypiała w niedalekiej przeszłości. Spróbuje też znaleźć sposób, żeby dojść do czatów. Skupi się na ostatnich miesiącach życia Bestyjeczki, co jest mi na rękę.

– W porządku, Kuba. Przyjedź jutro o dwunastej na komendę. Wcześniej zadzwoń do Dorianą, poda ci adres i numer pokoju. Klucze od mieszkania musimy zatrzymać. Nie wiem, kto teraz będzie prawowitym właścicielem, ale to on zadecyduje, czy możesz je mieć.

– Pani komisarz, jest coś jeszcze... – Podchodzę do niej i nachylam się nad jej głową. Policjantka, jak wszystko w tym mieszkaniu, śmierdzi trupem. – Na ustach Soni znajdziecie moje ślady. – Nie mam wyjścia, muszę się z tego wytłumaczyć. – Miałem moment słabości, chciałem się z nią pożegnać. Pocałowałem ją... – Wzdrygam się, jakby wspomnienie martwych ust Bestyjeczki mnie brzydziło.

– Na twoim miejscu poszłabym się przebadać. Utrata przytomności może nieść ze sobą przykre konsekwencje zdrowotne – sprytnie unika komentarza. – Dziś wystarczy, jesteś wolny... – Otwiera pokój motocyklowy, zupełnie nieświadoma, czemu zależało mi na natychmiastowym przesłuchaniu.

Wychodząc, zerkam w stronę salonu. Przez krzątających się techników nie widzę ciała Soni. Nawet lepiej, bo tamten kawałek mięsa to już nie jest moja mordercza... przyjaciółka. Ona zostanie we mnie, w moich wspomnieniach i w ścianach Future, które zbudowała z myślą o nas. Nigdy nie zapomnę, ile złego mi wyrządziła i jak wiele dobrego dzięki niej zyskałem. Romans z nastolatką, mój największy błąd, a jednocześnie najwspanialsza przygoda. Dziś się skończyła, tylko dlatego że Listonosz tak chciał. Jego przygoda z rajem też wkrótce dobiegnie końca.

# 13

Słońce zdążyło zajść, lecz przed klatką schodową jest jasno jak na stadionie. Większość mieszkańców sąsiedniego bloku pozapalała światła i wypełzła na balkony zobaczyć, co się dzieje. Na dole dwie osoby udzielają wywiadów kobiecie i mężczyźnie z dyktafonami, następni stoją już w kolejce. Pierwsi przedstawiciele mediów szybko się zjawili. Najwięcej gapiów koczuje na chodniku. Celują telefonami w radiowozy z migającymi kogutami, funkcjonariusza pilnującego wejścia do bloku i... we mnie.

Moje wyjście wywołuje poruszenie. Wszyscy milkną, odsuwają się, jakbym mógł ich skrzywdzić wzrokiem. Konsternacja trwa chwilę, po czym gapie wracają do nagrywania i dyskusji, a ci z dyktafonami olewają wcześniejszych rozmówców i podbiegają do mnie.

– Kim pan jest? Może nam pan powiedzieć, co wydarzyło się w środku?

– Czy to prawda, że mieszkanie należy do córki jednego z najbogatszych krakusów?

Pytają jedna za drugim, jakby się umówili na ten rodzaj ataku.

– Odwalcie się albo zrobię wam krzywdę. – W moim głosie nie słychać groźby ani złości. Jest tylko zubożenie.

Reporterzy są ostatnim, z czym chce mi się użerać. Oni natomiast, nie zważając na moje słowa, idą za mną.

– Proszę pana, reprezentujemy duże media, możemy zapewnić panu miejsce na pierwszych stronach portali, może nawet w telewizji – mówi kobieta. – Jeśli natomiast zależałoby panu na dyskrecji...



Mam ich gdzieś. Udaję, że nie istnieją. Siadam na chodniku przy bmw, zapalam papierosa, gapię się w ciemne niebo i myślę o Bestyjeczce. Bez niej czuję się dziwnie. Wraz z nią straciłem najcenniejsze wsparcie. Urocza blondynka, która wysiada właśnie z Bolta przed szlabanem blokującym wjazd na parking, nigdy nie pozna mnie w takim stopniu jak Sonia. Na widok Dony wyrzucam szluga, który i tak nie smakuje, i wstaję.

– Kuba... – Blond piękność wita się, wymawiając moje imię. Nie całuje mnie, nie przytula, tylko stoi przede mną. – Soniaczka... To jakiś koszmar. – Wskazuje palcem upierdliwą dwójkę, która zaczęła nas nagrywać. – Pracuję w kancelarii Merka! Ostrzegam, jeśli nasze twarze znajdą się na jakimkolwiek portalu, pozwę was i waszego pracodawcę! Będziecie skończeni!

Dziennikarskie hieny dalej nagrywają. Szybko dołączają do nich gapie. Ci z chodnika i ci z balkonów. Stajemy się główną atrakcją programu, co nie jest trudne, bo ciągle patrzeć na klatkę schodową może się znudzić.

– Jedźmy stąd – proponuję.

– Ja poprowadzę, dobra? Jesteś strasznie blady.

Ciągle mnie muli po zjedzeniu trzech kartek, a klucze wbijają mi się w kutasa. Oczywiście, że jestem blady.

– Prowadź. – Podaję Donie kluczyki.

Mógłbym się sprzeczać, sam chętnie wsiadłbym za kółko i choć trochę ulżył wypełniającej mnie nienawiści, ale to nie miejsce i pora na takie rzeczy. Wystarczy, że przez dziennikarzy wszyscy, w tym Listonosz, prędzej czy później dowiedzą się, kto odnalazł zwłoki Soni Wodzińskiej.

– Została zabita, tak? – pyta Dona, gdy wsiadam do auta po wpisaniu kodu otwierającego szlaban. Nie wydaje się załamana ani wzruszona.

– Ktoś uciął jej głowę... – przytaczam paskudny szczegół, licząc, że nie będzie drażnić.

– A ty co u niej robiłeś?

Na marne.

Sprzedaję jej tę samą ściemę, co policjantce. Wspominam też, że w pierwszej kolejności zadzwoniłem do Doriana.

– Jasne... Myślisz, że ci uwierzę? – pyta.

– Szczerze mówiąc, obojętne mi, w co wierzysz.

Powinienem być dla niej miły, szukać wsparcia, rozłożyć na czynniki pierwsze sytuację, w której przez numery Bestyjeczki moja firma zaczyna mieć problemy, i uświadomić ją, jak ważna była moja wizyta w tym miejscu, ale Dona w dziwny sposób zaczyna mnie drażnić, jakby jej winą było to, że nie jest Sonią. Niedobrze, bo będzie mi potrzebna.

Na rysunkach Listonosza widniało jedenaście półksiężyców, a Sonia miała trzynaście dziar. Dwie ostatnie doszły po moim wyjściu na wolność. Listonosz musiał ją sobie w pewnym momencie odpuścić. Nie wiem dlaczego. Wiem natomiast, że klucz do znalezienia zabójcy kryje się w czasach, kiedy Bestyjeczka bawiła się w najlepsze, a ja siedziałem w pierdłu. Nikt nie zna jej z tamtego okresu lepiej niż Dona.

– Rozumiem, że jesteś w szoku przez to, co zobaczyłeś, ale...

– Nie jestem, kurwa, w szoku! Jestem wściekły! – Wałę pięścią w tapicerkę. – Zatrzymaj się! – Dona momentalnie zjeżdża na pierwszy mijany parking. Patrzy na mnie zaciekawionym wzrokiem. – Gdybym znał tożsamość zabójcy, obrałbym go ze skóry! Potem to samo zrobiłbym z jego bliskimi! Albo na odwrót! – Zdaję sobie sprawę, że przeginam, ale choć przez chwilę chcę być przy niej sobą. Właśnie zaczęło mi brakować otwartości. Zabawne, doceniam taką możliwość, dopiero gdy ją tracę. – Byłbym do tego zdolny, wiesz?!

Dona ma obojętny wyraz twarzy, marszczy czoło, jakby nad czymś intensywnie myślała. W jej oczach widać zaskoczenie i... podejrzliwość.

– Wyżywasz się, kumam – stwierdza oschłym tonem. – Przyjmę to na klatę, tylko nie myśl, że mnie jej śmierć nie dotyka. – Przejeżdża palcem po szramie na policzku. – Soniaczka bez względu na odwały była przyjaciółką, której ukradłam faceta!

– Odwieź się na Łazarza, tylko szybko.

Z trudem przyjmuję spokojny ton. Nienawiść przypomina, że od chwili, w której opuściłem miejsce zbrodni, czas ma kolosalne znaczenie, a dalsza przepychanka z Doną tylko mi go kradnie.

– Co proszę?!

– No jedź! – Dopiero mój krzyk sprawia, że z powrotem włącza się do ruchu.

– Możesz zostać u mnie na noc – mówi po kilku minutach, w których trakcie zdążyłem zakopcić wewnątrz samochodu papierosem.

To moja trzecia fajka, odkąd Sonia nie żyje, i każda smakuje gorzej. Filtr zdaje się parzyć, tytoń drapie w gardło, gdy tylko wypuszczam dym. Nigdy się z czymś takim nie mierzyłem. Palę dalej i gapię się w papierosową mgłę. Oczami wyobraźni widzę Listonosza. Nie ma twarzy, jedynie biały strój i czarną maskę jak florecista. Przywiązuję go do drzewa, oblewam benzyną i podpalam. Wierci się, wyje z bólu, błaga o litość. Po drugiej stronie drzewa stoi Klara. Wpycham gumową pałkę do jej ust, zadławiam ją na śmierć. W tle słyszę triumfalny śmiech Soni. Przeciągam szluga aż do pomarańczy, kontemplując swoją wizję. Wiem, że ją ziszczę, zabiję oboje, a skalę ich cierpienia ograniczy tylko moja wyobraźnia...

– Kuba, słyszysz? – Dona dotyka mojej nogi. – Śpij dzisiaj u mnie. Wiem, to wszystko jest abstrakcyjne, odpaliły ci wyrzuty, bo zlewałeś Sonię, stąd te nerwy. – Myśli tak, jak powinna. Jestem nerwowy, gadam bzdury, odgrażam się, bo to, co zobaczyłem, ciągle we mnie siedzi. Pokazałem jej skrawek prawdziwego siebie, a jednak go nie dostrzegła. – Powiem ci, że mnie też już to zaczyna wchodzić pod czachę. Przypominają się dawne sytuacje. Te, które zwalczyłam dzięki Soniaczowi. Naprawdę sporo jej zawdzięczam! A zrewanżowałam się jej świństwem! – Podnosi głos, wjeżdża na bus pas na alei Mickiewicza i zaczyna nim wyprzedzać. – Jeśli chcesz, możemy kupić wino, położyć się i powspominać ją – dodaje spokojnie, zajmując normalny pas przed mostem na Konopnickiej. Jej nastrój zmienia się wprost proporcjonalnie do obieranego stylu jazdy. – Ostatni nasz kontakt to noc, w którą pocięła mi twarz. Chujnia...

– Chcę być dzisiaj sam, chcę się nawciągać i zakopcić swoje mieszkanie szlugami. – Nie mówię, tylko warczę. – Chcę zrobić to, czego nigdy nie zrobiłbym z tobą!

– Przestań ode mnie uciekać! – Dona znów dociska pedał gazu. – Jeśli chcesz, naćpaj się, zakopć mieszkanie, ale właśnie ze mną! Jeśli tego potrzebujesz, wciągnę z tobą kreskę! – Na czerwonym świetle, przy akompaniamencie klaksonów, czymś w stylu driftu wskakujemy na most Dębnicki. – Uwierz mi, Kuba, też chciałabym, żeby skurwiel, który ją zabił, zdechł w męczarniach! – Wjeżdżamy na Dietla, Dona zwalnia, oddycha głęboko. – Ty w ogóle zauważyłeś, jak to wygląda? – Gdy stajemy na światłach, wyciera mokre dłonie o spódniczkę. Na kierownicy widać ślady potu.

– Jakbyś była na mnie zła i próbowała rozwalić mój samochód...

Wargi Dony unoszą się, tworząc namiastkę pięknego uśmiechu, który przypomina mi, jak wiele ciągle mam do stracenia. Bestyjeczka nie żyje, ale moja podróż przez raj się nie kończy. Niechęć do blond piękności jest chwilowa, tak jak niesmaczne fajki i dziwne obrazy. To minie. Na pewno. Musi.

– Odwiedzałeś dawną kochankę, miałeś swoje klucze... – Uśmiech Dony zastępują powaga i skupienie.

– Nie zdradzałem cię z Sonią – odpowiadam natychmiast.

– Wiem, nie jesteś typem ciulowego faceta. – Skręca w Łazarza, tu nasza podróż dobiegnie końca. – Ale uważam, że między tobą a Wodzińską coś było. – Parkuje na chodniku. – Nie obrażaj mnie, ściemniając, że przyszedłeś do niej z powodu Future. – Wraca jej spostrzegawczość. – Mieliście sekrety, coś tylko między wami, dlatego tak się wściekła, kiedy ją olałeś. Spotkaliście się pierwszy raz od wielu miesięcy, chwilę później została zamordowana... – Patrzy mi w oczy, teraz widzę w nich troskę. – Ja też mogę być powierniczką twoich sekretów. Zaczynaj mi wreszcie ufać... – Muska wargami moje usta. Jej są ciepłe i gorzkie. Już mnie nie obrzydza. – Wejdiesz chociaż na chwilę pogadać? Czy może pojedziemy do ciebie?

Wspominki tak szczerzej i otwartej Dony, najlepiej odpowiednio naśnieżonej, byłyby wskazane. Wiem, że muszę odkryć szczegóły z dawnego życia Bestyjeczki,

dowiedzieć się, z kim dokładnie balowała, komu zaszła za skórę, kto do niej podbijał i w kim miała wrogów. Gdzieś w tym gronie czai się Listonosz. Jeśli zajdzie potrzeba, zabiję ich wszystkich.

– Chcę pobyć teraz sam.

Dona nie ucieknie, a tożsamość Listonosza równie dobrze może znajdować się w zasięgu ręki, tylko trzeba się spieszyć. Jutro będzie za późno.

## 14

Zostawiwszy Donę, jadę na Ruczaj. W radiu ustawiam stację z techno. Chcę słuchać naparzanki bitów i basów, żeby wczuć się w Sonię i zrozumieć jej postępowanie. Listonosz wszedł przez okno, to oczywiste. Zamknął je, żeby smród zwłok nie zaalarmował sąsiadów, bo im dłużej ciało gnije, tym mniej można z niego odczytać. Ale przecież uprzedził Sonię o swoich zamiarach. Bestyjeczka czekała w pełnej gotowości. Pytanie, czemu dała się podejść...

– Zaskoczył cię czymś? Zasnęłaś? Naćpałaś się? – pytam pustej przestrzeni auta.

Odpowiadają mi Quintino z Thomasem Goldem i ich *Quechua*.

– Lubiłaś taką muzykę... – ciągle próbuję nawiązać z nią kontakt. Naprawdę chciałbym ją usłyszeć, wówczas myślałoby mi się łatwiej.

Zamiast Soni echem w uszach odbija się śmiech Klary. Siostra wróciła i będzie mnie męczyć tak długo, aż sam nie zatkam jej ust za pomocą noży. Tyle że teraz muszę skupić się na czymś ważniejszym niż zaspokajanie własnych demonów. Staję na czerwonym świetle, przymykam oczy, żeby lepiej sobie wszystko wyobrazić.

– Miałaś rozbitą czaszkę, więc stawiałaś opór, ale w mieszkaniu nie było śladów walki – wciąż przemawiam na głos. – Obudził cię, zrzucił z kanapy i zaczął tłuc po głowie? Wtedy spróbowałaś się obronić, ale było już za późno...?

Potok wypowiedzianych myśli kończy klakson samochodu stojącego za mną. Otwieram oczy, widzę zielone światło. Wciskam gaz.

– Czemu twoje bronie leżały pod stołem?! Czemu nawet go nie drasnęłaś?! – dre się, przekrzykując muzykę. – Naraziłaś się jebanemu ninja?!

Listonosz może mieć doświadczenie z pola bitwy, może być byłym żołnierzem, ewentualnie pracownikiem służb specjalnych albo grupy antyterrorystycznej. Przeciętny człowiek nie wysyłałby gróźb seryjnej morderczynie, nie opowiedziałby jej, jak i kiedy do niej przyjdzie, i z całą pewnością nie obciąłby jej głowy. Kimkolwiek jest, musi być sprytny i doskonale zorganizowany. Ma też plan.

– Przynajmniej gliny nie wiedzą, kim naprawdę byłaś. – To jedyny powiew optymizmu. – Listonosz dobrze cię znał, dlatego odczytał przekaz z tatuaży...

Jestem pewien, że zabójca był blisko Soni, w czasie kiedy zrobiła którąś z dziar, a w mediach pojawiła się wzmianka o zamordowanym nastolatku. Sprawdził, jak wyglądał jej brat, i rozkminił, że kolejne ofiary oraz tatuaże stanowią wzór. Nie rozumiem, czemu zaznaczył tylko jedenaście półksiężyców. Zakładam, że coś zmusiło go do chwilowego odpuszczenia sobie Soni.

– Trzeba sprawdzić twojego tatuażystę – mruczę pod nosem. – O ile sama już go nie sprawdziłaś i nie zbliżyłaś się do rozwiązania zagadki...

Cały czas w to wierzę, dlatego parkuję bmw na chodniku pomiędzy starym domem, w którym kiedyś mieścił się zakład tapicerski, obecnie czekającym na rozbiórkę, a czteropiętrowym blokiem wybudowanym w miejscu po podobnych domach. Ruczaj wciąż się zmienia, powstają kolejne osiedla, strefy finansowe, dochodzą nowe inwestycje i ciągle jest dużo terenów zielonych. Sonia świetnie wyczuła koniunkturę, stawiając na to małe miasto w mieście. Trzysta metrów za chodnikiem znajdują się tyły biurowca Future.

Wysiadam z auta, naciągam kaptur na głowę i szybkim krokiem ruszam przed siebie. Rolety w większości okien mijanego bloku są opuszczone, ale i tak nie przejmuję się tym, że ktoś mógłby mnie zauważyć. Pani podkomisarz Szyszka nie będzie przesłuchiwać mieszkańców, za to na pewno sprawdzi biuro Soni. Nie robi tego teraz, bo miejsce zbrodni wciąż stanowi priorytet, więc albo ciągle uczestniczy w zbieraniu dowodów, albo przesłuchuje sąsiadów. Ci nic nie wniosą, bo mieszkanie Soni było odpowiednio wyciszone, a Listonosz nie jest głupi, żeby dać się zauważyć. Za to ja dostaję czas, który muszę wykorzystać.

Nasz biurowiec, a właściwie już tylko mój i spadkobierców Soni, jest prostokątem z długimi ścianami usytuowanymi wzdłuż dwóch równoległych ulic. Główne wejście znajduje się na jednym z krótszych boków. Parkingu nie otacza żaden płot ani barierki. Wystarczy trawnik zaczynający się tam, gdzie kończy się droga z płyt betonowych. Przy wjeździe jest szlaban i budka dla ciecia, który na noc przenosi się do klitki na parterze będącej centrum monitoringu biurowca. Tylna krótsza ściana znajduje się po stronie chodnika, którym idę. Przed nią jest niewielki kawałek parkingu i trawnik. W najbliższym sąsiedztwie stoi siłownia zewnętrzna i plac zabaw.

Staję na trawniku przed biurowcem. Odliczam betonowe płyty od strony ulicy. Znajduję siódmą i wchodzę na nią przez trawę. Dalej idę prosto do małych drzwi wkomponowanych w ścianę. Wisi na nich tabliczka „wejście służbowe”, a nad nimi atrapa kamery. Prawdziwe znajdują się po bokach. Kiedy Sonia przekazywała mi połowę Future, pokazała jedyny niemonitorowany zewnętrzny fragment budynku. Żadna kamera nie obejmuje siódmej płyty od trawnika aż do drzwi. Specjalnie zażyczyła sobie czegoś takiego od firmy instalującej monitoring. Chciała mieć tajne przejście, na wypadek gdyby zaszła potrzeba niewidocznego wejścia lub wyjścia z biurowca.

– Taka byłaś sprytna i zapobiegawcza, a dałaś się załatwić jak dziecko – szepczę pod nosem, pokonując kolejne metry. – Fochy przesłoniły ci rozsądną ocenę sytuacji. Nie dorostaś do bycia prawdziwym drapieźnikiem. – Wmawiam sobie, że jej śmierć to tylko jej wina. Tak jest lepiej.

Staję pod drzwiami, do zamka wkładam ten sam klucz, który otwiera również naszą wydzieloną strefę na samej górze, i wchodzę do środka, gdzie znajdują się schody prowadzące na czwarte piętro. Nie da się z nich dostać na żadne inne.

Zależy mi na dyskretnym wejściu, bo podkomisarz Szyszka podczas przeszukania może rozmawiać z cieciem. Gdyby zeznał, że przyszedłem tu wkrótce po opuszczeniu miejsca zbrodni, miałbym kłopoty. Wprawdzie moje alibi na śmierć Bestyjeczki jest niepodważalne, ale policjantka mogłaby podejrzewać mnie o ukrywanie jakiegoś sekretu i bardziej przycisnąć.



Nie mam wątpliwości. Jeżeli Sonia próbowała odnaleźć Listonosza, to materiały z prywatnego śledztwa trzymała w biurze. Kiedyś służyło jej wyłącznie do pracy. W czasach gdy szukałem polisy, często zostawiała je otwarte, niejako zachęcając mnie do myszkowania. Myszkowałem, ale nic nie znalazłem. Teraz jest inaczej. Future to miejsce, do którego Listonosz nie miał dostępu. Jej bezpieczna enklawa.

Na górze otwieram takie same drzwi jak na dole. Znajdują się tuż obok naszej kanciapy. Nie zaglądałem do niej, odkąd wyprowadziłem się na drugie piętro. W środku wszystko jest po staremu. Wąski korytarz z ekspresem, toaleta i dwa osobne gabinety. Mój po lewej, otwarty na oścież, a w środku pusta przestrzeń. Gabinet Soni jest zamknięty, otwieram go jednym z kluczy, które wcześniej wyjąłem z gaci.

W środku wita mnie zapach fajek zmieszany z odświeżaczem powietrza. Włączam latarkę w telefonie i rozglądam się po wnętrzu. Pierwszym, co rzuca się w oczy, jest jasiek na podłodze przy fotelu obrotowym.

– Odsypiałaś tu ciężkie nocki – stwierdzam, odsuwając fotel, i już wiem, że warto było spławić Donę, żeby przyjechać do Future.

Na podłodze pod biurkiem leży czarna torba. W środku jest laptop Soni. Rozpoznaję go po seledynowej obudowie obklejonej kilkunastoma dziwacznymi symbolami i fakenem w miejscu logo producenta. Macam kieszeń, znajduję ładowarkę i myszkę. Tak jak przypuszczałem, Bestyjeczka prowadziła śledztwo tutaj.

Laptopa sprawdzę w domu. Jest jeszcze służbowy komp, kiedyś służył jej tylko do firmowych spraw. Włączam niedużą stacjonarkę stojącą przy biurku, żeby się upewnić, że nadal tak jest. Komputer woła o hasło, Sonia podała mi je podczas dzielenia się Future. Wpisuję „ŚmierćZjebom\_17” i po chwili na monitorze pojawia się ekran główny. Kwadrans zajmuje mi przegrzebanie twardego dysku, maili i archiwum przeglądarek. Nie ma nic niezwykłego. Sprawy dotyczące biurowca, wiadomości wymieniane z księgową, ekipami remontowymi i potencjalnymi klientami. Ze spraw prywatnych tylko portale plotkarskie oraz zakupy online.

Gaszę kompa, zaglądam do szafek w biurku. W środkowej leży zdjęcie, na którego widok serce staje mi w przętyku, mięśnie napinają się samoistnie, brzuch zaczyna wibrować, nogi swędzą, a pod nosem czuję zapach gorącej krwi. Nienawiść próbuje pieścić moje ciało.

Na fotografii widnieje dwóch nastolatków. Obejmują się jak rasowi kumple, każdy trzyma butelkę z piwem. Pozują na tle ławki. Sądząc po okolicy, to plandy. Chłopaka z lewej znam. Wprawdzie widziałem tylko zdjęcia, ale nie mam wątpliwości, że to Przemek Wodziński. Chłopak z prawej jest nieco wyższy, ma gęste, jasne włosy i uśmiech, który niejedną dziewczynę przyprawiłby o dreszcze. Solidne mięśnie rąk rozpychają jego koszulkę, spojrzenie ma pewne, posturę prostą.

Nie mam pojęcia, co to za typ, ale Sonia nie trzymała jego fotki z bratem przypadkiem. Grzebała w przeszłości i do czegoś doszła. Zamierzam sprawdzić resztę gabinetu i spadać, ale przerywa mi wibracja na udzie. Dona przysłała SMS-a.

„Jak się czujesz, bo u mnie po dziadowsku. Przyjęłam bro i wspominam Soniaczkę. Chcesz pogadać, dzwoń”.

Silę się na mało ambitny tekst.

„Nie jest źle. Jutro zmierzę się z kacem. Dzisiaj tylko cisza, myśli i dryfowanie po własnych słabościach”.

Tekst doprawiam emotką płatka śniegu, klikam „wyślij” i wracam do poszukiwań, ale nie znajduję już nic, co odbiegałoby od normy. Opuszczam Future tą samą drogą, którą przyszedłem. Wracam na Salwator. Nienawiść głaska moje myśli. Listonosz jest przekonany, że pozbył się całej elektroniki Soni. To jego błąd.

W mieszkaniu od razu włączam swojego laptopa, żeby wydrukować listy, potem spróbuję dostać się do dysku twardego Bestyjeczki. Wcześniej jednak potrzebuję używki, bo nienawistna adrenalina zaczyna opadać. Widzę Klarę z gumową pałką i Sonię z odciętą głową. Żeby się uspokoić, obalam drinka – wódka plus cola, razy dwa. Przepalam alko fajkę. Szlug parzy. Chcę uśmierzyć problem kokainą, ale w drodze do sypialni, gdzie trzymam towar, zaczyna kręcić mi się w głowie. Jestem zmęczony. Zataczam się, z trudem docieram do łóżka. Kładę się głową na materacu,

nogi zostają na podłodze. Chcę chwilę odpocząć i wziąć się do pracy, ale jadę na oparach i nie jestem już w stanie z tym walczyć. Zасыpiam, pierwszy raz w nowej, paskudnej rzeczywistości.

## 15

Rzeczywistość po śmierci Soni nie wygląda dobrze, choć próbuję sobie wmawiać, że jest inaczej. Nie ma jedynej osoby, która mogła posłać mnie na dożywocie, a to swego rodzaju wolność. Każdy dzień zaczynam od porannych rytuałów. Bieganie, brzuszki i ćwiczenia na drążku pozwalają wyładować część frustracji. Zalewają mózg endorfinami, przypominają, że jestem jednostką wybitną, obecnie zbudowaną z czystej nienawiści. Zabijają też wyrzuty sumienia.

Po dwóch ciężkich dniach, kiedy pierwszy raz w życiu czułem się naprawdę winny, zrozumiałem, że za to, co spotkało Bestyjeczkę, odpowiada tylko ona sama. Mogła ze mną porozmawiać, mogła zadzwonić, przyznać się do problemu, kiedy spotkałem ją w windzie albo po wizycie u notariuszki, zamiast strzelać fochy i raz, w przyływie emocji, wysłać głupią wiadomość. Żałuję, że jej nie ma, to fakt, ale się o to nie obwiniam. Tak wyglądają plusy, zdecydowanie gorzej z minusami.

Fajki nadal szczypią w gardło, ciągle chodzę rozdrażniony, ludzie mnie denerwują, najlepiej czuję się sam ze sobą. Raj wydaje mi się szorstki. Po kokainę sięgam rano i po południu i za każdym razem wmawiam sobie, że od jutra zacznę detoks. Kilka razy dopadły mnie dziwne wyładowania energii. Przyszły nagle, w ciągu dnia, gdy zbyt długo myślałem o Soni. Robiłem się senny niczym cukrzyk i musiałem uciąć sobie drzemkę. Po zmroku mam problemy z zaśnięciem. Żeby je rozwiązać, stworzyłem odpowiednie lekarstwo. Trzy setki czystej popite dwoma piwami zmieniają noc w czarną plamę.

Sonia została zamordowana sześć dni temu, łykałem miksturę codziennie aż do wczoraj, kiedy Dona zapukała do moich drzwi. Wcześniej widzieliśmy się raptem

dwa razy. Było sztywno i oficjalnie. Nie miałem ochoty z nią rozmawiać, choć powinienem. Nagle przyszła z walizką i oznajmiła, że albo zostaje u mnie na noc i nadal jest częścią mojego życia, albo to koniec. Dokonałem oczywistego wyboru.

– To było... cytując ciebie... wyczesane – stwierdzam, kiedy usta blond piękności odklejają się od mojego penisa. – Wreszcie wróciliśmy do stanu, jaki cały czas powinien obowiązywać.

Wczoraj po południu Dona zastała mnie z tacką śniegu. Powiedziała, że chętnie się przyłączy. Nigdy wcześniej nie wciągała. Kokaina obudziła w niej szalony pociąg. Zrobiliśmy to na stole, na podłodze, w wannie i w sypialni. W trakcie w ogóle nie myślałem o Bestyjeczce ani o problemach związanych z jej śmiercią. Zasnąłem jak niemowlak. Dziś obudziła mnie ręka Dony między moimi nogami. Chwilę potem zanurkowała głową pod kołdrę.

– Si, uznałam, że czas najwyższy skończyć z krzywymi akcjami. – Przejeżdża językiem po mojej męskości. – Prawda jest taka, że gdyby Wodzińska żyła, nadal mielibyśmy na nią wyjebane i robili to, co właśnie robimy. – Wstaje, przepłukuje usta w coli i idzie do szafy, gdzie ulokowała swoją walizkę. – Wspominajmy ją, ale nie czynmy z niej świętej tylko dlatego, że padła ofiarą jakiegoś popaprańca.

Na „popaprańca” staram się wykorzystywać każdą wolną chwilę. Wiem, że Listonosz chciał, żeby gliny dowiedziały się, kim naprawdę była Sonia. Skurwiel odznacza się chorą potrzebą komunikacji, ewentualnie chce usprawiedliwić swoją zbrodnię. Na razie brak przecieków do mediów może zganiać na karb tajemnicy, jaką owiane jest śledztwo, ale ten stan wiecznie trwał nie będzie. W końcu zaczną się zastanawiać, czemu nigdzie nie mówią o seryjnej morderczynie, skoro teoretycznie to mogłoby pomóc w znalezieniu zabójcy; czemu nikt z policji nie sprzedał mediom tak smakowitego, dobrze płatnego kęsa i czemu nie informują rodzin ofiar, nie wznawiają dawnych śledztw, a także skąd to milczenie. Dojdzie do wniosku, że ten, kto znalazł zwłoki, ukrył list przed glinami, a przecież media już podały, że tym kimś jestem ja. Nie potrafię przewidzieć ruchów wściekłego Listonosza. Muszę się spieszyć i jestem tego świadom.

Za najważniejsze uznaję obecnie ustalenie tożsamości koleśka ze zdjęcia. Ponieważ Sonia chodziła z bratem do jednej klasy, zagłębiłem się w profile jej znajomych, znajomych jej znajomych, przejrzałem stronę ich ogólniaka, sprawdzałem też, z kim Bestyjeczka chodziła na studia. W pewnym momencie miałem oczopląs od przeglądania setek uśmiechniętych mord. Nigdzie nie znalazłem domniemanego Listonosza. Być może jego tożsamość kryje się w laptopie, ale na razie nie mam pomysłu na zdjęcie hasła.

Próbowałem korzystać z porad z sieci, ale nie działają. Boję się próbować ponownie, bo mogę coś uszkodzić i dane przepadną na zawsze. Nie pójde do serwisu, bo sprzęt obklejony jest w typowo dziewczęcy sposób, co świadczyłoby o tym, że lap jest kradziony. Nawet gdybym zakrył obudowę, informatyk, który go odblokuje, zobaczy pulpit i tapetę, a po tym można spodziewać się wszystkiego. Opcję chodzenia do specjalistów z laptopem byłej kochanki, której odrąbano głowę, uznaję za ostateczność.

Póki co sprzęt leży głęboko pod łóżkiem, a w sejfie schowałem wydrukowane listy razem z wypisanymi wszystkimi zabójstwami, o których mówiła mi Sonia. Na razie nic nie dały. Uczepiłem się fotografii, pewien, że Sonia trzymała ją z jakiegoś powodu. Gdyby chodziło tylko o brata, wycięłaby drugiego, żeby nie szpecił sobie obrazu. Liczę, że Dona zna tego człowieka, ale nie mogę zapytać jej wprost. Zamierzam zrobić to subtelnie, tak żeby nie nabrała podejrzeń. Okres nerwów i niechęci mija, nadchodzi czas ciągnięcia blond piękności za język.

– Nie czynię z Soni świętej... – Odpalam fajkę, gapiąc się na Donę wkładającą czarne stringi. – Obiecuję z powrotem skupić się na nas. Wiesz, przez jaki chaos przechodziłem...

Po śmierci Bestyjeczki zrobił się straszny burdel. Szyszka dwa razy wezwała mnie na przesłuchanie. Dopytywała o mnóstwo spraw. Szukała niuansów, które pomogą jej zbliżyć się do zabójcy. Odpowiadałem tak, żeby wypaść wiarygodnie i za bardzo jej nie pomóc.

– Wiem, wiem, gliny, firma, jeszcze stary Soniaczki dołożył swoje. – Dona zapina stanik. – Daj pojarać. – Wyciąga rękę po fajkę. To nowość z wczoraj.

Wczoraj powiedziała mi, że paliła przez dwa lata i z trudem udało jej się rzucić. Uczucie zajebistości po śniegu przypomniało o dawnym nałogu.

– Może jeszcze zaczniesz jeść mięso? – pytam, nie wstając z łóżka.

– Wcinanie stworzenia, które chciało żyć, ale zostało zabite dla konsumpcji, kompletnie mnie nie kręci. – Zaciąga się, wykasłując dym. – Jaram, bo boli mnie wiadoma sprawa, doszedł jeszcze ten cholerny Rachid! – Obstawiam, że jej piękną główkę wypełnia właśnie ta druga kwestia. – Przez niego Arletta nie chce iść na ugodę. Rozmawiałam z nim wczoraj, nawet puściłam mu nagranie. Gość jest patologicznie dumny! – Oddaje mi fajkę. – Twierdzi, że prędzej da się deportować, niż pozwoli mojemu klientowi zachować niekaralność!

– Nie on jest stroną, a do rozprawy zostało jeszcze trochę czasu. Przyciśnij Arlettę, wyjaśnij jej, że to ona decyduje, nakreśl przyszłość, w której traci swojego faceta. Daj jej nadzieję i jednocześnie nakarm ją strachem. Dzwonź codziennie, niech już ma cię dosyć. Upierdliwość popłaca. – Gaszę szluga i próbuję zwlec się z łóżka, ale nogi zdają się kleić do pościeli, głowa podobnie, tyłek też. Żadna część mnie nie chce wstać. – A ze starym Soni faktycznie było słabo, ale już go uświadomiłem.

Śmierć córki spustoszyła łeb Remigiusza Wodzińskiego. Dzień po wydarzeniach w jej mieszkaniu z samego rana przyjechałem do Future ogłosić tragiczną nowinę. Spóźniłem się. Szyszka i jej ludzie już działali. Łzy rozpaczy, utyskiwania i biadolenia przecinały kolejne wezwania do składania zeznań. O Soni opowiadać musieli wszyscy, zarówno pracownicy, jak i wynajmujący lokale. Pani podkomisarz trzepała ich w moim dawnym gabinecie.

W międzyczasie pojawił się stary Wodziński. Dowiedział się wcześniej, bo dzwonił do mnie kilka razy, ale nie odbierałem. Wyglądał, jakby wyszano mu całe zdrowie. Był blady, garbił się, jego wzrok przypominał martwy, drżały mu ręce, w kącikach ust miał zaschniętą ślinę. Zaciągnął mnie do mojego biura. Zanim przemówił, dał mi w ryj, stwierdziwszy, że to ja powinienem był opiekować się Sonią. Nie zareagowałem. Potem, pociągając z piersiówki, narzekał na policję, proponował wspólne poszukiwania mordercy, obiecał je sfinansować, wynając detektywów albo, jeśli zajdzie potrzeba, najemników.

– Kuba, znajźmy to ścierwo i ubijmy! Najlepiej spalmy go żywcem!

Byłem głuchy na tę całkiem kuszącą ofertę. Przedstawiłem mu swoje najbardziej załamane oblicze, uroniłem też kilka łez. To jeszcze bardziej go rozsierdziło. Skopał mój fotel, splunął na biurko i powiedział, że jestem cipą, która nie zasługuje na to, co ma. Szybko zapomniał, kto uratował Sonię przed młodym Małkowskim – jej ofiarą, która próbowała ją zgwałcić. Kiedy poprosiłem go, żeby się uspokoił, chlusnął mi wódką w twarz. Wtedy przypomniałem mu, że Sonia była samotna, bo rodzice nie przejmowali się jej losem. W odpowiedzi rzucił fotelem w ścianę.

Jego zادیorność trochę mi przeszkadza. Gość ma motywację i środki. Nie zaprzeczę, przydałby mi się haker, który odblokuje komputer Soni, ale nie wyobrażam sobie wciągania Wodzińskiego w polowanie na Listonosza. On nie zasłużył na zaszczyt mszczenia się za Bestyjeczkę. Tylko ja jestem tego godny.

– Obyś dzisiaj znów nie musiał go uświadamiać. – Dona wkłada obcisłą czarną sukienkę ze złotymi wstawkami. – Zapniesz?

– Dzisiaj nie robi sceny, przyjdzie za dużo ważnych ludzi. – Przeciągam suwak wzdłuż jej pleców. – Idę pod prysznic.

– Zdążysz? Wypadałoby jeszcze coś zjeść.

– Nie mam wyjścia. Nie każdy po upojnych nocach budzi się z tak oszłamiającym wyglądem jak ty.

\*\*\*

Niektóre gówna w moim życiu nigdy się nie kończą. Na przykład pogrzeby. Uczestniczyłem już w pochówku jedyne go tak zwanego przyjaciela, żegnałem pierwszą dziewczynę, która rozpałiła we mnie ludzkie uczucia, a teraz przychodzi mi towarzyszyć w ostatniej drodze kobiecie, która dzieliła moje szaleństwo. Wszystkie te pochówki mają jedną cechę wspólną: głównymi bohaterami są ludzie młodzi.

Na takich widowiskach nie istnieje godzenie się ze śmiercią. Tu nie umierają ludzie po siedemdziesiątce, ich bliscy nie zachowują się dumnie ani nostalgicznie, nikt nie mówi, że zmarły dożył słusznego wieku, zrobił swoje i teraz wystarczy go



wspominać. Przeciwnie, dominują gorzkie łzy, wycie, zaprzeczanie, omdlenia, czasami wyzwiska. Zawsze tworzą się różne sceny.

Nie inaczej jest na pogrzebie Bestyjeczki. Jej matka wymiotuje w trakcie kościelnej uroczystości, prosto na ławkę. Wyprowadzają ją. Ojciec cały czas płacze, podobnie Ida, która przyczała się najbliżej Wodzińskich. Dona w trakcie mszy gapi się w sufit, jakby bała się mierzyć z otaczającymi ją sytuacjami. Ja podjudzam swoją nienawiść, obserwując kolorową fotografię uśmiechniętej Soni ustawioną obok urny.

Po kościele jedziemy na cmentarz. Spalone ciało Bestyjeczki kończy w tej samej mogile, co zwłoki jej brata, czyli w ostatnim miejscu, w którym chciałyby się znaleźć. Ofiara i oprawca na wieczność razem. niesprawiedliwy koniec.

Uroczystość trwa zdecydowanie za długo. Oblesny gość w sutannie chce dać popis ze względu na dużą liczbę wpływowych żałobników. Jest rodzina, są znajomi, pracownicy Future, dawni i obecni klienci. Stawili się przyjaciele jej ojca, polityczne szychy i milionerzy, wielu z ochroniarzami. Przyszła też podkomisarz Szyszka.

Od początku stoimy z Doną na uboczu, z nikim nie rozmawiamy, bo czujemy się niemile widziani. Kiedy klecha po raz kolejny rozwija swój wywód, próbując przekonać wszystkich, że Sonia trafiła do lepszego miejsca, jakby śmierć oznaczała wycieczkę na Bahamy, proponuję ewakuację. Nie widzę sensu dalszego uczestniczenia w tej idiotycznej grze. Moja dziewczyna również.

Kierujemy się do wyjścia, zostawiając za plecami żałośnie beznadziejnych idiotów. Nikt na cmentarzu nie ma pojęcia, jak bardzo Sonia była wyjątkowa. Nie wiedzą o bólu, który zwalczyła, ani o mroku, jaki wyhodowała. Dla nich to rozwydrzona panienka, której przytrafiło się wiele pechowych rzeczy. A przecież Sonia była kimś więcej.

– Jebany... Myślałam, że już nigdy nie będę musiała oglądać tej mordy – szepcze mi do ucha Dona, kiedy jesteśmy blisko wyjścia, i mocniej ściska moją rękę. – Kurwa, zauważył nas. – To widok młodego faceta przy bramie tak na nią działa. – Olewamy go najszybciej, jak się da, oki?

Nie odpowiadam, tylko wpatruję się w gościa, który zbliża się do nas wolnym krokiem. Ma pociągłą szczękę, wypielęgnowany zarost, jasne włosy, srebrny kolczyk w uchu i niebieskie oczy. Jego umięśnioną sylwetkę podkreśla czarny golf z krótkim rękawkiem. Oba przedramiona w całości pokryte są tatuażami. Sylwetkę ma prostą, ruchy pewne. Zestarzał się, a raczej wydoroślał. Ledwie przypomina nastolatka ze zdjęcia, ale to on. Na jego widok serce zaczyna bić mocniej, czuję dreszcze na plecach. Nienawistna część mnie wariuje z ekscytacji.

– Szalona Dona, kopę lat – mówi ni to poważnie, ni to radośnie, jakby krępowało go okazywanie zbytniego entuzjazmu na pogrzebie. – Pana, panie Sobański, widzę po raz pierwszy, choć wiele o panu słyszałem. Michał Arak, mówmy sobie po imieniu – przedstawia się i wyciąga do mnie swoją dłoń.

## 16

Potrząsam rękę Araka, tłumiąc chęć wydlubania mu oczu i przegryzienia tętnicy. Z przyjemnością zabiłbym go tutaj, przed grobem Soni, składając go jej w ofierze. Zamiast realizować wizję, przywdziewam maskę normalnego gościa.

– W jakich to okolicznościach moja dziewczyna dorobiła się tak pikantnej ksywki? – zagaduję go wbrew prośbie Dony.

– Ksywa wzięła się z jej słabości do mieszania wysokoprocentowych trunków – odpowiada człowiek, który może być Listonoszem. – Wódka z red bullem podlana tequilą, metaxa z piwem podlana łyką, kamikaze z wściekłym psem prosto ze szklanki. Imprezowaliśmy razem w dawnych czasach. Miała fantazję, przez co film często jej się urywał. – Zerka na Donę, robiąc przy tym minę cwaniaka, który cieszy się, bo naciął kogoś na szmal.

Nie widziałem go w kościele, na cmentarzu też nie, chyba cały czas kręcił się przy bramie, jakby nie chciał być zauważony. A może przyszedł obserwować mnie i szukał okazji, żeby zagadać?

– Przyszedłeś na pogrzeb koleżanki? – próbuję wybadać, co dokładnie łączyło go z Sonią.

– Pogadajmy poza terenem cmentarza, dobra? – Wskazuje głową wyjście i rusza.

Idziemy razem z nim, choć ręka Dony zgniatająca moją dłoń stanowi jasną aluzję. Według niej powinienem olać go najszybciej, jak się da. Nic z tego. Mijamy bramę, ludzi sprzedających znicze i stajemy na parkingu obok grafitowego bmw 3. Arak opiera się o maskę, sugerując, że fura należy do niego. Zachowuje się jak wiejski pozer, który uważa przeciętną beemkę za szczyt luksusu.

– Muszę przyznać, Kuba, masz gust do kobiet. I nie odmawiasz sobie żadnej. – Mierzy mnie chłodnym spojrzeniem niebieskich oczu, w których nie widać nic poza zubożeniem.

Zamierzam odpowiedzieć, że doceniam piękno połączone z inteligencją, a potem jeszcze raz spytać, co łączyło go z Sonią, ale Dona niespodziewanie włącza się do dyskusji.

– Gdy wpadliśmy na siebie poprzednio... Kiedy to było...? – zastanawia się, wygładzając swoją sukienkę.

– Trzy lata temu. – Odpowiedź Araka sprawia, że pod moją marynarką pojawia się pot.

– Właśnie! – Dona puszcza moją rękę. – Mówiłeś wtedy, że wyjeżdżasz. Myślałam, że na dobre. Stęskniłeś się za krakowskimi problemami?

– Dom to zawsze dom. Własne bagno lepsze niż cudze. Co ci się stało? – Perfidnie wskazuje palcem na bliznę.

– Konsekwencja rozjebanej przyjaźni... – Wzrusza ramionami i omiata wzrokiem furę. – Niekiepsko się ustawiasz. Jaka branża?

– Jestem obrotny, umiem sobie radzić – odpowiada wymijająco. – A ty co porabiasz?

– Jestem aplikantką, niedługo będę prawniczką. – W jej głosie słychać dumę.

– Brawo. – Arak uśmiecha się do niej w sposób przypominający zalążek flirtu. – Widzę, że dawne problemy odeszły w niepamięć. Teraz jest związek z bohaterem, wypasiona robota, no i dalej świetnie wyglądasz, z tą szramą nawet lepiej. Soniacz musiał mieć kompleksy.

– W przeciwieństwie do ciebie ona nigdy nie miała kompleksów...

– Skąd wy się w ogóle znacie? – pytam, udając niezręczność wynikającą z ich rozmowy. – Kim była dla ciebie Sonia?

– Niech twoja dziewczyna ci powie, ja nie czuję się uprawniony do gadania o takich rzeczach – zbywa mnie bezczelnie. – Śmierć Soniaczki to był szok... – Kręci głową. – Dowiedziałem się z mediów. Ty ją znalazłeś, prawda?

Skóra mi cierpnie, myśli wracają do Bestyjeczki, wyobrażam sobie strach i zmęczenie, jakie towarzyszyły jej w ostatnich dniach życia, widzę ostrze ucinające jej głowę.

– Tak... – Przymykam oczy, pocieram skronie, próbuję ukryć nienawiść pod maską załamania. – Na jej widok – zerkam na Donę – zemdlałem...

– O kurwa... – Arak wciąga powietrze do płuc i głośno je wypuszcza, gapiąc się na chodnik. Świetnie udaje przejętego. – Jak została zamordowana?

– Policja zabroniła mi o tym opowiadać... – Przybieram lekko skrepowany ton. – Ale i tak niewiele pamiętam. Doznałem szoku, film mi się urwał, szczegóły są całkowicie zatarte. W głowie utkwił mi tylko obraz jej twarzy, później jest czarna dziura i przyjazd kryminalnych.

Uważnie obserwuję jego reakcję. W mózgu Araka powinno odtworzyć się wspomnienie przyjemności albo wyładowania frustracji, bo przecież nie odciął Bestyjeczce głowy z obowiązku. I rzeczywiście dostrzegam powiększające się źrenice. Czerń wchłania niebieską barwę. Skurwiel napina mięśnie, gładzi się dłońmi po przedramionach, jakby koniecznie chciał poczuć kontakt skóry ze skórą. Znam tego typu gesty. Pęcznieje z dumy, bo obsrałem się na miejscu zbrodni jak zwykły leszcz i nic nie wiem o liście. Dzięki temu, co powiedziałem, dłużej będzie się głowił, dlaczego psy wciąż zatajają najcenniejsze informacje z miejsca zbrodni.

– Przejebane... – Patrzy mi prosto w twarz. Czerń w jego oczach znika. – Zauważyłaś, że uczestniczymy już w drugim fatalnym pogrzebie, Dona? – szybko zmienia temat. – Najpierw Paweł... – Ma na myśli jej byłego. – Teraz Soniacz... Chyba tacy już jesteśmy, przyciągamy trefne wydarzenia.

– Wiesz co, styknie mi tej gadki... – Lekko zirytowana wkłada rękę do mojej kieszeni i wymacuje kluczyki. – Poczekam w furze, sami paplajcie sobie o pogrzebach. *Adios*, Michał. – Robi gest w stylu Rzymskiego *ave* i odchodzi.

– Szalona Dona zawsze strzela fochy, kiedy coś jej nie pasi. Przyzwyczajaj się. – Arak opiera dłonie na biodrach, napina klatę.

Jest mocno umięśniony, choć nie zbity, prędzej wyżyłowany jak zawodnik MMA. Przypomina mnie z czasów młodości, tylko z gorszą fryzurą i beznadziejnymi ciuchami. Zastanawiam się, czy w walce wręcz dałbym mu radę.

– A odnośnie do mojej relacji z Sonią, teraz mogę ci powiedzieć... – Spogląda na oddalającą się Donę, jakby chciał mieć pewność, że go nie usłyszy. – Byliśmy razem. Zaczęło się wkrótce po tym, jak cię zapuszkowali, skończyło niedługo po maturze. Wiem, że kiedyś też się spotykaliście, dlatego wolałem nie gadać o tym przy panie ładniutkiej. Jeszcze niechący wjechałbym ci jakiś kwas.

Nie mogę uwierzyć w to, co słyszę. Sonia spotykała się z kumplem brata, a później z kuzynem innej swojej ofiary. Miała chore ciągoty.

– No tak! – Strzelam z palców. – Coś kojarzę, trochę jak przez mgłę, ale chyba wspominała mi o tobie... – Ze wszystkich sił staram się okiełznać szok, jakim jest informacja o długim związku Bestyjeczki, i próbuję zabrzmieć w miarę beztrosko, przynajmniej jak na popogrzebową dyskusję. – Poczekaj... – Drapię się po czole. – Już wiem, to ty bujałeś się z jej bratem! Mam rację? – Uderzam ciężką artylerią.

Arak robi zakłopotaną minę, zerka na swoje buty, potem na felgi w bmw, wbija paznokieć palca wskazującego w kciuk.

– Kurde, nie sądziłem, że plotkowaliście o jej byłych... – Przejeżdża dłonią po karku. Gest świadczący o skrępowaniu albo zwykła gra na czas.

– Z Sonią łączyła mnie przyjaźń – prostuję. – I interesy.

– Aha. – Nie brzmi, jakby mi uwierzył. – Faktycznie ziomkowałem się z Przemkiem przez chwilę w totalnie gówniarskich czasach. Wiesz, browar, bilard, laski. – Kiwam głową. – Zawsze miał hajs, a ja gadane. Lubiliśmy razem golnąć i poprzyklejać się do dziewczyn. Ale nie był mi szczególnie bliski, na jego pogrzebie nie byłem – dodaje, jakby uczestniczenie w czyimś pochówku wyznaczało skalę zażyłości za życia.

– Ponoć zerwałeś z nią, bo za dużo wciągała, czy jakoś tak... – blefuję. Nie mam pojęcia, jak było, a chcę go pociągnąć za język.

Jeśli jest Listonoszem, będzie musiał coś odpowiedzieć. Choćby po to, żeby zgrywać normalnego.

– Nie no, ściemniała ci totalnie, żeby mnie oczernić. Ona w ogóle lubiła oczerniać – dzieli się cenną uwagą. – Na jednym wyjeździe, gdy obudziłem się w środku nocy, zastałem ją grzebiącą w moim laptopie. – To akurat mnie nie dziwi. – Przypadkiem na dysku znalazła jedno moje zdjęcie z Przemem. Nie знаła jego kumpli. Nagle stwierdziła, że spotykam się z nią, bo jest siostrą mojego zmarłego ziomka i mnie to kręci. Odbiło jej... – Ze spodni wyjmuję niqutin i wkłada pastylkę do ust. – Owszem, wiedziałem, czyją jest siostrą, i nie podzieliłem się z nią tą wiedzą. Nie chciałem niepotrzebnych zamot. Według mnie to był pretekst, znudziłem się jej i szukała argumentu do zerwania.

Zastanawiam się, czemu aż tak dogłębnie dzieli się informacjami. Chce mnie wybadać czy raczej wywnętrza się, bo w jego mniemaniu takie wspominki na pogrzebie byłej dziewczyny są czymś naturalnym? A może miał na punkcie Bestyjeczki obsesję i musi o niej rozmawiać?

– Sonia mówiła mi, że przypominam jej ciebie – kontynuuje. – Niby chujowo, ale jakoś z tym żyłem. Wiesz, ona była moją pierwszą... – Czerwieni się, raczej nie udaje. Sonia naprawdę go rozprawczyła! Nienawiść sprawia, że samoistnie zaciskam pięści. Nie mogę ich rozluźnić, więc chowam dłonie do kieszeni kantów. – Zawsze próbowałem jej zaimponować, nigdy mi się nie udało.

– Czemu? – ledwie daję radę zadać pytanie. Ślina piecze, jakby zmieniła się w pokrzywę. Najchętniej bym go opluł.

– Przecież to Sonia Wodzińska... – Rozkłada ręce w geście bezradności. – Jej się nie dało niczym zaimponować.

Spotykali się co najmniej przez rok, Sonia zataiła to przede mną, więc on musiał być na tyle ważny, że nie chciała, żebym wiedział o jego istnieniu. Pewnie później też ich coś łączyło. Może przez to coś Arak zabawił się w Listonosza.

– Widywaliście się po zerwaniu? – próbuję przejść do najbardziej nurtującej kwestii.

Arak jak na komendę wyjmuję telefon, zerka na wyświetlacz i robi zdziwioną minę. Gest sztucznie wymuszony.

– Sorki, muszę zmykać... – Spłoszyłem go swoim pytaniem. – Ciekawie było poznać słynnego Kubę. Przykre, że w takich okolicznościach. Trzymaj się, cześć. – Daje mi grabę i wsiada do auta.

Wyjmuję telefon, powolutku ruszam wzdłuż chodnika, ustawiając tryb selfie. Zanim odjeżdża, zdążam zrobić zdjęcie tablicy rejestracyjnej.

Michał Arak sypiał z Sonią, udawał mnie i czerpał z tego frajdę. Czuję, że jego powolna śmierć zapewni mi rozkosz nie mniejszą niż pozbycie się Klary.



– Dłużej nie potrafiliście? – pyta mocno naburmuszona blond piękność, kiedy wsiadam do bmw z odpaloną fajką. Po raz pierwszy od śmierci Soni szlug nie drapie mnie w przetyk. – Wafle się znalazły...

– Co to za typ?

Dona dobrze go znała. Ma odpowiednie informacje, tylko trzeba je od niej wyciągać, najlepiej delikatnie. Póki co mogę sobie pozwolić na bycie bezpośrednim i wzburzonym. Zgani to na wściekłość spowodowaną moją niewiedzą o dawnych poczynaniach Bestyjeczki.

– Dżizas, wiedziałam, że tak zaczniesz... – Zabiera mi szluga, ściąga kilka machów i oddaje. – Więc Sonia nie powiedziała ci o Araku. W sumie nie musiała, przecież nigdy nie byliście w związku. – Parska śmiechem.

– Z tobą jestem, więc bądź tak uprzejma i powiedz mi, kim, kurwa, jest pozer, który zdążył mi się pochwalić, że Sonia go rozprawiczyła!

Dona wpatruje się w moją twarz. Jej spojrzenie zdradza niechęć, mina lekki wstręt.

– Jesteś zazdrosny... – wypala.

– Pogięło cię. To ty jesteś zazdrosna o kogoś, kto nie żyje. – Celowo uderzam w jej dumę.

– Spoko, Kuba, naprawdę zajarzyłam już, że łączyły was rzeczy, których nie chcesz mi zdradzić. Ale Soniaczka nie stanowi zagrożenia. Przeciwnie, w chuj za nią tęsknię, więc możemy gadać otwarcie. Interesują cię jej moty z byłym? Okej,

opowiem ci! – Ściąga buty i wywala stopy na tapicerkę. – Michał Arak to zapalony, lecz niespełniony bilardzista, maniak snookera.

– Nie wyglądał na takiego, co lubi wbijać kule do łuzy – zauważam. – Z postury bliżej mu do sportów siłowych niż barowych.

– Pozory mylą... – Zgina lewą nogę w kolanie. Spódniczka jej się podwija, staram się nie zwracać na to uwagi. – Soniaczka i Arak byli w sobie zabujani. Wiesz, randki, przytulanki, kwiaty, wzdychanie i cała ta romantyczna otoczka typowa dla nastolatków. – Milknie i mi się przygląda. Zdziwiony muszę wyglądać jak kretyn. – *Anyway*, rozstali się kilka miesięcy po śmierci mojego Pawła. Nawet się ucieszyłam, bo potrzebowałam Soniaczki, a przez tego idiotę czułam się jak piąte koło u wozu.

– Czemu zerwali?

– Bo ja wiem? Soniacz mi się nie wywnętrzała. Powiedziała tylko, że Michał okazał się takim samym zjebem jak wszyscy gówniarze. Według mnie ona wołała starszych, konkretnie ciebie. – Przełyka głośno ślinę. – Arak na dłuższą metę nie miał szans. Córka multimilionerów i chłopak z blokowiska, prawie jak w tanim romansidle... – Kręci głową. – On z pozoru wydawał się spoko, taki cichy i nienerwowy. Jak go bliżej poznałeś, to zauważałeś pociąg do ryzyka, gwałtowne reakcje na niekorzystne wydarzenia, ciągotki do bójek i manię posiadania. No faktycznie zjeb, a nie wiedziałam wtedy jeszcze, że jest przypałowy.

– Przypałowy?

– Szybko złapał wspólny język z moim Pawłem, przez co regularnie wychodziliśmy w czwórkę. To był specyficzny okres, nikt nie przejmował się jutrem, wszyscy byli wyczesanie beztroscy... – Wzdycha. – I żywi. – Wrywa mi fajkę, kilkoma mocnymi sztachnięciami dopala ją do końca. – Słowo daję, ostatni raz jaram ten syf. – Gasi niedopałek. – Arak ciągle gadał o kasie, związek z Sonią musiał kopać jego ego. I nagle zaczęło się u niego pojawiać więcej sosu. Nie jakieś kokosy, ale na przykład zamiast stówki na weekend miał trzy, zamiast tanich piw zamawiał drinki, kupował lepsze fajki, czasami też ciuchy. Pytaliśmy, pochwalił się nam, że

w poniedziałki gra w zamkniętych turniejach bilardowych, nie do końca legalnych, coś jak poker, i nieźle mu idzie. Dodatkowo wspierała go siostra, jest lekarką – wyjaśnia. – Tak naprawdę to Paweł załatwił mu robotę przy swoich nielegalnych, o czym wtedy nie miałam pojęcia!

Dona nakreśliła mi całkiem ciekawy obraz Araka. Przystojny, niebieskooki blondyn, odważny i niebezpieczny, choć potrafiący udawać niewinnego. Młodsza, biedniejsza wersja mnie, w sam raz na pocieszenie dla osiemnastoletniej Soni. Tyle że pocieszała się dość długo...

– Możesz jaśniej? – Nie jestem w stanie ukryć zaciekawienia.

– Kilka lat po śmierci Pawła zakumplowałam się z jednym dilusem, który biegał po Full House. Koleś na mnie leciał. Nawalony lubił kłapać ozorem. Wiedział, czyją byłam dziewczyną. Raz powiedział mi, że mieli z Pawłem wspólnych szefów, choć znajdowali się na różnych biegunach w hierarchii. – Spuszcza nogi na dywanik. – Od słowa do słowa weszliśmy na temat Araka. Wtedy dowiedziałam się, że Paweł polecił go do firmy. Arak ze względu na prezencję i urok osobisty dostał fuchę dilera obsługującego niższych korposzczurów, o czym taki dilus z Full House mógł tylko pomarzyć. Podobno w dni robocze dostarczał towar do biurowców i mieszkań. Zaczęło się to jeszcze za kadencji Soniaczki, ale ona raczej nie wiedziała. Przy niej tego nie robił, świetnie się maskował. To spryciarz, dużo nauczył się od mojego zmarłego eks, ja też nigdy jej o tym nie powiedziałam. Nie było sensu...

– Arak jest dilerem?

Gdy o tym myślę, wydaje mi się to całkiem realne. Zadbany, wiarygodnie wyglądający gość łapie klientów z zasobnymi portfelami zamiast pijanych studentów w klubach. Stąd przeciętne bmw i zachowanie pozera. Stąd szalona pewność siebie, która podpowiada, że przy odpowiedniej organizacji można robić wszystko, nie ponosząc konsekwencji...

– Dilerem to on musiał być w dawnych czasach – kontynuuje Dona. – Typek z Full House mówił, że jakiś rok po śmierci Pawła Arak awansował i przestał biegać z drobnicą... – Głos jej się łamie, mruży oczy. Przykry efekt natłoku

wspomnień. – Nie zweryfikowałam tej wiedzy, wolałam zamknąć stare rozdziały i trzymać się z dala od takich ludzi. Dlatego nie chciałam dzisiaj z nim gadać i dlatego teraz ci to mówię.

– Ale przecież potem miałaś z nim kontakt – nieśmiało nawiązuję do jej słów z komentarza.

– Si, choć wcale o to nie zabiegałam... – Zaczyna bawić się pokrętem od klimatyzacji, mimo że auto jest wyłączone. Gest świadczący o zdenerwowaniu. – Soniaczka dwa razy mu uległa, oczywiście pech chciał, że musiałam być świadkową tych wydarzeń.

– Co masz na myśli? – Z trudem udaje mi się przybrać obojętny ton. Byłem pewien, że tylko ja dostąpiłem zaszczytu wzbudzenia w Soni takiego uczucia.

– Kilka lat temu w wakacje wynajęliśmy dom na Mazurach. Ja i moja paczka ze studiów, Soniaczek zabrał się w pakiecie na swoim ścigaczu. Ostro dawaliśmy w rurę, raz we dwie pojechałyśmy na wycieczkę do Mrągowa. Tam całkiem przypadkiem spotkałyśmy Araka. Siedział z jakimś kumplem na parasolach. Myślałyśmy, że nas nie widział, ale się pomyliłyśmy. Rano napisał Soni eskę. Chciał się spotkać. Odradzałam jej to, ale ona wymknęła się tajniacko z domku, skoczyła na szybko do Mrągowa, no i... przespała się z nim. – Z nerwów zgrzytam zębami. Dona to zauważa, ale nie komentuje. – Następnego dnia chodziła jak struta, jedyna z ekipy nic nie piła. Miała doła, bo Arak okazał się... niewłaściwy. Dokładnie tak to ujęła. Dobrze pamiętam.

Bestyjeczka zwierzyła mi się z zabójstwa dokonanego w Mrągowie. Nie piła wtedy przez cały dzień, bo czekała, aż towarzystwo padnie. Potem wymknęła się na polowanie. Mówiła, że mrok ją rozsadzał, miała koszmary. Skoro dzień wcześniej poszła do łóżka z Arakiem, to albo szukała ukojenia w mojej marnej podróbce, albo chciała poczuć w sobie kumpla brata i jeszcze bardziej podjudzić mrok przed rytuałem.

– Niesamowite, ile rzeczy przede mną zataiła... – Chwytam się za włosy, robię przejętą minę.

Nie udaję. Naprawdę boli mnie świadomość tego, że Bestyjeczka nie była ze mną szczerą. Próbowwała odwiedzić mnie w więzieniu, cierpiała przez moje odrzucenie, a jednocześnie rzucała typa spod ciemnej gwiazdy. Była perfidną kłamczuchą.

– No, jak przed wszystkimi. – Dona przyjmuje chamski ton. – Gdy go ostatnio spotkałam... To był powalony dzień. Soniaczka zerwała wtedy z Małkowskim. – Ma na myśli kuzyna ofiary Bestyjeczki, z którym krótko była w związku. – Chciała umówić się w knajpie i pogadać. Wiesz, jaka byłam wkurwiona, kiedy przyszła z nim? – Ton jej głosu świadczy o tym, że nie oczekuje odpowiedzi. – Ponoć spotkali się przypadkiem, u tatuażysty, bo mieli tego samego. W knajpie zachowywali się, jakby wcześniej poszli ze sobą do łóżka. No, takie gesty jak głaskanie się po rękach czy nogach. Tamtego dnia Arak powiedział, że musi zmienić klimat, bo dusi się w Krakowie. Wypiliśmy browar i więcej go nie widziałam. Aż do dziś. Miałam cichą nadzieję, że poszedł siedzieć...

To, co mówi Dona, to nie są poszlaki, tylko twarde dowody! Arak przespał się z Sonią tuż przed tym, jak zabiła nastolatka na Mazurach. Wiem, że Sonia zerwała z Małkowskim dzień po tym, jak zabiła dzieciaka w Zabierzowie. Zabójstwo było głośne, Arak bez problemu mógł się o nim dowiedzieć. Spotkali się w studiu tatuazu, to dało mu do myślenia. Zaczął drążyć i odczytał wzór, jakim posługiwała się Bestyjeczka. Kto wie, co sama mu mówiła i jak zachowywała się w łóżku. Rozgryzł ją, nie mógł jej mieć, więc postanowił ją zabić. Czuje taką samą manię posiadania jak ja. Tyle że w tamtym czasie miał kłopoty, musiał uciekać, więc wcielił swój plan w życie po powrocie.

– Kuba, naprawdę cię jara słuchanie o jej romansach? – Dona tyrpa mnie w ramię. – To odmiana masochizmu czy próba oczyszczenia sumienia, bo wybrałeś mnie, a teraz ona nie żyje? – Milczę. – Chcesz wiedzieć, że była inna, niż ci mówiła, i w ten sposób zaznajasz ulgi? – Nadal się nie odzywam. – Jakby cię to interesowało, źle się czuję, oczerniając Soniaczkę, ale chcę być z tobą szczerą, bez względu na to, jak bardzo ta szczerość boli.

– Prawdę mówiąc, nie wiem, czemu mam ochotę tego słuchać... – Spoglądam jej w oczy. Widać w nich dezorientację i niepewność. – Śmierć Soni siedzi we mnie, ale nie mam wyrzutów, chciałem i wciąż chcę ciebie.

– No, rozumiem. – Uśmiecha się gorzko. – Są sprawy, które po prostu trzeba poznać, inaczej siedzą na żołądku, a człowiek układa własne wizje i jeszcze bardziej się dobija.

– Mówił prawdę o genezie twojej ksywki, Szalona Dono? – Za dużo pytałem o Sonię, nie mogę pozwolić, żeby blond piękność poczuła się gorsza. Czas pozmieniać tematy.

– Si, był okres, w którym mieszałam procenty jak dzika. Ciężki i intensywny okres... Na szczęście wydorostałam, poznałam ciebie. – Chwyta moją dłoń. – Wreszcie się spełniam na własnych zasadach.

Słuchając Dony, coraz bardziej doceniam jej piękno. Zarówno to zewnętrzne, jak i to, które nosi w środku. Była dziewczyną narkokuriera, spotyka się z seryjnym mordercą, przyjaźniła się z inną morderczynią. Ma w sobie pociągającą niezwykłość, potrafi być oddana, a jej ludzki pierwiastek zapewnia mi sen bez znieczulacza.

– Kocham cię. – Najintymniejsze z wyznań samo opuszcza moją jamę ustną. Miałem potrzebę jej to powiedzieć. Dzięki temu stanie się bardziej uległa i łatwiej będzie wyciągnąć od niej kolejne historie.

– Myślałam, że nigdy tego nie usłyszę. Wprawdzie okoliczności są wadliwe, ale ja ciebie też. Bardzo. – Wkłada mi język do ust. Gładzi mnie nim po zębach i podniebieniu. Dziwny rodzaj pocałunku szybko dobiega końca. – Jedźmy, bo nie zdążymy przygotować się na wieczór.

*Tamtej nocy*

Kiedy szła do drzwi, kojące ciepło wypełniało jej serce, potężna moc rozchodziła się po całym ciele, a mrówki nie przestawały maszerować wzdłuż pleców. Odradzała się. Znow była maszyną do zabijania, która lada moment połączy się z równie doskonałym sojusznikiem i nic ich nigdy nie zatrzyma. Radość nie uspiła jednak czujności Soni. Powracający mrok znow zaczynał o nią dbać, w ekspresowym tempie podpowiadając następne ruchy.

Ciągle zachodziła obawa, że to nie Kuba, tylko Listonosz czeka na dole, i tej niekorzystnej wersji próbowała się trzymać. Pewnym krokiem przemierzyła korytarz. Zanim podniosła słuchawkę, musiała podjąć decyzję. W lewej ręce trzymała nóż, w prawej gazówkę. Za pasem legginsów tkwił telefon. Mogła dźgać, strzelać i w razie draki wzywać pomoc, ale żeby podnieść słuchawkę, jedną rękę musiała mieć wolną.

Była leworęczna, a z nożem zawsze czuła się pewnie. Chłodną stal traktowała niczym część własnego ciała. Gazówka służyła zastraszeniu, a ona nigdy dotąd nie strzelała. Gant źle leżał w dłoni. Wydawało jej się, że nad nim nie panuje, ale wystarczy przecież nacisnąć na spust, pocisk wyleci i oczy przeciwnika wypełnią się łzami. Tylko wówczas pojawią się niewygodne pytania. Gliny będą ciekawe, co Sonia robiła z gazówką w samym środku nocy. Poza tym nie lubiła się miotać z niewygodnymi rzeczami. To kradło jej spokój.

Oczekiwała Kuby, ale musiała być gotowa na najgorsze. Oczywiście zanim Listonosz doszedłby do drzwi, zdążyłaby ponownie wyjąć gazówkę. Wolała jednak

przygotować się na sytuację, w której dopada ją stres, gdy patrzy przez wizjer. Wówczas korzystniej było mieć ulubioną broń w pełnej gotowości. Jej przemyślenia trwały raptem kilka sekund. Mózg pracował jak najlepszy komputer. Wsunęła gnata za pas przy tyłku i podniosła słuchawkę.

– Kto tam?

Poczuła wilgoć między nogami na myśl, że usłyszy Kubę.

– Pizzeria Sicilia, mam pani zamówienie. – W słuchawce zamiast ostrego tonu Sobańskiego rozbrzmiał młody męski głos.

Jej ciało zaczęło zamarzać, jakby wepchnięto ją do przerębli. Nawet mrówki przestały się ruszać. Sonia wnet pojęła swój błąd. Listonosz zastosował rozproszenie. Przekierował jej uwagę na czynność, przez którą zapomniała o najważniejszym – o sypialni. Dała się złapać w pułapkę niczym ostatnia idiotka.

Musiała natychmiast naprawić to, co zepsuła. Plan był prosty: rzucić się z nożem w stronę sypialni, po drodze wyciągając gazówkę. Koleś na dole zadziałałby na jej korzyść. Po wszystkim powiedziałaaby, że ktoś się do niej włamał oknem, a on by to potwierdził. Kit z tym, czemu miała broń na wierzchu, przecież nie łamała w ten sposób prawa. Listy leżały w sejfie, zdążyłaby się ich pozbyć przed przyjazdem glin. Wystarczyłoby zabajerować chłopca od pizzy, wejść do łazienki i wszamać papier.

Tak wyglądał plan na później. Teraz należało stanąć do walki, mimo że nie była na nią gotowa, bo mrok nagle zniknął. Zanim zdążyła puścić słuchawkę i wykonać obrót, w przedpokoju powiało chłodem. Kątem oka dostrzegła uchylające się drzwi sypialni. Z ciemności wyłoniła się ręka, a w niej pistolet z tłumikiem. Raczej nie był atrapą. Gazówki nie miały tłumików...

– Widzę cię, ty mnie nie – powiedział szeptem Listonosz. Celował w jej plecy. – Odbierz pizzę i zapłać telefonem. Inaczej strzelę.

– Halo, jest tam pani? – Dostawca zaczynał się niecierpliwić.

Nie wiedziała, jaką podjąć decyzję. Bestyjeczka została zastąpiona bezradną nastolatką zdaną na łaskę mężczyzny. Powinna sama palnąć sobie w łeb za zgrywanie dumnej przed Kubą. Ten jej upór, żal i ta jej wściekłość... A przecież Kuba



powtarzał: najpierw inteligencja, potem uczucia. Pozbawiona alternatyw zmusiła palec do pracy i wcisnęła guzik na domofonie. Po chwili usłyszała trzask drzwi i echo kroków na klatce schodowej.

– Nie kombinuj nic z komórką, bo cię zabiję. – Listonosz przeszedł na nieco wyższą tonację.

Dzwonek do drzwi sprawił, że Sonia podskoczyła. Nóż upadł na podłogę. Znajdowała się na muszce, więc nie było sensu go podnosić. Zachciało jej się sikać ze strachu. Ostatni raz czuła coś podobnego w młodości, gdy brat nabierał na nią ochoty... Zdawała sobie sprawę, że przegrywa, lecz było za późno na analizę tragizmu jej położenia. Musiała wpuścić dostawcę pizzy.

– Kolacja czy śniadanie? – Pyszczaty chłopak około dwudziestki wysilił się na idiotyczny żart. Pewnie liczył, że uda mu się do niej zagadać.

Stał na klatce schodowej, ona w progu. Drzwi uchyliła tak, żeby nie zobaczył ręki ze spluwą wystającej z sypialni. Gdyby tego nie zrobiła, Listonosz bez wahania strzeliłby jej w plecy.

– Zapłacę telefonem – odpowiedziała cienkim, piskliwym głosem, zupełnie do niej niepodobnym.

– Jasne. – Lekko rozczarowany dostawca otworzył torbę i wyjął pizzę.

Odebrała karton i postawiła go na podłodze. Chłopak podciągnął bluzę, za nią przy dzinsach miał przenośny terminal w gumowej osłonie. Sonia wyjęła telefon. Robiła to powoli, szukając czasu na myślenie. Komórka dawała możliwość przeprowadzenia manewru. Wystarczyło napisać Kubie krótkiego SMS-a typu „SOS”. Domyśliłby się, że go potrzebuje, a przecież sam deklarował pomoc. Tyle że Listonosz nie był głupi. Czuła na plecach nie tylko jego lufę, ale również wzrok. Żeby zapłacić komórką, wystarczyło dwa razy nacisnąć lock button i wpisać kod. SMS wymagał odblokowania ekranu, wejścia do odpowiedniego folderu, wklepania liter i potwierdzenia wysyłki. Za dużo łatwo zauważalnych ruchów.

– Proszę. – Chłopak podsunął terminal.

Sonia miała ostatnią szansę, ale strach wciąż terroryzował jej ciało. Świadomość tego, kto do niej mierzy, sprawiła, że zrezygnowała z próby kontaktu z Sobańskim. Skończyłoby się kulką, a póki żyła, ciągle miała szansę.

– Potwierdzenia ani rachunku nie trzeba – wymamrotała.

Chciała, żeby terminal przetwarzał jej płatność w nieskończoność, bo to odwlekało nieuniknione. Miała przecież zostać sama z szaleńcem, nie tak ekscentrycznym jak ona, ale na tyle sprytnym, by przejąć nad nią kontrolę.

– Smacznego. – Płatność została zaksięgowana. Dostawca uklonił się i ruszył do wyjścia.

– Zamykaj drzwi – od razu wydał polecenie Listonosz. – Telefon na podłogę.

Pchnęła potężne antywłamy, które nie uchroniły jej przed niebezpieczeństwem, i odłożyła komórkę. Ostatnia nadzieja na wezwanie Kuby przepadła. Mimo strachu i samotności Sonia nie traciła nadziei. Rozpoznała Listonosza po głosie. Znała go, mogła próbować na niego wpłynąć.

– Dawno się nie widzieliśmy, nie przypuszczałam, że aż tak za mną tęsknisz. – Słowa były w tym momencie jej główną bronią. Zamierzała walczyć do końca.

– Cofasz się w moim kierunku.

Listonosz zdawał się głuchy na to, co mówiła. Kazał Soni wejść tyłem do sypialni, tak żeby go nie widziała, stanąć z rękami opartymi o szafę i poczekać, aż on zamknie okno.

– Wracasz do przedpokoju, podnosisz nóż – wydał dziwne polecenie.

– Spoko, przyda mi się, jak już przestaniesz pozerzyć tą pukawką... – Zgrywając wyniosłą, próbowała odzyskać swój mrok. Z mrówkami na plecach wszystko byłoby łatwiejsze. – Ładnie wygląda w mojej rączce? – Pomachała nożem, wciąż mając Listonosza za plecami.

– Idziesz do salonu, chowasz obie bronie pod stołem.

Zrobiła, co kazał. Słyszała jego kroki, czuła na sobie jego oddech. Gdy dotarła na miejsce, najpierw wyjęła zza pleców gazówkę, rzuciła ją daleko pod masywny szeroki stół. Z nożem postąpiła inaczej. Okiełznując strach, pchnęła go niby od

niechcenia, jakby drżąca ręka sama rozluźniła jej palce. Upadł w miarę blisko, tak że znajdował się w jej zasięgu.

– Teraz krok w przód i siadasz na dywanie. Twarzą do okna.

Postawiła niecałe pół kroku, zgrywając najbardziej spiętą, jak to możliwe. Nawet nie musiała specjalnie się wysilać. Strach ciągle dominował, jej ciało nadal zamarzało, przynajmniej udało jej się dogadać z pęcherzem. Najważniejsze, że kątem oka widziała nóż. Był nieco dalej, niż chciała, ale gdyby Listonosz odłożył broń lub się zdekoncentrował, zdążyłaby po niego sięgnąć. Na razie jednak musiała trzymać się jego poleceń. Usiadła po turecku. Z nerwów dostała drgawek.

– Nie spinaj się, nie zadałem sobie tyle trudu, żeby cię zastrzelić. – Zabrzmiiał dziwnie łagodnie. Wciąż stał za jej plecami.

– Więc czego ode mnie oczekujesz? Mam ci zrobić laskę? – wysiliła się na kolejną bezczelność. – Czy może wolałbyś zobaczyć na żywo, jak radzę sobie z nożami? Gwarantuję ciekawsze widoczki niż na wycinkach z gazet.

– Chcę poznać cię lepiej niż ktokolwiek inny.

Sonia pomyślała o Kubie i przysięgła sobie, że choćby czekało ją najgorsze piekło, na które absolutnie nie była gotowa, to i tak Kuba zostanie tym, który poznał ją najlepiej. Nie złamie się, jeśli będzie trzeba, zabierze swoje tajemnice do grobu. Nie da skurwielowi satysfakcji!

– To akurat nigdy ci się nie uda – odpowiedziała krnąbrnym tonem.

Listonosz przestał kręcić się za jej plecami i stanął na wprost niej. Najpierw zobaczyła jego buty, potem podniosła wzrok, szybko ominęła pistolet i skupiła się na głowie. Strach momentalnie się nasilił. Szczęka zaczęła dygotać, ledwie dawała radę kontrolować pęcherz. Już nie była pewna, czy spełni swoje postanowienie.

– Na początek – wymierzył lufę w jej czoło – opowiedz, jak zabiłaś brata.

Na noc po pogrzebie Dona zaplanowała mały rausz ku czci zamordowanej eksprzyjaciółki: sushi i piwo w jej mikroskopijnej kawalerce. Zaprosiła Majkę z Dorianem. Zdziwiłem się, bo żadne z nich nie znało Soni, ale wyjaśniła, że to jedyni ludzie, z którymi obecnie lubi spędzać czas. Dla mnie zakrapiana rozmowa z pitbullem z wydziału zabójstw i asystentką patologa stanowi szansę. Jestem gotów do działania, ale Majka już na początku imprezy proponuje zioło.

Joint zamiast mnie rozluźnić, wywołuje dziwne schizy. Czaszka od wewnątrz zaczyna swędzieć, obraz przed oczami robi się giętki, jakby gumowy, dopada mnie panika połączona z mrowieniem w udach. Łapię fazę, w której Klara wkłada mi pałkę tak głęboko, że tracę zdolność do poruszania nogami. Nie kontaktuję, o czym mówi towarzystwo. Jest źle, muszę się wzmocnić.

– Teleport do łazienki. – Nie jestem pewien, czy mówię to na głos, do wszystkich, czy tylko układam sobie w myślach.

W łazience otwieram pudełko na soczewki, usypuję ścieżkę, wciągam i poprawiam na drugą dziurkę. Zamulone czerwienią oczy nabierają blasku, wyraz twarzy ze speszonego zmienia się we władczy, myśli stają się przejrzystsze.

– Najpierw Listonosz, Klaro – mówię, patrząc w lustro. W swoim mrocznym spojrzeniu widzę odbijający się uśmiech siostry. – Masz rywala, jak się z tym czujesz? – Brak odpowiedzi, wróciła koncentracja. Wchodzę do pokoju, unosząc ręce jak ksiądz podczas czytania kluczowego fragmentu najsłynniejszego horroru świata. – Zmartwychwstałem!

Impreza trwa, wlewamy w siebie piwo, królują żarty, anegdoty i wspominki tej części Bestyjeczki, którą pokazała światu. Cały czas szukam okazji do przepytania Doriana. Wiem, że muszę to zrobić subtelnie, niby od niechcienia, ale wbrew pozorom nie jest to łatwe.

– Prawie brat, jak wygląda śledztwo? – Po kolejnej godzinie Dona znów okazuje się bezcenną wartością dodatnią i wyręcza mnie, uderzając do kuzyna bez najmniejszej krępacji. – Są postępy?

– Młoda, wiesz, że przeginasz? – Dorian pociąga solidny łyk piwa. – Nie wolno mi gadać o śledztwie. W ogóle musiałem się nieźle nagimnastykować, żeby Szyszka mnie nie odsunęła, po tym jak Kuba do mnie zadzwonił. Gdyby wiedziała, że pijemy, miałbym przejebane.

– Słabo, ale przecież się nie dowie. Między nami panuje zmowa milczenia, a ja już zeznawałam i zdecydowanie nie jestem podejrzana. No, zdradź coś... – Tyrpie go w ramię. Siedzą obok siebie przy stoliku o rozmiarze krzesła. Ja po turecku na podłodze. Majka stoi przy oknie i pali szluga, co dziś Donie nie przeszkadza. – Soniaczka naprawdę była dla mnie ważna... – Dotyka swojej blizny. Robi to coraz częściej, gdy wspomina Sonię.

– Podejrzewacie, że to któryś z jej adoratorów? – rzucam zaniepokojony milczeniem pitbulla.

– Kilku już namierzyliśmy, dwaj sami się zgłosili. Zero konkretów. Szukamy dalej. – Gliniarz nadziewa kawałek sushi na widelec, macza go w wasabi i wkłada do ust.

– W czasach, kiedy Kuba był jej adwokatem, Sonia lubiła czatować. Gnide, przez którą skończył w pierdłu, też poznała na czacie – mówi Dona. – Wiedziałeś o tym?

– Nigdy nie przestała czatować – wtrącam. – Kiedy odwiedzałem ją bez zapowiedzi, zdarzało mi się zobaczyć różne gadzety na jej łóżku... – Spoglądam na Donę, udając niesmak. – Cyberseks i związane z nim randki to był nałóg Soni Wodzińskiej. Jeden z wielu.

– Wiem, czytałem twoje zeznania. Dony też. Sęk w tym, że komputer i komórka Wodzińskiej zniknęły. – Dorian nadziewa na widelec kolejny kawałek sushi. – Bez sprzętów nie znajdziemy typów, z którymi czatowała. Przejrzeliśmy billingi jej telefonu z ostatnich dwunastu miesięcy, dalej się nie da. Dotarliśmy do kont w mediach społecznościowych, ślepy zaułek. – Sonia kasowała ważne rozmowy. Dowiedziałem się o tym kiedy sklonowałem jej telefon. – Treści SMS-ów w ogóle nie są przechowywane przez operatorów, ale nie widać żadnych podejrzanych numerów, z którymi mogłaby pisać. Wszystko wskazuje na człowieka z czatu.

– Soniaczka umówiła się z nieznajomym na randkę u siebie i on ją...? – uprzedza mnie Dona. Sam chciałem o to zapytać.

– Być może. Dwóch sąsiadów zeznało, że kilka razy w nocy widzieli otwarte okno w sypialni Wodzińskiej. – Nie podoba mi się to, co mówi. – Ciężko stwierdzić, dlaczego go nie zamykała. Może wietrzyła, może była naćpana i robiło jej się gorąco, a może chciała zabawić się w jakąś chorą grę. Z tym Małkowskim, którego zamordowałeś – podkreśla – umówiła się w opuszczonym domu, prosząc, żeby udawał jej brata, choć nigdy wcześniej nie widziała go na oczy. Może otwarte okno stanowiło element podobnej gry. Na jej łóżku leżał wibrator, zawierał ślady octu. Ona miała poważne zaburzenia seksualne.

– Soniacz, ile ja rzeczy o tobie nie wiedziałam... – Dona nie dowierza temu, co słyszy.

– Narzędzie zbrodni, którego nie znaleziono, też daje do myślenia. – Majka gasi fajkę w słoiku na parapecie. – Obrażenia na twarzy sugerują drewniany zaokrąglony przedmiot, jakąś rączkę albo trzonek. – Siada obok mnie na dywanie. – Głowę odcięto... Mogę mówić wprost? – Zerka na blond piękność.

– Na razie to ja i Kuba pracowaliśmy przy większej liczbie zabójstw niż wy, tylko po przeciwnej stronie barykady – odparowuje Dona. – Nawijaj swobodnie.

– A więc zabójca użył ostrego narzędzia, prawdopodobnie tasaka albo siekiery – tłumaczy. – Pierwsza hipoteza: Wodzińska umówiła się z kimś na czatową randkę i w trakcie spotkania doszło do awantury. Może nie zgodziła się na jakąś perwersję. Nie

wiem, abstrahuję. – Sięga po pałeczki i bierze kawałek sushi. – Gość wpadł w furję, dorwał kuchenny tasak, przyłożył jej kilka razy trzonkiem i będąc w amoku, posunął się dalej. Afekt wywołany rozczarowaniem albo silnym wzburzeniem, bo nie dostał oczekiwanej rozkoszy. Po wszystkim ochłonął, zatarł ślady, zabrał sprzęt, po którym moglibyśmy go namierzyć, i zwiął.

– A druga hipoteza? – pytam z nadzieją, że okaże się jeszcze mniej zgodna z rzeczywistością niż pierwsza.

– Ten, kto ją zaatakował, dokładnie wiedział, po co przyszedł. Nie było kłótni ani afektu, tylko planowanie, cel i realizacja. Mógł nawet przynieść ze sobą ten tasak. – Majka bierze łyk piwa. – Wodzińska umówiła się na randkę z mordercą...

– Zabójca nie zostawił DNA ani odcisków – wtrąca Dorian. – Wyczyścił wszystko. To niełatwe, zwłaszcza że Wodzińska musiała się bronić albo chociaż wrywać. Pytanie, co go motywowało. Odcięcie głowy nie jest zwykłym zabójstwem. Bliżej tu do rytuału niż afektu. Jeszcze ta pizza...

– Pizza? – pyta Dona.

Dorian wyjaśnia, że dotarli do całodobowej pizzerii. W nocy ktoś zamówił dużą hawajską do mieszkania Soni. Zdaniem dostawcy wyglądała na roztrzęsioną, choć pytany, czy roztrzęsienie mogło oznaczać nadmierne podniecenie, naćpanie czy strach, nie był w stanie udzielić jednoznacznej odpowiedzi.

– Ten, kto dzwonił, używał anonimowej karty SIM z Czech – kontynuuje pitbull.  
– Podobno miał śmieszny głos, może przez modulator.

– W każdym razie wychodzi na to, że Wodzińska umówiła się z jakimś Czechem, albo prędzej Polakiem, który na czatowe randki bierze anonimowy telefon, bo na przykład ma żonę, która kontroluje jego prywatną komórkę – mówi Majka. – Tak wyglądałoby to przy opcji afekt. Jeśli trzymamy się planowanej zbrodni, możemy założyć, że pizza stanowiła element planu i dlatego zabójca wziął ze sobą trefną komórkę. Od początku zakładał, że jej użyje. Zamówił żarcie, Sonia poszła odebrać, on w tym czasie naszykował tasak, może włożył rękawiczki, poczekał, aż ona wejdzie do salonu i... No wiecie, przystąpił do dzieła.

– Brak odcisków i DNA sugeruje planowanie. – Blond piękność po raz kolejny błyszczący spostrzegawczością. – Ja trzymałabym się wersji, że to zabójca szukający ofiar na czatach. Mógł zapamiętać wszystko, czego dotykał, i wyczyścić. Łącznie z ciałem... – Znow dotyka swojej blizny.

– Sonia na pewno uprawiała seks kilka lub kilkanaście godzin przed śmiercią – stwierdza Majka. – Tylko nie z człowiekiem, a z wibratorem polanym octem... – Kręci głową, krzywi się. Nie wiem, czy na wibrator, czy na ocet. – Wciągała też kokainę.

– Trzymając się sprawy Małkowskiego, Kuba – Dorian chętnie wypomina mi zabójstwo – morderca mógł według scenariusza Wodzińskiej grać brata, który patrzy na masturbującą się siostrę. Niektórych to jara. Doszedł w gacie, po wszystkim zaproponował pizzę, ona ją odebrała i nieświadomie mu się wystawiła. Mógł też wejść oknem, jak na podglądacza przystało, bo tak się umówili.

Chłonę nowe informacje, konfrontując je z rzeczywistością. Sonia czekała na Listonosza, spodziewała się ataku. Domofon dzwoniący w środku nocy wywołał zamęt. Jeśli odkryła, kim jest, mogła zakładać, że ją oszukał z oknem i przyszedł na bezczela. Podniosła słuchawkę, a wtedy on zjawił się za jej plecami. Jeśli Michał Arak ma dostęp do broni, mógł sobie poradzić z Bestyjczką.

– A do której teorii przychyła się twoja szefowa? – pytam.

– Według Szyszki to świr z czatu, który nosił się z zamiarem zabójstwa, a pizza miała kupić mu czas na przygotowanie się do samego czynu. Najpierw zabawił się z Sonią bezdotykowo... – Spogląda na mnie i otwiera piwo. – Z zeznań Idy Chmiel wynika, że Wodzińskiej zdarzało się zaliczać przypadkowych facetów. – W jego głosie słychać wstręt. – Być może romansowała już z tym typem, może umawiali się gdzie indziej i dopiero gdy mu zaufała, wpuściła go do siebie na zboczoną gierkę. Sprawdzamy lokale, w których płaciła kartą w ostatnich tygodniach, głównie skupiamy się na zeznaniach pracowników i monitoringu.

Psy krążą wokół tropów, na które sam ich nakierowałem i których potwierdzenie znajdują w przeszłości Bestyjczki. Gdyby znali treść listów, od razu sprawdziliby



klientów tatuażysty. Zaraz potem zaczęłyby się medialny szal.

– Ja widzę tu coś jeszcze – dodaje gliniarz.

– Podzielisz się?

– Kiedy zobaczyłem ciało Wodzińskiej, próbowałem zrozumieć furję, jaka towarzyszyła mordercy. Ten, kto ją zabił, nosi w sobie przejebaną nienawiść. Nie wiem, czy do niej, czy ona tylko kogoś mu zastępowała... – Pociąga browar. – Nieważne, nawaliłem się. Prawie siostra? – zwraca się do Dony w sposób, który mnie wkurwia. – Broniłabyś zabójcy Wodzińskiej przed sądem? Tak w nawiązaniu do przeciwnych stron barykady...

Blond piękność przejeżdża palcem po policzku, odgarnia kosmyk włosów z czoła. Minę ma surową, spojrzenie czujne.

– Oczywiście. Tę jedną sprawę chętnie bym przerznęła, wcześniej wmawiając mu, że na bank ją wygram. – Chwyta butelkę z piwem. – Tęsknię za tobą, popierdzielona Soniaczko. Bez względu na to, jak skończyła się nasza znajomość. Ku twojej pamięci! – wznosi toast, wypijamy wszyscy.

## 20

Jest dwudziesta czterdzieści pięć. Wsiadam ze škody, którą zaparkowałem pod szkołą na Humberta. Mam krótkie spodenki i cienką bluzę z kapturem. W etui na ramieniu trzymam telefon sparowany ze słuchawkami. Strój biegacza to znakomity kamuflaż. Pozwala przemieszczać się po chodnikach i zatrzymywać w dowolnych punktach bez przykuwania uwagi. Wszak biegacz rozciągający mięśnie to nic niezwykłego. Dzień ustępuje miejsca nocy, a ja włączam muzykę i ruszam. Cel: znaleźć samochód. Mrówcza robota, ale innej możliwości nie ma.

Poszukiwania Michała Araka zacząłem klasycznie, od sieci. Były facet Soni nie ma konta na Fejsie ani na Insta. Może ma Messengera bez fotki i nazwiska albo WhatsAppa, ale tak go nie namierzę. Google również go nie wyławia. Nie jest managerem, przedstawicielem handlowym ani nie prowadzi własnej działalności. Nie widnieje w archiwalnych artykułach dotyczących turniejów snookera. Liczyłem, że znajdę chociaż jego siostrę, ale nigdzie nie było wzmianki o pani doktor Arak – widocznie wyszła za mąż i zmieniła nazwisko. Szukanie potencjalnego mordercy to zupełnie inna liga niż poznawanie nawyków atrakcyjnych brunetek. Arak chce być niewidzialny, co utwierdza mnie w przekonaniu, że jest Listonoszem. Mój jedyny punkt zaczepienia stanowi Dona, której poświęcam sporo uwagi.

Ona sama wciąż pozostaje w pełni nieodkryta. Mimo wielu miesięcy związku nie udało mi się zdobyć kodu do jej komórki. Ciągle nie wiem, kim są jej rodzice. Nigdy o nich nie mówi, nie wiem też, czy ma rodzeństwo. Na trzy dni świąt Bożego Narodzenia zniknęła, twierdząc, że to czas, który poświęca rodzinie. Nie wiem, gdzie naprawdę była. Ciągle wymienia wiadomości z Dorianem i nie chwali się, czego dotyczą. Obecnie zagadkowa część życia blond piękności wydaje mi się

nieistotna. Liczy się tylko Arak. Nie mogąc zlokalizować go w sieci, wymyśliłem nową taktykę. Pierwsze rezultaty przysły wczoraj.

\*\*\*

Uznałem, że trzecia noc z rzędu, którą spędzę w kawalerce Dony, to odpowiedni moment. Wcześniej nie chciałem kombinować, bo zacząłem doceniać jej spostrzegawczość. Potrzebowałem dwóch wieczorów na romantykę, wspólne przygotowywanie kolacji, prysznic i nocne pieszczoty. Symulacja wyższego etapu związku miała uspić jej czujność.

I rzeczywiście, Dona była zachwycona, nawet pozwoliła mi jarać w swoim mieszkaniu, wciągała ze mną śnieg i piła piwo. Zrobiła się otwarta na moje potrzeby, choć ani myślała zostawiać mi kluczy. Inna rzecz, że nie prosiłem.

Wczoraj odebrałem ją z kancelarii o dwunastej. Pojechaliśmy na Łazarza i do wieczora przygotowywaliśmy ostateczny atak na Arlettę Mikulską. Potem był seks, po którym poszła umyć swoje ciało, a ja zajrzałem do szafki, na której stoi miniaturowy telewizor.

Za każdym razem gdy przychodziłem do Dony, uważnie obserwowałem mieszkanie. Szukałem miejsca, w którym mogłaby chować jakieś wspominki albo sekrety. Coś, czego nie chciała nikomu pokazywać. Wnętrze szafy sprawdziłem, kiedy się przebierała. Potężna kolekcja ubrań jest chyba jej najcenniejszym dobytkiem. Wszystkie ciuchy ma ułożone lub rozwieszane, nie schowała między nimi niczego. Gdy przygotowywałem nam śniadanie, przegrzebałem wszystkie szuflady w kuchni. Przy porannej wizycie w kiblu sprawdziłem łazienkę. Została tylko ta szafka. Otworzyłem ją, słuchając lejącej się wody pod prysznicem.

W środku dominowały kodeksy i notatki, ale były też dwa albumy w okładkach z bohaterkami serialu *H2O*, stanowiące kolejny przykład dziecinnej natury blond piękności. Sięgnąłem po pierwszy album. Zawierał jej fotki z późnej podstawówki, wczesnej podstawówki i z przedszkola. Stek sentymentalnych bzdur. Drugi album wyglądał znacznie ciekawiej. Na pierwszej stronie kompilacja zdjęć. Dona z końca gimnazjum – całkiem słodka, z początków ogólniaka – coraz bardziej kobieca,

trochę starsze ona z Sanią na szkolnym korytarzu – obie bardzo seksowne, Dona, Sonia i ich faceci pozujący na tle Zamku Królewskiego w Warszawie...

– Ładnie tak grzebać w cudzych rzeczach? – Blond piękność zjawiała się nagle, pewnie myślała, że jest cicha niczym pajak, ale ja słyszałem, że skończyła się myć. Sam album bez jej komentarzy mógł nic nie wniesć. Chciałem dać się przyłapać.

– Ups, winny... – Podjąłem próbę obrócenia niezręcznej sytuacji w żart. – Drukowane fotki? Nie sądziłem, że tak nostalgiczna z ciebie istotka. – Roześmiałem się wymuszenie. – Aż poczułem klimat własnego dzieciństwa...

– Nie lubię wspomnień oglądanych przez ekran. Wolę zmaterializowane wersje.

– Jesteś urocza.

– A czego w ogóle szukałeś w mojej szafce? – spytała podejrzliwie.

– Notatek z prawa karnego procesowego, tak na wypadek gdyby nasz plan z pojednaniem się nie powiódł. Zamiast nich trafiłem na zdjęcia. Wiem, nie powinienem był tego przeglądać...

Spróbowałem zamknąć album, ale Dona mi nie pozwoliła.

– Kuba, zrozum wreszcie, że możesz czuć się tu swobodnie. – Zerknęła na zdjęcia. – Ten album to fotki z beztroskich czasów. Prawdę mówiąc, mam ochotę je obejrzeć. Nie masz nic przeciwko? – Pokręciłem głową. – No to chodź. – Złapała mnie za rękę i zaprowadziła na łóżko. Ostatnie wydarzenia wywołały w niej chęć odbycia sentymentalnej podróży. Na to liczyłem.

Otworzyliśmy piwo i zagłębiliśmy się w fotografie. Kolejne strony bolały, drażniły albo wzbudzały zazdrość. Naoglądałem się zarówno Dony ze swoim eks, jak i Soni z Arakiem. Widok uśmiechniętej Bestyjeczki u boku zjeba kłuł mój brak duszy. Przełknąłem to i komentując fotki, przyjmowałem smutno-obojętny ton. Liczyłem, że któreś zdjęcie w końcu coś mi podpowie. Dowiem się na przykład, gdzie mieszkał Arak albo jego starzy, ewentualnie czy są jakieś miejsca, które może regularnie odwiedzać. Widziałem klub bilardowy, ale zdaniem Dony już nie istnieje. Zobaczyłem też obrzydliwe dziury po dwóch stronach szyi Michała Araka. Czarna

kula bilardowa z lewej, czerwona z prawej. Ciągłe nic to nie dawało. Gdy zbliżyliśmy się do ostatnich stron, wreszcie trafiłem na coś ciekawego.

– Nie przypuszczałbym, że Sonia była kiedyś na meczu – powiedziałem, wskazując palcem fotkę całej czwórki w koszulkach Wisły. Pozowali przed wejściem na stadion. – Ty ją namówiłaś?

– To jej prezent urodzinowy dla Michała – stwierdziła z niekrytym obrzydzeniem. – Był zatwardziałym piknikowcem, to znaczy chyba nadal jest. Wiesz, z Wisłki się nie wyrasta. To nałóg. Bez względu na metodę jego przyjmowania.

– Piknikowcem, czyli? – spytałem, świadom, że Dona tylko czeka na rozwinięcie tematu.

– Kuba, my wybieramy sektor stojący, zdzieramy gardła i dopingując, w pewnym sensie gramy razem z piłkarzami, si? – Potwierdziłem, choć nie miałem pojęcia, czy jej darcie stanowi coś więcej niż próbę wyładowania codziennych frustracji. – No właśnie. On wolał A. To sektor, gdzie wszyscy siedzą, żrą słonecznik i mają kije w dupach. Czasami tylko coś tam krzykną. Ogólnie drama.

Przerzuciła stronę. Zobaczyłem kolejne zdjęcie całej czwórki. Tym razem na trybunach. Dona miała wściekłą minę, jej facet obojętną, Sonia wyglądała na znudzoną, a Arak na zadowolonego.

– Wtedy poszliśmy właśnie na A. Cały mecz kłóciłam się z kiejem, który chciał, żebym usiadła, bo mu zasłaniał. Soniaczka uznała to za jedyną atrakcję meczu. Więcej nie poszła. Owszem, namawiałam ją, zapraszałam na swój sektor, obiecywałam jazdę, ale ona...

Nawijała dalej, a w mojej głowie dźwięczało jedno. *Z Wisłki się nie wyrasta. To nałóg.* Dobrze poznałem zajawkę Dony. Arak też chodził na mecze, tylko przeżywał je inaczej. W dodatku miał trzyletnią przerwę, więc musiało mu brakować nałogu.

– Kurwa... – mruknąłem pod nosem, nie zauważając, że Dona doszła do ostatniej strony. Była tam tylko jedna fotka. Ona i jej były siedzący na masce audi.

– Wiem, to przeszłość. – Zamknęła album. – Ty miałaś celebrytkę, ja bandziora, przy okazji obgadujemy dziewczynę, z którą nigdy nie byłeś. – Po śmierci Soni Dona mówiła otwarcie o wszystkim, co robiły. Chyba chciała mi udowodnić, że już nie jest o nią zazdrosna. – Piszemy nową historię, co nie znaczy, że zamierzam wykasowywać swoje wspomnienia. Ty też nie powinienes.

– Jebać przeszłość, liczy się przyszłość. – Zrzuciłem ręcznik, którym owinęła się w pasie, i rozpiąłem swoje dżinsy. – Napiszmy fajny rozdział. Teraz.

Wbrew własnej woli wyobraziłem sobie nastoletnią Bestyjeczkę zabawiającą się z Arakiem. Prawie poczułem towarzyszące jej napięcie, podniecenie związane z oczekiwaniem i bezpośredniość, kiedy on miał na nią chęć, a ona mu nie odmawiała. Musiałem się wyżyć. Chwyciłem Donę za biodra, podniosłem z łóżka, popchnąłem na ścianę i rozchyliłem jej nogi. Po wszystkim stwierdziła, że jeszcze nigdy nie byłem taki ostry. Podobało jej się.

\*\*\*

Wspominam wczorajszą noc, truchtając po chodnikach. Co chwilę zbaczam z Reymonta na boczne ulice i przyglądam się samochodom. Mecz trwa, Dona poszła z Dorianem, Majka nie mogła, ja stwierdziłem, że potrzebuję wieczoru dla siebie. Blond piękność przekazała mi, że to czwartkowe odrabianie ligowych zaległości z Niecieczą, a Wisła ma kryzys. Na trybunach jest nie więcej niż osiem tysięcy ludzi, co daje jakieś cztery, może pięć tysięcy aut.

Po zaliczeniu uliczek koło AGH wbiegam na teren należący do klubu. Staję przed szlabanem płatnego parkingu i rozciągam mięśnie, przyglądając się autom. Na dworze jest chłodno, mam kaptur, dzięki czemu nie widać mojej twarzy. Srebrnej bety trójki też nie widać. Listonosz raczej nie wciska się na parking, z którego wyjazd zajmuje najwięcej czasu. Profilaktycznie, udając, że sprawdzam coś na telefonie, robię zdjęcia terenu i ruszam dalej.

Wbiegam na Buszka, potem sprawdzam parking przy basenie. Wszędzie mnóstwo samochodów, dziewięćdziesiąt procent należy do kibiców. Namierzam pięć srebrnych beemek trójek, żadna nie ma właściwych numerów rejestracyjnych.

Możliwe, że Arak nie jeździ na mecze samochodem. Całe szczęście w poniedziałek Wisła znów gra u siebie. Jeśli dziś go nie zlokalizuję, kupię sztuczną brodę i perukę i odwiedzę sektor A.

Na razie wracam na Reymonta i biegnę w kierunku Piastowskiej, która kończy się po drugiej stronie stadionu. Listonosz mógł zostawić furę przy błoniach. Po drodze sprawdzam wszystkie wąskie uliczki z domami i blokami: Radwańskiego, Goetla, Olimpijską. Kolejne bezowocnie przebiegnięte metry powodują coraz większe znużenie, wkrada się też rozczarowanie. Słucham Within Temptation, a głos wokalistki zmienia się w dźwięki wydawane przez Klarę.

*Zajmij się mną, a wszystko będzie prostsze* – brzęczy w słuchawkach.

– Chuj ci w dupę – mamroczę pod nosem i zaczynam myśleć o Soni.

Wspominam błysk w jej oku, gdy szykowała się na polowanie, i dłoń ściskającą nóż. Wyobrażam sobie, jak pieprzyła się z Michałem Arakiem. Po kilku dniach patrzę na tę sytuację inaczej. Odrzuciłem ją, więc znalazła sobie substytut. Nie mogę jej winić, była samotna, miała osiemnaście lat... Jej śmierć cały czas mnie boli. Potrzeba szczerości narasta, chciałbym porozmawiać z nią o Klarze. Doceniam Bestyjczkę, dopiero gdy jej nie ma. Tęsknię za nią, a została mi tylko zemsta. Owładnięty narastającą nienawiścią przyspieszam. Biegnę Olimpijską, zbliżając się do Piastowskiej. Tuż przed skrzyżowaniem, za starymi garażami, na trawniku w rzędzie aut odnajduję srebrne bmw z rejestracją, którą znam już na pamięć.

Momentalnie staję i zaczynam rozciąganie nóg. Chodniki są puste, a z okien domów można zobaczyć tylko moją ciemną sylwetkę. Rozpinam kieszeń w spodkach, wydaję lokalizator GPS Orllo. To nieduże pudełko z magnesem neodymowym. Udaję, że wiążę but, i przyczepiam sprzęt do podwozia. Prostuję się, symuluję rozciąganie pleców i zerkam do wnętrza bmw. Tylne szyby są przyciemnione, z przodu, w uchwycie na kubek stoi puszka po red bullu, a na dywaniku kierowcy dwie butelki piwa. Nic więcej.

Ruszam przed siebie. Po niecałych stu metrach wbiegam na chodnik przy Piastowskiej. Okrążam stadion od strony błoni. Czuję siłę i niezawodne przekonanie,

że jestem kimś więcej. Kwadrans po dwudziestej drugiej wbiegam na chodnik przy alei Mickiewicza. Adrenalina opada, nogi zaczynają boleć. Zwalniam do truchtu, a potem do szybkiego marszu.

Obok mnie przechodzi młoda brunetka. Włosy ma rozpuszczone, nałożyła ciemny makijaż, zgrabną figurę podkreślają czarne obcisłe dzinsy. Jej sylwetka kojarzy mi się z cierpieniem i satysfakcją. To pierwsze wciąż mnie nawiedza, za drugim tęsknię jak za skarbem, który ukryłem daleko stąd i wciąż nie mam czasu po niego jechać. Znowu czuję ból między pośladkami i dreszcze na plecach.

– Musisz uzbroić się w cierpliwość, Klaro – mówię na głos.

Mam nadzieję, że dziewczyna mnie nie słyszy.



## 21

Dzięki lokalizatorowi półtorej godziny po meczu poznaję miejsce zamieszkania Michała Araka. Ulica Dobrego Pasterza, blisko Multikina, aquaparku i biurowców. Wcześniej skoczył na Dietla, pewnie odwiedzić ziomka, którego browary leżały na dywaniku. Późno w nocy robię sobie wycieczkę. Parkuję na Strzelców, pod blok Listonosza idę piechotą.

Miejscówka wydaje się idealna do wynajmu dla młodego koleśia zaczynającego orkę w korpo. Nowe bloki blisko pracy, nie najdalej do centrum, w okolicy niezła rozrywka. Fura stoi na wyznaczonym miejscu parkingowym, teren osiedla ogrodzony jest szlabanem. Po szybkim rekonesansie wracam do siebie, czynię odpowiednie przygotowania, wypijam drinka i idę spać. O dziwo zasypia mi się łatwo, chyba przez zmęczenie. W zamian dostaję koszmar, w którym Klara skalpuje Sonię, a potem zaczyna mnie dławić jej odciętą skórą. Budzę się o szóstej.

Bmw rusza spod bloku kwadrans po siódmej, zmuszając mnie do przerwania wykańczającej serii brzuszków. Spocony wkładam dzinsy, T-shirt i czapkę z daszkiem. Na ramię zarzucam sportową torbę ze sprzętem. Biegnę półtora kilometra do wynajmowanego garażu, gdzie trzymam škodę, auto kameleona, niezarejestrowane na mnie. Używam go podczas polowań i obserwacji.

Zgodnie ze wskazówkami GPS jadę w południowe rejony miasta. Przebicie się przez Wisłę o poranku przypomina mordęgę. Z każdą minutą Kraków robi się coraz bardziej zakorkowany. Na szczęście Listonosz staje na Zakopiańskiej. Konkretnie pod piętrowym budynkiem usługowym, w którym według Google mieszczą się sklep z komputerami, fryzjer, kosmetyczka i gabinet medycyny estetycznej. Sprawdzam je,

stojąc w korkach. Wszystkie lokale otwierają o dziewiątej. Gdy docieram na miejsce dwadzieścia po ósmej, oprócz bmw na parkingu stoją czarny mercedes klasy S i porsche macan.

Raczej nie jeżdżą nimi kosmetyczka z fryzjerką – myślę i jadę dalej.

W bezpośrednim sąsiedztwie znajduje się blacharstwo samochodowe, potem wolne działki, a za nimi teren budowy nowego osiedla. To wszystko wygląda jak miejscówka do prania kasy. Dona miała rację, Michał Arak kręci lody z grupami przestępczymi, dlatego stać go na przeciętne lokum dla średniaków, którzy uważają zwykłe beemki za szczyt luksusu. Musi być zatrudniony w firmie sprzedającej komputery, etat legalizuje mu dochód. Całkiem sprytnie.

Jeśli mam rację, może chodzić uzbrojony, na pewno jest czujny, a mimo plebsowego stylu nie brak mu inteligencji. Zarabia na życie przestępstwami, był w stanie zastraszyć, zamęczyć i zabić Bestyjeczkę. Nikt nie ucina głów byłym dziewczynom z przypadku, nawet jeśli są morderczyniami. Musi w nim siedzieć jakiś mrok.

Pewnie sporo o mnie wie, pewnie nie raz słuchał opowieści Soni na mój temat. Może też podejrzewać, że jednak pozbyłem się listu przed wezwaniem glin i łączę mnie z Bestyjeczką znacznie więcej niż przeszłość i wspólny biurowiec. Nie zjawiał się na pogrzebie, bo dopadła go potrzeba delektowania się własnym triumfem, tylko żeby wy badać gościa, który odnalazł zwłoki. Tak czuję. Póki co ma spotkanie, więc ze względu na burczący brzuch i brak innych opcji jadę na Stojałowskiego do McDonalda.

Siedzę w aucie, jem odrażającego hamburgera, popijam go równie odrażającą kawą i próbuję ułożyć plan. Nowe, współczesne osiedle odpada. Panuje tam zbyt duża ciasnota, a ściany są jak z waty. Chciałbym, żeby Arak darł się z bólu, gdy zrobię z nim to, co chodzi mi po głowie... Rozmyślania kończy ruch na ekranie telefonu. Auto wyjeżdża z parkingu. Na równi z nim rozbrzmiewa marimba. Ekran zastępuje nazwa dzwoniącego. Dona.

– Cześć, blond piękność – odbieram, przełączam się na głośnik i wracam do apki.

– Lubię, kiedy tak mnie nazywasz. – Głos, tradycyjnie po meczu, ma zachrypnięty. – Biuro? Dom?

– Toczę się w porannych krokach, chcę obejrzyć pewien lokal pod inwestycję.

Zerkam na komórkę. Arak jedzie w moim kierunku. Na razie nie ruszam się z miejsca.

– Ale pamiętasz, że byliśmy umówieni, *si*?

Najpierw upierała się, że załatwi sprawę Mikulskiej sama. Myślała, że pójdzie gładko, tymczasem przeciwniczka jest nieugięta, a rozprawa zaczyna się w poniedziałek. Strach ją obleciał i poprosiła mnie o pomoc. Musiałem coś wymyślić.

– Może mam od ciebie trzynaście lat więcej, ale nie oznacza to problemów z pamięcią – odpowiadam. Bmw skręca w Jugowicką, potem w Podmokłą, coraz bliżej mnie. Dziwne. – Sprzęt gotowy?

– Sprzęt, owszem, ja średnio. Dopadł mnie stresik. Właściwie to nie śpię od czwartej, ciągle myślę, czy dam radę. Przed wyjściem ledwie opanowałam nerwosraczkę. Kupiłam fajki, wyjarałam już pięć. Można powiedzieć, że sprowadzasz mnie na złą drogę.

Przez moment myślałem, że Arak jakimś cudem mnie namierzył, ale beamka skręca na krzyżówce przed samym fast foodem w Herberta. Kieruje się na obwodnicę.

– Prawnicza robota sprowadza cię na złą drogę, nie ja – stwierdzam coś, czego ona nie dostrzega. – Pamiętaj, pewność siebie. Niech Mikulska wie, że z tobą nie ma żartów – rzucam dobrą radą i odpalam silnik.

– Będę twarda, bo wiesz, rozgrywałam już trudniejsze tematy. – Jej głos jest coraz bardziej stłumiony, w tle słyszę echo klatki schodowej.

Tymczasem Arak jedzie obwodnicą w kierunku Katowic. Ruszam za nim.

– Całe szczęście dzisiaj zmierzę się tylko z tą babą. – Nachodząc Mikulską, Dona wydedukowała, że dziewczyna mieszka sama. – Zapodaję ciszę radiową i wchodzę.

– Oki, cały czas masz mnie po drugiej stronie.

W uchu Dony tkwi miniaturowa słuchawka, którą zakrywa rozpuszczonymi włosami. Jest ze mną na łączach. Póki co słychać pukanie do drzwi, które szybko przechodzi w walenie. Moja dziewczyna nie bawi się w subtelność.

– Znowu ty, upierdliwa kobieto?! – Z głośnika wydobywa się wściekły damski głos. – Nie masz tu czego szukać! Widzimy się w sądzie!

– Poczekaj! – zaczyna trochę desperacko Dona. – Wiem, że jesteś posłuszna swojemu facetowi jak małpka treserowi, i zdajesz sobie sprawę, że po procesie on będzie musiał wyjechać – wyrzuca z siebie na jednym wdechu. – O to ci chodzi? Nie umiesz się od niego uwolnić, więc wykorzystujesz sytuację jak zwykła cipa? – Jej ton zmienia się we władczy. Zaczyna czuć krew.

– Uważaj na język, pani aplikantko! – krzyczy oburzona Mikulska. – Już ci mówiłam, chcę rozwalić przyszłość damskiemu bokserowi! I wcale nie uciekam od Rachida!

– Jesteś pewna? – pyta z przekąsem. – Bo ja widzę twoją przyszłość inaczej. Wpuść mnie i wysłuchaj. Nie zajmę ci więcej niż dziesięć minut. Jeśli każesz mi spierdalać, trudno. Ale możesz tego żałować. I sorki za cipę.

– Niech ci będzie...

Łatwo odnajduję grafitową beemkę. Sunie lewym pasem, kilka aut przede mną. Ustawiam się grzecznie na prawym, tak żeby utrzymywać odpowiedni dystans.

– Słucham. Czym dzisiaj uprzykrzysz mi życie? – pyta Arletta Mikulska.

– Mamy dwie opcje. – W tym momencie Dona powinna położyć na stole nesoser i zacząć wykladać przygotowane dokumenty. – Oto wariant chujowy... – Słyszę dźwięk otwierania walizki. – Ładne fotki, co nie?

Żeby zdobyć zdjęcia, dokładnie przeczesał media społecznościowe klubów, w których pracuje lub pracował Rachid. W ten sposób namierzyliśmy profile ludzi,

którzy się tam bawią. Cofnęliśmy się w postach o pół roku. Sprawdzaliśmy też zapisane relacje. Udało nam się wyselekcjonować trzydzieści zdjęć z facetem Mikulskiej obsługującym klientów. Zwykle pojawiał się w tle selfiaków albo innych tego typu ujęć, ale i tak wychodzi bardzo wyraźnie. Wszystkie fotki powiększyliśmy i wydrukowaliśmy. Na odwrotach zaznaczyliśmy datę oraz miejsce wykonania.

– Myślałam, że próbę szantażu mamy za sobą. – Mikulska zdaje się niewzruszona.

– Ja tylko przedstawiam fakty. – Dona twardnieje niczym gips wylany na rękę. – Na pendrivie jest nagranie rozmowy z managerem Full House, który przyznaje, że Rachid pracował na lewo. Tu natomiast... – słychać szelest dokumentów – mam zeznania kolegów mojego klienta, którzy potwierdzają, że Rachid stał za barem tamtej nocy w Top Dog. – Dona wiele razy rozmawiała telefonicznie z Borysiukiem. Ostatecznie gównu, którego broni, dogadało się z kumplami. – A to lista osób, które mogą zostać wezwane do poświadczenia, że twój facet pracował w trzech różnych klubach w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. – Profile nazwane z imienia i nazwiska bywają bardzo pomocne. – Wszystko składa się na ładny i przejrzysty donos. – Słyszę jej cwaniacki ton. – Jeszcze dziś dokumenty trafią w odpowiednie ręce. Oczywiście mam na myśli zatwardziałego służbistę, który tak smakowity kąsek potraktuje jak okazję do wykazania się upierdliwością. Rachid na bank straci wizę.

– On się z tym liczy...

– A ty liczysz się z tym, że konsekwencje, jakie poniesie, to ledwie wierzchołek góry lodowej? Problemy będą mieć właściciele klubów. Kiedy szukałam patrona, dorabiałam jako managerka w Full House, poznałam kilku. Uwierz mi, to nie są spokojni biznesmeni, którzy przechodzą nad złymi wiadomościami do porządku dziennego. – Brzmi tak władczo, że dźwięk jej głosu wywołuje ciarki na plecach. – Mogą mieć do ciebie pretensje, jeśli po sprawie wjadą im kontrole, a prawdopodobieństwo jest dość duże. Wiesz, Urząd Skarbowy, Państwowa Inspekcja Pracy, ZUS i chuj wie kto jeszcze. Zapłacą duże kary za nielegalne zatrudnianie pracownika. W efekcie bardzo się zdenerwują, może ci być ciężko funkcjonować w Krakowie. A twoja tożsamość wypłynie od razu. Sama o to zadbam

– dodaje ledwie słyszalnym szeptem. – Sytuacja *lose-lose*. Nie opłaca się żadnej z nas.

– To groźby karalne! Jesteś aplikantką, a zachowujesz się jak przestępca!

– Brawo, liznęłaś troszkę prawa. – Blond piękność zdaje się dobrze bawić. – Ale groźby wymagają udowodnienia. My prowadzimy zwykłą babską pogawędkę. Pora na sytuację *win-win*. To nasze pojednanie, brakuje tylko twojego podpisu. – W chwili gdy Dona pokazuje następne dokumenty, Arak zjeżdża z obwodnicy na Krakowską. Wraca do miasta. – I naturalnie załącznik. Dwadzieścia dwa kawałki – mamy ją gotówką. Dokładnie tak, jak jej kazałem. – Bierz, podpisz się i zapomnijmy o sprawie.

– Rachid się nie zgodzi. Jest dumny... – odpowiada Mikulska po chwili namysłu. – Ułożył nawet plan. Jeśli go deportują, za jakiś czas postara się o wizę do Niemiec. Ja dołączę do niego po studiach.

– Rachid nie ma nic do gadania. Ty natomiast masz trzy minuty na decyzję. Podpisujesz pojednanie, zostawiam teczkę i jesteśmy kwita. Nie podpisujesz, idę z teczką tam, gdzie trzeba, szefowie klubów zaczynają mieć kłopoty, a ty przekonasz się, jak jeden płaskacz rozwali ci życie. Zdażysz pożałować, zanim wyjedziesz do tego wymarzonego Reichu. Czas start.

Mikulska się nie odzywa.

– *By the way*, beznadziejny ten twój typ, skoro zamiast oklepać Borysiukowi ryj, uznał, że lepiej zorganizować ci dogrywkę w sądzie. Gdyby mój facet widział, jak ktoś mnie policzkuje, zabiłby go.

– Masz rację, skarbie – przerywam ciszę radiową, nie mogąc się powstrzymać. – Spaliłbym go żywcem.

Mówię prawdę. Gdyby ktoś skrzywdził Donę, zdechłby w męczarniach.

– Rachid mówił, że naoglądał się już wystarczająco przemocy i ona nie jest rozwiązaniem – odpowiada w końcu Mikulska. – Według niego tylko uderzenie w portfel sprawi, że ktoś poniesie karę. Chce poświęcić siebie, więc nie mów mi, że jest beznadziejny!

Dona milczy, bierze ją na przetrzymanie.

– Ale ja nie chcę poświęcać go dla głupiego honoru. Naprawdę nie mam już sił wałkować tej sprawy... – Mikulska mięknie. – Podpiszę te papiery. Jeśli mnie kocha, zrozumie. Wiedz jednak, że jesteś podłą i perfidną suką. Z gęby widać, że zalazłaś już komuś za skórę.

– Cieszę się, że jednak masz rozum i potrafisz dokonywać słusznych wyborów – kwituje Dona spokojnym tonem.

– Zabieraj pojednanie i spieprzaj.

– Z przyjemnością. A gdyby ten Rachid chciał... No wiesz... Gdyby cię uderzył, zagroziłby ci albo zrobił coś równie głupiego, wal do mnie. – Tego nie było w planach. – Pomogę ci i zaoferuję zniżkę.

– Wynoś się, gnido! Nie chcę cię nigdy więcej widzieć! – Mikulska zdziera gardło, a Arak zatrzymuje się na Balickiej.

Mijam centrum giełdowe, serwis motocykli, kilka domów i wreszcie trafiam na bmw. Stoi w ostatnim miejscu, w jakim mógłbym się go spodziewać.

## 22

Lokalizacja wydaje się abstrakcyjna. Rdzewiejąca brama połączona z furtką, obie od wewnątrz wypełnione brązową płachtą, obok siatka i tuje mające spełniać rolę płotu, a za nimi stary dom, ledwie widoczny z poziomu ulicy. W bezpośrednim sąsiedztwie podobny dom po lewej, z tym że płot zrobiony jest z dwóch bannerów reklamowych, a po prawej pusty lokal do wynajęcia. Za nim przejście dla pieszych i sklep z butami.

Druga strona ulicy wygląda jeszcze dziwniej. Dwie drewniane chaty. Jedna prawie w całości zakryta jest tujami, przed którymi stoi billboard. Wygląda na niezamieszkałą. W drugiej mieści się firma z izolacjami termicznymi, o czym informuje szyld. To archaiczny fragment Balickiej, który nie został przerobiony lub wyburzony na potrzeby większego biznesu. W dodatku zlokalizowany jakieś półtora kilometra od Salwatoru. I trzy kilometry od mieszkania Soni...

– Ja pierdziu! Ale była jazda! – krzyczy rozentuzjasmowana Dona, kiedy mijam bmw. – Jeszcze się cała trzęsę! – Słysząc charakterystyczny dźwięk zapalniczki. – Mamy to, Kubusiu!

Arak wysiada z auta i podchodzi do bramy. Niestety nie mogą stanąć na środku ruchliwej ulicy ani zjechać na chodnik. Zauważyłby mnie. Skręcam więc w Na Błonie.

– Razem jesteśmy zajebiści! – kontynuuje blond piękność. – Miałeś rację, Mikulska obsrała się na bajkę o właścicielach klubów, którzy uprzykrzą jej życie w Krakowie. Ojciec Idy zlałby się ze śmiechu, jakby to usłyszał – świergocze radośnie. – Dobrze wypadłam, prawda? Nie słysząc było, że się stresuję?



– Wypadłaś genialnie, nadajesz się do tej roboty. – Jestem z nią całkowicie szczery.

– *Perfecto!* Zaraz dzwonię do Merka się pochwalić, a potem do Borysiuka! – krzyczy tym swoim zachrypniętym głosem. Mogę wyobrazić sobie, jakie zainteresowanie wzbudza, idąc przez miasto. – Dzisiaj zapominamy o złych rzeczach i świętujemy, si? Browarek, kąpiel, gimnastyka naszych ciał plus jakieś dodatkowe odurzenie, tego mi trzeba!

– Nie, dzisiaj nie dam rady. Potrzebuję samotnego wieczoru.

Parkuję obok przychodni weterynaryjnej, wyłączam głośnomówiący i wysiadam z auta. Szybkim krokiem zmierzam w stronę Balickiej.

– Ups, mamy kryzysik? Za dużo nas na zbyt małej przestrzeni i pan prezes musi zaszyć się w penthousie? Czy może śmierć Soniaczki wróciła i się męczysz? Pamiętaj, bądź ze mną szczery, Kuba.

– Nie przyzwyczałem się do tak intensywnego tempa rozgrywek damsko-męskich... – To prawda, choć nie dlatego nie chcę się z nią dzisiaj widzieć. – Regeneracja dobrze mi robi, wróćę wygłodniały.

– Akurat kiedy odniosłam sukces... – zaciąga marudnie. – Szkoda, poczytam sobie Kodeks karny i może poprzeglądam oferty używanych samochodów. – Jeszcze niedawno miała fazę na punkcie wynajmu nowego mieszkania. Po śmierci Soni nagle jej przeszło, teraz na tapecie jest tylko fura. – A jak mi się znudzi, powspominam nasze momenty, bawiąc się swoimi paluszkami, i wyślę ci fotkę. Tak żebyś wiedział, z czego dobrowolnie rezygnujesz.

Wchodzę na Balicką, stoję przy budynku, w którym siedzibę ma geodeta. Widać stąd tamten dom. Brama jest otwarta, bmw zniknęło.

– Ładne focie zawsze przyjmę. Może też pomyślę o tobie przed snem.

– Byłam pewna, że wolisz działać, niż tylko myśleć, ale cóż... Nasza wspólna strata.

Z posesji wyjeżdża stary citroën c5. Zatrzymuje się na chodniku, wysiada z niego dobrze zbudowany gość, którego chciałbym zabić.

– Naprawdę potrzebuję dzisiaj samotności.

– Bywają chwile, w których mam ochotę cię udusić, wiesz?

Nie odpowiadam.

– Odezwij się jutro i pamiętaj, że sypiałam samotnie przez dobrych kilka lat.

Wychodzi mi to bokiem.

Czasami wydaje mi się, że każde jej zdanie zawiera w sobie element szantażu.

– Kocham cię, blond piękności – rzucam tekst, który powinien ją udobruchać, ale ona przerywa połączenie.

W tym samym czasie Arak zamyka bramę. Wsiada do auta i odjeżdża w kierunku obwodnicy. Lokalizator pokazuje, że bmw nadal stoi na Balickiej. To stwarza mi okazję do przespiegów.

Idę w stronę starego domu. Po drodze odbieram SMS-a od Dony. Przysyła fotkę swojej twarzy. Ma jasny makijaż, przy którym blizna wydaje się jeszcze bardziej czerwona. Kazałem jej tak zrobić, miała sprawiać wrażenie groźnej i zdeterminowanej. Jej uśmiech jest szczery, choć trochę bezbarwny, jakby czuła niedosyt, bo wie, że dziś miał być zajebisty dzień, a wyszedł tylko dobry. W oczach widać zmęczenie. Dopiero się uczy sztuki utrudniania ludziom życia i ciągle kosztuje ją to sporo sił.

„Ja ciebie też. Fizycznie, psychicznie i w każdy możliwy sposób” – podpisała zdjęcie.

Dona naprawdę jest znakomitym uzupełnieniem mojego świata. Nie chciałbym jej stracić – myślę, podchodząc pod płot.

*Tracisz wszystkich, do których się zbliżasz, braciszku* – okropny głos Klary przypomina mi coś, o czym wiem, choć staram się to blokować. Nie pora na roztrząsanie trudnych spraw, muszę być skupiony.

Na chodniku o tej godzinie jest w miarę pusto, na ulicy ruch umiarkowany, choć auta cały czas jeżdżą. Mam czapkę z daszkiem i stoję przodem do płotu. Raczej nikt nie zapamięta mojej twarzy, ale i tak nie przeskoczę przez bramę, na której wisi łańcuch z kłódką. Wtedy na pewno rzuciłbym się w oczy.

Wkładam rękę pod koszulkę, przysuwam się do furtki i chwytam za klamkę. Zamknięta. Rozglądam się dyskretnie, sprawdzając możliwości. Istnieje szansa, że furtka w sąsiednim domu jest otwarta. Chata wygląda na taką, która służy jedynie za miejsce reklamowe, ale nie mam pewności. Gdyby ktoś tam mieszkał, mógłby wezwać gliny. Zostaje jeszcze lokal na wynajem.

Nieduży, piętrowy budynek, który kiedyś też służył jako dom, przylega jedną ścianą do miejscówki Araka. Jak przystało na usługowy charakter lokalu, nie jest ogrodzony. W miejscu przed łączeniem dwóch nieruchomości zamiast tuj rośnie niski żywopłot. Oglądam się za siebie, wyczekuję momentu, w którym na ulicy jest w miarę pusto, daję susa w zarośla i przeciskam się na posesję.

Po drugiej stronie czuję się pewnie, bo płachty i tuje mnie zasłaniają. Parterowy dom z trójkątnym dachem musiał powstać w latach sześćdziesiątych, może siedemdziesiątych, gdy Balicka stanowiła głębokie obrzeża Krakowa. Okna są zalepione czarnymi kartonami. Drzwi znajdują się z boku. Szarpię za klamkę. Zamknięte. Z łatwością mógłbym je wywarzyć, ale zostawiłbym ślad. Idę dalej wzdłuż budynku po zaschniętej trawie zmieszanej ze żwirem. Na tyłach rosną dwie wysokie choinki i kolejne tuje. Bmw stoi zaparkowane przy samym domu. Obok jest wolne miejsce, widać ślady opon. Są też gęste krzaki samosiejki i stos połamanych desek. Nikt nie dba o tę miejscówkę, choć jest dobrze zabezpieczona.

– Tu planowałeś swoją zbrodnię? – pytam samego siebie. W tym momencie nie znajduję odpowiedzi. Mógłbym za to zrobić coś innego.

Zaczynając polowanie na Listonosza, założyłem, że okazja do zabicia go może nadarzyć się w każdej chwili. Jestem gotów zarówno na błyskawiczny atak, jak i na długą obserwację, dlatego w torbie w škodzie mam spakowany sprzęt. Bluza, rękawiczki, maska, prepaid, śmiertcionośne narzędzia, opaski zaciskowe do kabli, worki szpitalne, zapasowe ciuchy. Nie mam złudzeń, delektowanie się jego krzykami stanowi sytuację wysoce optymistyczną. Na wszelki wypadek zaopatrzyłem się w knebel. Mogę przynieść sprzęt i zacziąć się na posesji już teraz. Zaatakowałbym Araka, kiedy wróci.

*Biały dzień, środek miasta, okolica pełna sklepów i firm. Może sprzedaj jeszcze bilety i popcorn? Odbija ci przez tę gówniarę.*

Klara ma rację. Jestem przesadnie zdeterminowany do szybkiego pomszczenia Soni. To wpływa na racjonalność. Powinienem poczekać.

*Powinieneś to być mu wdzięczny, wyświadczył ci przysługę.*

Siostra coraz bardziej mnie drażni. Sprawia też, że chcę jej się postawić.

Wiem, że chwilowo nie zaatakuję Listonosza, ale to nie lokalizacja i pora stanowią problem. Chodzi o škodę. Pracownicy i klienci przychodni weterynaryjnej na pewno ją zapamiętają, a po mieście zawsze jeżdżą jacyś kapusie z kamerkami w autach. Wprawdzie moja zapasowa fura zarejestrowana jest na nieżyjącego dziadka spod Łodzi, ale i tak stanowi ryzyko. Mogę je zneutralizować.

Opuszczam teren Listonosza tą samą drogą, którą przyszedłem. Po kilku minutach docieram do auta. Odstawiam je do kompleksu garaży i sprawdzając lokalizator, biegiem wracam na Salwator. Czas znów jest ważny.

W swoim apartamencie przepakowuję część rzeczy z torby do plecaka. Biorę maskę, noże, tasak, knebel, opaski zaciskowe i rezerwowe ciuchy. Zakładam szerokie spodnie i czarną koszulkę z długim rękawem. Rękawiczki chowam do kieszeni. Używam butów o dwa rozmiary za dużych. Na głowę zakładam czepek pływacki i czapkę z daszkiem. Oczy zasłaniam okularami przeciwsłonecznymi. Wrzucam do plecaka butelkę wody i wszystkie batony proteinowe, jakie mam. Przygotowując się, palę jednego szluga za drugim. Chcę się okopcić na zapas. Przed wyjściem zerkam do lustra. Wyglądam jak nie ja. Ostatnia kontrola GPS. Beemka stoi w miejscu. Zegarek wskazuje dwunastą trzydzieści. Pora najmniejszego ruchu, ludzie na ogół są w pracy. Można polować.

Schodami przedostaję się do garażu. Tam drzwiami awaryjnymi wychodzę na zewnątrz. Kiedy idę, wydaje mi się, że każdy, kogo mijam, a są to głównie matki z dziećmi i nastolatki, gapi się na mnie, jakby wiedział, co trzymam w plecaku. Ryzykuję dziś jak jasna cholera i jestem tego świadom. Zamierzam pomścić Bestyjczkę, przy okazji udowodnię Klarze, że nie miała racji.

Kiedy jestem na Balickiej, z kieszeni wydaję rękawiczki. Wkładam je, stając przy żywopłocie. Na posesji Araka ściągam okulary i idę na tyły. Staram się poruszać tą samą drogą, co poprzednio, żeby zatrzeć tamte ślady. Kiedy jestem za murem, zakładam maskę. Pas z nożami przypinam do brzucha. Wkładam też bluzę, od razu robi mi się gorąco. Wyciszam telefon, kitram opaski w kieszeniach bluzy i przyczajam się za stosem desek.

Pozostaje czekać. Nie wiem, jak długo, ale wciąż jest we mnie resztką cierpliwości ukształtowanej w czyścicu. Wytrzymam, a Listonosz poczuje, co znaczy obudzić nienawiść w największym drapieżniku, jaki kiedykolwiek chodził po raju.

## 23

Czas płynie. Gorąc pod maską coraz bardziej mi doskwiera. Skóra ocieplana gąbką zdaje się mieć właściwości pieca hutniczego. Podobnie czarne bawełniane ciuchy, które przyciągają promienie słoneczne. Żeby skupić się na czymś innym niż niewygodna, wspominam Sonię, myślę też o Donie. Konfrontuję przeszłość z przyszłością. W ten sposób temperuję wewnętrznego drapieżnika, który w najważniejszym momencie musi pamiętać, że wciąż mam dużo do stracenia. Satysfakcja powinna zrównoważyć się z potrzebą zachowania bezpieczeństwa.

Po trzech godzinach czekania dopada mnie poważny kryzys wywołany przez głód. Organizm domaga się też nawodnienia. Niechętnie odchyłam maskę i piję. Niedużo, bo nagła potrzeba fizjologiczna oznaczałaby katastrofę. Zjadam dwa batony. Rozpakowuję je rękawiczkami, jem nad otwartym plecakiem, pilnuję, żeby okruszki nie spadły na trawnik. Posiłek na miejscu zbrodni jest niebezpieczny, ale nie mogę sobie pozwolić na spadek energii. Arak na pewno spróbuje stawić opór, a nigdy wcześniej nie robiłem tego, co zamierzam. Nie wolno mi bagatelizować przeciwnika.

Nawodniony i najedzony wracam do zabijania czasu. Chcę zachować pełną koncentrację, a to może się udać tylko przy intensywnym procesie myślowym. Zastanawiam się, co będzie z Future, moim głównym źródłem dochodu. Wodziński coraz częściej panoszy się po biurowcu, przez co nie mam ochoty tam przychodzić. Zazwyczaj siedzi w gabinecie Soni. Ciągłe wrzeszczy na ludzi, jest chamski i opryskliwy. Obwinia wszystkich o to, co spotkało Bestyjeczkę. Mam cichą nadzieję, że multimilioner przyzwyczajony do pierdzenia w państwowy stołek znudzi

się korporacyjnym charakterem biurowca, kiedy wreszcie zaakceptuje śmierć córki. Na razie ma wakat w kilku lokalach. Nie wiem, co planuje.

Myślenie o interesach coraz bardziej działa mi na nerwy. Pod maską zdaje się brakować tlenu, roztopiam się niczym lody na słońcu. Odchylam ją na kilka minut, żeby zaczerpnąć powietrza. Robię tak ostatni raz w obawie o pot spływający po mojej twarzy. Profilaktycznie zjadam jeszcze dwa batony i popijam je kilkoma łykami wody. Próbuję wmówić sobie, że forma jest optymalna, ale w ten sposób oszukuję samego siebie. Hamburger, kawa, batony proteinowe i trochę wody to słaba dawka energii jak na cały dzień i czekającą mnie walkę. Nie ma wyjścia, musi wystarczyć.

Najważniejsze to zaatakować Listonosza z zaskoczenia. Wiem, jak to zrobić, wiem, co później mu zrobię. Mam odpowiedni sprzęt, a mimo niewygody i znużenia nienawiść nie zmniejszyła się ani trochę. Zabiję go, poczekam do nocy i gdy ulice będą puste, wrócę do siebie. Później pozostanie czekać, aż ktoś odnajdzie zwłoki i zacznie się nieprzewidywalne.

Zdaję sobie sprawę, że tak naprawdę nie wiem o Michale Araku nic ponad to, co zdążyłem zaobserwować i co powiedziała mi Dona. Nie mam pojęcia, jakie będą konsekwencje jego śmierci. Nie znam jego stosunków z rodziną, nie wiem, czy ma dziewczynę, przyjaciół ani kim tak naprawdę jest w światku przestępczym i czy jego śmierć odbije się szerokim echem. Atakuję po kilku godzinach słabej obserwacji, za to wsparty mocnym materiałem dowodowym. Najważniejsze, że sam spotkałem go tylko raz. Nikt mnie z nim nie powiąże. Tak myślę, choć wiele wyjaśni się, gdy wejdem do domu z trójkątnym dachem, ale na to się na razie nie zanosz.

Wciąż czekam, kolejne godziny doprowadzają mnie do wewnętrznego szału. Cały wrę i nie chodzi o ciepło. Słońce zdążyło zajść, pot na twarzy wysechł, pęcherz nieśmiało dopomina się o swoje, a potrzeba palenia jest ogromna. Mimo to tkwię w miejscu, a każdą drobną zachętę organizmu do wycofania się bombarduję myśleniem o Soni. To ona jest moją największą motywacją. Wyobrażenie odciętej głowy na dywanie szarpie każdą komórką mojego ciała. Kiedy wspominam nasze upojne chwile w Juracie, kilka dni po jej pierwszym dojrzałym zabójstwie,

i genialny kształt jej tyłka po moim powrocie z pierdła, nie wytrzymuję. Z plecaka wyciągam tasak i tnę powietrze, wizualizując, co zrobię, kiedy wreszcie Listonosz wróci. Bezsensowny proces niepotrzebnego marnowania energii przerywają metaliczne dźwięki dochodzące od frontu.

Z tasakiem w ręku przemieszczam się od desek wzdłuż muru. Nie jest to łatwe, bo Arak prawie przykleił beemkę stroną pasażera do bocznej ściany. Muszę uważać, żeby nie urwać lusterka. Dźwięki z każdą sekundą stają się intensywniejsze, słychać lekki huk, po nim brzęczenie łańcucha. Ciemności nie rozświetlają lampy samochodu, nie słychać też silnika. Zdziwiony wychylam się zza muru. Zamiast Michała Araka widzę... jakiegoś typa, który chwyta drgające pręty. Na pewno nie użył kłódki, tylko przeskoczył przez bramę. Gdy odwraca się w moją stronę, uciekam w głąb działki. Oddycham głęboko, próbując poukładać myśli. Człowiek, który wszedł na posesję, może być współnikiem Araka od nielegalnych interesów. Może być też jego wrogiem, który przyszedł zrobić to samo, co ja...

Kurwa, dlaczego wszystko musi się tak komplikować! – klnę w duchu, przesuwając się wzdłuż bmw.

Wydostaję się zza auta i kucam przy przedniej masce. Arak wjechał tak, że tył wystaje od strony wejścia. Całe szczęście późny wieczór zmienił się w noc. Czarny strój zlewa się z ciemnością, a na posesji nie ma lamp. Jeśli facet, którego mój mózg nazwał Włamywaczem, przejdzie na tyły, nie zauważy mnie. Dam radę go zaatakować, choć przecież wcale tego nie chcę. Nie mam pojęcia, kim on jest, a przypadkowe ofiary zawsze oznaczają problemy.

Wciąż kucam, obserwując teren spod zderzaka bmw. Pojawiają się buty.

– Michał! Jesteś? – krzyczy Włamywacz. Głos ma specyficzny, jakby zdarty przez wodę i fajki.

Liczę, że kimkolwiek jest, pójdzie sobie, ale to płonna nadzieja. Wprawdzie stopy przesuwiają się w stronę frontu i znikają za murem, ale po chwili do nosa wdziera się utęskniony zapach papierosowego dymu. Włamywacz czeka przed drzwiami, ewentualnie w innym miejscu z przodu, i zabija czas paleniem. Łatwo nie



odpuści. Przynajmniej wiem, że nie przyszedł zabić. Nie jarałby na miejscu zbrodni. To z kolei oznacza dwóch przeciwników, a mój plan zakładał atak na Listonosza, gdy ten będzie otwierał dom lub wsiadał do bmw. Włamywacz mi go zdezaktualizował.

Cichaczem chowam się za stosem połamanych desek. Zapinam plecak ząbek po ząbku, żeby nie wydać żadnego dźwięku. Pozostaje czekać.

Znów się pocę. Tym razem przez stres, bo noc jest chłodna. Rozważam kolejne opcje. Wizualizuję, co nastąpi. Arak spotka się z Włamywaczem przy wejściu, ale tam nie będą gadać. Pójdą do domu albo zostaną w ogródku. Obie opcje niewiele zmieniają. Najważniejsze, żeby Włamywacz opuścił teren posesji przed Arakiem. Niestety na to nie mam wpływu. Jeśli wyjdą razem, jutro będę musiał wrócić do obserwacji i szukać kolejnej szansy.

Pół godziny później światła oświetlające spory fragment ogródka i głośny klekot diesla zwiastują rychłą weryfikację moich myśli. Listonosz zaparkował przed bramą. W tym samym momencie w zasięgu mojego wzroku pojawia się Włamywacz. Obserwuję go przez szczelinę w deskach. Jest niewielka, w sam raz, żeby podglądać i samemu nie dać się zauważyć. Facet kuca w ciemnym punkcie przy masce beemki; tam, gdzie ja wcześniej się czałem. Pojawia się przerażająca myśl: co, jeśli jednak przyszedł zabić Araka?

Zawołał go zaraz po przyjeździe, czyli się znają, ale to o niczym nie świadczy. Może chciał upewnić się, że teren jest czysty. Może jest na tyle głupi, żeby palić przed mokłą robotą...

Nie mogę pozwolić mu zaatakować Listonosza. Zabójca Bestyjeczki jest mój! Sęk w tym, że nie wiem, co zrobić, a Citroën właśnie parkuje obok beemki. Dopada mnie paskudna niemoc. Czuję się jak niepełnosprawny, któremu, choćby użył całej siły woli, którą ma, pewne defekty i tak nie pozwolą wykonać z pozoru prostej czynności.

Niemoc wzrasta, kiedy Arak gasi silnik i otwiera drzwi. Zastanawiam się, czy nie ostrzec Listonosza. Gdyby zdołał się obronić i załatwił Włamywacza, miałbym szansę. Przez moją głowę w tempie błyskawicy przetaczają się wizje, każda podbita

pieczętką w kształcie twarzy Bestyjeczki. Zdesperowany chce wychylić się i krzyknąć, ale przepity i przepalony głos mnie wyręcza.

– Czemu poleciałeś w chuja?!

Włamywacz podnosi się z kucek, a Listonosz podskakuje ze strachu.

– Ja pierdzielę! – Wściekły trzaska drzwiami citroëna. Strach szybko minął. – Co ty odwalasz?

– Musiałem się upewnić, że jesteś sam. I chciałem, żebyś trochę spękał.

– No to w pytę! Skoro już się upewniłeś, powiesz mi, czemu tu przylazłeś – słyszę, jak spluwa na chodnik – nadkomisarzu Sarnat?

## 24

Czaję się za stosem połamanych desek i trawię nowe informacje. Dzielił mnie krok od popełnienia gigantycznego błędu. Arak ma kontakty z gliniarzem. Gdybym krzyknął, zaatakowałiby mnie we dwóch. Włamywacz, a raczej nadkomisarz Sarnat, na pewno jest uzbrojony. Skułby mnie i aresztował albo zastrzelił – w zależności od tego, co łączy go z Arakiem. Całe szczęście odezwał się pierwszy. To kolejne potwierdzenie teorii o przypadku rządzącym światem. Cudowny fart sprawił, że nadal jestem bezpieczny i mogę przysłuchiwać się rozmowie domniemanego Listonosza z policjantem.

– Mówiłem ci tyle razy, nie przyłaż tu! – Arak jest wzburzony, co nie zwiastuje towarzyskiego charakteru pogawędki. – Miałeś czekać, tak jak się umawialiśmy, nie?

Umawialiśmy... Czyżby gliniarz siedział w jego kieszeni?

– Czekałem kulturalnie, do pewnego momentu... – Sarnat odpala szluga. – Potem mi się znudziło.

– Dlaczego tak odwalasz? Przecież tę miejscówkę wypożyczam od nich. Gdyby któryś mnie śledził... – Arak ścisza głos do szeptu, jakby nagle przypomniał sobie o niebezpieczeństwie. – Wiesz, co by mi zrobili, gdyby odkryli nasz sekret?

– Podobno jesteś najlepszy, więc skapnąłbyś się, że ktoś cię śledzi. – Opinia o Araku jest przereklamowana. – Powiesz wreszcie, czemu nie dostałem SMS-a z infem o miejscu rozładunku? Miałem kominiarzy gotowych na akcję. Musiałem odwołać.

– Kurs poszedł na pusto. – Domniemany Listonosz ledwie wypluwa te słowa.

– Masz mnie za durnia? – Gliniarz wydmuchuje dym w moją stronę.

– Kurwa, mówiłem ci tyle razy, oni ciągle nas testują. Nie ma znaczenia, ile towaru przewiozłeś ani jaką masz renomę. Wiesz, ile się nagimnastykowałem, żeby wozić im *stuff*? Ile pracy kosztował mnie ponowny awans w hierarchii? Własna dziupla? Udział w wyładunkach zamiast przekazywania fury innym? Tacy jak ja są w cenie, ale stanowią łakomy kąsek dla psów.

– Szczerze mówiąc, gówno mnie to obchodzi. – Gliniarz nawet nie próbuje udawać przejętego. – Wiem natomiast, że gdyby nie moja robota, siedziałbyś w pierdłu. A tak przez trzy lata mogłeś sobie zapierdalać w piździsrocku pod Birmingham, serwować wódkę Angolom i dorabiać, ogrywając ich w bilard.

– Wymieniliśmy się wtedy przysługami. Różnica polega na tym, że ty dostałeś awans, a ja musiałem spierdolić.

– Usunąłem cię z bazy danych operacyjnych, ale nie z miłości, tylko w związku z długotrwałym planowaniem – podkreśla. – Dzięki mojemu manewrowi młoda gwardia handlarzy uważa, że wyjechałeś, bo dostałeś cynk, zanim zaczął się kocioł. Dla nich jesteś żywą legendą. Jednak ciągle mam na ciebie haki, więc pracujesz dla mnie. Przyszedłem słuchać spowiedzi, nie gorzkich żali. Słucham więc...

Ich rozmowa przypomina ujadanie dwóch rottweilerów gotowych do walki, ale uwięzionych na zbyt krótkich łańcuchach, żeby zbliżyć się do siebie choćby na odległość zębów.

– Dzisiaj podbijam do magazynu w Brnie, miałem wziąć dwie duże paczki. Wszystko wydawało się okej, ale pepiki odpuściły, czaisz? – Arak puka się w czoło. – Ja nie sprawdzam towaru, nie wiem, co jest w paczkach. Myślałem, że jestem pełny, ale dostałem SMS-a, w którym zamiast miejsca rozładunku napisali, że mam się nie spinać, bo przewożę własne pierdy. Bałem się, że to jakaś podpucha albo coś. W panice wywaliłem twoją komórkę. Będę potrzebował nowej.

– Gdyby cię podejrzewali, załadowaliby ci mąkę i kazali zawieźć do magazynu. My zrobilibyśmy nalot i wyszłoby, kto jest kapustą – wyjaśnia spokojnym tonem gliniarz. – Byłbyś skończony. Moja operacja też.

– Nie wiem, czemu miał służyć pusty przebieg. Może to kolejny test, a może nasi nie zapłacili Czechom, ewentualnie towar nie dojechał i pepiki ściemniły bossom, że przy granicy jest gorąco, więc nie ładują? A może naprawdę szykowały się kontrole? Ty w ogóle bierzesz pod uwagę, że oni też mają swoje wtyczki u hycła?

– Biorę. – Sarnat przydeptuje niedopałek papierosa, podnosi go i wkłada do kieszeni. – A ty bierz pod uwagę, że o naszych manewrach wiedzą trzy osoby. Szycha z góry, prorok i ja. Nawet dowódca czarnych nie miał pojęcia, na jaką akcję się szykuje. Mów, kiedy następna robota... – W jego głosie słychać zniecierpliwienie. – Michał, ja muszę ich zdjąć na gorącym, wtedy będę miał masę dowodów. To jedyna szansa, żebyś mógł spierdolić.

– Wolałbym koronę...

– O koronie zapomnij. Już to wałkowaliśmy. Jedyne, co mogę zrobić, to uczynić cię anonimowym informatorem i pomóc w ucieczce.

– Wrócę do sytuacji sprzed trzech lat... – Wzdycha. – Wjebałeś mnie w konkretny syf.

– Mogłeś o tym myśleć, zanim zacząłeś jeździć z towarem. – Gliniarz jest niewzruszony. – Sama sytuacja będzie inna, bo wszystkie haki znikną. Pozwolę ci zwiać z forszą, którą już zarobiłeś. Masz na to moje słowo. Nadstawiasz dupę, należy ci się.

– Jakoś nie czuję się przekonany.

– Po tej akcji i tak będziesz spalony w Polsce, więc dla mnie bezużyteczny – tłumaczy mu, co oczywiste. – Masz jeszcze dwie alternatywy: pierdel albo ulica z łatką kapusia. No co tak patrzysz? Zdziwiony? Myślisz, że gdybyś czmychnął już teraz, to chciałbym cię dorwać? – Parska śmiechem. – Słodzisz sobie. Bez moich pleców granic kraju nie przekroczysz, a ulica szybko cię sprzątnie. Tylko wykonywanie moich poleceń pomoże ci przetrwać.

– Robota będzie w przyszłym tygodniu. Dokładną datę poznam z dnia na dzień.

– Dobrze, bo mamy deadline do końca czerwca, potem nasz układ się posypie. Nie będzie szans, żebyśmy uchronił cię przed konsekwencjami narkokurierki.

– Akurat towar w przyszłym tygodniu ma cię nie interesić.

– Raczysz żartować? – Gliniarz zwraca się do niego jak dyplomata.

– Podśledzałem Harcerza, kiedy stał przy kiblu i dzwonił do żony. W niedzielę wylatują na wakacje. Nikomu o tym nie mówił. Nalot, kiedy jest na wyjeździe, a nie w magazynie, byłby katastrofą.

– A już myślałem, że nie spieszysz ci się do puenty naszej roboty...

– Przeciwnie, zajebicie mi się spieszysz. Poza Wisłką nie mam tu nic, co sprawiałoby mi przyjemność. Wiem, jaka jest sytuacja. Chcę, żebyś ich zamknął, i znikam. Raz na zawsze.

– Właściwie czemu wlałeś do tego szamba? – Sarnat wydaje się szczerze zaintrygowany. – Zawsze mnie to intrygowało, bo z ryja i drzewa genealogicznego sprawiasz wrażenie kogoś normalnego.

– Widziałem, w jaki sposób żyją bananowe dzieciaki. Wkurwiało mnie, że będę musiał się szarpać na studiach, a potem w gównianych robotach, kiedy oni pstrykają palcem i manna leci im z nieba. – Mimo dzielących nas kilku metrów doskonale słyszę agresję w jego głosie. – Też chciałem pożyć. Zacząłem biegać z towarem, potem przyszedł czas, kiedy sam z siebie szukałem adrenaliny, potrzebowałem jej jeszcze bardziej niż szmalu. – Nie zdziwiłbym się, gdyby nastąpiło to po rozstaniu z Sonią. – Ostre życie uzależnia. Mocno się wkręciłem i awansowałem. Pech chciał, że chodziłeś do tego samego klubu bilardowego, co ja, i rozkminiłeś, że moja fura jest zarejestrowana na pralnię Hannibala. Reszta jest historią...

Słuchając go, zaczynam rozumieć, że to zawiść stała się pretekstem do uwolnienia wewnętrznego demona. Arak nie lubi nadzianych dziedziców. Lecił na Sonię, ale z pewnością musiała kopać jego poczucie wartości. Przy niej bardziej niż przy kimkolwiek innym potrzebował forsy. Przez nią zaczął dilaować. Po rozstaniu rzucił się w wir większych interesów. To naturalne. Gdy byłem młody i Julia ze mną zerwała, też z wieloma rzeczami nie umiałem się powstrzymać. Kiedy odkrył, że Bestyjeczka serwuje sobie mroczne przyjemności, postanowił ją zniszczyć. Gangsterka zdążyła go zahartować i wpłynąć na sposób myślenia. Ciągłe czuł się

gorszy od Soni. Pożądanie podsycane zazdrością zmieniło się w nienawiść. Ułożył plan, ale musiał uciekać. Stracił tak dużo, stał się zwierzęciem na smyczy gliniarza i karmił demona, podsycając chęć zemsty.

Po powrocie mógł dać upust szaleństwu. Ma środki, układ z Sarnatem, lada dzień zniknie. Ale zanim da nogę, świat będzie musiał dowiedzieć się, kim naprawdę była Sonia Wodzińska. Zabójstwo bez upublicznienia jej sekretów będzie dla niego niepełne. Cudowna dziedziczka ma zostać pośmiertnie upokorzona, to część jego planu. W pewnym sensie trochę go podziwiam. Całe życie ryzykuje, gra w podwójną grę z policją i gangsterami, a w wolnej chwili realizuje mroczne fantazje, rzucając wyzwanie innym pitbullom. Na pewno wyśle coś do mediów, ale nie teraz, tylko przed samą ucieczką. Zostało mi trochę czasu.

– Trzeba było zrobić lepszy research, wiedziałbyś, że szybka forsa trwa krótko.  
– Kolejny szlug trafia do ust nadkomisarza Sarnata. – Pamiętaj, obławę zorganizuję tylko raz. Coś nie pyknie, to cię zawijam i będziesz zeznawał. W zamian poleci mała korona. Tyle mogę załatwić bez konkretnych dowodów.

– Mała korona... – Pociera oczy. – Czyli krótka, lecz intensywna przygoda w pierdlu. Nie ma opcji.

– No to wykaż się wreszcie! – Klepie Araka w plecy. – Randka w niedzielę o dwunastej. Opactwo Cystersów. Przyniosę nowy telefon. Do spotkania tradycyjnie zero kontaktu. – Chwyta za tylną klamkę w bmw.

– Co ty odwalasz?

– Odwieszysz mnie na Ruczaj. Przyjechałem tu z buta, jutro idę płaszczyć się przed szefem, więc rób, co mówię, i postaraj się bardziej nie jebać mi dnia.

Trzydzieści minut później wchodzę do swojego apartamentu. Od razu rzucam się na kanapki i poprawiam je kokainą. Potrzebuję efektu zajebistości, który utwierdzi mnie w przekonaniu, że jestem na najlepszej drodze do pomszczenia Bestyjeczki.

## 25

Cierpliwość jest atutem zwycięzców. Każdy, kto prowadzi wojnę z godnym siebie przeciwnikiem, musi zapomnieć o błyskawicznych efektach. Należy krok po kroku zbliżać się do rywala, poznawać go, odczytywać jego wady i zalety i szukać okazji do zadania nokautującego ciosu. Prowadziłem wiele wojen. Z Klarą, Kubiakiem polującym na Rzeźnika Niewiniątek, Adą, Julią, a nawet z Sonią. Za każdym razem umiałem czekać. Atakując Listonosza, obrałem inną taktykę, nakręcała mnie zbyt duża nienawiść, a także niemoc spowodowana stratą Bestyjeczki. To pierwszy raz, kiedy ktoś inny niż ja decyduje o śmierci bliskiej mi osoby. Racjonalność w moim postępowaniu została zachwiana i o mały włos popełniłbym fatalny błąd. Uratował mnie przypadek. Otrząsnąłem się i znów jestem cierpliwy. Tyle że moja cierpliwość podszyta jest strachem.

Codziennie zastanawiam się, czy do biura nie wparuje podkomisarz Szyszka, żądając wyjaśnień w sprawie listów, które rzekomo miały znaleźć się na miejscu zbrodni, a teraz ktoś wysłał ich kopię na komendę. Niby namierzam Listonosza przez GPS, ale nie jestem w stanie zablokować jego ruchów. Jeśli będzie chciał dostarczyć przesyłkę, nie powstrzymam go. Oprócz strachu dochodzi pieprzona tęsknota za Sonią. Wczoraj fantazjowałem o niej, przeglądając nasze zdjęcia. W niedzielę podobnie, w piątek też. List, który mi napisała, czytam prawie codziennie. Moje noce zmieniły się w niekończący się koszmar.

Klara atakuje. Nie ma znaczenia, czy znieczulę się wódką, kokainą czy zasypiam trzeźwy, sam lub w towarzystwie Dony. Siostra gwałci mnie, obcina mi kończyny albo pali żywcem. Blond piękność spała u mnie dwa razy. Obie noce kończyły się tak samo. Budził ją mój przerażony krzyk. Ani razu nie uprawialiśmy seksu. Mam



coraz większe problemy z koncentracją. Żeby odgonić myśli od siostry, próbuję zająć się pracą.

– Jeśli klient zażyczy sobie modernizacji lokalu, przypominam mu treść umowy, zgodnie z którą wszystkie zmiany przeprowadza na własny koszt, ale dopiero po otrzymaniu pisemnej zgody – mówi Marta z recepcji. Przyuczam ją do roli mojej asystentki. – Proszę go o argumentację, projekt zmian, kosztorys, wizualizację i czas realizacji, a na koniec przynoszę wszystko panu. Dobrze zrozumiałam?

Siedzimy razem przez dwie godziny dziennie i wątkujemy kolejne niuanse zarządzania biurowcem. Zawsze w moim gabinecie, który przenieśliśmy do kanciapy na czwartym piętrze. Chcę być blisko czegoś, co należało do Bestyjeczki, może w ten sposób nienawiść do Listonosza stłumi Klarę. Tymczasem Wodziński ewakuował się z Future, coraz więcej jego lokali stoi pustych. Kwestią czasu pozostaje sytuacja, w której wystawi swoją część na sprzedaż.

– Tak. Zerknij jeszcze na wzór wypowiedzenia umowy. Architekt i dietetyczka wylatują. Mało płacą, czasami się spóźniają, a wczoraj napisał do mnie facet z firmy tradingowej. Chce mieć oba biura dla siebie. – Wstaję od laptopa, żeby zapalić i nie dmuchać Marcie w twarz. – Zgodził się na większy czynsz. Ty przygotujesz papiery i zanieziesz dobre nowiny. Jutro.

– Nic miłego – mówi z wyraźnym grymasem. – Polubiłam Monikę. – Ma na myśli dietetyczkę. – Często podrzuca mi różne smakołyki. Architekt też jest w porządku. Niedawno został ojcem. Narobimy mu kłopotów...

– Witaj w świecie, w którym liczy się tylko pieniądz.

– Beznadziejny ten świat, ale proponowana podwyżka w porządku.

– Adekwatna do roboty, jaką zaczynasz wykonywać. – Wyjmuję telefon i zerkam na apkę lokalizatora.

Jest środa, dwunasta. Bmw standardowo stoi pod lokalem, w którym mieści się klub fitness. Arak ma manię pakowania. Poświęca temu trzy godziny dziennie. Stara się wybierać różne kluby, dziś postawił na Platinium przy Lea. W firmie na Zakopiańskiej siedzi od dziewiątej do jedenastej. Udaje, że pracuje, potem jedzie

ćwiczyć. Po treningu zgarnia jedzenie z cateringu i wraca do mieszkania. Wieczorami odwiedza kluby bilardowe.

Wyjątek stanowił poniedziałkowy mecz. Nie wiem, jak spędził sobotę. Auto cały czas stało pod blokiem, więc mógł pić z kumplami na mieście. Nie sprawdziłem, bo poświęciłem weekend Donie. W niedzielę też nie ruszył się z miejsca, choć miał randkę z gliniarzem. Pewnie użył innego środka lokomocji. Ani razu nie pojechał do dziupli na Balicką.

– Dostanę wzór wypowiedzenia na maila? – pyta moja przyszła asystentka. – Razem z danymi firm, które nas opuszczają?

– Już dostałaś, wysłałem ci rano.

– To chyba mogę wracać na dół? Bo ciągle jeszcze tam pracuję.

Zamierzam dać Marcie mój stary gabinet, ale dopiero gdy sprawdzi się przy wywaleniu dietetyczki i architekta. Potrzebuję asystentki, bo praca w biurowcu mnie nudzi. Nie mogę doczekać się, kiedy Dona zda egzamin adwokacki i otworzę jej kancelarię.

– Tak. Wystaw dziś ogłoszenie o pracę. Ktoś musi zająć twoje miejsce.

– Oczywiście. Do zobaczenia, panie prezesie. – Wychodzi.

Ledwie zdążam usiąść przy biurku, a już ktoś uchyla drzwi do gabinetu. Pojawiają się w nich dwa papierowe kubki z kawą trzymane przez damskie palce z paznokciami pomalowanymi odblaskowym, pistacjowym lakierem. Znam je.

– Puk, puk, można? – Dona zagląda do środka. Musiała minąć się z Martą przy wyjściu z zamkniętej strefy. Inaczej sama by tu nie weszła. – Pan prezes zamawiał kawę? – pyta mocno zachrypniętym głosem.

Jak zwykle ubrana jest inaczej niż za każdym poprzednim razem. Dzisiaj postawiła na szarą bawełnianą spódniczkę odsłaniającą więcej niż połowę ud, pistacjowe conversy i białą bluzkę w zielone groszki. Włosy ma rozpuszczone, pokręciła je jak sprężynki. Wygląda doskonale.

– Kawusi nigdy za wiele. – Gaszę szluga. – Wywalili cię z kancelarii? Czy może Merk padł na zawał i udało ci się zmyć?

– Szef po prostu dał mi wolne popołudnie. Pomyślałam, że zrobię ci niespodziankę. Wchodząc, zderzyłam się z mocnym towarkiem... – Robi chytrą minę. – Korciło mnie, żeby profilaktycznie wylać jej kawę na twarz. Uznałam jednak, że za bardzo kręca cię lalunie z bliznami. – Podchodzi do mnie.

– Lubię, kiedy jesteś zazdrosna. – Ostatni raz zerkam na obraz z apki, po czym blokuję telefon. – I kiedy mówisz o sobie „lalunia”.

– Znasz mnie, zawsze nazywam rzeczy po imieniu. – Upija łyk latte, po czym perfidnie rozsmarowuje językiem piankę po dolnej wardze.

– Nie jesteś rzeczą – mówię lekko drżącym głosem. Widok Dony tak prowokująco słodkiej, niemal niewinnej, a jednocześnie wyuzdanej sprawia, że robi mi się ciasno w spodniach. Jest gorąca, bez dwóch zdań. – I wcale nie przysłaś na kawę.

– Trafiona! Zatopiona! – Odstawia kubki na blat, z ramienia zrzuca torebkę i odsuwa mój laptop. – Przyszłam zrealizować fantazję. – Chwyta mnie za kolana i popycha z fotelem do tyłu.

Zatrzymuję się przy oknie, a ona zbliża się powoli, podciągając spódniczkę. Ma pistacjowe majtki. Klęka przede mną i uśmiecha się zalotnie. Jej wzrok jest pełny pożądania.

– Co to za fantazja? – pytam.

– Dowiesz się... – Zwinnym ruchem rozpina mi dżinsy. – Ale najpierw przeprowadzę szybkie śledztwo. – Zsuwa je razem z bokserkami do łydek.

– Jakie śle... – Kontakt jej ręki z moim penisem sprawia, że nie potrafię dokończyć.

Ściska go mocno, przygląda mu się uważnie, a potem głaska palcami, jakby był domowym zwierzakiem. Po chwili zaciska na nim wilgotne od błyszczyka wargi. Komplementuję jej ruch głośnym jęknięciem. Wreszcie czuję się fantastycznie.

Ostatnio za często wyobrażałem sobie Sonię. Idealizowałem ją, przez co oddaliłem się od Dony. Język blond piękności wędrujący po moim penisie, dłoń masująca mnie po udach i wargi puentujące doskonałość momentu sprawiają, że

znów doceniam swoją dziewczynę. Chcę, żeby chwila trwała, ale Dona, jakby czytając w moich myślach, złośliwie zmienia plany. Przerywa i łapiąc oddech, spogląda mi w oczy.

– Pan prezes nie wygląda na przepracowanego... – Uśmiecha się zalotnie. – Przeciwnie, jest gotowość do działania. – Wbija paznokiec w penisa. – Dobrze, bo inaczej bym ci go odgryzła – dodaje słodkim warkotem. – Wracając do mojej fanta...

Tym razem to ja nie pozwalam jej dokończyć. Chwytam ją za policzki, przyciągam do siebie i zatykam jej usta pocałunkiem. Smakuje mną i kawą. Wstajemy. Dona próbuje się oderwać, może chce opowiedzieć o swojej fantazji. Nie pozwalam. Łapie mnie za barki i odpycha, ale ja trzymam ją za tył głowy i jeszcze mocniej dociskam do siebie. Muszę ją czuć, przypominać sobie, że to ona jest teraz jedyną bliską mi osobą. Muszę znów przekonać samego siebie, że dokonałem słusznego wyboru. Dona to ideał. Przy niej mogę być, kim chcę. Z nią nie ma mroku, jest za to ludzka odmiana życia. Szalona, zabawna i seksowna.

Całuję ją łapczywie. Nasze zęby zderzają się, mój język goni jej, bo ten cały czas mi ucieka. Penis w tym czasie ociera się o jej udo. Dona chyba ma dosyć, wierci się już całą sobą, próbując skończyć nachalny pocałunek. Przypadkiem dotyka penisa majtkami. Moje ciało momentalnie przeszywa fala dreszczy przypominających promienie od laseroterapii, przez co rozdzielam nasze wargi.

Patrzę na nią. W jej rozmazanych oczach tańczą oczekiwanie, złość i podniecenie. Chce coś powiedzieć, ale wydaje z siebie tylko cichy pomruk, bo łapie ją za tyłek, podnoszę i pokonawszy krótki dystans, rzucam na biurko. Mocno uderza plecami w blat. Lądując, wymachuje rękami. Kawy i laptop kończą na podłodze.

Stoję przed nią, zachwycając się widokiem. Na jej udach pojawiło się mnóstwo kropel potu, podobnie na szyi i czole. Drżąc z podniecenia niczym prawiczek, ściągam jej majtki. Przykładam je do nosa, zaciągam się zapachem rozkoszy i wchodzę w Donę szybkim, bezwzględnym ruchem. Z jej ust wydobywa się wiązanka głośnych okrzyków. Zawsze jest głośna, uwielbiam to.

Zarzucam sobie jej nogi na ramiona, chwytam ją za biodra i przejmuję całkowitą kontrolę. Dociskam ją do siebie szybkimi ruchami, za każdym razem mocniej. Dona wije się po biurku, ręce wplata między włosy i krzyczy. W lewej dłoni cały czas ściskam jej majtki, jakby były trofeum przypominającym mi, że jestem myśliwym i zawsze zdobywam to, co najcenniejsze.

Nadziwam Donę na penisa coraz szybciej i szybciej. Nie wykonuję przy tym żadnych zbędnych manewrów. Pracują tylko ręce zakleszczone na jej biodrach. Po kilku minutach szalonej rajzy blond piękność czerwienieje na twarzy tak mocno, że skóra zbliża się kolorem do blizny. Uderza pięściami w biurko i spogląda na mnie wzrokiem przekrwionym jak po nurkowaniu. Dochodzi, wykrzykując moje imię.

Sam przybliżyłam się do swojej rozkoszy najbardziej, jak mogę, po czym rozłączam nas i wchodzę na biurko, klękając przed Doną. Ona chwytając penisa i w kilku ostrych ruchach doprowadza mnie do ekstazy. Orgazm jest obfity, moje ciało i zmysły stęskniły się za nią bardziej, niż przypuszczałem. Szczytuję na jej włosy, policzki i przede wszystkim wargi. Chyba jestem głośniejszy od niej. Nie mam pewności, bo z wrażenia gwizdże mi w uszach. Po wszystkim kładę się na biurku i patrzę, jak Dona schyla się do torebki, wyjmując chusteczki oraz butelkę wody i doprowadza się do porządku.

– Masz w sobie czytnik moich myśli – mówi tak cicho, że ledwie ją słyszę. Dwa mecze w odstępie kilku dni i szybki numer zorały jej gardło. – Właśnie to była moja fantazja.

– Walka o tlen? Przyznam, że sprytnie się uwolniłaś. – Macham majtkami przed jej nosem. – Miałaś tajną broń.

– Nie to, tylko ostro na prezesowskim biurku. – Śmieje się, mruży oczy. Wygląda przy tym cudnie. – Zapodaj faję. – Zabiera mi dolną część swojej bielizny.

– Ty nam zapodaj. – Schodzę z biurka. – Są w szufladzie razem z grzałką. Od razu odpal dwie.

– Chyba rozwaliłeś mną laptop. – Chichocze.

– Trudno, poleci amortyzacja środka trwałego i kupi się nowy.

Podciągam spodnie. Czuję nieprzeniknioną lekkość. W trakcie namiętnej podróży zapomniałem o całym pojebanym świecie. Liczyła się tylko najczystsza fizyczna potrzeba.

– Wyrwiesz się teraz z biura? Może skoczmy na pizzę? – pyta Dona.

– Brzmi smakowicie. Dorzucimy drineczki?

Naprawdę mam ochotę wyjść na miasto, olać problemy i upić się w samym środku dnia. Listonosz poczeka. Raczej nic dzisiaj nie wyśle, a nawet jeśli, i tak nie mam na to wpływu. Lepiej odurzyć myśli w towarzystwie Dony, niż stresować się w samotności.

– Niczego bardziej nie potrzebuję.

Blond piękność odpala dwie fajki. Gest, którego mi brakowało. Dobrze, że zaczęła jarać.

– Spalimy i lecimy. – Odbieram od niej szluga, wyjmuję telefon z kieszeni i sprawdzam apkę. Tak dla czystego sumienia. – O kurwa! – drę się na cały regulator, choć powinienem zachować spokój, ale widok na ekranie sprawia, że nie umiem nad sobą zapanować.

Bmw Listonosza stoi w dziupli na Balickiej.

## 26

– Kuba, coś się stało? – pyta z wyraźną troską Dona.

Jestem tak zaskoczony tym, co zobaczyłem, że nie umiem tego ukryć. Przez głowę przetacza się lawina dziwnych myśli. Prawie każda próbuje zmienić się w odpowiedź na pytanie: czemu Listonosz nagle pojechał na Balicką? Opcje są różne. W dziupli ma materiały dotyczące Soni i szykuje wiadomość dla mediów. Koledzy z branży odkryli, że sypie, ściągnęli go tam i teraz mu się odwdzięczają. Co zrobią, jeśli dowiedzą się, kim była Bestyjeczka?

– O co chodzi? – Blond piękność próbuje zajrzeć mi przez ramię.

Instynktownie blokuję ekran. Uspokajam się nieco, do głosu dochodzi racjonalność. Jest trzynasta, Arak powinien siedzieć na siłowni jeszcze przez dwie godziny. Tymczasem przerwał trening i w podskokach dotarł do dziupli. Gdyby chodziło o list, dokończyłby ćwiczenia i dopiero potem zajął się robotą. Koledzy też nie wywlekliby go z fitness klubu w biały dzień, przy świadkach. Prędzej trafił mu się kurs.

– Kuba... – Moja dziewczyna dopomina się o uwagę.

Wiem, że jest świetna i że muszę o nią zadbać, zanim postanowi zmienić obiekt, któremu poświęci się równie intensywnie, co mnie, ale nie skupię się na niej, nie pomściwszy Bestyjeczki. Z balastem w postaci Klary sobie poradzę. Radzę sobie z nią od zawsze.

– Z pizzy nici... – Robię smutną minę. – Przyszła wiadomość od jednego gościa, który zajmuje się giełdą i chce wynająć u mnie dwa biura. Właśnie zaproponował

biznes lunch. Za godzinę – dodaję z niesmakiem i gaszę fajkę. – To tak zwany klient nie do odrzucenia, muszę go urobić.

Dona nie zna szczegółów moich interesów. Stwarza to duże pole manewru.

– Pojadę z tobą! – W jej zdartym głosie słychać entuzjazm. Gasi fajkę i splata ręce na mojej szyi. – Chały ci nie narobię, a chcę być częścią każdego aspektu twojego życia. Chcę być twoją dziewczyną, kochanką i przyjaciółką. – Przejeżdża wargami po moich ustach. – Jedziemy?

Całuję ją w odpowiedzi. Gram na czas, bo nie mam pojęcia, jakiej wymówki użyć. Nie chcę się tłumaczyć jak gówniarz przed matką, chcę po prostu odwieźć ją na chatę i zrobić swoje. Z Sonią nie miałbym tego problemu...

– Gość proponuje spotkanie we dwóch, a to oznacza tylko ja i on! – Wkurwiła mnie ostatnia myśl, dlatego drę się jak skończony cham. – Nie bądź nachalna, Dona!

– Nachalna?! – Cofa się o krok. – Pozwalam ci grzebać w swoich rzeczach, gadam o Soniaczce i kutasie, z którym się gziła, tylko po to, żebyś mógł poczuć się lepiej, a ty nazywasz mnie nachalną?! – Jej wywód przerywa pukanie do drzwi oddzielających strefę właścicieli od reszty biurowca. – Kto to? Następna kandydatka na asygentkę? – nie kryje uszczypliwości.

– Nie wiem. – Ktokolwiek to jest, uratował mnie przed grubszą kłótnią, a co za tym idzie, stratą czasu. – Spławię go i muszę jechać.

– Mnie też spławiasz. – Słychać żal w jej głosie.

– Odkujemy się w weekend.

– Wyczesanie... – Dona zgarnia torebkę i rusza za mną.

Razem wychodzimy z mojego biura, które zamykam, na wypadek gdyby Remigiusz Wodziński jednak wrócił, i idziemy do drzwi. W progu czeka chłopak w podobnym wieku co Dona. Ma krótkie kręcone włosy, okrągłe bryle, szpakowaty nos i twarz pokrytą bruzdami. Ubrany jest w szary garnitur. Pod pachą trzyma neseser.

– Pan Kuba Sobański? – pyta, gapiąc się na nas z zaciekawieniem.



W trakcie igraszek blond piękność pogmiotła ciuchy, włosy ma rozczochrane, błyszczak rozmazał jej się od górnej wargi po sam nos. Ja prezentuję się nie lepiej. Zniszczona fryzura, przepocona koszulka. Widać, że właśnie skończyliśmy bzykanko.

– Tak. A ty to kto?

– Jerzy Wilk, aplikant z kancelarii notarialnej Tomasza Baszczyńskiego – mówi grzecznym, zahaczającym o dupowłazstwo tonem.

– Pierwszy raz słyszę. Coś się stało? – Mógłbym go spławić, ale jeśli jest ambitnym aplikantem pokroju Dony, łatwo nie odpuści. Szybciej będzie wysłuchać, co ma do powiedzenia.

– To sprawa poufna. Mogę mówić przy pani? – Rzuci wymowne spojrzenie mojej dziewczynie, która w tej chwili nie przypomina pracownicy najlepszej kancelarii w mieście. Bliżej jej do laluni wyrwanej z dyskoteki przez rozpustnego szefa biurowca.

– Jasne, tylko się streszczaj.

– Otóż... – Robi nieśmiało pół roku w przód. Liczy, że zaproszę go do środka. Nie ruszam się z miejsca. – Mój szef dokonał otwarcia i ogłoszenia testamentu Soni Wodzińskiej. Zgodnie z przepisami ma obowiązek zawiadomić o tym osoby, których rozporządzenia testamentowe dotyczą. Pan jest taką osobą.

Czuję nacisk w gardle, jakby ślina zmieniła się w beton i zaschła podczas przełykania. To stres przed nieznanym. Sonia ujęła mnie w testamencie. Nawet nie wiedziałem, że jakiś miała. Myślałem, że polisa stanowiła jej jedyną broń. I chyba faktycznie tak jest, skoro w progu stoi młody Jureczek, a nie oddział antyterrorystów. Bestyjeczka postanowiła coś mi zostawić. Możliwe, że sporządziła testament w ostatnich dniach życia. Może świadoma zagrożenia ukryła w nim tożsamość Listonosza? Znając jej ciągotę do gierk prowadzonych z zaświatów, jest to możliwe.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Kogo jeszcze obejmują te rozporządzenia? – Cokolwiek urodziło się w szalonej główce Bestyjeczki, może dotyczyć nie tylko mnie.

– Przykro mi, nie jestem upoważniony do udzielania takich informacji. Chciałbym natomiast zaproponować termin odczytania testamentu na przyszły czwartek, godzina dwunasta w kancelarii. – Wyjmuje wizytówkę. – Tu ma pan adres. Czy pasuje panu termin?

– Pasuje – odpowiadam i chowam ją, nawet nie zerknąwszy na dane.

– Wspaniale. – Nie wiem, co w tym wspaniałego. – Będę potrzebował pana podpisu na dokumencie potwierdzającym, że został pan przeze mnie zawiadomiony.

Podpisuję, Wilk sprawdza mój dowód w aplikacji obywatela, żegna się i idzie do windy. Czekam na korytarzu, nie chcę z nim jechać. Dona stoi obok mnie.

– No to Soniaczka zaszalała – syczy jak żmija. – Nawet po śmierci więcej spraw łączy cię z nią niż ze mną, zupełnie jakbym była miłym dodatkiem do twojego życia. – Początkowo faktycznie miało tak być. – Nawet przed klientem wstydzisz się ze mną pokazać... – Czuje się coraz bardziej pomijana. To kolejny problem, który muszę rozwiązać. Najlepiej szybko.

– Skarbie, dzisiaj naprawdę nie mogę wziąć cię ze sobą, ale jeśli chcesz, pojedziemy razem na odczytanie testamentu. – Nie mam wyjścia, muszę coś jej dać. – Nawet gdyby cię nie wpuścili, od razu po wyjściu pokażę ci dokumenty. Tylko zrozum, pewne sprawy załatwiam sam. A tak w ogóle kocham cię. – Używam słów, które zmiękczejają wrażliwe serduszka, automatycznie rozwiązując problemy drapieżników.

– Nawzajem. – Dona całuje mnie w policzek. – Zanim pójdziesz kosić szmal, odwieziesz mnie do Galerii Krakowskiej?

– Poczekaj... – Stojąc naprzeciwko niej, wydaję telefon i sprawdzam apkę. Bmw nie ruszyło się z Balickiej. Jeśli Arak rzeczywiście pojechał po towar, wróci w nocy. Powinienem od razu tak założyć, zamiast się spinać. Spokój to podstawa w walce z rywalem pokroju Listonosza. – Załatwione. Napisałem mu, że spóźnię się piętnaście minut. Jedziemy.

– Świetnie, bo musimy porozmawiać.

Takie słowa padające z ust pięknej kobiety zwykle nie oznaczają niczego dobrego.

\*\*\*

– Wczoraj Szyszka jeszcze raz wezwała mnie na przesłuchanie – wali sensacją Dona, gdy tylko wyjeżdżam z parkingu. – Nie mówiłam ci, bo wyniknęło to nagle. Zadzwoiła i spytała, czy mogę przyjechać. Akurat kończyłam pracę, więc mogłam. Sorki.

Mam ochotę zwyzywać ją za idiocstwo, jakim było pójście na policję bez wcześniejszej konsultacji ze mną. Sęk w tym, że Dona nie jest Sonią, więc nie mogę tego zrobić. Ona nic o mnie nie wie.

– Spoko, rozumiem. Czego chciała? – Zamiast szczerzej złości pokazuję sztuczne zatroskanie.

– Według mnie utknęła w martwym punkcie. Poprzednio zeznałam, że z Soniaczką nie gadałyśmy od incydentu w Full House i nie wiem, co się z nią działo. Teraz chciała głębszej retrospekcji. – Nie podoba mi się to, co mówi. – Chciała też wiedzieć, dlaczego według mnie oddała ci pół biurowca.

– Co powiedziałaś?

– A jak myślisz?! – Jest oburzona. – Oczywiście, że dała ci Future z wdzięczności za zabicie gwałciciela i sama mi o tym mówiła, kiedy jeszcze siedziałeś. Przecież nie powiedziałam, że dostałeś nieruchomości, bo Sonia miała na twoim punkcie pierdolca! – Całe szczęście. – Znów dopytywała o szramę. Po raz drugi wyjaśniłam, że stanowi wypadkową naszych kos i narkotykowych problemów Wodzińskiej, choć niektórzy uważają, że to zazdrość, ale przecież sensacyjne plotki zawsze lepiej brzmią niż prawda! Naturalnie wyłożyłam jej to spokojniej niż teraz tobie. – Śmieje się ochryple. – Byłam przekonująca. Powiedziałam, że odkąd zaczęliście razem pracować, przestaliście się przyjaźnić, a wasze przelotne romanse to prehistoria, co już dawno sama zweryfikowała. Dbam o nas, Kuba, chcę, żebyśmy mieli jak najmniej problemów. Jeśli wiem coś, co jest niewygodne, zachowuję to dla siebie.

Zastanawiam się, do czego Szyszce taka wiedza. Mam żelazne alibi, Dona też. Chyba naprawdę jest zdesperowana.

– Szyszka wie, że jesteśmy razem. Niekoniecznie musi ci wierzyć.

– *Si*, ale potem przeszliśmy do koleśki, którzy przez lata miziali się po klubach z Soniaczką. Głównie po to mnie ściągnęła. Gadka o tobie stanowiła przystawkę. Bardziej interesowało ją, co robiłyśmy na studiach, z kim się spotykałyśmy i tak dalej. Podałam kilka nazwisk. Korciło mnie, żeby zasugerować dalsze trzymanie się czatów, niestety nie mogłam, w ten sposób sprzedałabym Dorianą.

– Niby koleśki z przeszłości to ślepy zaułek, ale przyznasz, że twój znajomy z pogrzebu zainteresuje panią podkomisarz... – Chcę brzmieć luzacko i nie dać poznać, jak bardzo się spinam. Nawet wychodzi.

– Niiieee, Kuba, słowem się o nim nie odezwałam. – To najpiękniejsze, co dziś słyszę. – W tamtych czasach bujaliśmy się praktycznie tylko w czwórki, nazywaliśmy się ferajną. Paweł to wymyślił... – Znów smutnieje na wspomnienie byłego faceta. – Szyszka w życiu sama nie dojdzie do tego, że Soniaczka chodziła z Arakiem, a ostatnie, czego mi brakuje, to sklepanie policji z koleśkami z półświatka. Mówiłam ci, od nich trzymam się z daleka. Pochowałam już jednego faceta. – Choć się stara, nie potrafi ukryć bólu. – Nie chcę pochować ciebie ani sama skończyć w urnie. Poza tym Michał jest gnidą, ale nie obcina kobietom głów.

– Masz rację, trzymajmy się od nich z daleka.

Słońce ma się ku zachodowi. Siedzę w salonie i kończę czytać list od Bestyjeczki. Wyobrażam sobie, jak w praktyce wyglądałaby jej wizja, według której mieliśmy się razem zestarzeć i zabijać, kiedy tylko przyjdzie nam na to chęć. Jeszcze miesiąc temu wcale tego nie chciałem. Teraz oddałbym wiele, żeby zmienić połowę decyzji podjętych po wyjściu z więziennego czyścica. Wiem, że zdręczanie się nic nie da, ale chcę czuć ból połączony z tęsknotą. Chcę przypominać sobie najlepsze chwile z Sonią, torturować się świadomością, że już nigdy z nikim nie będę szczery, cierpieć po stracie bliskiej osoby, dobijać się niemocą i jednocześnie karmić swoją nienawiść.

– Dziś cię pomszczę, mała – zwracam się do Soni i znów zagłębiam się w treść listu.

Nie wiem, czy dam radę o niej zapomnieć, ale zrobię wszystko, żeby tak się stało. Ewentualnie spróbuję ją wspominać jak coś dobrego, lecz krótkotrwałego, zbyt pięknego, żeby było prawdziwe.

Chowam list do koperty i wkładam do sejfu. Nigdy więcej nie zamierzam go czytać, ale nie mógłbym go wyrzucić. Zakładam bluzę, resztę akcesoriów oprócz maski i rękawiczek mam na sobie. Wypalam fajkę na tarasie, obserwując panoramę Krakowa, i wychodzę. Przemierzam tę samą trasę, co w zeszłym tygodniu, lecz znacznie pewniejszym krokiem. Wtedy szedłem na ślepo, nie wiedziałem, co mnie czeka. Dziś jestem spokojny. Zdobyłem informacje, mam plan. Wiem, co zrobić, żeby nie ponieść konsekwencji.

Wcześniej, po odwiezieniu Dony, przespacerowałem się po Balickiej. Na terenie otaczającym dziuplę panował spokój. Citroëna nie widziałem, ale nie wchodziłem na posesję. Ruch był zbyt duży. Teraz jest pusto. Po ciepłym maju zaczął się zaskakująco znośny czerwiec. Nie ma upałów, dni są co najwyżej ciepłe. Noce przynoszą chłód, więc ludzie znikają w domach, klubach, kawiarniach czy kinach. Spacerowanie po zachodzie słońca nie należy do najprzyjemniejszych. Korzyść dla doświadczonego myśliwego.

O dwudziestej pierwszej trzydziści na chodniku przy Balickiej nie ma nikogo. Mogę swobodnie włożyć maskę i rękawiczki, potem, gdy ulica jest czysta, przerzucam plecak za bramę i wchodzę przez żywopłot. Będąc po właściwej stronie, od razu idę na tyły. Tak jak przypuszczałem, nie ma Citroëna. Poprzednio Listonosz wrócił po dwudziestej drugiej, a wyjechał wcześniej. Zakładam, że jeszcze długo go nie będzie. Kładę plecak za stosem desek, wydaję najpotrzebniejsze rzeczy i czekam.

Oczekiwanie dziś mnie nie denerwuje. Przeciwnie, mam czas, żeby zwiualizować atak, delektować się tym, co nastąpi. Ta noc jest przełomowa. Po niej zajmę się Doną, będę korzystał z uroków życia, a przede wszystkim zaspokoję demona Klary. Gdy znajdę odpowiednią, wrócą spokojne sny, a wraz z nimi normalność. Długie i przyjemne wizje kończy blask świateł.

Kucam po prawej stronie przedniej maski bmw, które stoi tak jak poprzednio. Tył minimalnie wystaje za róg prowadzący do bramy. Arak wjeżdża na posesję. Słyszę, jak otwiera, a potem zamyka bramę. Zaraz zaparkuje obok beemki. Wtedy przemieszczę się wzdłuż auta, okrążę je i zaatakuję go od tyłu, kiedy będzie wysiadał z Citroëna.

Jestem strasznie nabuzowany. Nienawiść uderza do głowy mocniej niż kokaina. Wydaje mi się, że całe moje ciało zmienia się w stal, a mózg w supersprawy komputer zaprogramowany na jedno. Ściskam trzonek tasaka do cięcia mięsa i kości, który solidnie naostrzyłem. Widzę przednią maskę Citroëna, schylam się, żeby Listonosz mnie nie dostrzegł. Czekam, aż zaparkuje jak poprzednio, ale on staje

wzdłuż podjazdu i gasi furę. Drzwi pasażera w jego aucie zrównują się z bagażnikiem bmw.

Natychmiast przylegam ciałem do ziemi i obserwuję teren spod podwozia beemki. Arak ciągle siedzi w aucie. Po chwili słycać metaliczny trzask. Pod podwoziem citroëna, na wysokości bagażnika, wyskoczyła zapadka. Pewnie uruchomił ją z wnętrza samochodu. Zaraz po niej wyskakuje kolejna, na wysokości fotela kierowcy. Samochód jest profesjonalnie przerobiony pod przemyt, a Listonosz nie zawiózł towaru do magazynu. Widocznie nieobecność tego całego Harcerza spowodowała zmianę planów.

Gdy na trawniku pojawiają się stopy, przesuwam się za lewe koło bmw. Z tej pozycji Listonosz nie zobaczy mnie, kiedy schyli się po towar. Ja też go nie widzę, ale mogę nasłuchiwać. Słyszę trzask drzwi. Wiedząc, co się kroi, odliczam sekundy. Po czterdziestu słycać uderzenie, a po kolejnych trzydziestu skrzypot nienaoliwionych zawiasów. Wyglądam zza koła. Tylna zapadka w citroënie jest zamknięta. Arak zabrał towar i zanosz go do domu. Zaraz wróci po resztę.

Schylam się i czekam. W powietrzu dominuje cisza przecinana dźwiękami wydawanymi przez owady. Arak potrafi poruszać się dyskretnie, ale w końcu zdradza go chrupot stóp o żwir. Idzie po towar. Odliczam czas. Po dwudziestu sekundach wstaję. Odsuwam się od bmw i ruszam do przodu. Po kolejnych kilku sekundach mijam przednią maskę citroëna i stoję przed nogami Listonosza. Reszta jego ciała znajduje się pod samochodem. Nie spodziewa się mnie, jest skoncentrowany na wyjmowaniu paczki. Mogę zrobić z nim wszystko, mimo to czekam.

Myślę o Soni, o możliwościach, które straciłem, o jej poświęceniu, próbach naprawienia błędów i błagalnych prośbach o wybaczenie. Odrzuciłem je, przez co pierwszy raz od czasu sprzed wyroku poluję samotnie. Coś, co jeszcze niedawno jawiło się jak marzenie, teraz jest przekleństwem.

Listonosz wyrzuca paczkę spod auta, zamyka zapadkę, przekręca się na brzuch i zaczyna wyczołgiwać się spod citroëna. Widzę cały jego korpus. Ma dzinsy i bawełnianą bluzę opiętą na muskularnej sylwetce. Pojawia się też głowa. Mój

rywal klęka, wstając. Nienawiść zaczyna rozrywać mnie na pół. Dłużej nie wytrzymam.

Uderzam go trzonkiem tasaka w środek pleców. Kilka razy, mocno. Arak wydaje dźwięki przypominające walkę z nadciągającymi wymiotami. Uderza czołem o drzwi bmw. Nie próbuje się bronić, bo nie ma ku temu okazji. Po szybkim szturmie na plecy celuję w potylicę, potem gdzieś w bok czaszki. Zamroczony Listonosz pada twarzą na ziemię. Tak jak przypuszczałem, blitzkrieg się opłacił, ale nie święcę jeszcze triumfu. Przeciwnik jest duży, doświadczony i nie brak mu odwagi. Żeby zdobyć całkowitą przewagę, odrzucam tasak, klękam na lędźwiach Listonosza, wyginam mu ręce i spinam nadgarstki opaską zaciskową wyjętą z kieszeni bluzy.

– Wiesz, dla kogo robię? – Arak szybko się ogarnia. Mimo związanych rąk wierci się na boki i wymachuje nogami, próbując mnie zrzucić niczym koń kowboja na rodeo. – Głupio okradać Harcerza!

– Stul pysk! – Walę go pięścią w tył głowy.

Nurkuje ryjem w trawie. Lewą ręką wyjmuję z bluzy knebel. Chwytam Listonosza za włosy, podciągam do góry i wpycham ustrojstwo w jego gębę.

– Tak lepiej – mówię, zaciskając wiązanie na policzku.

Wciąż wierzga, nawet udaje mu się sprzedać mi kilka kopniaków w plecy. Jego determinacja jest godna podziwu. Chwytam tasak i uderzam go trzonkiem w udo. Potem kucam nad nim i celuję mu w dupę. Arak napina się jak pasek w rękach ojca sadysty przed złaniem dziecka, wyje w knebel, stopami uderza o ziemię.

Kiedy trochę się uspokaja, lewą ręką macam go po pasie, brzuchu i kieszeniach. Nie ma spluwy, nie ma noża. Jak na profesjonalnego przemytnika przystało, nie ryzykuje frajerskiej wpadki podczas kontroli. Ma przy sobie dwa telefony, niqutin i kluczyki od beemki. W międzyczasie znów zaczął się szarpać i kopać, potwierdzając, że jego próg bólu jest bardzo wysoki.

*To dobrze, będzie zabawniej* – pod czaszką przewija się uroczy głos Bestyjeczki. Brakowało mi go.



Uśmiecham się na myśl o tym, co przed nami, i wyjmuję kolejną opaskę zaciskową. Dłuższą. Spinam mu nią nogi w kostkach, po czym wstaję. Arak przewraca się na plecy. Nos mu krwawi, czoło ma brudne od ziemi i trawy, w jego oczach wiruje furia. Nie boi się mnie.

– Zapłacisz za nią, skurwielu – z moich ust wydobywa się cichy rumor.

Listonosz wreszcie zastyga w szoku. Rozpoznał mnie po głosie. Próbuje coś wyrzeźbić w knebel. Jego wzrok płonie z wściekłości, nie widać ani grama strachu. Jest twardzielem, ale zaraz zmięknie. Kopię go w jaja i idę po plecak. Kiedy wracam, leży w miejscu. Wie, że w tej chwili nie ma szans na obronę. Oszczędza siły, bo zdaje sobie sprawę, że gdybym chciał go zabić, już byłby martwy. Chwytam go za kostki i ciągnę przez trawnik do domu. W przedpokoju z podłogi wystają metalowe drzwi przypominające właz. Prowadzą do podziemi.

– Schron, milusio – stwierdzam radośnie i zaglądam do środka.

Jest mały, ma jakieś siedem metrów kwadratowych, oświetlają go ledówki przyłączone do sufitu. Podłoga jest pokryta metalem, ściany wyłożone folią aluminiową. Chyba służy to do blokowania zasięgu w telefonie. W tylnej części pomieszczenia stoją trzy niskie pojemniki z czarnego szkła. Na pewno szczelne, pozbawione dostępu do tlenu. W sam raz do krótkotrwałego przechowywania narkotyków. Być może dziupla służy za minimagazyn. Przy jednym z pojemników leży szara paczka z logo Vinted rozmiarów czterech pudełek na buty, druga, identyczna, została na zewnątrz.

Chwytam Listonosza za nogi i zrzucając na dół, jakby był workiem pełnym piasku. Upada brzuchem na podłogę.

– Szykuj się na ból – mówię i wychodzę.

Na zewnątrz zabieram mój plecak, zgarniam komórki, paczkę z towarem i wracam do środka. Wszystko zostawiam w przedpokoju. Na dół schodzę tylko z tasakiem.

– Wizualizowałem tę chwilę. Gdy nadeszła, nie wiem, od czego zacząć... – Krążę wokół niego, drażniąc swą nienawiść. Arak pełza jak dżdżownica, błądzi za

mną wzrokiem. – Chyba tak będzie dobrze, co?

Schylam się i trzonkiem zaczynam walić w jego prawe kolano, jakbym chciał skruszyć lód na rzece. Arak unosi się w spazmach bólu, oczy prawie wyskakują mu z orbit, jego twarz robi się blada, przez co lepiej widać siniaki i otarcia na czaszce. Biję dalej. Ręka mnie piecze, pocę się pod maską, w końcu udaje mi się wgnieść kolano do wewnątrz. Nogawka Listonosza przesiąka krwią, noga podryguje jak galaretką.

– To był spokojny początek – mówię, łapiąc oddech. Pokieraszowanie ludzkiego kolana kosztowało sporo energii. – Teraz chcę, żebyś się przyznał. Kiedy zdejmę knebel, powiesz mi prawdę, dobra? – pytam tonem kumpla proponującego partyjkę darta, której stawką jest rachunek za nocną imprezę.

Arak sapie jak parowóz i mruga oczami.

– No to spróbujmy. – Odpinam knebel. – Mówisz od razu albo kontynuujemy – ostrzegam, wyjmując kulkę z jego ust.

– Błagam, Sobański, przestań! – Głos Listonosza jest przesiąknięty cierpieniem.  
– Przyznaję! To ja zrobiłem Donie krzywdę!

W pierwszej chwili wydaje mi się, że odurzony nienawiścią mózg poprzestawiał imiona. Ale tak nie jest. Listonosz przyznał się do skrzywdzenia blond piękności. Kompletnie tego nie rozumiem, jednak nie zamierzam pokazywać mu swojego zaskoczenia.

– Szczegóły – mówię beznamiętnym tonem.

Być może zabójca Bestyjeczki ma więcej grzeszków na sumieniu, a ja jestem prawdziwym bohaterem uwalniającym świat od zła. To byłaby ironia losu.

– Nie chciałem! Kurwaaa, nie chciaaaaaemmm! – Krzyk Araka przechodzi w bolesny jazgot. – Nie miałem innego wyjścia!

– Szczegóły. – Naciskam trzonkiem tasaka na rozbite kolano.

– Powiem, tylko przestań! – Arak wyje, oczy wypełniają mu łzy.

Jego krzyki mnie nie martwią. Schron wygląda na dobrze wyciszony. Mafia stworzyła wspaniałe warunki do zaznawania satysfakcji. Zostawiam jednak jego kolano. Mocno oberwał, jego czoło zalewa się potem, robi się coraz bledszy. Nie chcę, żeby się przekreślił z bólu. To byłaby łaska.

– Spotkałem ją w Sun... – Zamyka oczy, oddycha coraz wolniej i ciężiej. – Spory czas po rozstaniu z Soni... – Nie jest w stanie dokończyć. Odpływa. Niedobrze, ale mam pomysł.

Podchodzę do szarego kartonu, który leży przed słoikiem. Wyjmuję spod bluzy nóż, rozcinam papier. W środku na wierzchu leżą ciuchy, pod nimi są pudełka z klockami LEGO. Wyjmuję pierwsze i rozrywam. Dostrzegam duże foliowe worki z proszkiem. Sądząc po mieniących się kryształkach, to śnieg w najczystszej postaci,

gotowy do rozrobienia. Rozcinam worek i wysypuję trochę towaru na rękawiczkę. Wracam do Listonosza, który oddycha powoli z zamkniętymi oczami.

– No już, lecimy. – Wcieram mu kokainę w dziąsła. Gnie się, trochę kaszle i obślinia mi rękawiczkę. Oddech od razu mu przyspiesza, otwiera oczy. – Znieczulam cię i pobudzam, ale jeśli nie zaczniesz gadać, zadam ci ból, z jakim nawet morfina sobie nie poradzi.

– To był klub Sunshine. Ludzi od zajebania, straszna ciasnota. Dona przysłała sama, totalnie nawalona, ponoć zgubiła koleżanki w innym lokalu! – Czysty śnieg działa. Arak krzyczy, jego oczy zrobiły się szkliste. – Miałem łoże z kilkoma chłopakami z branży. Dosiadła się do nas... – Urywa.

– Co dalej? – ponaglam, bo efekt draga może być chwilowy. Listonosz stracił sporo krwi, nie wiem, jak długo jeszcze pociągnie.

– Wpadła w oko Wolciakowi, to śmieć, który nie prosi, tylko bierze. – Robi przerwę na unormowanie oddechu. – Dzień wcześniej sprowadziliśmy partię pigułek z GHB.

Wiem co to. Kwas gamma-hydroksymasłowy. Pigułka, która go zawiera, nie ma smaku ani zapachu. Na początku powoduje wzmożoną aktywność i pobudzenie seksualne. Potem osoba, która ją przyjęła, staje się bezwolna i uległa. Nie broni się, wykonuje polecenia, aż w końcu traci przytomność. GHB powoduje też amnezję wsteczną i znika z organizmu po kilkunastu godzinach. To doskonała substancja do odurzania, trudno dostępna.

– Kiedy Dona poszła się wylać, Wolciak wsypał jej to do drinka... O kurwa! – Dzięki kokainie Listonoszowi udaje się unieść głowę i spojrzeć na swoje kolano. – Błagam, zawieź mnie do szpitala albo chociaż do weterynarza. Jutro rano chłopaki przyjadą po towar. Jeśli się skapną, co tu zaszło, zabiją nas obu, pojebańcu!

Naćpany zdradza bezcenną informację. Wiem, że do rana nikt nam nie przeszkodzi. Wcześniej obawiałem się, czy Arak nie przyjechał na przekazanie towaru. Nienawiść sprawiła jednak, że zbagatelizowałem tę myśl.

– Ostatnia szansa. – Pokazuję mu trzonek tasaka.

– Chciałem ocalić Donę, przysięgam!

– W tej chwili przysięgłbyś, że na imię ci Legion, bo jest was wielu.

– Nie, to nie tak. Serio chciałem jej pomóc. Sabinowska jest spoko, nie mogłem pozwolić, żeby Wolciak ją zgwałcił! Nie jestem skurwysynem jak on...

– Co zrobiłeś? – pytam, żeby przyspieszyć jego spowiedź, bo się zawiesza.

– Kiedy Dona łyknęła napój, Wolciak ruszył do klopa zarezerwowanego wyłącznie dla VIP-owskich łóż. Chyba chciał przygotować sobie kabinę. Mówię ci, to bydlę. – Robi przerwę, kręci głową. Nos ma przekrzywiony. Lecą z niego smarki zmieszane z krwią. – Wykorzystałem moment i zawiąłem nadaktywną Donę z klubu. Nie miała oporów, żeby ze mną wyjść. Całe szczęście, bo zanim dopchaliśmy się do szatni, jej aktywność minęła. Ledwie stała na własnych nogach...

– Gdzie pojechaliście?

– Boli... Dasz mi jeszcze?

Wkładam mu do rzyja kolejną działkę. Dygocze przy tym, krztusi się, ale utrzymuje koncentrację.

– Zawiozłem ją do mnie, gdzie padła. Rano zamierzałem ją opierniczyć i wyjaśnić, że siedzę w tej samej branży, co Paweł, i lepiej trzymać się ode mnie z dale... – Jego ciałem wstrząsają dreszcze. – O chuj, jak trzepie!

– Nie obchodzą mnie twoje śniegowe wrażenia. – Kopię go w stopę. – Do rzeczy!

– Zrobiłem drinka, włączyłem muzykę i siedziałem sobie przy niej. Wtedy zadzwonił Wolciak. Powiedzieli mu, że zgarnąłem Donę. Był wkurwiony, w ogóle nie chciał mnie słuchać, zagroził, że za karę mnie przecweluje. Garował dychę, miał różne przejścia, nie rzucał słów na wiatr.

– Wzruszające... – Naciskam tasakiem na zmiażdżone kolano.

– Aaaaa, przecież gadam!

– Szybciej przechodź do konkretów! – Nie wiem, jak długo śnieg utrzyma jego łeb na fali, a muszę jeszcze porozmawiać o Soni.

– Żeby go jakoś udobruchać, podciągnąłem nieprzytomnej Donie kieczę, zdjąłem jej majtki... – Przekręca głowę w bok. Nie chce na mnie patrzeć.

– I co? – pytając, czuję ciarki na plecach. Listonosz z pewnością gotów był zrobić wiele, żeby przetrwać.

– Wsadziłem jej butelkę... – Zamyka oczy, czekając na cios, ale ja nie reaguję. – Tylko raz, przysięgam! Zrobiłem zdjęcie i wysłałem Wolciakowi z podpisem: „sorry brachu, stworzyłeś okazję, a mam wysublimowane fantazje i nie mogłem się oprzeć. Następnym razem ja stawiam”. – W jego oczach strach zastąpiła złość. Arak ma do siebie żal o to, co zrobił. – Podziałało. Odpisał, że mu zaimponowałem. Tylko potem serio musiałem w ramach rewanzu dosypać proszek do drinka innej laski. Wolciak kazał mi wybrać dziewczynę, który którą zgwałci. Na szczęście w kiblu był monitoring, o którym nie wiedział. Wpadł i poszedł siedzieć. Nie sprzedał mnie psom.

Gotuję się z nienawiści, jakby moje ciało było czajnikiem, a krew wodą. Ze wszystkich ludzi, którzy mieli okazję poznać moje prawdziwe oblicze, tylko Klara bardziej niż on zasługiwała, żeby zdechnąć.

– Śmieciu! – Trafiam tasakiem w zdrowe kolano Araka.

– Dobra, już mówię wszystko! – Wygina się, nawet daje radę wyprostować na moment plecy. – Wolciak odpisał, co jeszcze mam z nią zrobić, żeby mi uwierzył. Musiałem... – Milknie.

Biorę zamach i celuję tasakiem w jego jaja.

– Musiałem wysłać filmik z moim finiszem! – drze się, jakby siła natężenia jego krzyku decydowała o tym, czy wbiję ostrze w jego przyrodzenie. – Wsadziłem wacka do jej ust, zrobiłem sobie nią laskę! Nagrałem same jej wargi i zęby, przysięgammm! – krzyczy tak głośno, jakby zderzenie strun głosowych miało go ocalić. – No kurwa, przepraszam. Wiem, że to twoja... Kuba! – Nie podoba mi się, kiedy wymawia moje imię. – Walczyłem, żeby przetrwać! Rozumiesz?

– Nie.

Nikt nie kazał Arakowi molestować nieprzytomnej dziewczyny. Znając zamiary Wolciaka, mógł go zaatakować w klubie. Mógł go pobić, połamać mu kończyny, wsadzić na wózek inwalidzki albo nawet zabić. Ratując w ten sposób Donę, zyskałby pogłos u szczytów mafijnej hierarchii.

– Dona sama przylazła do tego klubu i sama mu się nawinęła. Mogłem ją olać, praktycznie się wtedy nie widywaliśmy. Tylko że gdyby Wolciak się do niej dobrał, byłoby o wiele gorzej...

Użala się, a ja myślę o Donie. Starcie z Listonoszem może być silniejszą traumą niż śmierć chłopaka, bo wymierzona zarówno w psychikę, jak i w ciało. Może mieć przebliski z tamtej nocy, stąd jej niechęć do Araka i strach przed jego środowiskiem. Dlatego tak chętnie mi o nim opowiadała. W pewnym sensie zrzucała z siebie ciężar, dzieląc się historią oprawcy, choć twierdziła, że robi to dla mnie. Równie dobrze mogę się mylić. GHB to mocny środek.

– Po wszystkim najebany odwiozłem ją pod dom jej starych i zostawiłem na trawniku – nawija dalej nakręcony koką Arak. – Rano miała obudzić się z kacem, bolącym krokiem i smakiem fujary w ustach, zastanawiając się, co i z kim odjechała. Ona ciągle lansowała się po klubach, grzała jak nienormalna, z wieloma flirtowała i każdego olewała. – Pluje krwią. – W trakcie otworzyła oczy, ale po sekundzie odfrunęła. Nie sądziłem, że coś pamięta. Widziałem ją potem dwa razy, za każdym krzywo na mnie patrzyła. Powinno mi to być dać do myślenia...

– Nie wiem, czy Dona coś pamięta.

– Co? To czemu mi to robisz?

– Bo jesteś Listonoszem. – Kucam nad nim. Nienawiść w moim ciele osiąga temperaturę wrzenia. – Opowiesz mi teraz wszystko. Chcę wiedzieć, w którym momencie ją rozszyfrowałeś, czemu wysyłałeś jej listy, czemu tak ją męczyłeś i najważniejsze – przykładam trzonek do zdrowego kolana – dlaczego odrąbałeś jej głowę!

Powinienem się powstrzymać, dać mu chwilę na wyplucie kolejnego gówna, jakiego się dopuścił, ale potrzeba upojenia jest zbyt silna. Uderzam trzonkiem

w kolano. Bolesny skowyt Araka jest niczym najpiękniejsza ballada opowiadająca o zadośćuczynieniu. Kruszę kość, jakby była betonem, trzonek dłutem, a ja wyskrobywałbym rzeźbę.

– Niiieeee wieeem o czyyym mówiszszsz! – Arak wije się na wszystkie strony, próbuje uwolnić ręce, nogi mu drżą, między nimi ma mokrą plamę. – Przyrzekaamm! – Najgorsze, że brzmi całkiem przekonująco.



## 29

– Sonia cię rozgryzła. – Mój głos przepełnia nienawistna dzikość. – Tak samo jak ty rozgryzłeś ją. Dobrze o tym wiesz, nie próbuj zaprzeczać.

– Nie, to nie ja ją zabiłem, przysięgam! – Arak dyszy, jakby przebiegł maraton. – Sonia była wyjątkowa... – Gapi się na moją maskę mima. – Serio, Sobański. Nie wiem, co sobie ubzdurałeś, ale nie zabiłem Soni! Nie mógłbym!

W mojej głowie dochodzi do bitwy krzywych myśli. Pierwsze brzmią głosem Klary. Przypominają, że gdybym jej posłuchał i najpierw zaspokoił demona, byłbym bardziej skupiony i zauważyłbym błąd w swojej dedukcji. Zrozumiałbym, że Arak nie jest Listonoszem, bo coś w tej układance nie pasuje... Drugie to głos Soni. Bestyjeczka ma mi za złe, że spartaczyłem sprawę, a Listonosz ciągle jest na wolności i ciągle czeka na upublicznienie listu przez policję.

– Nienawidziłeś jej, bo była bananowa, kopała twoje ego, przez nią wszedłeś w dilerkę! Gangsterskie życie zrobiło z ciebie chłodnego skurwysyna! Potrafiłeś zerznąć Donę butelką, zabić też potrafisz! – rzucam różne argumenty, próbując przekonać samego siebie, że Arak to ktoś więcej. Ktoś taki jak ja.

*Ktoś taki jak ty eliminuje źródło zagrożenia, nie próbuje mu się podlizywać – krzyczą w mojej głowie Klara i Sonia.*

To paskudne słyszeć je obie naraz. Przekrzykują się. Każda chce czyjejś śmierci. Klara swojej zamienniczki, Sonia Listonosza. Ból rozsadza mi czaszkę. Mam dosyć. Nie mogę tego znieść. Chciałbym choć na chwilę wyjść ze swojego ciała i nie męczyć się ze wszystkimi okropieństwami, które na mnie spadają. Poczuć się jak przeciętna istota, nie mieć w sobie demona, nie musieć tropić, obserwować

i zabijać. Być żalonym człowieczkiem, którego jedynymi problemami są kiepska praca, nieuregulowane rachunki, zrzędząca żona, rosnący brzuch i oczekiwanie na kolejny weekend zapomnienia. Wiem, że nigdy tak nie będzie. Jestem jednostką wybitną i oprócz przywilejów muszę akceptować tragizm z tym związany.

– Poradzę sobie. Zrobię, co trzeba, tylko się uciszcie!

Głowa pulsuje, ale myśli znów brzmią, tak jak lubię – głosem przekonanym o własnej wartości. Czas wziąć się w garść.

– Z kim ty gad... – rzezi Arak.

Jest coraz słabszy. Jego twarz zrobiła się tak blada, że niemal przezroczysta. Wargi ma sine, patrzy tępo w przestrzeń. Niepotrzebnie rozwalilem mu drugie kolano.

Wracam do pudełka po LEGO. Biorę więcej śniegu i wcieram mu w dziąsła, licząc, że nie przedawkuje. Na szczęście po dwóch minutach jego skóra nabiera ludzkich barw, w oczach widać powiększającą się iskrę nadziei. Ona nie zgaśnie, póki mózg działa.

– Ktoś wysłał do niej listy, chwając się, że wie, ile osób zabiła – tłumaczę, gdy znów jest w miarę kontaktowy. – Oprócz mnie tylko ty mogłeś to wiedzieć. Spotykałeś się z nią, kiedy była małolatą, robiliście dziary w tym samym salonie, ćpaliście, rznęliście się i kto wie co jeszcze. Tylko ty mogłeś ją rozgryźć.

Ciągle nie jestem przekonany, że popełniłem błąd. Szybka analiza zebranych dowodów dalej wskazuje na niego. Arak może kłamać, żeby uniknąć dalszych tortur.

– Zabiła...? – mamrocze. – Nic o tym nie wiem, ale Sonia miała swoje jazdy, nie liczyła się z ludźmi. Często w łóżku nazywała mnie twoim imieniem... – Jest coraz bardziej pobudzony. Koka czyni cuda. – Dilerem nie zostałem przez nią, tylko przez towarzystwo mojej siostry... – W jego głosie słychać wrogość. – Dziedzice prywatnych klinik, córeczki chirurgów plastycznych, synkowie szefów centrów diagnostycznych... Naoglądałem się hajlajfu na długo przed Wodzińską. Chciałem mieć szmal, póki jestem młody. Tak jak oni... – zaczyna bełkotać. – Chłopak

Sabinowskiej wkręcił mnie w interesy, ale Wodzińska nie miała z tym nic wspólnego.

– Kłamiesz.

Mocno zaciskam palce na trzonku.

– Uwielbiałem Sonię! Dlatego poszedłem na jej pogrzeb... – Przymyka oczy, zaraz straci przytomność. Śnieg więcej nie pomoże. – Kogo... Kogo ona zabiła?

– Okej, jest tylko jeden sposób, żeby sprawdzić, czy jesteś Listonoszem. – Przykładam ostrze do jego lewej stopy, chcąc dobrze wycelować.

– Co... Co ty robisz...? – Strach pobudza Araka.

Wyprowadzam pierwszy cios. Tasak wbija się w kość jak siekiera w drewno. Żeby wyjąć ostrze, muszę nadepnąć na pischel. Uderzam ponownie, a stal kotwiczy głębiej. Od razu ponawiam tę czynność. Potem znowu i znowu. Robię to coraz szybciej, dziura w kości się pogłębia, na moją maskę tryska krew. Towarzyszą temu przerażające krzyki Araka. Próbuje obrócić się na bok, ale od razu ustawiam go we wcześniejszej pozycji. Pewnie chciałby zgąć nogi, zanim tasak ponownie trafi w kość, ale zmiażdżone kolana mu nie pozwalają. Owca

– To nie ja! Nie ja! Nie ja! – wyje, próbując mnie przekonać. – Przysięgaaamm!

Czy chcę, czy nie, muszę mu uwierzyć. Z pogruchotanymi kolanami, odrąbywaną stopą i perspektywą kolejnych amputacji chyba jeszcze nikt nie kłamał.

– Trzymała twoje zdjęcie z bratem! Po co? – pytam, rąbiąc dalej.

Kość jest twarda, tasak, choć dobrze naostrzony, nie ma właściwości noży amputacyjnych, ale i tak jestem coraz bliżej celu.

– Cierpięęę! – drze się wniebogłosy Arak.

Nigdy w życiu nie słyszałem takiego krzyku. I chyba żaden krzyk aż tak mnie nie natchnął.

Cierpienie... Czemu wcześniej o tym nie pomyślałem?!

Po zimowym zabójstwie w Katowicach Klara została zahibernowana. Możliwe, że to samo stało się z demonem Soni. Brat przestał ją nawiedzać, ona nie czuła się

kimś więcej, a miała Listonosza na karku. Próbowwała pobudzić demona, przecież nasz mrok stanowi atut. Chciała znów cierpieć, bo cierpienie dawało jej siłę. Jak lepiej mogłaby sprowadzić na siebie ból, niż katując się fotką brata z moim substytutem? Naprawdę się pomyliłem... Konsekwencje tej pomyłki są przerażające, ale nie wolno mi teraz o tym myśleć.

– No to za Donę i za to, że sypiałeś z Bestyjeczką – oznajmiam głosem chłodniejszym od zamrażarki.

Zadaję kolejne ciosy. Stopa zostaje odcięta. Z kikuta sączy się krew. Czuć parszywy smród. Arakowi puściły zwieracze.

– Zostaw! – krzyczy. Jego twarz teraz jest czerwona, z czoła i włosów spływa pot jak po dobrym joggingu. – Współpracuję z psami! Będiesz miał przeje... – próbuje coś jeszcze wyrzucić, ale zaciskam knebel na jego mordzie. Nie chcę słyszeć już ani jednego słowa z jego ust.

– Jestem seryjnym mordercą – mówię. – Zabijałem nie raz, ale chyba jeszcze nigdy nie czułem się tak dumny.

Oglądam trzonek upačkany krwią, odłamkami kości, fragmentami dzinsów i ludzkiego mięsa i myślę o Donie. To pierwsza od czasów Julii czysta istota, do której poczułem załączek ludzkich uczuć. Nie mogę pogodzić się z faktem, że ktoś ją skrzywdził. Jest wielce prawdopodobne, że dźwiga fizyczną zadrę, o której nie chce mi powiedzieć, bo wyczuwa, że ja też nie jestem z nią do końca szczery. Może powinienem zdradzić jej jakiś sekret, który pozwoli jej się otworzyć? Może wcale nie potrzebuję morderczej towarzyszkii życia, tylko normalnej kobiety, która zaakceptuje mnie takiego, jakim jestem?

– Musiałeś ją spierdolić? Dona miała być czysta! – drę się, świadom, że już zawsze będę patrzył na nią przez pryzmat tego, co usłyszałem. – Jedyna czysta w moim życiu! Mam dosyć zepsucia!

Dzięki koce Arak wciąż jest przytomny. Podryguje w konwulsjach, z ust cieknie mu krew, podobnie z kikuta, przy którym miesza się z tkankami. Przypomina to niesmaczny gulasz w żulerskim barze. Wyobrażam sobie odurzoną Donę na jego

łóżku. Butelkę w niej i jego kutasa molestującego jej usta. Chciałbym temu zapobiec, tak jak wielu innym wydarzeniom... Mierząc się z kolejną odmianą niemocy, spoglądam na jego twarz.

– Wydaje mi się, że właśnie robię dobry uczynek – dzielę się z nim przełomową myślą.

Przysuwam tasak do jego szyi. Biorę zamach, nadzieja w oczach Araka zaczyna gasnąć.

Kilkoma mocnymi uderzeniami oddzielam głowę od reszty ciała. Tu kości są kruche i delikatne. Listonosz bez problemu mógł zrobić to samo Bestyjeczce.

– Kurwa! – drę się, pomyślawszy o błędzie, jaki popełniłem. – Miałeś być Listonoszem!

Świadomość tego, co przede mną, uderza mocniej niż najczystszy towar. Rzucam tasak w kąt, staję w najdalszym rogu schronu i oglądam swoje dzieło. Wokół pociętych zwłok Araka powstało jezioro krwi. Moja bluza jest brudna, rękawiczki też, zachlapałem również spodnie, buty są całe czerwone. Od początku zakładałem, że obetnę Listonoszowi głowę. Reszta przyszła spontanicznie. Teraz należy skupić się na najważniejszym – ratowaniu własnego tyłka. Wracam do zwłok, maczam rękawiczkę we krwi i niczym malarz znakuję swoje dzieło. Podpis zrobiony na podłodze nie pozostawia wątpliwości:

„Kapował psom, sprawdźcie nadkom. Sarnat. Załatwiłem tu sprawę osobistą, nie chcę nic w zamian. Nie znamy się i nie wchodzimy sobie w drogę”.

Jutro znajdą go gangsterzy, którzy przyjadą po towar. Nie mając wyjścia, posprzątają moje miejsce zbrodni. Może spróbują znaleźć jakieś ślady, choć wątpię. Prędzej wzniosą toast za zdrowie tajemniczego mordercy, który zutilizował im kapusia. Nadkomisarz Sarnat założy, że jego wtyka wpadła, została zabita i nigdy się nie znajdzie. To jedyny plus dzisiejszej nocy. Poza tym są same minusy. Na razie o nich nie myślę, muszę skupić się na czymś innym.

Biorę tasak, wychodzę z bunkra i siadam na podłodze w przedpokoju. Ściągam buty, przysuwam plecak i z bocznej przegródki zamykanej na rzep wyciągam

gumowe rękawiczki. Wsuwam je na te zakrwawione, skórzane. Z głównej kieszeni wyjmuję cienkie dresowe spodnie, które wkładam na dzinsy. Ściągam pas z nożami i wywracam bluzę na drugą stronę. Kiedy nogi i korpus są bezpieczne, zakładam świeże buty. Zużyte rzeczy wrzucam do aluminiowych worków, a potem do plecaka. Jutro zaleję je kretem i gdy będą odpowiednio zniszczone, wywalę w innym plecaku do Wisły, wcześniej dociążając je cegłówkami. Spakowany wreszcie mogę wyjść.

Na zewnątrz panuje spokój. Ściągam lokalizator z bmw i opuszczam teren posesji. Szybkim marszem zahaczającym o trucht pokonuję dwieście metrów. Dopiero wtedy ściągam maskę i rękawiczki.

Dalszy spacer jest wykańczający. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że Sarnat jednak kazał obserwować dziuplę, przez co ciągle oglądam się za siebie. Na szczęście to tylko schizy. Nikt mnie nie śledzi, nikt nie próbuje mnie aresztować. Do apartamentu docieram o wpół do trzeciej w nocy.

Od razu zapalam fajkę, doprawiam ją szklanką czystej wódki. Przełyk piecze, w gardle robi się niedobrze. Chcę, żeby tak było. Odczekuję chwilę i przyjmuję identyczny zestaw, doprawiony śniegiem. Wiem, że to ostatnie chwile, kiedy pozwalam sobie na skatowanie mózgu prawdziwym odlotem. Mam pełną świadomość zagrożenia, które w każdej chwili może nadejść, rujnując moją i tak już zdewastowaną rzeczywistość w raj.

Detoks. Sytuacja niechciana, zawsze następująca przymusowo, nigdy z własnej woli. Używki stosuję od czasów nastoletnich. Tłumią ból, przynoszą ulgę, zwiększają pewność siebie i uciszają demona. Kokaina, alkohol i papierosy są nieodłączną częścią mnie. Tak samo jogging, słabość do blondynek i potrzeba zabijania. Dzień po tym, jak pokroilem Michała Araka, odstawiłem kokę i alkohol, przez co jeszcze więcej palę i jeszcze chętniej biegam. Zauważyłem, że ostatnio przeginałem z białym proszkiem, przez co coraz częściej się pociłem, miewałem dziwne schizy, traciłem siły, treningi wchodziły trochę na siłę, często nie umiałem zebrać myśli. Nie mogę do tego dopuszczać. Listonosz jest na wolności, muszę być najpotężniejszą wersją samego siebie.

Wraz z pierwszym dniem detoksu, gdy słońce zaszło, wybrałem się na jogging po Balickiej. Mijając dziuplę, zobaczyłem mercedesa vito zaparkowanego przy drzwiach domu z trójkątnym dachem. Miał reklamę mobilnej dezynfekcji mieszkań. Obok, pod lokalem na wynajem, stał czarny seat leon, a w nim siedziało dwóch nieprzyjemnie wyglądających typów. Kilometr dalej minąłem drugiego leona z podobnym składem. Gangsterzy obstawili teren, a ich koledzy czyścili dziuplę. Zwłoki musieli wynosić w chwilach, w których na chodniku było pusto. Dzień później z samego rana podczas kolejnego biegu zajrzałem przez płot. Bmw zniknęło, citroën też. Założę się, że przechowalnia dragów przestała istnieć. Jeśli nadkomisarz Sarnat wejdzie do dziupli, nie znajdzie nic. Przynajmniej ten problem mam z głowy. Pozostałe rosną niczym kula śnieżna.

Regularnie czytam Kodeks karny i komentarze. Gdy sekrety Bestyjeczki wyjdą na jaw, mogę zostać oskarżony o zatajanie prawdy przed policją. Grożą za to trzy lata.

Osiem za składanie fałszywych zeznań, o ukrywaniu dowodów i o tym, że byłbym recydywistą, nawet nie chcę myśleć. Rozwiązuję prawną łamigłówkę na wiele różnych sposobów i póki co najskuteczniejsze wydaje się zaprzeczenie, jakoby na miejscu zbrodni w ogóle były jakieś listy. W Polsce wciąż obowiązuje domniemanie niewinności i to mnie trzeba udowodnić winę. Niemniej źle się podzieje, gdy Listonosz nawiąże kontakt z psiarnią. Jeszcze gorzej, jeśli go złapią i zagramy w „słowo przeciwko słowu”.

Jest też inna możliwość. Rozważam ją, wczuwając się w sposób myślenia Listonosza. Od zabójstwa Soni minęły trzy tygodnie, zbyt dużo jak na brak przecieku do mediów. Morderca Bestyjeczki wie, kto odnalazł zwłoki. Będąc nim, założyłbym, że Kuba Sobański ukrył list, bo zna sekret Soni, i w obawie przed więzieniem zamierza mnie wytropić, a potem zabić. Żeby wygrać z Kubą, muszę go ubiec. Trzeźwy instynkt podpowiada mi, że rozpocząłem z Listonoszem grę, w której stawką jest życie. Mój handicap to doświadczenie. Jego – znajomość personaliów przeciwnika.

W obawie przed niespodziewanym atakiem zawsze chodzę z co najmniej jednym nożem. Uważnie sprawdzam, czy nikt mnie nie śledzi. Oprócz drążka często korzystam z hantli, żeby zbudować siłę. Zacząłem też odpowiednio się odżywiać. Wiem, że czeka mnie walka, jakiej nigdy dotąd nie stoczyłem.

Nie rezygnuję też z namierzenia Listonosza. Sprawdziłem Łukasza Małeckiego, pseudonim artystyczny Luko, który prowadzi salon tatuażu. Gość ma mocno rozbudowane konto na Instagramie. Wystarczyło cofnąć się kilka tygodni w postach na jego profilu, żeby znaleźć niepodważalne alibi. W czasie kiedy Bestyjeczka została zaatakowana, Luko przebywał na Malediwach.

Mój jedyny trop wciąż stanowi laptop Soni, którego zbagatelizowałem, gdy byłem pewny, że to Arak ją zabił. Niestety nie umiem złamać hasła, nie jestem pierdolonym informatykiem! Mimo to wpadłem na pomysł, jak dostać się do cyfrowej twierdzy Bestyjeczki, tyle że na jego realizację będę musiał poczekać.

Trzeźwość daje siłę za dnia, w nocy pobiera opłatę. Walutą są koszmary. Wprawdzie Klara usunęła się w cień, jakby wiedziała, że na razie się na nią nie



skuszę, za to co noc śni mi się Sonia dająca dupy Arakowi albo Dona gwałcona przez niego butelką.

Blond piękność widuję codziennie. Ostatnio są to godzinne randki na mieście, bo ma mnóstwo pracy w kancelarii, dochodzi jeszcze nauka, a ja też ciągle jestem zajęty. Podczas spotkań próbuję dostrzec coś, czego wcześniej nie dostrzegłem. Przyglądam się jej oczom, gestom, mimice twarzy. Wciąż jest taka jak zawsze: czuła, lekko infantylna i bardzo słodka. Nie wiem, czy pamięta coś z tamtej nocy. Ja dla odmiany niewiele pamiętam z wczorajszej, która wyróciła wszystko do góry nogami. Teraz próbuję zablokować świadomość tego, co się stało, i skupić się na bieżącej sprawie.

– Capisz jak menel – stwierdza Dona, gdy zatrzymuję bmw na parkingu przeznaczonym dla klientów kancelarii notarialnej Tomasza Baszczyńskiego. – Ja rozumiem, że czekają cię stresujące rzeczy i musiałeś zrobić sobie *cheat night* od swojej treningowej zajawki. – Trzeźwość wytłumaczyłem Donie chęcią rzeźbienia ciała. – Mimo to uważam, że nie powinieneś prowadzić...

Detoks obowiązywał sześć dni. Wczoraj późnym popołudniem dopadł mnie strach, który tylko używki mogły uspokoić.

– Dowiozłem nas w całości – bagatelizuję jej uwagę. – Idziemy?

Jest szesnasta, a mnie wciąż kręci się w głowie, ślina uciekła z ust i dotąd nie wróciła, mięśnie są wiotkie, mimo że próbowałem rozgrzać je na drążku. To kac gigant, przyjemna pieszczota dla myśli. Uspokaja, ale w zamian kradnie energię, a ta by się przydała.

– Si, przekonajmy się, co jeszcze Wodzińska dla ciebie zrobiła.

Za chwilę nastąpi odczytanie testamentu. Z doświadczenia wiem, że po Bestyjeczce można spodziewać się wszystkiego.

Razem z Doną wchodzimy do kancelarii notarialnej. Zajmuje pierwsze piętro w eleganckim domu na Moniuszki wybudowanym w innej epoce, na mój gust w międzywojniu. Prestiż czuć od wejścia. Marmur, drewno, recepcja, sekretarka, na każdym blacie sprzęt Apple'a. W gabinecie notariusza długi stół dla interesantów,

barek, masywne szafy na dokumenty, wielkie biurko pod oknem, a na ścianie certyfikaty i dyplomy. Klimat zupełnie inny niż w podrzędnej kancelarii w Częstochowie, w której Sonia trzymała polisę.

– Witam, panie Sobański! – Baszczyński wstaje zza biurka, gdy tylko sekretarka zamyka za nimi drzwi. Jest dość młody, czyli mniej więcej w moim wieku. Ma szczupłą sylwetkę, ciemne włosy zaczesane na przedziałek i idealnie gładką twarz. W jego piwnych oczach widać powagę. Granatowy garnitur sprawia wrażenie drogiego, podobnie zegarek z wielką busolą i kauczukowym paskiem. – Przede wszystkim wyrazi współczucia z powodu śmierci pana... Przepraszam, ale nie wiem, jaka była pana relacja z Sonią Wodzińską.

– Nie byli w związku, o tym wie cały Kraków. – Blond piękność jest dziś w kąśliwym nastroju. – Kuba często nadstawiał za nią karku, ona lubiła mu się odwdzięczać. Tak wyglądała ich relacja.

– A pani jest... – Urywa.

– Dona Sabinowska, aplikantka w kancelarii Merka – odpowiada z dumą.

– Jest moją narzeczoną. – Ściskam Donę za rękę. Chcę, żeby poczuła się ważna. – Prosiłbym, żeby została na odczytaniu testamentu.

– Narzeczone to nie żona, panie Sobański. Nie ma interesu prawnego w testamencie, więc muszę zasugerować, żeby poczekała pani za drzwiami – zwraca się do Dony. – Sekretarka robi pani kawę.

– Serio, nie mogę zostać i posłuchać? – przyjmuje ton rozkapryszonej smarkuli. – Przecież Kuba i tak mi wszystko opowie, a nie mam ochoty na kawę.

– Pracuje pani u Merka... – Baszczyński skanuje ją od góry do dołu. Na ten wyjątkowy dzień blond piękność włożyła czarną spódniczkę do kolan, białą polówkę i czarne szpilki. Włosy spięła w kok. Wygląda szalowo. – Chce pani zostać notariuszką?

– Nie, adwokatką morderców. Można powiedzieć, że bliżej mi do prawniczej odmiany chirurga niż stomatologa. – Nie kryje wyższości.

– Cięty język, efekty widać. – Ma na myśli bliznę. – Podoba mi się pani, zapraszam do stołu.

– Kto jeszcze przyjdzie na odczytanie? – pytam.

Spodziewałem się zastać Wodzińskich. Przyszedłem punktualnie, a nie wierzę, żeby ojciec Soni się spóźnił. Nie wierzę też, że Baszczyński pozwoliłby Donie zostać, gdyby spodziewał się kogokolwiek poza mną...

– Panie Kubo, może najpierw wyjaśnię wszystkie okoliczności. Proszę, usiądźcie. – Zgodnie z sugestią zajmujemy miejsca przy stole. – Prowadzę kancelarię od trzech lat, wcześniej w tym budynku znajdowała się kancelaria mojego ojca. – Pochyla się nad biurkiem i przegląda papiery. – Współpracował z rodziną Wodzińskich przy różnych rzeczach. Potem przeszedł na emeryturę.

– Zusik zamiast interesów, srogo musiał zbiednieć. – Dona na siłę próbuje być zabawna. Chyba w ten sposób walczy ze stresem. – Dobrze dla pana, gorzej dla niego.

Baszczyński bierze zamkniętą teczkę i kładzie na stole, a ja żałuję, że nie mam rentgenowskiego wzroku Supermana, nie mogę jej prześwietlić i muszę wysłuchać jego pieprzenia, zanim przejdzie do rzeczy.

– Ojciec nie narzeka – mówi. – Wracając do meritum. Państwo Wodzińscy przyszli, powiedzieli mi o śmierci córki i na potwierdzenie przynieśli akt zgonu. Chcieli zrobić porządek z jej majątkiem, w końcu jako rodzice dziedziczą zgodnie z ustawą. – Wpatruje się w nas przez moment, jakby chciał podkreślić atmosferę. A może tylko ma ochotę pogapić się na Donę. – Od razu przypomniałem sobie, że Sonia Wodzińska spisała u mnie testament dwa lata temu.

– Nie wiedział pan o jej śmierci?

Mój głos zdradza rozczarowanie. Ostatnia nadzieja na podanie tożsamości Listonosza przez Bestyjeczkę przepadła. Testament jest stary, sporządziła go jeszcze przed polisą. Zupełnie nie rozumiem czemu.

– Nie. Ostatni czas to nawał pracy, a ja unikam mediów i serwisów informacyjnych, w ten sposób jestem zdrowszy – wyjaśnia. – Wodzińscy byli

zdziwieni, żądali natychmiastowego otwarcia i odczytania testamentu, ale ja miałem umówione spotkanie. Poprosiłem, żeby poczekali godzinę, to wszystko wyjaśnię, ale zrobili się niemili. Próbowali odwoływać się do znajomości z moim ojcem. – Marszczy brwi, automatycznie zaciska pięści, ma ewidentny kompleks tatusia. – Zdenerwowałem się i kazałem przyjść w innym terminie. – Odsuwa krzesło, siada naprzeciwko nas. – Fatygowali się na próżno. Testament nie dotyczy państwa Wodzińskich. Zaczynamy?

Baszczyński otwiera teczkę i wyjmuje dokumenty. Dona kładzie mi dłoń na udzie. Zerkam na jej bliznę. Zrobiła się trochę bordowa, jakby zmieniła barwę pod wpływem emocji. Wciąż nie wiem, czy dźwiga brzemień gwałtu, i nie jestem pewien, na jak wiele mogę sobie z nią pozwolić.

– Akt notarialny. Dnia siedemnastego maja dwa tysiące... – zaczyna czytać notariusz, odrywając moje myśli od pięknej dziewczyny. – W kancelarii notarialnej w Krakowie przy ulicy Moniuszki stawiała się Sonia Wodzińska, córka Marianny... – Z każdym kolejnym słowem moje serce zaczyna bić mocniej. Kac wyparowuje, wydaje mi się, że czuję obecność Bestyjeczki, jakby siedziała teraz koło mnie. – Tożsamość stawiającej się ustalono na podstawie dowodu osobistego numer ATD56781. Testament, paragraf pierwszy. Sonia Wodzińska oświadcza, że do całości spadku powołuje Kubę Sobańskiego, syna...

Zapowietrzam się, jakbym miał zapalenie zatok, ktoś usiadłby mi na płucach i dodatkowo wcisnął knebel do ust. Żadną drogą nie potrafię złapać tlenu. Sapię i chwytam się rękami za klatkę piersiową z taką zawziętością, jakby palce miały właściwości uzdrowiciela. Dona wali mnie po plecach, to nic nie daje. Jest coraz gorzej. Odchyłam się na fotelu, szukając powietrza. Dociera do mnie, co zrobiła Sonia, ale nie umiem zatrzymać negatywnej reakcji organizmu na szok z tym związany.

– Kuba!

Dona sięga po dzbanek z wodą, wkłada mi dzióbek do ust i przechyla. Część wody wpływa bezpośrednio do gardła, część ścieka mi po brodzie na koszulkę

i dzinsy. Krztuszę się. Blond piękność odkłada dzbanek, chwytą mnie za głowę i ustawia twarzą do biurka. Kicham, kaszlę, jest coraz lepiej. Po chwili zaczynam normalnie oddychać.

– Panie Kubo, wezwać pogotowie? – Notariusz jest nie mniej wystraszony niż Dona. Wyobrażam sobie antyreklamę jego kancelarii, po tym jak zszedłbym w trakcie odczytywania aktu.

– Obejdzie się. To chwilowa niedyspozycja, już mi lepiej. – Wycieram ręką twarz. – Upał i przemęczenie.

– Kac. – Dona wciąż nie grzeszy subtelnością.

– Niech pan czyta.

– W porządku. – Baszczyński odchrząkuje. – Na całość spadku składają się nieruchomości: mieszkanie o powierzchni dziewięćdziesięciu pięciu metrów kwadratowych zlokalizowane w Krakowie przy ulicy... – Czyta dokładny adres, numer ewidencji działki i księgi wieczystej. To samo robi z biurowcem i działką na wsi. Podaje nazwę firmy, którą Sonia mi przepisuje, numer wpisu do rejestru przedsiębiorców i resztę formalności. Prezenty od Bestyjeczki są warte kilka milionów, a on jeszcze nie skończył. – Środki trwałe: motocykl marki Yamaha, motocykl marki Suzuki, skuter marki Vespa i samochód marki Mercedes oraz środki finansowe zgromadzone na koncie... – Odczytuje pełną nazwę banku i numer konta. – Notariusz poinformował stawiającą się o treści uchwały Krajowej Rady Notarialnej numer VII 46/2011, po czym stawiająca się Sonia Wodzińska oświadcza, że żąda zarejestrowania tego testamentu w Notarialnym Rejestrze Testamentów. Akt ten został przyjęty, odczytany i podpisany.

Kiedy kończy, w gabinecie nastaje cisza. Dona patrzy na mnie zdziwiona, choć w jej oczach dostrzegam troskę. Baszczyński gładzi mankiet od marynarki. Oboje czekają na moją reakcję, a ja delektuję się możliwością swobodnego oddychania.

– To wszystko? – pytam, nacieszywszy się powietrzem.

– Mało ci? – zarzuca kolejnym wrednym komentarzem Dona.

– W zasadzie to nie wszystko. – Baszczyński podnosi teczkę. – Jest jeszcze jedna rzecz.

– Czyli Soniaczka zostawiła haczyk... – Blond piękność mówi to, co sam pomyślałem.

– Niezupełnie, pani Dono. Jest jedna rzecz, która nie zalicza się do aktu i nie ma żadnej mocy prawnej. Nawet nie powinienem był tego przyjmować, ale pani Sonia nalegała, a ja nie umiałem odmówić. Na jej prośbę wsadziłem to do teczki.

– Ofkors, mało kto jej odmawiał.

– Dona... – Chciałbym ją skarcić, ale brakuje mi słów.

– Kiedy pisaliśmy akt, zakładałem, że testament jest tylko fanaberią bogatej dziedziczki buntującej się przeciwko rodzicom. Coś w stylu focha: na złość mamusi przepiszę wszystko chłopakowi. – Baszczyński się śmieje, Dona też. Tylko ja zachowuję kamienną twarz. – Akt miał leżeć w moim biurze tak długo, aż Sonia Wodzińska go nie zmieni. Odczytywanie go wydawało mi się nierealne... – Smutnieje na siłę, przypominając mi, jak wkurwiające potrafią być oficjalne spotkania.

– Możemy przejść do sedna? – Jestem coraz bardziej poirytowany.

– Naturalnie. – Wyjmuje małą kartkę wytarganą z jakiegoś zeszytu. – To chyba informacja tylko dla pana. – Przesuwa ją przez stół prosto do mojej ręki.

Zasłaniam kartkę dłonią i czuję palący wzrok Dony. Baszczyński nieprzypadkowo podał mi papier w ten sposób. Być może jest tam coś o naszej intymnej relacji, może wzmianka o bracie, ale przecież Sonia miała polisę, nie wypisywałaby głupot, a ja zabrałem tu Donę, żeby pokazać jej, że jestem szczerzy. Odrywam dłoń od blatu. Przyglądam się świstkowi papieru, który nie ma mocy prawnej. To krótka notatka napisana długopisem.

*Zostawiam wszystko Kubie, jemu i tak to do niczego nie będzie potrzebne.*

Czytam i choć próbuję, nie umiem powstrzymać śmiechu. Na początku jest subtelny i trochę sztuczny niczym podkład dźwiękowy w starych komediach. Po chwili brechtam już na całego jak po mocnym joincie, a w końcu dźwięki

wydobywające się z moich ust przypominają rechot odurzonego gazem rozweselającym.

– Byłaś pokręcona! – w ten sposób podsumowuję chytrą zagrywkę Soni.

Bestyjeczka umiała pójść w czarny humor. Wiedziała, że jeśli umrze, dzięki polisie trafię do wieloosobowej celi i żadne pieniądze mnie stamtąd nie wyciągną. W jej główce urodziła się ciekawa wizja. Chciała, żebym stał się posiadaczem olbrzymiego majątku i żeby świadomość tego, co mam i z czego nigdy nie będę mógł skorzystać, dobijała mnie każdego dnia za kratami. Miałem torturować się tym, że choć jestem obrzydliwie bogaty, to moja rzeczywistość już zawsze będzie kręciła się wokół apeli, kolejek do kibla, prycz, wspólnych pryszniców i nocnego piekła, jakie współwięźniowie zgotowaliby przystojnemu mordercy kobiet. Nie wiem, jakie są regulacje prawne i czy gdybym poszedł siedzieć, faktycznie przejąłbym spadek, ale świadomość, że był przeznaczony dla mnie i nie mógłbym z niego skorzystać, rzeczywiście doprowadziłaby mnie do szału.

Sam dopisek miał stanowić wyjaśnienie dla jej rodziców, nie dla mnie. Ironią losu jest to, że choć wycofała polisę, nie zlikwidowała testamentu. Niechcący podarowała mi totalną niezależność finansową. Powinienem się z tego cieszyć, ale gdy śmiechowy szal mija, zostaje tylko ból. Brakuje mi Soni i wciąż nie znalazłem sposobu, żeby zadusić to niepotrzebne uczucie.

– Wie pan, co oznaczają jej słowa? – próbuje bawić się we wścibskość Baszczyński.

– Nie mam zielonego pojęcia... – Kręcę głową. – Jak wygląda procedura przejęcia majątku? – zmieniam temat, żeby nie drążyć.

– Prawnie właścicielem staje się pan w momencie śmierci spadkodawcy. Żeby dopełnić formalności, trzeba zgłosić to do Urzędu Skarbowego. Ja muszę sporządzić akt nabycia spadku. Stanowi on wytrych do zmian w księdze wieczystej, chodzi o nieruchomości – podkreśla, jakbym nie wiedział – i w starostwie, jeśli chodzi o pojazdy. Przedstawi go pan również w banku. Trzeba będzie pozyskać klucze do biurowca i mieszkania pani Wodzińskiej. – Mam jedno i drugie, różnica polega na



tym, że teraz będę wchodził na jej włości legalnie. – Sam akt nabycia spadku mam już przygotowany.

– Czy Wodzińscy znają pełną treść testamentu? – pytam.

– Cóż, znać, nie znają, ale powiedzmy, że się domyślają. – Uśmiecha się szeroko.

– Przyznam szczerze, nie lubię Wodzińskich. Podczas naszego ostatniego spotkania wspomniałem mimochodem, że nic, co należało do córki, im nie przypadnie.

Pewnie dlatego ojciec Soni przestał nagle pokazywać się we Future. Stracił biurowiec, na pewno zdaje sobie sprawę, komu córka zostawiła swój majątek. Przecież byłem jej rycerzem.

– Możemy przystąpić do odczytania aktu? – pyta Baszczyński, a ja potwierdzam.

Czterdzieści minut później z kompletem dokumentów opuszczamy kancelarię notarialną.

\*\*\*

– Narzeczona, no, no, kto by pomyślał... – świergocze blond piękność, gdy wchodzimy na parking.

– Musiałem tak powiedzieć. Inaczej by cię wyprosił.

– Jasne. Pierścionka brak, ale liczę, że to kwestia czasu. Teraz jesteś obrzydliwie nadziany.

– Co wcale mnie nie cieszy – pozwalam sobie na szczerłość. – Wolałbym, żeby Sonia żyła.

Stajemy przy aucie. Zapalam szluga i korzystając z lustrzanych ray-banów, rozglądam się dookoła. Patrzę na pieszych, auta, rowerzystów, szukam skuterów. Próbuję przypomnieć sobie, czy kogoś wcześniej gdzieś widziałem.

– Ja też, Kuba, serio. – Dona ściąga ode mnie macha. – Dobrze się czujesz? Tam w kancelarii... Myślałam, że masz zawał.

– Przytłoczyła mnie świadomość rzeczy, które na mnie spadają.

– No raczej! Sama mocno się stresowałam, słychać było po moim paplaniu. – Uśmiecha się słodko. – Kurde, zaczynam być zazdrosna o Soniaczkę. Kiedy żyła, nie

miałam takiego problemu. – Mógłbym przypomnieć o fochu na wakacjach, ale odpuszczam. – Spadamy poudawać, że świętujemy twoje bogactwo? Przypominam, specjalnie dla ciebie wzięłam dzisiaj wolne...

– Moment... – Gaszę fajkę, przyjmuję pozycję jak do pompek i zaglądam pod samochód.

Robię tak za każdym razem. Szukam lokalizatora GPS. Donie powiedziałem, że zauważyłem wyciek oleju i sprawdzam, czy znów nie cieknie.

– Serio? Nie możesz jechać do serwisu i mieć tego z głowy? Wiesz, że zachowujesz się jak idiota?

– Jak znajdę drugi wyciek, to pojedę. – Auto wydaje się czyste, mogę wstać. – Co powiesz na rynek albo Kazimierz w wersji romantycznej? Typowo po krakowsku. – Całuję ją w usta. Szybko, lecz czule.

– Myślałam, że masz ochotę na coś innego... – Przejeżdża dłońmi po swoich udach. – Na przykład sprawdzić, co kryje się pod spódniczką.

– Na dziś starczy mi ekstremalnych wrażeń. – Otwieram jej drzwi.

– Powiedzmy, że kupiłam aluzję, panie dżentelmenie. – Wsiadając, podejmuje ostatnią próbę i perfidnie podwija spódniczkę, prezentując pończochy. Udaję, że nie zauważam. – No to chodźmy zrobić coś romantycznego, typowo po krakowsku...

Zależy mi, żeby pokręcić się z Doną po mieście. W ten sposób sprawdzę, czy ktoś mnie śledzi, kiedy stoję w korku, upewnię się, kogo minimy podczas spaceru i kto usiądzie na parasolach sąsiadujących z knajpą, w której zamówimy kolację. Detoks pozwalał mi zachować czujność, a mimo to w moim apartamencie leży przesyłka, którą dostałem wczoraj od Listonosza. Nie zdziwiłbym się, gdyby spróbował zobaczyć, jak na nią reaguję.

*Sztuka wojny* mówi, że jeśli zna się przeciwnika lepiej niż siebie samego, to wygra się każdą bitwę. Jeśli zna się go tak dobrze jak siebie, czasem można wygrać, a czasem przegrać. Jeśli zna się go słabiej niż samego siebie, każda bitwa będzie przegrana. W pojedynku z Listonoszem teoretycznie najbliższej mi do opcji numer trzy. Zabójca Soni wie, kim jestem, wie, gdzie pracuję, a nawet gdzie mieszkam. Moją tożsamość dostał na tacy od mediów.

Dalej poszło gładko, bo już dawno straciłem swój ukochany atut: anonimowość. Google, baza CEIDG, informacja o tym, że zarządzam Future, przyczajka w okolicach parkingu i śledzenie na Salwator wystarczą, żeby mnie zlokalizować. Potem trzeba jeszcze odrobiny cierpliwości, żeby zobaczyć, jak palę na tarasie na ostatnim piętrze, ponownie przyjść pod apartamentowiec w godzinach południowych, kiedy starsi lokatorzy wychodzą na spacer, i obserwować, jak wpisują kod na klatkę schodową. Wbrew pozorom droga prowadząca do królestwa Kuby Sobańskiego nie jest zbyt wyboista.

– Kim jesteś, sukinsynu? – po raz tysięczny pytam samego siebie.

Rozważam coraz więcej opcji, już nawet zacząłem skłaniać się ku teorii, że Bestyjczkę dopadł maniak czatowy, ale przecież kłóci się to z rozczytaniem tajemnicy z tatuaży. Przez myśl przeszła mi Ida, córka właściciela Full House. Ona też lubi dziary, długo imprezowała z Sonią. Nie znalazłem jednak motywu. Ten miałaby Dona. Kolejny typ to ojciec i matka. Wodzińscy mogli udawać, że wybaczą córce przeszłość i że w ogóle coś ich obchodzi, tylko po to, żeby zemścić się za to, że zabiła ich syna. Patrząc przez pryzmat mojej matki, nie byłoby to

niemożliwe. Ale czy prowadziliby z córką grę na listy, a teraz próbowaliby robić to samo ze mną? Nie sądzę.

– Przegrałem bitwę o Sonię, ale wygram wojnę o samego siebie – mówię, żeby nabrać przekonania o własnej wielkości. – Spłoniesz jak twój list. – Włączam zapalniczkę i podpalam kartkę, którą znalazłem w kopercie na wycieracze pod moimi drzwiami.

Listonosz nic nie wspomina o Araku. Jego przekaz dotyczy tylko Bestyjeczki. Naklejone na kartkę litery pytają: „Dlaczego ją kryjesz?”. Na odwrocie wydają polecenia: „Odpowiedź schowaj w kopercie. Poniedziałek 01:00, punktualnie. Szczyglice, płot przy paczkomacie. Połóż, jedź do domu. Odezwę się. Nie wykonasz, policja dowie się, co u niej zostawiłem”. Pod tekstem nadawca nakleił zdjęcie metalowej siatki okalającej teren z kontenerami.

Przesyłkę dostałem w środę, dzisiaj jest piątek. Świadczy to o stresie i braku doświadczenia mojego rywala, ewentualnie o zbyt dużej pewności siebie. Ja na jego miejscu kazałbym zawieźć odpowiedź tego samego dnia, którego zostawiłbym list. Zablokowałbym przeciwnikowi możliwość sprawdzenia terenu i przygotowania kontrataku. Listonosz popełnił błąd, słono za niego zapłaci.

Patrzę, jak kartka płonie, i kończę szluga. Do przedniej kieszeni dzinsów chowam nóż składany, drugi przyczepiam na specjalnej kaburze do łydki, trzeci wsadzam do kurtki, którą przerzucam przez ramię. Ostrożności nigdy za wiele. Biorę torbę ze swoim laptopem, butelkę czarnego absoluta i wychodzę. W przeciwieństwie do Listonosza potrafię dobrze zaplanować bitwę.

\*\*\*

Po czterdziestu minutach wielkiego korkowania dojeżdżam na ulicę Łaszkiewicza, gdzie stoi blok o nazwie Mogilska Tower. W nim na dziesiątym piętrze mieszka Marcel Grabarz, informatyk. Prowadzi firmę, świadczy w niej usługi jako wolny strzelec. To kumpel Barańskiego, przedsiębiorcy, który kiedyś wynajmował całe drugie piętro we Future. Właśnie Grabarz podczas zeszłorocznej popijawy zweryfikował moją wiedzę na temat odblokowywania telefonu za pomocą skanu

twarzy. Dzięki niemu znalazłem sposób, żeby dostać się do komórki Bestyjeczki i namierzyłem częstochowską notariuszkę. Dziś znów może mi pomóc.

Na pomysł wykorzystania go wpadłem tuż po zabiciu Araka, niestety kiedy zadzwoniłem, Grabarz powiedział, że nie ma czasu. Zbył mnie, więc przypomniałem się jeszcze kilka razy i mając dosyć, zgodził się wreszcie, żebym do niego wpadł. Upierdliwość płaca.

– Siemasz, Kuba! – wita mnie w progu. Jest rudy, pryszczaty i otyły, jego sylwetkę maskują luźne spodnie dresowe i obszerna koszulka z rysunkiem rodziny Jetsonów. Na nosie ma bryle. – Co za problem ukąsił cię w dupsko i sprawił, że tak namolnie podgryzasz moje?

– Już mówiłem...

A dokładniej powiedziałem mu, kiedy pierwszy raz do niego dryndałem. Potem tylko upominałem się o spotkanie.

– Chodzi o laptopa – przypominam.

– Wybacz, ale mój mózg przetwarza ważniejsze informacje. Kojarzę, że chodziło o jakąś pierdołę. Byłbym zapomniał, kondolencje z powodu Wodzińskiej – mówi trochę na siłę.

– Dzięki, strata przyjaciółki boli, ale trzeba żyć dalej. – Swoją odpowiedzią sugeruję, że nie ma sensu drążyć tematu.

– Prawda. Wbijaj! – Macha ręką i toczy się do środka.

Jego mieszkanie przypomina norę dziwaka. Rolety są opuszczone, klima chodzi na maksa, jest zimno jak w listopadzie. Wszystkie ściany mają biały kolor, w powietrzu czuć zapach sajgonek i coli. Szybko wchodzimy do miejsca jego informatycznej rozkoszy. Trzy monitory stoją na biurku, wszystkie wyłączone, pewnie specjalnie, obok nich jest puszka burna, a w rogu drukarka. Na podłodze są dwa komputery stacjonarne, dalej jakieś świecące skrzynki, może serwery. Jest też laptop przy łóżku i telefon na ładowarce. Po podłodze ciągną się kable niczym węże w terrarium krakowskiego zoo. Na kołdrze leży talerz z resztką sajgonki i zużyte chusteczki. Nie chciałbym wiedzieć, czy oczyszczał nos czy kutasa.

– No więc? Co stało się z twoim laptopem? – Grabarz rozwała swoje cielsko w głębokim fotelu i wskazuje palcem torbę. – Ktoś się włamał? Złapałeś wirusa?

– Gorzej, mam nową dziewczynę, która lubi się ze mną drażnić. – Udaję zawstydzonego. – Niedawno po alko trochę się pokłóciliśmy, wiesz, jak jest... – Grabarz kiwa głową, sam nie wylewa za kołnierz, choć dziewczyny zna pewnie tylko z Pornhuba. – Następnego dnia próbuję dostać się do lapa, a tu zonk! Hasło nie działa! – mówię wzburzonym głosem. – Oprócz mnie tylko moja ślicznotka je zna. Dzwonię do niej, a ta twierdzi, że zmieniła hasło, kiedy spałem, i poda nowe, dopiero jak przyznam jej rację w naszym sporze. Ni chuja, nie zamierzam! – okazuję coraz większą wściekłość. – Próbowałem sam ogarnąć temat, lecąc po filmikach instruktażowych, ale mi nie wyszło.

Teoretycznie po otrzymaniu spadku laptop Soni jest mój, ale policja szuka jej elektroniki. Nadal nie mogę iść z nim do serwisu.

– Ech, kobitki... – Grabarz śmieje się, lekko przy tym chrząkając. – Nie kumam tylko, czemu o taką bzdurę zawracasz gitarę właśnie mnie... – Przejmuje torbę, wyciąga laptopa i kładzie sobie na kolanach. – Pierwszy lepszy serwis zrobiłby to od ręki.

– Wiem, ale ja nie chcę ryby, tylko wędkę. Pięknej w każdej chwili znów może odbić. Uważa, że takie gierki są sexy – rzną głupa. – Chciałbym umieć odzyskiwać hasło, a w serwisie niczego by mnie nie nauczyl.

– Fakt. – Włącza laptopa. – Więcej byś do nich nie przyszedł i nie zostawił swojego szmalu. – System się uruchamia. Na ekranie wyskakuje nazwa użytkownika „Kuba” i prośba o podanie hasła. – Nauczyciel ze mnie marny, wolę działać.

– Wiem, dlatego przyniosłem pięćdziesięcioprocentową wdzięczność. – Na podłodze stawiam flaszkę absoluta, którą wcześniej trzymałem zawiniętą w kurtce.

– Skoro tak, to patrz. – Grabarz kładzie laptopa na biurku i podpina swoją myszkę. Kucam obok niego. – Mamy konkretny system operacyjny, będziemy potrzebować płytkę z jego instalatorem albo bootowalny nośnik USB. – Całe szczęście Bestyjeczka miała ten sam system, co ja. Tyle wiem. – Gdzieś powinienem

mieć płytke odpowiedniego Windowsa... – Otwiera pierwszą szufladę w biurku i błyskawicznie ją zamyka, jakby przypomniał sobie o mojej obecności. – Mógłbyś się odwrócić? Trzymam tu różne sprawy intymne.

Pewnie żel dodający wrażeń podczas walenia gruchy przy perwersjach z darknetu.

– Jasne – odpowiadam.

Czekając, aż znajdzie płytę, odbieram SMS-a od Dony. Blond piękność jedzie dzisiaj na paniński koleżanki ze studiów. Dwudniową imprezę organizują w Katowicach, bo podobno na wyjeździe zawsze lepiej. Pyta, czy w niedzielę odbiorę ją z dworca o siedemnastej. Odpisuję, że tak, choć jeszcze nie wiem, czy nie wymigam się kiepskim samopoczuciem. Sporo zależy od efektów dzisiejszych działań. Gdzieś z tyłu głowy tli się nadzieja, że do tego czasu znajdę Listonosza i zdążę go zabić.

– Mam! Działamy! – Grabarz trzaska szufladą.

– Pozwolisz, że będę nagrywał? – Celuję telefonem w ekran laptopa i zaczynam nagrywać.

– Oki, będę mówił na głos wszystko, co robię. – Grabarz pociąga łyk burna. – A więc lap prosi o podanie hasła. My wciskamy pięć razy shift. W ten sposób wywołujemy klawisze trwałe. – Wyskakuje ikona w lewym górnym rogu ekranu. – Klikamy „nie”, uruchamiamy ponownie komputer i wkładamy płytę z Windowsem. – Po chwili wyświetla się okienko instalatora. – Klikasz „dalej”, „napraw komputer”, „rozwiąż problemy” i „wiersz poleceń” – tłumaczy kolejne ruchy. Na ekranie pojawia się czarne okienko przypominające DOS-a. – Nadążasz?

– Tak.

– Teraz będziemy pisać. Założę się, że na tym poległeś.

– Nie zaprzeczę.

– Najpierw odnajdujesz literę przypisaną do dysku z Windowsem.

– „C” – odpowiadam z automatu.

– Kto by pomyślał... – Rechocze, jakbym opowiedział kawał. – Lecimy dalej. Piszę komendę, którą zmienię nazwę pliku. Uwaga, dyktuję... – Na ekranie pojawia się:  
„move c:\windows\system32\utilman.exe c:\windows\system32\utilman.exe.backup”. Grabarz robi przerwę na łyk energetyka i kontynuuje: – Teraz kopiujemy plik cmd, zmieniając jego nazwę na „utilman”. – Nie mam pojęcia, o czym mówi. – Dyktuję... – Wpisuje: „copy c:\windows\system32\utilman.exe c:\windows\system32\utilman.exe” i zerka na mnie z cwana miną. – Dajesz mu „yes”, zamykasz wiersz poleceń, każeś anulować instalację Windowsa i uruchamiasz ponownie laptopa.

– Co potem? – pytam, gdy na ekranie pojawia się ponowna prośba o podanie hasła.

– Wciskasz pięć razy shift, wyskakuje ci okno wiersza poleceń.

Rzeczywiście wyskoczyło, a na nim formułka „C:\Windows\system32>”.

– Czas na ostatnią operację. Dyktuję: „net user Kuba piwo111”. Takie będziesz miał hasło. A teraz uwaga! – Unosi rękę, prostuje palec wskazujący i z gracją pianisty rozpoczynającego koncert uderza w enter. – Polecenie zostało wykonane pomyślnie! – czyta komunikat, zamyka wiersz poleceń, wstaje i kłania się, jakby czekał na brawa. – Nowe hasło to „piwo111”, spróbuj.

Wpisuję hasło, laptop wpuszcza mnie do menu głównego.

– Przechuj! – krzyczę, nie mogąc wyjść z podziwu.

– No raczej. – Wyciąga kartkę z drukarki. – Zapiszę ci jeszcze te komendy, żebyś czegoś nie spieprzył.

Nie wiem, czym dokładnie działania Grabarza różnią się od prezentowanych na tutorialach, bo wszystkie komendy wyglądają podobnie. Tamte działały, ale chyba tylko nagrywającym filmy i jajogłowym chwającym się sukcesem w komentarzach. Więcej osób żaliło się, że opisywane metody nie działają. Sam też nie dałem rady. Nie znam się na informatyce, nie umiem łamać haseł, dużo lepiej radzę sobie z kobietami, paragrafami i nożami. Na szczęście Grabarz dał mi przepis na dostęp do laptopa Bestyjeczki.



– Powiesz, czemu mi się nie udało? – Ciekawość nie pozwala mi milczeć.

– Bo jesteś laikiem i znalazłeś trefne tutoriale? – pyta retorycznie. – Mogłeś coś źle zrozumieć albo źle wpisać. Wbrew pozorom to nie są porady dla amatorów. Pewnie nie wiesz, ale powinieneś teraz przywrócić właściwą zawartość „utilman.exe” z backupu – zarzuca jakimś magicznym zaklęciem. – Z tym ci nie pomogę, serio nie mam czasu.

Mnie bez różnicy. Laptopa spisałem na straty. Sformatuję dysk, może nawet kupię sobie nowego.

– Spoko, luz. Dane na dysku nie są najważniejsze. Grunt, że przechytryłem piękną... – Puszczam oko i zamykam laptopa.

– Masz za dużo wolnego czasu, Sobański.

– Wypij za moje zdrowie. – Wskazuję palcem absoluta. – Gdyby znudziło ci się siedzenie w tej norze i szukałbyś prestiżowej otoczki dla swoich usług, zapraszam do Future. Dostaniesz dobre warunki – kuszę, bo zaufany informatyk na pewno by mi się przydał.

– Zapominasz, że znam się z Barańskim. Wiem, jakie chodzą u ciebie stawki. W czasach mody na *home office* jesteś za drogi. Poza tym nie narzekam na brak klientów...

– Ty natomiast kosztowałeś adekwatnie do świadczonej usługi. – Podaję mu grabę. – Dzięki, odwdzięczę się, gdybyś potrzebował.

– Trzymam za słowo. – Wcale nie chciałem tego usłyszeć.

\*\*\*

Dwie godziny później mój salon jest zadymiony jak sektor stojący podczas derbów Krakowa. Odpaliłem cztery szlugi, żadnego nie skończyłem, przez co papierosowa mgła z tłącego się żaru otacza laptop. Wklepuję polecenia powoli, sprawdzam to, co na kartce, i to, co na nagraniu.

Jestem przy końcowych ruchach. W wierszu poleceń wpisuję „net user Soniacz mala”. Podświadomość sama każe ustawić takie hasło. Naciskam enter, system

mówi, że przeprowadziłem operację pomyślnie. Klikam w ikonkę czarownicy, którą Sonia ustawiła jako zdjęcie do profilu, i wpisuję „mala”. Serce wali jak szalone, ręce mi drżą, chyba od detoksu. Potwierdzam enterem. System zaczyna mieć, sięgam po resztkę tłącego się szluga. Pojawia się pulpit Windowsa. Na widok tapety dym staje mi w gardle.

Palę kolejną fajkę i przyglądam się tapecie, której lewy fragment pokrywają ikonki plików i folderów. Dalsza część ekranu jest czysta, jakby Sonia nie chciała, żeby cokolwiek zasłaniało nasze zdjęcie. Leżymy na nim w jej sypialni, bez ubrań. Bestyjeczka opiera się na moim torsie, lekko przekrzywia głowę w stronę telefonu, który trzyma w ręce. Uśmiecha się szeroko, odsłaniając zęby i dziąsła. W jej ciemnoniebieskich oczach widać niesłabnącą wiarę i załazek szczęścia. W moich wściekłość i nienawiść, choć też się uśmiecham. Fotkę cyknęła, w czasie kiedy podarowała mi Future i regularnie ze sobą sypialiśmy. Ona czerpała z tego frajdę, ja próbowałem zdobyć klucze do jej azylu. Potem ją olałem, bo chciałem, żeby się męczyła.

– Całkowite odtrącenie cię było głupotą – mówię po długim czasie gapienia się w ekran.

Niesamowite, jak chwila obcowania z czymś, co stanowiło intymną sferę jej życia, potrafi zboleć. To ja jestem starszym, o wiele groźniejszym myśliwym. Powinienem być wziąć odpowiedzialność za nas oboje, tak jak zrobiłem wiele lat temu w domku na Hoffmana. Wziąłbym, gdyby powiedziała mi o swoich problemach.

– Razem oblaliśmy ten egzamin. Ty czułaś się zraniona, ja byłem wściekły. – W ten sposób przypominam sobie o współwinie Soni. – Splot naszych braków dusz był czymś, co już nigdy mi się nie powtórzy...

Znów mam ochotę sięgnąć po list i skatować się jeszcze mocniej, ale Sonia nie żyje i nic, co pomyślę ani zrobię, tego nie zmieni. Nostalgiczna część mnie

długofalowo nie ma szans z tą silniejszą, napędzającą instynkt przetrwania. Listonosz nie będzie czekał, aż uporam się z kolejnym dołem. Trzeba brać się w garść.

Zaczynam od ostatnio używanych elementów w laptopie Soni. Dominują pliki Worda z zapisanymi czatowymi rozmowami. Przeglądam je pobieżnie. Bawiła się w siostrę i brata, seks ze współnikiem, z kumplem i byłym chłopakiem, który wyszedł z więzienia. Zazwyczaj kazała towarzyszowi zabaw mieć na imię Kuba... Słuchała techno, oglądała najnowszy *Krzyk* i *Teksańską masakrę piłą mechaniczną*. Wszystko nielegalnie ściągnięte z sieci.

Potem sprawdzam historię przeglądarki. Za punkt odniesienia przyjmuję czas czterech dni przed jej śmiercią. Sonia kilka razy oglądała mapy Google, konkretnie jakiś dom w Tyńcu. Wyznaczyła z niego trasę do swojego mieszkania. Zastosowała wariant samochodowy, pieszy i rowerowy. Stawiam człowieczka pod domem, ale budynek nic mi nie mówi, choć to może być...

– Chata Listonosza – stwierdzam i zapisuję link w nowym pliku Worda.

Wracam do historii. Po sprawdzeniu Tyńca Sonia weryfikowała pocztę, oglądała kaski na OLX, stronki z jedzeniem, raz weszła na Redtube. Często wchodziła na Facebooka i sprawdzała kolejne lokalizacje. Olewam Fejsa, skupiam się na mapach. Bestyjeczka wyznaczyła drogę z firmy Makoplex na Czyżynach do swojego mieszkania. Googluję ją. Przeglądarka proponuje bazę danych KRS. Chętnie korzystam. Przedsiębiorstwo zajmuje się handlem pleksi. Prezesem jest Władysław Małkowski, a wiceprezesem... Krystian Małkowski! Brat cioteczny Pozbawionego\_zahamowań18 z erotycznego czatu, przez którego spędziłem sześć lat za kratami!

Pamiętam Krystiana. Poznaliśmy się na imprezie u Vanessy Jurczyk zaraz po moim powrocie na wolność. Był wystraszonym człowieczkiem, który ze swoją śmieszną sylwetką i w obcisłych ciuchach wyglądał jak kiełbasa spakowana w folię. Sonia powiedziała mi, że się z nim spotykała, ale był tylko pożytecznym idiotą, który szybko jej się znudził. Uwiodła go, bo chciała zobaczyć, jak to jest z bliskim ofiary, a ja w ogóle nie wziąłem go pod uwagę! Wydawał się taki niegroźny...

Nawet teraz, gdy zmruję powieki, z łatwością przypominam sobie jego wzrok, który wręcz kurczył się przede mną ze strachu. Facet trząśł się jak galareta, kiedy podawał mi rękę, cały był oblany potem. Owszem, mógł udawać, ale w oczach potencjalnego zabójcy widać zobojętnienie, nienawiść, ból, czasami jaskrawe szaleństwo, które nie każdy potrafi ukryć, ale na pewno nie strach! Czyżbym się pomylił? Czyżby Małkowski potrafił udawać lepiej, niż sądziłem?

Przecież Dona mówiła, że Sonia spotkała Araka w salonie tatuaży w dniu zerwania z Małkowskim, czyli dzień po tym, jak dokonała zabójstwa. Bestyjeczka natomiast chwaliła mi się, że podała Małkowskiemu rohypnol, żeby użyć go jako ewentualnego alibi, kiedy pojedzie oddać się rytuałowi. Krystian Małkowski, będąc blisko niej, mógł ją rozgryźć. Tak naprawdę nic o nim nie wiem. Nie wiem, czy ma w sobie mrok, jak bardzo był zakochany w Soni, jak zareagował, kiedy potraktowała go niczym papierek po batonie, i czy ma tak samo popierdolone geny jak kuzyn. To Sonia go znała i ewidentnie typowała na Listonosza!

– Czemu go olałem? – pytam samego siebie.

*Oślepiła cię zazdrość, braciszku. Małkowski nie stanowił konkurencji, Arak owszem. Bolało cię, że sypiał z gówniarą, a jej się to podobało, dlatego szukałeś pretekstu. Chciałeś, żeby był Listonoszem – drwi ze mnie w najlepsze Klara, i ma rację.*

Faktycznie, od momentu, w którym Arak powiedział mi, że Sonia go rozprawczyła, przestałem akceptować myśl, że Listonoszem może być ktoś inny!

Zostawiam przeglądarkę i przeczesuję foldery w poszukiwaniu zdjęć. Dawniej Bestyjeczka lubiła zapisywać fotki z obserwacji. Po kilku minutach docieram do jedyne albumu. Większość zdjęć to ja i ona, motocykle, noże, jakieś sportowe ciuchy, jest też fotka jej brata z Michałem Arakiem i nekrologu Przemka Wodzińskiego. Miałem rację, próbowała pobudzić swój mrok. Wcale nie podejrzewała Araka...

Innych fotek nie ma. Jeśli Sonia prowadziła obserwację, tym razem nie zapisała jej efektów.

Wracam do historii przeglądarki i skupiam się na linkach do Facebooka z ostatnich dni jej życia. Jest ich kilka, pojawiają się jeden za drugim. Teraz muszę być ostrożny. Szyszka ciągle może monitorować socjale Bestyjeczki. Gdyby zauważyła aktywność, najlepsi policyjni informatycy sprawdziliby, z jakiego miejsca ktoś, kto ukradł jej sprzęt, zalogował się do sieci. Nie wiem, czy Sonia ma zapamiętane hasło do Fejsa. Zawsze lubiła minimalizm, lepiej nie ryzykować. Zapisuję linki w Wordzie i zgrywam plik na pendrive. Potem podpinam go do swojego laptopa.

Loguję się na jedno z moich fikcyjnych kont i otwieram pierwszy link. To profil koleśka nazwany Krystek MK. W kwadraciku widnieje parchata mordka z ulizaną fryzurą. Małkowski. Ma średnie progi zabezpieczeń. Mogę obejrzeć kilka zdjęć. Większość nic nie wnosi, ale na jednym widzę dziarę tygrysa na jego lewym ramieniu. Mógłbym się założyć, że korzystał z usług tego samego tatuażysty, co Sonia.

Sprawdzam następny link. Prowadzi do szkoły oferującej kursy samoobrony, kolejny do firmy szyjącej kombinezony motocyklowe, a ostatni, na który Sonia wchodziła przed śmiercią, do konta niejakiej Barbary Barcisz. Około trzydziestoletnia kobieta, chuda szkapka z wyrazem twarzy stworzenia, które myśli, że może każdemu rozkazywać. Ma zaznaczony status: „w związku z Krystek MK”.

Wszystko wskazuje na to, że Sonia, oprócz gry defensywnej, szykowała się na atak i sprawdzała słabe punkty przeciwnika. Gdyby tylko użyła mnie do pomocy...

Wkurwiony na samego siebie sprawdzam trasę z Salwatoru do Tyńca. Zaczynam analizować dojazd bocznymi drogami, gdzie można uniknąć monitoringu. Czuję mrowienie w palcach i chłodne ciarki poniżej kręgosłupa. Żołądek ściska się z napięcia, ręce pokrywa gęsia skórka. Nadchodzi wizja, którą mimo sprzeczności z logiką chcę realizować.

Wstaję od komputera, idę do szafy. Z górnej półki ściągam karton, w którym trzymam stroje na diabelskie tańce. W sejfie są noże. Jest też maska. Za chwilę pojedę škodą do Tyńca. Najpierw zlokalizuję dom, potem wejdę na posesję i będę czekał, aż zgaśnie ostatnie światło. Światło w sypialni.

Gdy nie zna się przeciwnika, najlepiej zaatakować totalnie, niczym szaleniec na samobójczej misji. Pogoda sprzyja takim rzeczom. Wreszcie zaczęły się czerwcowe upały, ludzie zostawiają uchylone okna, pewnie nawet tak czujni jak Listonosz. Dostanę się do środka przez jedno z nich, a jeśli będzie trzeba, wybiję szybę. Kiedy będę w domu, najpierw dźgnę Małkowskiego w brzuch. To go obudzi i osłabi. Potem odetnę mu język i zabawię się z jego dziewczyną, jakby była Klarą, a on będzie patrzył, jak umiera. Tak jak ja musiałem patrzeć na zwłoki Soni. Jeśli śpi sam, zwiążę go i podpalę żywcem.

*Mało ci spontanów? Jeszcze wczoraj chciałeś planować.*

*Zostawiłeś mnie, mógłbyś mi to wreszcie wynagrodzić.*

Klara z Sonią brzęczą pod czaszką. Są niczym anioł i diabeł z kreskówki, podpowiadający głównemu bohaterowi, co ma robić. Najgorsze, że w tym przypadku Klara wciela się w rolę rozsądnej.

Faktycznie, należy bardziej zagłębić się w Małkowskiego, upewnić się, że jest Listonoszem, a przede wszystkim przeprowadzić rekonesans. Poznać sąsiedztwo, zobaczyć, gdzie można ukryć škodę, opracować trasę wjazdową i wyjazdową. Gnojek jest synem biznesmena, jego śmierć wywoła zamieszanie, być może gliny połączą go z Sonią i zrobi się gorąco. Jazda dzisiaj byłaby szaleństwem. Tym razem posłucham siostry. Pojadę jutro, rozejrzę się i ułożę plan.

Póki co mogę jeszcze pogrzebać w sieci. Fejs nic więcej nie da, dlatego otwieram Instagram i wchodzę na swoje fikcyjne konto. Może dzięki zdjęciom i relacjom dowiem się, co dziś robi Krystian Małkowski, jak wygląda dom w Tyńcu od wewnątrz albo jakie ma plany na jutro. Szybko przekonuję się, że domniemany Listonosz nie używa tego serwisu, ale jego narzeczona owszem. Jej profil nie ma żadnych progów prywatności, wszystko można zobaczyć.

Zaczynam od relacji. Dodała jedną, godzinę temu. Jej gęba z kieliszkiem wina. Przechodzę do postów. Tu widać solidne ładowanie próżności. Barbara w kinie, Barbara w teatrze, Barbara w parku Jordana, Barbara pod Sukiennicami, na Wawelu i tak dalej. Zazwyczaj sama, z koleżanką twarzowo sztuczną jak oranżada w proszku

albo z Małkowskim. Przewijam w dół, zerkając na daty. Przy dwunastej fotce wszystkie zebrane dotąd informacje stają się bezwartościowe.

– Kurwa mać! – Wściekły ciskam telefonem o ścianę. – Zjechałaś tak samo jak ja!

Wypalam szluga na uspokojenie, podnoszę telefon, który przetrwał lot w jednym kawałku, i ponownie przyglądam się zdjęciu. Barbara pozuje z Małkowskim na stadionie pod sceną muzyczną. Oznaczyła lokalizację. Ergo Arena, Gdańsk. Zdjęcie podpisała „Cudowna noc, cudowny koncert. Dziękuję Quebonafide”. Data dodania zdjęcia pokrywa się z datą śmierci Soni. Upewniam się za pomocą Google, że właśnie tamtego popołudnia odbył się koncert, i skreślam Małkowskiego z listy podejrzanych. Nie mógł zabić, skoro był wtedy w Gdańsku, a Sonia nie mogła tego wiedzieć...

– Kim ty jesteś?! – pytam swojego mieszkania, które zdaje się wirować.

Ja też kręcę się w kółko, trafiając na lipne tropy, i wciąż wracam do punktu wyjścia. Robię się słaby i leniwy. Gdybym sięgnął po śnieg, poczułbym się lepiej. Chemiczny nałóg kusi, ale nie zamierzam temu ulegać. Ponownie siadam do laptopa. Przeglądam foldery, podfoldery, pliki i jeszcze raz historię Mozilli, szukając czegoś, co naprowadziłoby mnie na nową wskazówkę. Ślęczę nad tym całą noc. Efektów brak. Przychodzi tylko rozczarowanie.

Nad ranem jestem tak padnięty, że muszę się przespać. Po przebudzeniu idę na jogging. Biegam z dwoma nożami schowanymi w pasie ukrytym pod luźną koszulką. Nie słucham muzyki, boję się, że Listonosz spróbuje potrącić mnie samochodem. Bieganie bez słuchawek jest mordęgą. Kończę rozdrażniony.

Po śniadaniu znów siadam do laptopa. Dalej bez efektów. W końcu dociera do mnie, że w cyfrowym świecie Bestyjeczki nie znajdę Listonosza. Próbuję ułożyć nową strategię. Nie zaakceptuję myśli, że w rajku może żyć groźniejszy drapieżnik ode mnie.



## 34

Do dostarczenia przesyłki Listonoszowi zostało siedem godzin. Teorie ze *Sztuki wojny* wydają się przerażająco prawdziwe, a moja strategia nosi nazwę „błądzenie po omacku”. Podjąłem pewne kroki, ich efekt sprawdzę niebawem.

Wczoraj pojechałem do sklepu szpiegowskiego po miniaturową kamerę. Dzięki karcie SIM z Internetem przekazuje obraz na żywo do apki w telefonie. Wciąż mam kilka czeskich prepaidów, które mogę wykorzystać. Po zakupach sprawdziłem miejsce przekazania wiadomości. Znajduje się dziesięć kilometrów od Salwatoru. Wcześniej nie chciałem tam jechać, bo ciągle liczyłem, że znajdę Listonosza przed deadline'em. Laptop Soni pozbawił mnie złudzeń.

Do miejscówki prowadzą dwie drogi. Wschodnia przez podkrakowską wioskę Szczyglice i wąski most nad rzeką Rudawą. Tuż przed mostem znajduje się boisko piłkarskie i plac zabaw. Oba obiekty są monitorowane. Jadąc, mija się sporo domów, myjnię, monopolki, supermarket i pizzerię. Ludzie w takich miejscach znajdują się ze sobą, brakuje wielkomiejskiej anonimowości. Zachodni dojazd prowadzi z kolei przez Balice. Przy drodze nie ma leśnych zatoczek, są za to parkingi strzeżone, sklep, kilka firm, karczma, domy, a na końcu lotnisko. Brak opcji do ukrycia auta.

Sama miejscówka też jest niezła. Paczkomat wyposażony w kamerę stoi przy wjeździe na teren z kontenerami. Po przeciwnej stronie znajduje się dom – na płocie wisi reklama nauki jazdy. Dalej po obu stronach są dwie małe działki prowadzące do tego cholernego mostu. To jedyna wolna od kamer strefa, nie licząc siatki otaczającej teren z kontenerami. Na pewno nie dałbym rady przycząć się

i zaatakować Listonosza. Moje auto bez względu na wybraną drogę pojawi się w kamerach.

Będąc w Szczyglicach, zrozumiałem cwaniactwo Listonosza. Punkt przekazania paczki stanowi jasny znak – niedzielnej nocy nie dojdzie do starcia. On chciał, żebym obejrzał miejscówkę, dlatego podłożył list tak wcześnie. Jest cierpliwy, ma swoją taktykę. Dochodzi jeszcze konkretny czas dostawy. Nie wiem, jak chce go zweryfikować, ale jasno wyraził się o punktualności. Być może wynajmuje jeden z kontenerów i w nim schowa ukrytą kamerę. Ja swoją schowałem w krzakach. Obiektyw wycelowałem w punkt, w którym zostawię kopertę. Może uda się nagrać Listonosza albo chociaż dowiem się, czym jeździ. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że to ktoś, kogo znam. Jeśli on też ukrył kamerę, zobaczy, co zrobiłem, ale nie usunie mojej, nie dając się nagrać.

Dzisiaj wstałem przed południem. Nerwy miałem napięte, serce łomotało, nienawiść krzyżowała się ze strachem. Nie jestem zależny od samego siebie, co zakłóca mój spokój. Na siłę odprawiłem poranne rytuały, przygotowałem odpowiedź dla Listonosza i spakowałem ją do koperty. Oczywiście w rękawiczkach. Potem ruszyłem do miasta.

Od dwóch dni z uporem maniaka próbuję wkręcić się w sposób myślenia Listonosza. Potrzebuję odstresu, dlatego siedem godzin przed deadline'em wchodzę na peron dworca głównego, obserwując Donę wysiadającą z pociągu razem ze swoimi koleżankami.

– Kubuś! – wrzeszczy, stawiając stopy na krakowskiej ziemi. – Wyczesanie, że przyjechałeś!

Podbiega do mnie, lekko chwiejąc się na nogach. Jej koleżanki wyrzucają puste puszki po carlsbergach. Nie wyglądają na grzeczne. Dwudniowy panieński musiał dzisiaj przejść w alkoholowe śniadanie, alkoholowy obiad i dalsze uzupełnianie płynów w podróży.

– Cześć, blond piękności. – Witam ją czułym pocałunkiem.

Moja dziewczyna pachnie jak monopolka, smakuje niczym piwo wietrzejące na słońcu, ale wygląda oszałamiająco. Włosy rozpuściła, makijaż nałożyła niechlujnie, przez co przypomina nastolatkę. Ma dzinsowe spodenki odsłaniające całe uda, czarną koszulkę bez rękawów, czarny stanik i czerwone trampki. Naprawdę za nią tęskniłem. Inaczej niż za Bestyjeczką, a jednak.

– Drogie panie, oto mój Kuba! – świergocze, przejeżdżając ręką wzdłuż mojego ciała, jakby zrywała płachtę z eksponatu. – Obgadywałam cię wczoraj! Czułeś, że pieką cię uszy?

Czułem niemoc, nienawiść i frustrację. Bardzo chciałbym móc jej to powiedzieć.

– Piekły tak mocno, że jedno prawie sobie obciąłem.

– Poznaj Olę, Anię, Sarę, Magdę i naszą przyszłą zniewoloną, Sylwię! – Macha do dziewczyn, przywołując je. Dwie akurat witają się ze swoimi chłopakami. – Mnie Kuba też planuje zaobrączkować, groził tym ostatnio! – stwierdza Dona, wieszając mi się na szyi. – Prawda, kochanie? – Przytula się. Jest niesamowicie słodka. Przy niej nie myślę o Listonoszu.

– Byłem już zaobrączkowany, przez policję. – Odklejam ją od siebie. – Sześć lat drogiego i toksycznego związku. Nie polecam!

Towarzystwo wybucha śmiechem.

Odbębniam przywitania z każdą z dziewczyn, z ich facetami, wysłuchuję różnych komentarzy na temat panieńskiego i gdy obowiązkowe obrzędy dobiegają końca, wreszcie możemy sobie pójść.

– Fajna imprezka, prawie zapomniałam, jak to jest bujać się po klubach z laskami ze studiów – stwierdza Dona, kiedy przechodzimy z dworca do części należącej do Galerii Krakowskiej. – Wiesz, Majka i Dorian są ekstra, ale dobrze czasami zmienić towarzystwo. – Ciągnie mnie za rękę w kierunku wyjścia, choć nawet nie spytała, gdzie zaparkowałem. – One regularnie do mnie pisały, ale chyba się ich wstydziałam. Mają ogarnięte życia, a ja zapierdalałam w Full House jak studentka. Tylko przy Soniaczce nie miałam kompleksów. A teraz, dzięki facetowi z moich snów – daje mi buziaka w policzek, na wypadek gdybym mógł pomyśleć, że

nie o mnie chodzi – pracuję u Merka, prowadzę w jego imieniu sprawy i jestem przechujką. Fajnie patrzeć na innych z pozycji ofensywnej. – Nieświadomie przypomina mi o Listonoszu. – *Anyway*, co robiłeś, jak mnie nie było?

Próbowałem upolować myśliwego. Kolejna prawda, której jej nie powiem.

– Szczypta biznesu, trochę treningu i dużo obijania.

– Ekstra, to musisz być wynudzony... – Stajemy przed wejściem. Dona wyjmuje fajki ze spodenek. Tak jak przypuszczałem, weekend w Katowicach rozwinął nałóg.

– Co robimy? Ja mogę wszystko, byle to było na mieście!

Plan zakładał spotkać się z Doną, nacieszyć oczy widokiem czystego piękna, ewentualnie zaliczyć upalny numerek w jej kawalerce i w ten sposób odpocząć przed nocną wycieczką do Szczyglic, ale jest na to zbyt nawalona i ewidentnie ma ochotę się dobić. Nie zaciągnę jej na Łazarza.

– Forum, obiadek i jakieś płyny? – proponuję.

– Aha, czyli chcesz, żebym jeszcze coś wypić?

– Nie będę ci wlewał na siłę...

– Nie musisz, sama sobie wleję. – Gasi w połowie wypaloną fajkę. – Mam jutro wolne i na myśl o tym zaczyna mnie suszyć. Gdzie masz furę? Zostawiłabym walizkę.

\*\*\*

Po odniesieniu bagażu i spacerze wzdłuż bulwarów siadamy na parasolach przed Forum Przestrzenie. Zamawiam steka z piwem bezalkoholowym. Dona bierze ciabattę z kozim serem. Czekać na posiłek, obala pilsnera, a kiedy jedzenie jest gotowe, zamawia drugiego i jako dodatek pięćdziesiątkę wódki. Pierwszy raz widzę u niej taki pociąg do alkoholu. Zwykle lubiła chlapnąć kilka piw, czasem do upicia, zawsze przy mnie, ale wódki nie tykała. Widocznie weekend obudził w niej coś z Szalonej Dony.

– Jeszcze nie masz dosyć? – zagaduję, patrząc, jak wrzuca kieliszek czystej do kufla.

– Ach, to... – Rumieni się i upija potężny łyk specyficznej mieszanki. – Sprawa Mikulskiej, śmierć Soniaczki, ty z kluczami do jej mieszkania, wasze sekrety, potem testament i głupia zazdrość o nieżyjącą. Kumulacja negatywów. – Wkłada do ust kawałek jedzenia. – Panieński stanowił okazję, żeby się wyszumieć, i chyba mentalnie jeszcze go nie skończyłam. Ale luzik, od jutra będę grzeczną dziewczynką. No... – Chwyta moją dłoń i kładzie sobie na udzie. Jest rozgrzane niczym patelnia. – Nie do końca grzeczną.

– Lubię, kiedy jesteś sobą, nie krępuj się.

– To niezupełnie ja. – Podnosi kufel i pije. – Prędeż moja alternatywna wersja z przeszłości. Wersja terazniejsza woli kofeinę i soczki, chyba że wygrywa sprawę, idzie na mecz albo organizuje posiadówkę. – Mógłbym dodać nowo odkrytą rozrywkę polegającą na wciąganiu śniegu. – I zawsze w asyście mojego przystojnego ochroniarza. Bez ciebie ostatni raz zdarzyło mi się zaszałeć w Próżności z Soniacz... – Gryzie się w język. – Nieważne, wiesz, o co chodzi.

– Wiem, dorosłaś, sama mi o tym mówiłaś.

– Niepicie, gdy nie ma przy tobie faceta, nie świadczy o dorosłości – mówi, wolno poruszając ustami. Alkohol i upał dają jej się we znaki. – Nie byłam wtedy wobec ciebie całkowicie prawdomówna. Znaliśmy się krótko, nie musiałam. – Czka. – Tak naprawdę skończyłam z Szaloną Doną po jednej trefnej nocy, o której zdecydowanie nie powinnam paplać.

– Ponoć czujesz się przy mnie swobodnie – próbuję ją zachęcić.

– Si, ale to chujowa przeszłość.

Właśnie o takiej chcę posłuchać.

– Spoko, rozumiem. – Odpalam fajkę i dmucham w jej twarz. Dona ślamazarnie przegania dym. – Za mały kredyt zaufania, choć naciskasz na zaobrączkowanie... – udaję obrazonego.

– Kuba, wstydę się. Nie chcę, żebyś pomyślał o mnie, że jestem... – Mocno przyciska moją rękę do swojego uda. Walczy z naturalnymi blokadami w głowie. Ma ochotę coś mi wyznać. – Niewłaściwa.

– Tak samo Sonia nazwała Araka po schadzce na Mazurach – wypalam z automatu, od razu tego żałując.

– Masz zajebistą pamięć do wszystkiego, co jej dotyczy! – Dona podskakuje i odrzuca moją dłoń, jakby zmieniła się w tarantulę. – Naprawdę wolałam, kiedy Wodzińska miała głowę przyczepioną do szyi! Wtedy cię nie obchodziła! – robi raban na całe Forum. Ludzie zaczynają nas obserwować. – Choć i tak powinnam wysłać kwiaty temu zabójcy! Patrząc długoterminowo, pewnie znowu byś na nią poleciał! I znów nie bylibyście w związku!

– Dona... – Jestem tak zaskoczony, że brakuje mi słów.

– Idę się wylać! Bądź tak miły i ureguluj rachunek. Przeszła mi ochota na twoje towarzystwo, Kubo Sobański!

Była gotowa otworzyć się, ale wystarczyło jedno skojarzenie z Sonią, żebym wszystko spieprzył. Mogę mieć pretensje do siebie. Nie zamierzam jednak prosić o rachunek. Czekaając, aż Dona wróci, włączam apkę odpowiedzialną za kamerę w Szczyglicach. Przewijam ostatnie dwie godziny. Kilka aut staje przed paczkomatem. Jakaś para urządza sobie spacer w upale, ktoś inny jedzie na rowerze. Stoicki, wiejski spokój.

– Pan Kuba Sobański, tak? – Obok mnie rozbrzmiewa subtelny głos kojarzący się z balladą rockową.

Spoglądam w górę i przez moje plecy przechodzą dreszcze, pojawia się też mrowienie w dolnych rejonach ciała. Odruchowo chwytam za nóż do steka.

Przyglądam się ciemnej brunetce, która stoi przed stolikiem. Jest obrzydliwie piękna. Ma długie włosy splecione w gruby warkocz. Kocie oczy emanują dzikością. Idealnie łączą się z niewinnym wyrazem twarzy, wąskimi ustami, małym nosem i kilkoma piegami. Zgrabną sylwetkę podkreśla koszula w czerwono-czarną kratkę, rozpięta do połowy niedużych piersi ukrytych pod szarym stanikiem. Na dole związała ją w supeł. Jej brzuch zdaje się nie mieć grama tłuszczu. Podobnie nogi. Są wysportowane, choć nie straciły subtelných kobiecych rysów. Kraciasta mini w tych samych barwach, co koszula, kończy się w połowie ud. Im dłużej na nią patrzę, tym bardziej chce mi się wymiotować.

– Domyślam się, że podchodzę nie w porę – mówi, wbijając wzrok w moją pięść złączoną z nożem – ale nie mogłam zignorować takiego zbiegu okoliczności. W końcu i tak nie odpowiada pan na moje maile, więc nie mam nic do stracenia. – Wygina usta w sposób, który niejednego przyprawiłby o wzwód. Jest świadoma swoich atutów. – Przyznaję, czekałam, aż pani pójdzie do toalety, tylko nie sądziłam, że zrobi to tak... – przewraca oczami – plastycznie...

Każdy jej ruch, każde drgnięcie ciała, a nawet podmuch wiatru we włosach sprawiają, że mam ochotę zatopić w niej ostrze. Mój żołądek skręca się z bólu, na dole wybucha lawa rozlewająca się parszywym, zniechęconym ciepłem po całym wnętrzu. Wspomnienie łóżka w rodzinnym piekle, gumowej pałki i równie odrażającej piękności, co ta tu, nie pomagają.

– Panie Kubo, proszę tylko mnie wysłuchać.

– Kama! Nie męcz człowieka! – krzyczy męski głos za moimi plecami. – Spóźnimy się! – To pewnie facet brunetki, ewentualnie jakiś jej kumpel. Takie sztuki rzadko chadzają same, chyba że mają na to ochotę.

Dziewczyna rzuca mu karcące spojrzenie. Jest równie silne, co cios pięścią. Od razu widać, że ma charyzmę, lubi dominować i nie czuje wstydu. Mógłbym się na nią rzucić i rozszarpać ją choćby paznokciami.

– Czego chcesz? – Z moich ust wydobywa się dźwięk przypominający warczenie geparda.

– Nazywam się Kama Rudzka. – Próbuje podać mi rękę.

Na nadgarstku dyndają dwie bransoletki z czarnego szkła. Kolejne chore skojarzenie z Klarą. Puszczam nóż, wyciągam do niej dłoń, ale cofam ją w ostatniej chwili, bo boję się, że kontakt fizyczny nie pozwoliłby mi opanować rząd.

– Słyszał pan o podcaście *Grypserka*? – Dziewczyna nie zważa na mój bezczelny gest i nawija dalej, a ja nie zamierzam odpowiadać. Chcę torturować się sadystycznym dźwiękiem rockowego głosu. – Skoro nie, już wyjaśniam. Otóż trzy lata spędziłam w zakładzie karnym, nagroda za pobicie z ciężkim uszczerbkiem na zdrowiu. – Jeśli mówi prawdę, nie widać po niej konsekwencji więzienia. – Na wolności moje życie zapowiadało się marnie. Miałam tylko maturę i łatkę więźniarki, ale potrafię dogadać się z mężczyznami... – Przysuwa się do mojego krzesła. Widzę krople potu na jej nogach, czuję jego kwaśny zapach zmieszany z piżmowymi perfumami i czymś jeszcze. Chyba jej kobiecością. Wrażenia są niesamowite, ogień trawi moje najczulsze punkty. Muszę zajarać, żeby ponownie nie chwycić za nóż. – Teraz, rok po wyjściu na wolność, nagrywam podcast dla Radia Alternatywa. Rozmawiam z ludźmi o ich powięziennej rzeczywistości, o przestępstwach, których się dopuścili, pobycie w zakładzie, traumach, przemyśleniach. Nie ma żadnego tabu. Oczywiście każdy jest anonimowy, ja jestem anonimowa. Nie pokazujemy twarzy, liczą się tylko historie. Głos gości jest zniekształcany, wywiady nigdy nie lecą na żywo. *Grypserka* to mój sposób na przetrwanie.



– Skąd wiesz, że siedziałem?

– Panie Kubo, mam dostęp do Google’a, a wyszukiwanie ciekawych ludzi to moja praca – odpowiada. – Zwykle byli więźniowie chętnie zgadzają się na rozmowy, nadawca proponuje im pieniądze, ale pan ma ich pod dostatkiem. – Kręci głową. – W ciągu ostatnich miesięcy wysłałam panu trzy maile z prośbą o wywiad na adres podany na stronie Future. – Mogło tak być, kasuję sporo idiotycznych maili. Zaproszenie do radia musiałem potraktować jak spam. – Nie jestem nachalna, po prostu trafiła mi się dziś okazja, a sam pan wie, że odsiadka uczy nas wykorzystywać każdą.

Perfidnie pochyła się nad stolikiem, eksponując piersi. Oczami wyobraźni widzę moje zęby odgryzające sutki. To piękna wizja. Zupełnie nowy rodzaj bólu, który chciałbym zadać. Niestety przez konieczność noszenia maski nigdy nie spróbuję...

– Zechciałby pan odwiedzić mnie w studiu nagrań? – Kama nie odpuszcza. – Porozmawialibyśmy. W zamian proponuję kolację we dwoje – rzuca beczelnie kokieteryjnym tonem. – Uczciwa oferta, prawda?

– Idź stąd – znów na nią warczę.

Zapach dziewczyny działa odurzająco. Skronie mi pulsują, wyobraźnia podpowiada kolejne metody pozwalające czerpać rozkosz z jej cierpienia. Zbliżam papierosa do jej skóry. Wyobrażam sobie, że jesteśmy sami.

– Idź – powtarzam. – Albo oboje będziemy tego żałować.

Kama patrzy mi prosto w oczy. Kocie spojrzenie, jeszcze przed chwilą pełne dzikości, zostaje ujarzmione.

– Przepraszam. – Staje prosto. – Rzeczywiście nie powinnam panu przeszkadzać. – Odchodzi jak żołnierz po otrzymaniu rozkazu. Siedziała w pierdłu, jest w stanie rozpoznać realne zagrożenie.

Wiem, że właśnie splawiłem idealną, co biorąc pod uwagę mój stan, miejsce spotkania i jej zainteresowanie moją osobą, trzeba zaliczyć na plus.

Pierdol się, Klaro, nie ty mnie kontrolujesz!

Mimo to siostra wpisana w obraz Kamy odcisnęła swoje piętno. Ciągłe się trzęsę, oddycha mi się źle, próbuję dopalić papierosa i choć trochę poukładać myśli, ale nie mam szans, bo blond piękność właśnie wychodzi z budynku Forum i zbliża się do mnie chwiejnym krokiem. Ma mokrą twarz, mokre włosy i pomoczoną górną część koszulki. Chyba podjęła próbę wytrzeźwienia za pomocą wody. Nie wiem, czy ciągle jest zła. Wyraz twarzy ma obojętny.

– Co to było? – pyta, przysuwając swoje krzesło blisko mnie. Dokładnie w miejsce, w którym stała Kama. – Zamówiłeś sobie na szybko prostytutkę? Tylko nie ściemniaj, widziałam, jak z nią gadałeś.

– To jakaś zwariowana dziennikarka. Rozpoznała mnie i zaproponowała wywiad o życiu w powięziennej rzeczywistości. Spławiłem ją.

– A wyglądała, jakby proponowała zabawę doustną za sto pięćdziesiąt zeta. – W jej głosie słyszeć wstręt. – Nawet miała swojego alfonsa.

– Nie zapłaciłem jeszcze rachunku – zmieniam temat i gaszę fajkę.

– Przepraszam cię, Kuba! – Dona niespodziewanie rzuca mi się na szyję. Jej dotyk łagodzi demona. Dreszcze znikają, lawa wygasa. Oddycha mi się łatwiej. Gdyby nie Listonosz, czułbym się właściwie. – Poniosło mnie! Załączyły się systemy obronne, które kazały atakować ciebie, zamiast opowiedzieć ci o tym, co dla mnie krępujące. – Chwyta kufel, osusza zawartość do ostatniej kropli. Wizyta w kiblu nie spowodowała rezygnacji z picia.

– To ja przepraszam. – Jestem świadom, że żaden damski foch nie zostanie w pełni zażegnany bez męskiego przyznania się do winy. – Wspomniałem Sonię odruchowo, chwilę po tym, jak ty to zrobiłaś. Nie pomyślałem, że może cię to...

– W porządku! – Patrzy mi w twarz. Jej pijane tęczyki wyglądają cudnie. Jest w nich przejrzysta łagodność. – Soni nie ma, my żyjemy, a ja miałam ci coś o sobie opowiedzieć. – Chwyta mnie za dłoń.

– Jeśli nie chcesz, nie musisz – mówię dokładnie to, co powinien powiedzieć czuły i troskliwy facet.

– Wiem, ale chcę.

– W takim razie... – Całuję ją w policzek. Tam, gdzie blizna. – Mów.

– Na pewno nie będę rozmawiała o tym tutaj. Wszyscy się na mnie gapili, do ciebie dokleiła się dziennikarka z burdelu, lokal można uznać za spalony... – Robi rozbrajającą minę. – Wracając z kibla, sama zapłaciłam rachunek. – Wkłada do ust dwa kawałki ciabatty. – Możemy spadać.

– Dokąd?

– Jest pewne miejsce, całkiem blisko. Idziemy?

Spoglądam na zegarek. Jest już po dwudziestej. W domu czeka stresujące oczekiwanie połączone z parszywymi fantazjami o tym, czego nigdy nie będę mógł zrobić Kamie Rudzkiej.

– Z tobą odwiedziłbym nawet kościół – odpowiadam, licząc, że nie trafiłem w sedno.

– Prędzej dałabym sobie ogolić myszkę brzytwą i zrobić z tego live na Pornhubie, niż poszłabym oglądać potencjalnych pedofili w sukienkach... – Wstaje. – Wybrałam dużo ciekawszą lokalizację.

Opuszczamy Forum Przestrzenie. Choć myśli chwilowo są spokojne, i tak nie umiem się powstrzymać przed rozejrzeniem dookoła. Najważniejsza, wyjątkowa część mnie chciałaby jeszcze raz popatrzeć na seksowną brunetkę w kraciastych ciuchach. Mogę się oszukiwać, ale to właśnie polowania na takie jak ona nadają mojemu życiu prawdziwy sens.

Dona proponuje diabelski młyn na bulwarze Wołyńskim, w bezpośrednim sąsiedztwie Forum. Kolejka turystów i pijanych imprezowiczów jest spora. Czekać, w ogóle ze sobą nie rozmawiamy. Blond piękność opiera głowę na moim barku, odpoczywa. Alkohol solidnie ją wymęczył. Cisza powoduje nawrót tego, co niewłaściwe. Znowu czuję ból zmieszany z ekscytacją. Mam ochotę śmiać się i jednocześnie załamuje mnie własna słabość. Wspominam poprzedni odlot, przekonując samego siebie, że następny będzie najlepszym, a zarazem ostatnim. Tak wygląda zniewolenie nałogiem. Pewnie heroiniści mają podobnie.

Dawno żadna nie pobudziła demona równie skutecznie, co Kama Rudzka. Wystarczyło kilka chwil, żebym uzmysłowił sobie jej idealność. Wysoka, wysportowana, pewna siebie, z mroczną przeszłością. Trzy lata w więzieniu... Pobicie z ciężkim uszczerbkiem na zdrowiu... Ciekawe, kogo pobiła, co spotkało ją za kratami i w jaki sposób wróciła taka silna. Na pewno nie jest zwyczajna. Mógłbym się wiele o niej dowiedzieć, wystarczyłoby umówić się na wywiad, ale wówczas po jej śmierci stałbym się jednym z podejrzanych. Niechętnie, ale zgadzam się z Sonią. Lepiej szukać odpowiednich daleko od Krakowa.

– Wezmę dwa przejazdy, bo jeden trwa tylko piętnaście minut. – Dona wyrzywa mnie z zamyślenia. – Będę potrzebowała czasu. Oki?

Właśnie minęła dwudziesta pierwsza. Długo staliśmy w kolejce.

– Jak sobie życzysz.

Łapie mnie za rękę i ciągnie do kasy. Nie puszcza, nawet kiedy płaci i gdy wchodzimy do gondoli. Złączyła nas i nie zamierza rozłączać. Młyn rusza. Siedzimy

obok siebie, za szybami panorama najpiękniejszego miasta świata. Mojego miasta.

Nigdy wcześniej nie byłem z żadną dziewczyną na diabelskim młynie. Teoretycznie taką wycieczkę powinna cechować aura romantyczności. Piękny widok, dwoje zakochanych, ckliwe słówka, może jakieś selfie i kolejne wspomnienie wpływające na rozkwit wzajemnych uczuć. Tymczasem ledwie wznosimy się ku górze, a Dona od razu wyciąga z torebki setkę lubelskiej cytrynówki.

– Niedobitka z panińskiego. – Odkręca wieczko, przytrzymując butelkę udami. – Chciałeś dowiedzieć się o końcu Szalonej Dony. Bez wsparcia nie ogarnę... – Pociąga łyk i się krzywi.

– Ja jestem twoim wsparciem.

– W tym konkretnym przypadku bliżej ci do roli wroga... – Wykłada nogi na ławie, głowę kładzie na moich kolanach. Nadal nie puszcza mojej ręki. Teraz przykłada ją do lewej piersi. Czuję, jak wali jej serducho. – W sumie mogłabym zostawić przykre sekrety dla siebie. Tak jak ty zostawiłeś wasze sekrety z Soniaczką. Nic by to nie zmieniło. Dalej bylibyśmy razem. – Miga się, ucieka od sedna, próbuje pokazać, że oboje mamy swoje za uszami.

– Dona, jeśli nie potrafisz, odpuść. – Blond piękność jest chora na ambicję, to najlepszy sposób, żeby ściągnąć ją z objazdów i przerzucić na główną drogę prowadzącą do wyznania.

– Udowodnię ci, kto ma większe jaja! – Zaciska palce na mojej dłoni, pociąga łyk alkoholu i wkłada butelkę między uda. – Po śmierci Pawła miałam okres intensywnego party, to już wiesz. Imprezowałam głównie z Soniaczką, często z moimi kumpelami ze studiów. Potem dokleiła do nas Ida, to też wiesz. – Przytakuję. – Przestałyśmy, kiedy zapiliśmy różne chujstwa i nam się znudziło.

– Mniej więcej tak mi powiedziałaś, kiedy cię poznałem. Dzisiaj wspomniałaś o trefnej nocy.

– Si, w pewnym sensie te dwie sprawy nałożyły się na siebie. Ogólnie to Soniaczowi znudziło się imprezowanie, złapała fazę na biurowiec. Ja dobrze się odnajdywałam w klubach. Zwłaszcza po całych dniach kucia paragrafów.

– Doskonale cię rozumiem.

– No właśnie. W trefną noc oblewałyśmy zaliczenie prawa karnego. Zaczęło się u Magdy. Na imprezie były wszystkie laski z panieńskiego plus Soniaczka. Najpierw weszły przedbiegi. Wódka, zioło, whisky. Tempo okrutne, czasami tak miałyśmy, niejeden koleś by przy nas wymiękł. – Nie wątpię. – Uwaga! Kontrola celna!

Gondola zjeżdża na dół po pełnym okrążeniu. Dona zasłania setkę nogami i obserwuje pracownika obsługi, ale ten w ogóle na nas nie patrzy.

– Wyszłyście później? – pytam, choć domyślam się, jak było.

– Nie wszystkie. Sonia puściła bełta. – Śmieje się, rozchyła uda i bierze następny łyk. Jest pobudzona. Mimo mieszania alkoholi mówi głośno i wyraźnie. – Stwierdziła, że to przez brak śniegu. Zamówiła taryfę i pojechała na chatę zabrać coś białego. Po godzinie napisała, że odpuszcza. Pewnie padła.

Albo dopadł ją mrok.

– Jeszcze dwie odpłynęły i zostały na chacie. W trójkę z Magdą i Sylwią ruszyłyśmy w miasto. Miałam tak w czubie, że bełkotałam... – Kręci głową, smutnieje. W jej oczach widzę wstyd. – Zaczęłyśmy we Franticu, potem był Prozac i Gorączka. Full House omijałyśmy szerokim łukiem. Wszędzie piłyśmy drinki z czystą, zapijałyśmy je piwem i spalałyśmy to na parkiecie. Kojarzę głównie przebłycki, najwięcej z Gorączki.

– Coś tam się stało? – pytam, bo milknie.

– Rozdzieliłam się z dziewczynami, kiedy poszłam ustawić się w kolejce do kibla. – Nie wiedzieć czemu, całuje mój środkowy palec. – Po powrocie obeszłam cały klub, nigdzie ich nie było. Chciałam napisać Magdzie eskę, zajrzałam do torebki i okazało się, że mój fon padł. Potem nigdzie nie mogłam znaleźć dziewczyn. Pomyślałam, że czekają na zewnątrz. Nieraz tak robiłyśmy, gdy w klubie było zbyt tłoczno.

Gładzę ją po włosach. Chcę, żeby czuła jak najwięcej mojego ciepła i nabrała przekonania, że może powiedzieć mi wszystko.

– Ale na zewnątrz też nie ich było... – Gondola zjeżdża, Dona znów chowa butelkę między nogami. – Poszły sobie...

– Pizdy... – Inaczej nie umiem ich nazwać.

Jeśli to ta noc, o której opowiadał Arak, koleżaneczki Dony są współodpowiedzialne za jej krzywdy. Powinienem wygospodarować czas i znaleźć metodę na zapoznanie ich z moimi nożami.

– Nie, Kuba. Kiedy stałam w kolejce do łazienki, Magda puściła pawia na parkiet. Wyrzucili je, a ona dalej rzygała. Sylwia wzięła ją za chabety i zataszczyła na mieszkanie. Miała blisko.

– To jej nie tłumaczy. Mogła na ciebie poczekać.

– Wysłała mi eskę, żebym się nie martwiła. Nie wiedziała, że fon mi padł. – To dalej nic nie tłumaczy, ale wolę nie drążyć. – Na zewnątrz przypominałam sobie, jak Magda wcześniej mówiła, że ma znajomych z lożą w Sunshine i tam będziemy uderzać. – Nazwa lokalu sprawia, że automatycznie obejmuję jej głowę i przytulam do swojego brzucha. – Założyłam, że poszły do klubu i wysłały mi eskę. Dotoczyłam się więc do Sunshine, tam na grubo zerwał mi się film. Kojarzę bar, gigantyczny tłok na każdej sali i jak przez mgłę czyjąś lożę. – Nie chce mówić, czyja to była loża, albo nie pamięta. – Wiem, że piłam cholernie mocnego drinka. Po nim jest czarna dziura, a dalej...

Przewraca się na bok, żeby na mnie nie patrzeć. Tuli się do mojej dłoni, jakby była pluszową maskotką. Ma blokadę. Młyn zaczyna trzecie okrążenie. Muszę coś zrobić, inaczej braknie jej czasu, a po wyjściu z gondoli już do tego nie wróci.

– Ktoś... – Mnie też ciężko się zebrać. – Ktoś zrobił ci krzywdę? – zadaje wyjątkowo niewygodne pytanie.

– Kuba, pamiętaj, że to już nie ja. Nigdy więcej nic takiego mi się nie przydarzyło i nigdy się nie przydarzy. – Metoda działa. Dona przewraca się na plecy, oczy ma zaczerwienione. – Nie wiem, co dokładnie stało się w Sunshine, ale rano obudziłam się na trawniku przed domem rodziców. Czułam taką dziwność, w sobie i w ustach, jakby... No bzyknęłam się z kimś, nie wiem z kim! – Podrywa się na

równe nogi, nie puszczając mojej ręki, prawie wykręca mi nadgarstek. Gondola zaczyna się bujać, resztką cytrynowki rozlewa się po podłodze. – Wiem tylko, że stałam i miziałam się z jakimś typem przy szatniach! Jego twarz i sylwetka są zamazane. To była totalna alkoholowa jazda! Co wydarzyło się później, nie pamiętam! – Płacze na całego. – Zrobiłam z siebie szmatę! To był znak, żeby przestać imprezować! – Jej uda pokrywa gęsia skórka. – Potem zaczął się obłąd! Ciągle próbowałam przypomnieć sobie, kto to był. Bez skutku. Faceci zaczęli wywoływać we mnie wstręt. Brzydziłam się ich, brzydziłam się samej siebie! – Skacze, tupie nogami. Gondolą coraz bardziej buja. – Zrobiłam jebany test ciąży, wyszedł negatyw i uznałam, że mogło być gorzej, więc trzeba przestać uważać się nad sobą i zapomnieć! Nikomu o tym nie mówiłam!

– Zaraz nas zabijesz. – Chwytam Donę za tyłek i sadzam z powrotem na ławie. – Już dobrze. – Dociskam ją do siebie. Cała drży. – Padłaś ofiarą śmiecia, który wykorzystuje pijane dziewczyny. To nie twoja wina.

– Puściłam się, nie wiadomo z kim... – Płacze w moją koszulkę. – Ocknęłam się na ogródku u rodziców. Nie wiem nawet, jak tam dotarłam. Czułam brud i niesmak. Nie miałam też majtek... – Odkleja się od koszulki, ale nie rozłącza naszych rąk. Już nie płacze. W jej oczach widzę smutek, ale też ulgę.

Uznaję, że jest szczerą. Takie wyznanie nie miałoby sensu, gdyby pominęła potworne szczegóły. Dona nie pamięta gwałtu butelką i obleśnego kutasa Araka w jej delikatnych ustach. Wciąż jest nieskalana fizyczną traumą. Ma tylko psychiczną zadrę, a raczej dwie zadry. Właśnie taka odpowiada mi najbardziej. Twarda i po przejściach, lecz wolna od mroku.

– Rodzice znaleźli mnie rano, kiedy wychodzili do roboty – kontynuuje. – Oboje pracują w sanepidzie, zawsze wychodzą razem, więc miałam podwójnie przechlapane...

– Nigdy nie opowiadasz o rodzicach.

– Nie lubię o nich gadać. Chyba traktują mnie jak swoją porażkę.

– Czemu?



– Mieszkaliśmy na Kapelance w starym domu po babci. Całe gimnazjum i liceum starali się odkładać kasę na mój staż na architekturze w Anglii. To było dla nich duże poświęcenie. Nagle okazało się, że ich córeczka spotyka się z narkokurierem i musi zeznawać w sprawie jego zabójstwa, potem stwierdziła, że ma gdzieś architekturę i idzie na prawo. Kilka lat później znaleźli ją w ogródku, zalaną, z podwiniętą kiecką i bez bielizny...

Młyn zaczyna ostatnie okrążenie. Tym razem koleś z obsługi uważnie przygląda się gondoli.

– Zaczęli straszyć odwykiem, prawili morały, wypominali prywatną uczelnię, grozili, że jak się nie uspokoję, nie opłacą kolejnego chesnego. Przestałam pić i podjęłam pracę w Full House. Gdyby nie ty, pracowałabym tam pewnie do dziś, łudząc się, że znajdę patrona. – Wzdycha. – Teraz rozumiesz, na czym polegała trefna noc wraz z konsekwencjami? Wiesz, czemu unikam alkoholu, gdy jestem sama? Słowo daję, później tylko z Soniaczką nie bałam się sięgać po procenty. Przy niej w dziwny sposób czułam się bezpiecznie... – Pociera palcem oczy. – Tak właśnie wyglądał koniec Szalonej Dony.

– Nadal jesteś szalona, ale w zupełnie inny sposób. Lepszy... – Dotykam jej uda. Jest mokre jak po kąpieli. – I rzeczywiście masz jaja do wyznań.

Gładzę opuszkami palców bliznę na jej twarzy i zastanawiam się, czy gdybym mógł ponownie wybierać, to czy znów wybrałbym Donę czy jednak Sonię. Blond piękność ma wszystko, czego potrzebuję, jest wspaniałym oczyszczaczem myśli, w dodatku chce być szczerą, a Bestyjeczka, choć znała moje sekrety i dzieliliśmy ten sam nałóg, zataiła przede mną kilka wstydliwych wątków. Na tej płaszczyźnie moja dziewczyna ma o wiele więcej odwagi. Mimo to chciałbym, żeby obie były żywe.

– Wczoraj na panińskim wspominałyśmy tamtą imprezę. Wszystkie śmiały się ze swoich zgonów, tylko ja miałam wkurw. Dlatego się upiłam. Musiałam udowodnić sobie, że dalej mogę szaleć, ale bogatsza o doświadczenia zrobię to na swoich zasadach, nie alkoholu. I udało się. Wszystko pamiętam, była świetna impreza, nikt się do mnie nie zbliżył. – Siada mi na kolanach. – Wczoraj

zrozumiałam też, że muszę ci o tym powiedzieć. Stąd wynikło dzisiejsze picie. Dla kurażu... – W jej oczach widać przeblysłk słodkości.

– Jesteś niezwykła – dzielę się z nią szczerą myślą.

– Powiedziałam ci to, bo chcę, żebyś poznał mnie z dobrej i złej strony. Żebyś wiedział, kim byłam i jak się zmieniałam. Chcę, żebyś wreszcie zaczął mi, kurwa, ufać! – Przejeżdża wargami po moich ustach. – Jesteś jedyną prawdziwie bliską mi osobą! Z tego, co zauważyłam, ja też jestem jedyną bliską ci osobą... – Wsadza język do moich ust.

Smakuje mieszanką wietrzejących alkoholi i knajpowego żarcia. Mimo to chłonę gorycz jej warg, ostrość języka i kwaśność podniebienia. Lizemy się zachłannie, nasze dłonie są złączone tak mocno, jakby próbowały się wzajemnie zmiażdżyć. Jej uda napierają na moje biodra, dociska piersi do mojego torsu. Nasza bliskość jest odurzająca.

– Proszę państwa! Koniec podróży!

Krzyk pracownika obsługi otwierającego gondolę odrywa nas od siebie. Znów odlecieliśmy w miejscu publicznym. To zdecydowanie nasza tradycja.

– Powiedzmy, że nie widziałem szkła – dodaje, kiedy Dona próbuje w śmiesznie dyskretny sposób zabrać flaszkę po cytrynówce.

Sklejeni przepoconymi dłońmi wracamy na bulwar. Blond piękność znów ma dobry humor, ja też jestem zadowolony. Rzut oka na zegarek burzy mój nastrój. Dochodzi dziesiąta.

– Myślę, że weekend wystarczająco dał ci w kość. Potrzebujesz snu, odwiozę cię na Łazarza – próbuję nieco naiwnie przekazać złą nowinę, ale tak naprawdę nie istnieje na to żadna skuteczna metoda.

– Nabijasz się ze mnie, prawda? – Patrzy na mnie ze zdziwieniem.

– Jasne, skarbie, nabijam się.

Choćbym bardzo chciał, nie splamię Dony. Prawdopodobnie oznaczałoby to, że więcej jej nie zobaczę. Przede mną ciężka, upalna noc w rajku.

Za połowiczny sukces uznaję szybkie namówienie blond piękności na koniec miejskiej eskapady i powrót do bazy, jak nazwała mój apartament. W drodze na parking na Pawiej Dona kupuje piwo i popijając, papla jak najęta. Zapoznaje mnie z różnymi zwyczajami panującymi w kancelarii Merka, żali się, bardziej żartem niż serio, że odkąd pokonała Arlette Mikulską, nie dostała nic poważnego, a szef kazał jej się skupić nad cyklem szkoleniowym aplikacji. Narzeka na brak transferów w Wiśle, namawia mnie na zakup karnetu na przyszły sezon, snuje wizje weekendu nad morzem i pyta, co sądzę o kredycie na zakup używanego mini coopera.

Mówi o rzeczach składających się na prozę życia. Nie ma już żalu ani smutku. Po wyznaniu zeszło z niej ciśnienie. Szkoda, że nie mogę tego samego powiedzieć o sobie. Na Salwator dojeżdżamy pięć minut przed dwudziestą trzecią. Do wizyty w Szczyglicach zostały dwie godziny. Jestem solidnie zestresowany.

Wychodząc na miasto, nie spodziewałem się takiego rozwoju wypadków. Na szczęście profilaktycznie schowałem wszystkie rzeczy mogące kojarzyć się z Listonoszem, a w drodze z bulwarów do auta ułożyłem szybki plan. Wymagał odwiedzin na stacji benzynowej, co ukradło mi kilka minut. Działam na spontanie, ale nie mam wyjścia. Nie wytłumaczę Donie, czemu muszę wyjść w środku nocy. Nie otworzę też przy niej aplikacji z kamery, żeby sprawdzić sytuację w Szczyglicach. Pijana czy nie, jest spostrzegawcza.

– Myślałeś, czy nie upoważnić kogoś do ogarnięcia urzędowych budżetów związanych ze spadkiem? – pyta, kiedy wjeżdżamy do podziemnego garażu. Po ostatnim piwie jej głos przeszedł w specyficzną drętwość. W tym aspekcie

niebezpiecznie przypomina mi matkę. – Bo zakładam, że dotąd nie kiwnąłeś palcem, żeby to załatwić.

Wysiadamy z auta. Tym razem nie chce złapać mnie za rękę. Wcześniej supeł naszych dłoni rozwiązała, dopiero gdy wsiadaliśmy do bmw. Były mokre jak po kąpieli, musieliśmy je wycierać chusteczkami.

– Zgadza się, nie kiwnąłem palcem – odpowiadam krótko.

Wyjmuję z bagażnika walizkę Dony i siatkę z zakupami ze stacji. Zamykam garaż. Idziemy do windy.

– Pewnie miałeś same pilne rzeczy do załatwienia.

Tropiłem Listonosza.

– Po prostu na myśl o urzędach czuję nadciągającą biegunkę. – Łokciem naciskam przycisk przywołujący windę. – I ciągle nie dociera do mnie cała ta sytuacja.

– Jasne. Zajebiście trudno jest zaakceptować fakt bycia milionerem.

– To docinka?

– Nie, najszczęsza prawda. – Wchodzimy do windy. Dona przodem. – Jakie szczęście, że nie muszę mierzyć się z podobnymi problemami...

Na jej twarzy widać efekt zmęczenia pijaństwem. Jest spocona, ma rumiane policzki, oczka jej się rozjeżdżają. Opiera się plecami o lustro, prawym trampkiem przydeptuje lewego.

– Czemu pytasz o testament?

– Bo u nas w kancelarii pracuje mecenas Laura, działa w takich urzędniczo-cywilnych bzdurach. Nagrywając jej dobrze płatną fuchę, zabłysnęłabym przed Merkiem. Mogę?

– Pomyślę.

– Spróbuję cię przekonać. Mam swoje metody.

Winda dociera na górę.

– Zgoda – rzucam na odczepnego.

Przekomarzanie się z Doną jest mi niepotrzebne.

– To się nazywa skuteczność – stwierdza z głośnym westchnięciem. – Ogarniemy temat we wtorek?

– Dobra.

Wkładam klucz do zamka. Próg mojego apartamentu przekraczamy dokładnie o dwudziestą trzecią osiem. Stawiam rzeczy na podłodze, ściągam buty, wbiegam do łazienki i zamykam się od wewnątrz. O dziwo Dona nie próbuje się dobijać ani nawet zagadywać zza drzwi. Może alko wreszcie ją zmuliło.

Będąc sam, otwieram sejf. Na górze leży list od Soni. Od razu przypomina mi się Listonosz i jej odcięta głowa. Świadomość tego, co przede mną, swędzi jak wysypka. Ignoruję negatywy i grzebię głębiej. Na samym dnie, pod nożami i maską, w foliowym woreczku leży niebieska pigułka, którą Dona miała już okazję się raczyć. Podałem jej rohypnol w noc, kiedy planowałem zrobić totalną głupotę, jaką była chęć zabicia Bestyjeczki. Wówczas profilaktycznie zamówiłem u dilera dwie tabletki. Została mi jedna.

Poprzednio byłem przygotowany i rozpuściłem roofoe w niebieskim piwie Kamikaze Garage, które czekało w lodówce. Dziś nie mam do dyspozycji żadnego alkoholu w kolorze smerfa, a na taki zabarwia się rohypnol. Będę improwizował. Chowam pigułkę do zapinanej kieszeni krótkich spodenek, zamykam sejf, spłukuję wodę w toalecie, myję ręce i otwieram drzwi.

– Długo kazałeś na siebie czekać.

Ledwie udaje mi się wyjść, a stojąca w progu Dona wsysa się w moją szyję niczym wampirzyca.

Kiedy byłem w łazience, pozbyła się ciuchów, zostawiła tylko bieliznę. Rozwiązuje sznurek przy moich spodenkach i spuszcza je do kostek. Dotyka penisa przez bokserki. Tego nie było w planach, podobnie jak większości sytuacji, które zaszły dzisiaj. Dalej trzeba improwizować.

– Powiedziałam ci o sobie wszystko – szepcze mi do ucha. – Czuję się wyzwolona jak nigdy. Szczerłość jest wyczesana.

Zrywa mi bokserki, odwraca się i prowadzi mnie do sypialni, trzymając za penisa, jakby był smyczą. Kręci przy tym tyłkiem. Jej ruchy są niezgrabne i powolne, nie mają w sobie nic prowokującego, choć sam widok jej ciała połączony z dotykiem wystarcza, żebym zrobił się twardy.

– Dzisiaj rano, kiedy brałam prysznic, fantazjowałam o nas. – Klęka na łóżku tyłem do mnie. Ciągle ściska moją męskość. – Właśnie w takim położeniu. – Wolną ręką zdejmuję majtki. Wychodzi jej to flegmatycznie. – Spełnisz zachciankę blond piękności? – Rzuca mi majtki na głowę. Intymny zapach próbuje odurzyć myśli, ale zerknięcie na zegarek przywraca czujność. Dwudziesta trzecia osiemnaście. – Skończmy ten dzień wycieczką na szczyt.

Dona puszcza mojego penisa i opiera się rękami o stelaż. Wybrała pozycję, w której może być bierna. Już wiem, jak wykorzystać sytuację.

– Wedle życzenia.

Wchodzę w nią szybkim, brutalnym ruchem. Łapię ją za biodra i od razu przyspieszam. Staram się uderzać w nią z całych sił, tak że sam czuję ból w pachwinach. Dona wydaje nieskładne dźwięki. Z rozkoszą mają niewiele wspólnego, są udawane. Szarpię jej biodrami, chwytam ją za brzuch. Niby z potrzeby dotyku, ale naprawdę chodzi o to, żeby nieco go zgnieść. Chcę, żeby alkohol i knajpowe żarcie zaczęły fruwać po jej żołądku. Cały czas w nią uderzam, utrzymując zwariowane tempo. Moje uda płoną. Dona ledwie daje radę trzymać się za stelaż. Nie jest to podniecające, bardziej przypomina przepychankę niż seks, z trudem udaje mi się zachować twardość.

– Nie, Kuba! Nie dam rady! – Wysiętek zostaje wynagrodzony o dwudziestej trzeciej trzydziści jeden. – Przestań! – Wypycha mnie z siebie i siada na łóżku.

– Coś nie tak? – pytam z udawaną troską.

– Jestem za bardzo nagrzana. – Chwyta się za twarz. – Przepraszam.

Wiedziałem, że silne wstrząsy połączone z uderzeniami i naciskiem na brzuch wywołają zamulenie.

– Nie szkodzi, połóż się, odpocznij. – Obejmuję ją, daję buziaka w czoło i w usta. – Ululam cię do snu, a żebyś jutro poczuła się lepiej, proponu...

– Wezmę prychol! – nie pozwala mi skończyć. – Potem lecę lulu. – Idzie do łazienki. Po minucie słyszę dźwięk odkręcanej wody. W swoim stanie blond piękność nie zabawi tam długo.

Od razu wracam do przedpokoju. Wyjmuję ze spodenek tabletkę. Z siatki z zakupami biorę małą plastikową butelkę zawierającą szot na kaca. Producent zaleca wypić jednego przed snem, drugiego rano. Mnie nie obchodzą zalecenia, tylko to, że butelka jest obklejona kolorową etykietą i nie widać zawartości. Kładę tabletkę na blacie w kuchni. Biorę nóż i kruszę ją, po czym wsypuję do butelki i mieszam. Niby mógłbym pozwolić Donie zasnąć w sposób naturalny, pije od piątku, jest odwodniona i mało śpi, ale ryzyko, że obudzi się nagle, gdy mnie nie będzie, jest zbyt duże. Wolę się zabezpieczyć i znów podać jej coś, z czym nigdy nie powinna mieć styczności.

Woda pod prysznicem przestaje się lać. Sprawdzam godzinę i idę do łazienki. Naga Dona stoi przed lustrem, wyciera się.

– Proszę, kochanie, miksturka na sen. – Używam szarmanckiego tonu. – Rano poczujesz się jak nowa.

Obczaja małą buteleczkę z taką miną, jakbym zaproponował wypicie psychików.

– Nie wierzę w marketingowe bzdety. Alko to alko, a kac to kac. Jest akcja i jest reakcja... – Chce mnie ominąć, lekko się zatacza i podpira za róg umywalki. W łazience jest parno, upał też zrobił swoje.

– Tia, reakcja, a na koniec kapitulacja. – Chwytam ją za biodro i wyprowadzam z łazienki. – Zaufaj mi, szocik na noc, szocik po przebudzeniu i inaczej funkcjonujesz. Zależy mi na twojej formie. – Wchodzimy do sypialni. – Jutro robię sobie urlopić i zabieram cię na wycieczkę. – Czas wprowadzić opcję „desperacja”.

– Gdzie?

Nie mam pojęcia. Do jutra daleka droga prowadząca przez Szczyglice.

– Niech to będzie niespodzianka...

– Zgoda, ale pamiętaj, piję chemiczne świństwo dla ciebie. – Bierze buteleczkę i wlewa w siebie zawartość jednym haustem. – Ble, beznadzieja. – Odkłada flaszkę na stolik. – Skoro gimnastyka odpada, proponuję przytulasy. – Wślizguje się pod kołdrę i z uroczą minką klepie prześcieradło.

Sprawdzam czas. Dwudziesta trzecia pięćdziesiąt dziewięć. Wiele lat temu Julia potrzebowała niemal godziny, żeby odlecieć po rohypnolu. Donę poprzednio ściała w kilka minut, a już wiem, że pewien skurwiel potraktował ją czymś mocniejszym. Mimo to nie mam pojęcia, jak jej organizm zareaguje dziś. Nie zamierzam leżeć i czekać. Oszalałbym.

– Też skoczę pod prysznic. – Całuję ją, wyjmuję świeże bokserki z szafy i niemal teleportuję się na korytarz.

– Tylko nie siedź za długo!

– Jasne!

Zgarniam spodenki z telefonem i wchodzę do łazienki. Odkręcam wodę, siadam na skraju wanny i sprawdzam aplikację kamery. Cofam się o kilka godzin, stosując maksymalne przyspieszenie. Zwalniam tylko wtedy, gdy przy kontenerach stają ludzie. Znowu nic ciekawego. Rodziny na rowerach robią przerwę, żeby napić się wody, jakaś mamuśka odbiera paczkę, dwóch nastolatków suszy browar, para na rolkach staje, żeby się poobściskować. Kamera póki co jest bezużyteczna, a zegarek pokazuje siedem minut po północy. Jeśli rohypnol nie zadziałał, będę musiał znaleźć inny sposób, żeby Dona natychmiast poszła spać. Niestety żaden łagodny nie przychodzi mi do głowy.



Lampka w sypialni jest zapalona, blond piękność leży na boku, cała odkryta. Usta ma otwarte, oddech łagodnie unormowany. Nie reaguje, kiedy klękam na łóżku ani gdy macam ją po udzie. Brak reakcji na uszczyknięcie w skórę tuż nad biodrem, a to punkt wywołujący u niej łaskotki. Śpi. Rohypnol znów zadziałał, jak należy.

Mając pewność, że Dona nie wstanie, z szafy wydaję bluzę bez rękawów, luźną koszulkę z długim rękawem i dzinsy. Na osobnej półce leżą buty z cichymi podeszwami. O dwa rozmiary za duże. Je też zgarniam, po czym gaszę lampkę i zamykam drzwi do sypialni. Z sejfu biorę pas z nożami i zapinam na brzuchu. Szykuję się prawie jak na polowanie. Podstawowych instynktów nie da się zatrzymać.

Telefon zostawiam w salonie. Obok leży komórka Dony i jej torebka. Gdyby jednak wydarzyło się coś niespodziewanego, będę miał alibi. Całe popołudnie i noc spędziłem ze swoją dziewczyną. Potwierdzi to logowanie do sieci naszych telefonów, kamery na stacji benzynowej, diabelski młyn i Forum Przestrzenie. Monitoring miejski, wiejski i przemysłowy nie jest na tyle doskonały, żeby w środku nocy dało się zobaczyć moją twarz w škodzie, zwłaszcza gdy zakryję głowę kapturem.

Wychodzę z mieszkania. Schodami zbiegam na parter. Jest dwadzieścia po północy. Dalej biegnę w stronę wynajmowanych garaży. Pokonanie dwóch kilometrów w parną noc kosztuje dziesięć minut. Przy zerowym natężeniu ruchu droga do Szczyglic zajmie mi mniej niż kwadrans, dlatego przed rozpoczęciem podróży wydaję ze schowka czeski prepaid i włączam aplikację kamery.

Zainstalowałem ją na dodatkowej komórce. Lubię mieć alternatywy. Sprawdzam, co się nagrało. Zero aut, zero pieszych. Listonosz pojawi się dopiero po odbiór przesyłki.

W drodze nie słucham muzyki ani nie palę papierosów. Klasyczny rock połączony z tytoniem zawsze odpręża przed polowaniami, ale dziś nie jestem na polowaniu. Ratuję własną skórę, brakuje mi planu, w którego sukces mógłbym uwierzyć, więc nie chcę zbytnio się rozluźniać. Co chwilę zerkam na telefon. Kamera ma tryb nocny, niestety nadal widać tylko siatkę, kontenery i paczkomat.

Wciąż próbuję wczuć się w sposób myślenia Listonosza i znaleźć odpowiedź na pytanie: co zrobiłbym dziś na jego miejscu? Nie znajduję jej i jest to cholernie irytujące. W końcu postanawiam włączyć radio. Potrzeba mi rocka, choćby po to, żeby nastroić się pozytywnie. Naciskam guzik i z głośników zaczyna płynąć męski głos. Bynajmniej nie śpiewa. W lokalnej stacji leci jakaś nocna audycja. Dotykam przycisku odpowiadającego za płytę CD, ale mój palec zatrzymuje się na dźwięk usłyszanych słów.

– Jeszcze przedwczoraj zachodziło realne podejrzenie, że dwudziestopięcioletni Michał A., ostatni raz widziany w siłowni Platinum, z nieznanых przyczyn zostawił swój dobytek i uciekł. Kilka lat temu w identyczny sposób bez zapowiedzi wyjechał nagle do Anglii. Rodzina, tak jak wtedy, zgłosiła jego zaginięcie. Wówczas mężczyzna od razu poinformował bliskich, że wyjechał i nic mu nie jest. Tym razem nie daje znaku życia. Do dziś nikt oficjalnie nie łączył go z mafią, ale policja podała do wiadomości, że A. jest ich informatorem. Panie oficerze, skąd ta nagła zmiana narracji?

– Panie redaktorze, potwierdzam to, co można przeczytać na oficjalnej stronie Policji – odpowiada zniekształcony modulatorem głos. Obstawiam, że to Sarnat. Skóra cierpie mi na karku. – Michał A. odpowiadał za przewóz hurtowych ilości narkotyków z Czech do Polski. Od dłuższego czasu współpracował z organami ścigania. Te dane z przyczyn oczywistych nie mogły zostać upublicznione wcześniej.

– Bał się pan, że gangsterzy wyznaczą nagrodę za jego głowę?

– Dokładnie. Sam obstawałem przy teorii, że Michał uciekł, dopóki nie zdobyłem nakazu przeszukania domu, który służył gangsterom za dziuplę. W piwnicy znaleźliśmy dziesiątki mikrośladów krwi. Badanie DNA potwierdziło, że należała do zaginionego.

Zrobiłem sobie przerwę od mediów, nie interesowały mnie, miałem pilniejsze sprawy na głowie. Nie sądziłem, że o Araku zrobi się głośno, choć przecież powinienem był to przewidzieć. Zlikwidowałem odwróconego...

– Uważa pan, że Michał A. nie żyje? – pyta dziennikarz.

– Niestety według mnie został rozpracowany przez grupę, dla której działał. Oczywiście istnieje szansa, że wciąż żyje, ale doświadczenie podpowiada mi, że to tylko iluzja. Gangsterzy przesłuchali go i pozbyli się ciała. Tych, którzy donoszą policji, nie zostawiają żywych...

– Czy czuje się pan współwinny jego śmierci?

– Michał A. był narkokurierem, popełniał ciężkie przestępstwa, za które grozi wieloletnie więzienie. Zdecydował się na współpracę, żeby tego uniknąć. Wiedział, jakie jest ryzyko – odpowiada wymijająco. Nie chce się przyznać do słabości. – Mogę natomiast zapewnić, że winni zostaną ukarani. Mam na myśli grupę kierowaną przez Horacego G., pseudonim Harcerz. W ich sprawie wciąż prowadzone są działania operacyjne zakrojone na szero...

Wyłączam radio, mam dosyć złych newsów. Na muzę też przeszła mi ochota.

Domyślam się, że Sarnat jest wściekły. Zniknięcie Araka spaliło mu mozolnie planowaną akcję. Pitbull zacznie gryźć, a któryś z członków mafii, złapany i przyciśnięty na przesłuchaniach, może puścić farbę i opowiedzieć, co znaleźli w domu na Balickiej. Tajemniczy mściciel zmieniłby charakter śledztwa. Rozgrzebano by przeszłość Araka. Prędzej czy później wypłynąłby jego związek z Bestyjeczką, kto wie, może Wolciak, licząc na złagodzenie wyroku, przyznałby, że Arak wykorzystał Donę. Dona i Sonia, dwa tropy prowadzące do mnie. Niepotrzebnie napisałem jego krwią „sprawa osobista”...

– Kurwa mać!

Walę pięścią w tapicerkę škody. Niemoc jest strasznie upierdliwa, ale już nie zmienię przeszłości, za to chętnie uspokoiłbym się szlugiem, tyle że właśnie mijam boisko i plac zabaw w Szczyglicach. Natychmiast zapominam o fajce i o Araku. Gliny mnie z tym nie połączą. Jedynym zagrożeniem, które może posłać mnie do pierdła, jest Listonosz. Na nim należy się skupić.

Przejeżdżam przez most i parkuję przy kontenerach trzy minuty przed pierwszą. Wbijam luz, zaciągam ręczny. Nie gaszę silnika. Na ekranie komórki z kilkusekundowym opóźnieniem pojawia się mój samochód. Patrzę, czekając na jakiś ruch. Nic nie ma.

Z kieszeni wydaję rękawiczki. Kiedy dłonie są zabezpieczone, sięgam do schowka po kopertę. Pod nią leży kominiarka. Wkładam ją na głowę, na wszelki wypadek. Nie chciałem brać dzisiaj maski, jest zbyt charakterystyczna, a człowiek w kominiarce bardziej kojarzy się ze złodziejem niż mordercą.

Otwieram drzwi. Serce wali jak oszalałe. Gdy wysiadam z auta, pojawia się nieprzyjemny ścisk w płucach. Słuch mi się wyostrza, przeinaczam odbierane dźwięki. Cykanie świerszczy przypomina przeładowywanie broni, rechot żab przy rzece – śmiech klaunów. Czuję się wystawiony niczym zwierzyna łowna. Wyobrażam sobie snajpera przyczajonego na dachu jednego z domów w Szczyglicach. Potem komandosa, który przeczołgał się w krzaki, nie dając nagrać się kamerze, i zaraz wyskoczy z tasakiem. Automatycznie chwytam za nóż, w drugiej ręce mam kopertę.

Nikt nie strzela, nikt nie atakuje. Podchodzę do siatki, obserwując kontenery. Szukam czerwonego punkciku nagrywania albo innego błysku. Nic nie widzę. Wsuwam kopertę pod siatkę i wracam do auta.

Drogę powrotną obieram przez Balice. Mijam Biznes Park, galerię Factory i obwodnicą wjeżdżam do miasta. Gdyby ktoś sprawdzał monitoring, zobaczy škodę jadącą przez Szczyglice i zmierzającą gdzieś dalej. Gdybym zawrócił, byłoby oczywiste, że coś załatwiałem we wiosce. Co chwilę zerkam w ekran telefonu. Koperta jak leżała, tak leży.

Kamera ma jeszcze dwadzieścia procent baterii. Wyładuje się jutro około jedenastej, gdy w Szczyglicach będzie trwał normalny, poniedziałkowy ruch. Ktoś przyjedzie do kontenerów, kurier napełni paczkomat, ludzie zaczną odbierać przesyłki, dzieci będą się bawić, a emeryci spacerować. Koperta nie może leżeć tak długo, bo kogoś zainteresuje. Gdybym był Listonoszem, odebrałbym ją nie później niż w poniedziałek o szóstej rano.

Długo rozważałem ułożenie tekstu, który zmusiłby go do wykonania jakiegoś ruchu. Na przykład: „Nie boję się ciebie, śmieciu”, „Kryję ją, bo wiem, kim jesteś, więc kryję też ciebie”. Ewentualnie: „Bo spanikowałem. Czego chcesz?”. W desperacji: „Wiem, kim jesteś. Spotkajmy się i porozmawiajmy”. Ostatni tekst z dołączonym miejscem i datą spotkania nie byłby zły, gdybym miał współnika, ale Dona się nie nadaje. Postawiłem więc na zignorowanie go i przyniosłem czystą kartkę. Znając jego ciągotę do komunikacji, dostarczy nową przesyłkę z nową groźbą. Nawet jeśli ukryta kamera w Szczyglicach go nie nagra, kolejna będzie czekała zamontowana w judaszu w moich drzwiach.

Zerkając na apkę, dojeżdżam do kompleksu garaży, gdzie zostawiam škodę i gaszę telefon. Resztę obejrzę sobie w mieszkaniu. Idę szybkim marszem, palę i usilnie wkręcam się w Listonosza. Znów prowadzę te pojebane analizy. Sonia się go bała, to był jej słaby punkt. Ja się go nie boję, to moja przewaga. Zapominam o sposobie jego kontaktu z Bestyjeczką, jego tożsamości, motywacji i groźbach. Skupiam się na samym zabójstwie.

Domofon w środku nocy miał wytrącić Sonię z równowagi. Zostawiła sypialnię bez krycia, stwarzając Listonoszowi okazję. To była dywersja, klasyczne odwrócenie uwagi przeciwnika. Na mnie nie mógłby zastosować podobnego manewru, nie wszedłby przez okno, ale...

Olśnienie przychodzi nagle, gdy wchodzę na klatkę schodową. Usilne wkręcanie się w mojego rywala wreszcie dało efekt! Staję w miejscu, jakby stopy zlały się z betonem. Reszta ciała chce przeć naprzód, przez co gibam się w przód i w tył. Nienawiść mnie pobudza, a logika, nieodłączny towarzysz każdej kryzysowej

sytuacji, każe ochłonać, uciszyć emocje i przygotować się do starcia, którego stawką będzie przetrwanie.

Wciąż stoję w miejscu, nienawiść rośnie, ale ciało nie wyrywa już do przodu. Pozwala dojść do głosu myślom. Zignorowanie wszystkich zagrywek Listonosza i pełna koncentracja na zabójstwie sprawiły, że wreszcie przejrzałem jego zamiary. W jego mniemaniu jestem współwinny śmierci tych wszystkich nastolatków, bo nie powstrzymałem Soni. Tyle że zadzieranie z Kubą Sobańskim to wyższa liga. Zamordowałem gwałciciela, siedziałem sześć lat w pierdłu, sypiałem z seryjniaczką. Zabójcza czy nie, Sonia była tylko młodą, drobną dziewczyną. Stanowiła o wiele łatwiejszy cel.

Ze mną Listonosz bałby się podjąć długą grę w korespondencję. Patrząc z jego perspektywy, zdecydowanie łatwiej byłoby pozbyć się mnie od razu. Wycieczka do Szczyglic stanowiła kolejną dywersję. Wysłał mnie do wioski, bo wiedział, że będę skupiony tylko na tym. On nie chciał znać mojej odpowiedzi, chciał, żeby nie było mnie w mieszkaniu. Noc z niedzieli na poniedziałek jest idealna na atak w apartamentowcu. Większość ludzi wtedy smacznie śpi.

Jego plan jest prosty. Jadę zawieźć kopertę, on w tym czasie wchodzi do bloku, przyczaja się w dogodnym dla siebie miejscu, czeka na mój powrót i atakuje. Może wbić mi tasak w plecy, kiedy będę otwierał mieszkanie, może strzelić ze spluwy z tłumikiem, kiedy wysiądę z windy, albo dźgnąć mnie nożem, przecież nie będę się go spodziewał. Zabije mnie i być może zostawi kolejny chory list. Po wszystkim ucieknie i nikt nigdy go nie namierzy. Zabił morderczynię, teraz zabije powiernika jej tajemnic. Oczyszczy świat ze zła. To jego plan.

Gdy o tym myślę, nienawiść pieści ciało, moje mięśnie napinają się, jakby zostały podpięte do strzykawek ze sterydami. Listonosz jest w bloku. Wie, że wszedłem. Na pewno obserwował chodnik przez lufcik okienny na korytarzu.

*Wie, że wszedł jakiś gość w kapturze. Nie zna wszystkich mieszkańców, a przecież ty miałeś jechać autem. Z wysokości sześćdziesięciu metrów trudno zobaczyć rysy człowieka –* odpowiada rozkosznie czysty głos Bestyjeczki.

Słyszę ją tak wyraźnie, jakby stała obok mnie. Dodaje mi sił i pewności siebie. Stopy odklejają się od betonu, dłonie wpełzają do kieszeni bluzy, gdzie trzymam rękawiczki. Potem prawa brnie pod koszulkę, chwyta za nóż.

Podchodzę do windy i naciskam przycisk przywołujący. Maszyna rusza na parter. Nie wiem, na którym piętrze zatrzymała się poprzednio, nie widać tego na wyświetlaczu. Jest tylko migająca strzałka w dół. W pośpiechu próbuję ułożyć plan. Dźwig przyjeżdża. Wsiadam, naciskam przycisk siódmego piętra. Jadę i znów wczuwam się w Listonosza. Przewiduję ruchy drapieznika na polowaniu. W tym jestem dobry.

Na ostatnim, dziesiątym piętrze są trzy mieszkania. Drzwi do mojego znajdują się najbliżej windy, a ta umieszczona jest na lewej ścianie od nich. Na prawo znajduje się wnęka z oknem, jedynym na piętrze. Drzwi na klatkę schodową umieszczone są na wprost mojego apartamentu. Następne penthousy znajdują się dalej. Na klatce schodowej nie ma okien. Dlatego jestem pewny, że Listonosz czai się przy lufciku okiennym na korytarzu. Widać stamtąd wejście do bloku i bramę garażu podziemnego. Tylko czekając tam, miałby pewność, że wróciłem.

Winda zawozi mnie na siódme piętro. Wysiadam. W naszym apartamentowcu nie ma lamp z czujnikiem ruchu, są tylko te zapalane ręcznie. Na korytarzu panuje ciemność, nie licząc blasku księżyca przebijającego się przez lufcik okienny.

Błyskawicznie otwieram drzwi prowadzące na schody. Wchodzę w ciemność i od razu przyklejam się do ściany. Jeśli Listonosz mnie rozpoznał, pomyśli, że posłałem windę na inne piętro dla zmyłki. Wówczas ustawi się przy drzwiach na



klatkę albo na samych schodach. Czekam. Czas płynie, zegarek odlicza trzecią minutę. Nic się nie dzieje.

Przemierzam się na ósme piętro. Buty pracują niemal bezszelestnie, oczy są przyzwyczajone do ciemności, adrenalina wyostrza zmysły. Nagle na górze pojawia się skrawek jasności. Momentalnie przywieram do ściany i zastygam bez ruchu. Staram się nawet nie oddychać. Klatkę schodową rozświetla jasny promień charakterystyczny dla latarki w telefonie. Omiata schody, zatrzymuje się w kilku punktach, po czym znika i chwilę później znów nastaje ciemność.

*Sprawdził klatkę schodową, upewnił się, że ten, kto wszedł do bloku, to faktycznie lokator z innego piętra, i wrócił na swoją pozycję. Obserwuje wjazd do garażu, czeka na bmw. Punkt dla nas! – myśli układane głosem Bestyjeczki pieszczałką zwoje mózgowe.*

Czekam dwie minuty i ruszam dalej. Gdy jestem na dziewiątym piętrze, zatrzymuję się i patrzę w górę. Widzę dokładnie drzwi prowadzące z klatki schodowej na korytarz. Po tej stronie nie ma przy nich nikogo. Wspinam się na ostatnie piętro. Palce mam zaciśnięte na rękojeści noża. Brak maski powoduje lekki dyskomfort. Niepotrzebnie zostawiłem w szkodzie kominiarkę. Trudno, i tak już się nie cofnę. Gdy jestem u celu, staję. Wciąż istnieje możliwość, że Listonosz jednak zauważył mnie na schodach. Może czaić się teraz za drzwiami, gotów do walki.

Ustawiam się plecami przy ścianie. Klamkę mam po prawej stronie. Zginam rękę z nożem, napinam przedramię i biceps. Przyjmuję pozycję ofensywną. Jeśli skurwiel wyskoczy po tym, jak otworzę drzwi, rzucę się na niego i podżgam go, zanim zdąży zareagować. Konsekwencjami będę martwił się później.

*Jeśli nie stoi za drzwiami, to i tak zaraz zaczniesz się zastanawiać, co tak długo robisz w Szczyglicach. On nie jest głupi, ale możesz wziąć go na przeczekanie – nieprzyjemna myśl rozbrzmiewa głosem siostry.*

Logika nakazuje się wycofać na parter i czekać do oporu, aż Listonosz wyjdzie z bloku. Wówczas poznałbym jego tożsamość i mógłbym znaleźć bezpieczniejszy sposób na przeprowadzenie ataku. Instynkt mówi, że lepiej zaryzykować i uderzyć

w przeciwnika jego własną bronią. Polegam na instynkcie. Chwytam klamkę. Drzwi otwierają się w lewo. Uchylam je, osłaniając twarz nożem. Robię to powoli, centymetr po centymetrze. Wiązki naturalnego światła docierają na klatkę schodową. Otworzyłem drzwi na kilka centymetrów. Całe szczęście administracja dba o prace konserwacyjne, więc nie skrzypią. Widzę wycieraczkę przed moim mieszkaniem, skrawek antywłamów i niewielki fragment korytarza. Widok dotąd kojarzący się z bezpieczeństwem.

Wyglądam za prawy róg i błyskawicznie się cofam. Po tej stronie korytarza jest czysto. Gdyby Listonosz stał po lewej, już by mnie zaatakował. Podjąłem ryzyko podpowiedziane przez instynkt. Opłacałoby się, bo nic się nie dzieje. Nie ma go tam.

Stojąc w miejscu, wkładam dłoń do kieszeni i chwytam pilota podpiętego do kluczy. Mały guzik odpowiada za mój boks garażowy, duży za bramę wjazdową. W rękawiczce trudno go namierzyć. Łatwiej byłoby wyjąć pilota, ale brzęczące klucze w tej potwornej ciszy zadziałybyby niczym syrena alarmowa. Nie mogę do tego dopuścić, zwłaszcza że już wiem, że Listonosz na pewno czeka we wnęce przy oknie.

Dzieli nas pięć, może siedem metrów z jednym zakrętem. Wciąż nie czuję jego obecności. Zakładam, że on ma podobnie. Jeżdżę dłonią po pilocie, aż wreszcie wymacuję guzik. Wiosną wielu lokatorów narzekało na słaby zasięg radia. Wysłali pismo do administracji, a ta stanęła na wysokości zadania i zamontowała potężne anteny zwiększające go do trzystu metrów. Mogę otworzyć bramę nawet z korytarza na dziesiątym piętrze.

Przypominam sobie odciętą głowę Soni, smród zwłok i nasze wspólne chwile. Seks, polowania, wyznanie traum, walkę z demonami, używki. Logika i racjonalność całkowicie ustępują pola nienawiści, która znajduje wsparcie w tęsknocie. To mi wystarcza. Wchodzę na korytarz, przymykam drzwi i naciskam guzik. Na dole właśnie rozbłyśka bursztynowe światło, przyciągając uwagę Listonosza.

Masz swoją dywersję, skurwysynu! – krzyczę w myślach i ruszam przed siebie.

Moja skóra twardnieje niczym skorupa, ruchy mam pewne. W głowie uśmiechnięta Sonia podpowiada, że albo go zabiję, albo do niej dołączę. Podoba mi się ten wybór. Pierwszy raz jestem zawładnięty tak niebezpieczną odmianą szaleństwa.

Szybko, choć cicho przechodzę przez korytarz i skręcam za róg. Powiniennem się zatrzymać i przeanalizować kolejny krok, ale widok męskiej postaci ubranej w brązowy dres, z kapturem na głowie, spoglądającej w okno nie pozwala zwolnić. Nóż mam na wysokości brody. Odchylam łokieć, żeby nabrać rozpędu przed wyprowadzeniem ciosu. Nie zachowuję się dyskretnie, nie dbam już o nic. Chcę jednego – pomszczenia Bestyjeczki. Nienawiść odurza, przy niej łatwo o błędy.

## 40

Listonosz zauważa mnie, gdy dzielą nas mniej niż dwa metry. Robi półobrót, ale i tak jest zaskoczony, przez co jego ruchy są chaotyczne. W prawej ręce trzyma pistolet z tłumikiem. Zanim zdąży odwrócić się i wycelować, trafiam w spluwę nożem. Kontakt hartowanej stali z bronią palną wywołuje ból w nadgarstkach. Tak moim, jak i jego. Obaj rozprostowujemy palce w odruchu bezwarunkowym. Bronie lądują na ziemi z głośnym trzaskiem.

On jest bardziej zdezorientowany, bo przez sekundę nie robi nic. We mnie nienawiść wrze, tęsknota dolewa oliwy do ognia. Działam jak maszyna. Chwytam Listonosza za bark, przesuwam, żeby mieć go naprzeciwko siebie. Nie sięgam po nóż, chcę zabić go rękami. Najpierw zmasakruję mu twarz, potem rozdrapię gardło albo je przegryzę, pijąc jego krew. Zależy, dokąd poniesie mnie mroczna wyobraźnia. Nie panuję nad sobą, nie myślę o konsekwencjach. Zapominam o raju, Donie, Future i codzienności, którą udało mi się zbudować. W tej chwili jestem na samobójczej misji. Interesuje mnie tylko zemsta. Po niej może już nie być nic.

Wzrok skupiam na kończynach Listonosza, bo tylko nimi może się bronić. Gość wygląda okropnie. Czarne buty, obszerny dres, brązowe rękawiczki. Kopię go w jaja, zgina się wpół, nie wydając dźwięku. Zaciskam prawą pięść, uderzam go w klatkę piersiową. To go prostuje, dając mi czyste pole do wyprowadzenia kolejnego ciosu. Spoglądam na jego głowę, chcąc wycelować, i zamieram w paraliżującym szoku. Czegoś takiego nigdy dotąd nie widziałem.

Przód maski jest jednolicie gładki. Wykonano go z lustrzanego szkła weneckiego, przez co zamiast mierzyć się z klaunem, mimem, wilkołakiem, obdartą ze skóry

dziewczynką lub jakąkolwiek inną wyimaginowaną postacią, mierzę się... z własnym odbiciem. Widzę pot kapiący z moich włosów, nienormalność rozpalającą mój wzrok i zaskoczoną minę. To cholernie rozpraszające.

Kiedy oswajam się z widokiem, Listonosz wykonuje szybki ruch lewą ręką. W jego efekcie moje udo przeszywa parszywy ból. Zaraz obrywam ponownie, w to samo miejsce. Ledwie utrzymuję się na nogach, a on znów bije. Ból przywraca racjonalny osąd. Samobójcza misja jest bez sensu. Zagryzam zęby, żeby nie krzyknąć. Wiem, że wszystkie drzwi na piętrze są odpowiednio wytłumione. Nikt nie usłyszy walki, tak jak nikt nie usłyszał echa upadających przedmiotów, ale krzyk niosący się po korytarzu to co innego, a ja wciąż mam milion świetnych powodów, aby żyć i cieszyć się wolnością. Na razie rozrywam zębami wargi, szukając sposobu na skuteczny kontratak.

Tym, co rozbija moje udo, jest drewniany kij o zaokrąglonej końcówce, wystający Listonoszowi spod rękawa. Trzonek od tasaka! Po szybkiej nawałnicy unosi rękę, zamierza uderzyć mnie w twarz. Dokładnie tak samo jak Sonię! Wspomnienie odciętej głowy potęguje moją nienawiść, a ta potrafi znieczulić.

Przełamuję ból i chwytam Listonosza za nadgarstek, dociskając trzonek do jego ręki. Pod maską słyszę dziwny warkot. Przeciwnik napiera, chce zbliżyć rękę do mojej głowy. Lewą chwyta mnie za kark. Ja w tym czasie wsuwam dłoń pod koszulkę. On nie wie, że mam drugi nóż. Łapię swoją broń i przykładam mu do szyi, tuż pod zakończeniem tej pojebanej maski. Listonosz sztywnieje, ręka z tasakiem przestaje się szamotać. Wie, że od śmierci dzieli go jedno szybkie cięcie. Mimo to wciąż nie puszcza mojego karku.

– No i co, śmieciu? – mówię, zaciskając zęby. Słyszę swój rozwścieczony oddech. Patrzę na swoją twarz odbijającą się w masce. Usta wykrzywiają się w triumfalnym uśmiechu, w oczach widać pogardę i obrzydzenie.

– Uspokój się, Sobański. – Głos Listonosza sprawia, że napinam się, omal nie podrzynając mu gardła. – Zabijesz mnie tu? Obaj wiemy, że się z tego nie wywiniesz – mówi półszepem. – Zaskoczony? – Z każdym jego słowem czuję coraz większą irytację. – Przewidziałeś mój ruch, ale nie wiedziałeś, kim jestem.

To prawda. Szok na mojej twarzy mówi wszystko. Próbując odnaleźć Listonosza, skupiałem się na facetach, którzy kręcili się wokół Soni. Tymczasem tożsamość mordercy była oczywista, a jednocześnie tak irracjonalna, że w ogóle nie brałem jej pod uwagę. Należało odrzucić zjebów, wyjść poza szablon i pomyśleć o kimś, kto miał najlepszy motyw. Kimś, kto tak jak ja i ona nie wierzy we wszystko, co widzi, i słucha swojego instynktu. Kimś, komu nienawiść przesłania wszystko inne, kto żyje zemstą i mimo stwarzanych pozorów jest naprawdę inteligentny. Popełniłem błąd, trzymając się racjonalnych założeń. Sonia też nie brała go pod uwagę. Co nie zmienia faktu, że działając razem, dawno byśmy go załatwili.

– Obrona konieczna, jesteś mordercą – odpowiadam tonem dzikim jak u zwierzęcia. – Zobaczysz, jeszcze dadzą mi nagrodę. – Wciąż trzymam nóż przy jego szyi. Prawą dłonią dociskam trzonek do jego ręki.

– Obaj wiemy, że tak nie będzie. Poderżnięte gardło to premedytacja. – Ma rację. – Zostaw mnie, wygrałeś. Wyślę policji to samo, co zostawiłem u niej, potem wyjadę – bredzi, jakby nagle postradał zmysły. – Ta mała dziwka zabijała dla frajdy, ludzie muszą się dowie...

Nie pozwalam mu dokończyć. Wściekły obrażaniem Soni walę go z prawego kolana w jaja. Ból natychmiast rozchodzi się przez moje udo po całym ciele.

– Podnieś łapska albo spotkasz się z nią w piekle! – Mocno dociskam nóż do jego skóry.

Czuję dreszcze, znów pojawia się ta szalona chęć ryzykowania dla krótkiej chwili satysfakcji. Na szczęście lata doświadczeń sprawiły, że umiem nad sobą panować. Nie zabiję go na korytarzu.

– Zastanów się. – Listonosz ściąga dłoń z mojego karku i unosi. Lewą też, ciągle złączoną z moją prawą. – Ja ciebie mogłem zabić, nikt by mnie z tym nie powiązał. W drugą stronę to nie zadziała. Przecież wiesz... – dodaje, udając znudzenie.

– Ani drgnij.

– Nie zamierzam, choć dając ci się zabić tutaj, wpakowałbym cię w niezłe gówno.

– Nie kuś.

Chwytam trzonek wystający spod jego rękawa i ciągnę. Wychodzi gładko. Listonosz musi mieć go przypiętego na taśmach albo gumach. Rzucam narzędzie, które zmasakrowało Sonię, na podłogę, nie odrywając noża od szyi przeciwnika. Wolną ręką obmacuję kieszenie w jego bluzie. W lewej ma telefon, klucze i coś w stylu worka albo reklamówki. Nie ruszam ich. W drugiej wyczuwam coś dużego i twardego. Dociskając nóż do jego szyi, rozpinam mu kieszeń i wsadzam tam rękę. Znajduję klin do tasaka z zabezpieczonym ostrzem... Dlatego nosi tak wielkie ciuchy, łatwo maskować w nich sprzęt. Wyjmuję klin i rzucam na ziemię. W spodniach Listonosz ma scyzoryk, który zabieram. Przejeżdżam dłonią po jego brzuchu, trafiam na coś szeleszczącego.

– Przygotowałem nową przesyłkę – stwierdza z rozbijającą szczerością. – Chcesz obejrzeć?

– Nie. Ręce układasz wzdłuż ciała.

Robi, co każę, a ja okrążam go, nie odrywając noża od jego gardła. Lekko przy tym utykam. Udo chyba zaczyna puchnąć. Rwie mnie przez to cała noga.

– Teraz łapska na kark.

Listonosz ponownie wykonuje polecenie.

Prawą ręką wyciągam trzeci nóż, przykładam mu do gardła i chowam ten, który dotąd trzymałem w lewej. Nie jestem mańkutom jak Bestyjeczka, a muszę mieć wszystko pod kontrolą. Najskuteczniejszy byłby pistolet, ale schylając się po broń, musiałbym odciągnąć ostrze od szyi Listonosza i mógłbym stworzyć mu szansę na kontratak.

– Ona nauczyła cię łączyć z nożami?

– Idziemy – ignoruję jego gadkę.

– Gdzie?

– Do ostatniego mieszkania, które w życiu zobaczysz. – Stukam go kolanem w udo. – Adres znasz.

Listonosz rusza powoli świadom, że jeden szybszy ruch może skończyć się przecięciem jego szyi.

– Moja śmierć nie opłaci się ani mnie, ani tobie. Co niby zrobisz? – mówi coraz swobodniej, wciąż ściszoneg głosem. Dochodzimy do drzwi. – Zakopiesz mnie?

Opcja wynoszenia zwłok z bloku i kopania dołu w jakimś lesie wydaje się przypałowa. Nie zdecydowałem jeszcze, co z nim zrobić. Jedno jest pewne, musimy zniknąć z korytarza. Potem przyjdzie czas na zastanowienie.

– Stój spokojnie. – Wyjmuję klucze i otwieram apartament. – Ruszaj. – Wchodzimy do środka, butem zamykam drzwi.

W środku od razu zauważam światło palące się w łazience. Jestem prawie pewny, że je wyłączyłem, ale wychodziłem w pośpiechu, mogłem zapomnieć.

– Śmierdzi. – Listonosz zwraca uwagę na przykry zapach, który wypełnia także moje nozdrza.

Jest specyficzny. Przypomina strawione jedzenie, które wy dostało się z organizmu nie tą drogą, co trzeba. Tak śmierdzą rzygi! Jakby na potwierdzenie moich domysłów w łazience słyszeć dźwięk spuszczonej wody, a po chwili wychodzi z niej Dona.



*Tamtej nocy*

Siedziała po turecku na dywanie. Jeszcze przed chwilą była gotowa stawić czoła Listonoszowi. Nawet udało jej się umieścić nóż pod stołem na tyle blisko, żeby znajdował się w zasięgu ręki.

Dwie, trzy sekundy jego nieuwagi i rozpruję mu tętnicę...

Optymistyczna myśl szybko jednak przestała być aktualna. Teraz szczęka Soni dygotała, pęcherz puchł, nogi zrobiły się miękkie jak stopiony plastik, a dłonie zdawały się pozbawione zdolności chwytu. Paralizujący strach pojawił się, w chwili gdy spojrzała na głowę Listonosza. Niby znała jego tożsamość i choć źle go wytypowała, to i tak wiedziała, czemu przyszedł. Ale ta maska...

Lustrzane odzwierciedlenie jej poskromionego oblicza całkowicie ją stłamsiło. Na domiar złego nie widziała oczu przeciwnika. Nie mogła sprawdzić, gdzie patrzy, ani jak będzie reagował, gdy ona spróbuje być gniewna, słodka lub bezczelna. Nie mogła zajrzeć mu w głąb duszy. Zamiast tego musiała oglądać siebie, niemal jak z perspektywy widza w teatrze.

– Na początek opowiedz, jak zabiłaś brata – oznajmił Listonosz, celując gnatem w jej czoło.

Sonia wiedziała, że jeśli nie przezwycięży strachu, to umrze. Spróbowała zignorować maskę i skupić się na tym, co najważniejsze – na ciele przeciwnika. Listonosz w prawej dłoni trzymał splotkę, lewą opuścił do bioder. Poruszał palcami, jakby obracał w nich niewidzialną monetę. Brązowa bluza była za wielka o kilka rozmiarów. Spodnie tego samego koloru nie dawały mu komfortu ruchów. Wisiały na

nim, jakby się zesrał i gównem ciągnęło je w dół. Z doświadczenia wiedziała, że obszerna garderoba stanowi balast, podobnie zwalista sylwetka. Jej rywal był niezgrabny. Aż dziw, że udało mu się cichaczem wejść przez okno. Musiał trenować ten manewr.

– Potem przejdziemy do następnych trupów – dodał zniecierpliwiony jej milczeniem.

– Serio, od Przemka zaczynasz? – Z trudem przybrała ton zarozumiałej damulki. Musiała wziąć się w garść i sprowokować go do błędu za pomocą słów. – Wiesz w ogóle, czemu to zrobiłam? – Choć bardzo się starała, oczy i tak powędrowały w górę.

W odbiciu zobaczyła bladą, smutną, a przede wszystkim samotną dziewczynę. Pozbawioną zarówno wsparcia, jak i wewnętrznego przekleństwa. Wymęczoną, z podkrążonymi oczami, krostami i wyrazem twarzy proszącym o dobitcie. To nie była ona, tylko nieatrakcyjna słabeuszka.

– Wiem. Zakochana siostrzyczka nie mogła znieść tego, że mu się znudziła, i postanowiła go zabić. Nadziane patusy... – warknął z obrzydzeniem.

Słowa Listonosza ją rozdrażniły. Choć mrok odszedł, to Sonia ciągle oddychała. Nie mogła zmięknąć tylko dlatego, że braciszek przestał pieprzyć ją w koszmarach, a facet marzeń w realu!

Wszyscy macie mnie gdzieś! Ale i tak jestem najsilniejsza! Udowodnię wam to! – w ten sposób pokonała strach, znajdując motywację do walki.

– Gadasz bzdury! – krzyknęła na niego.

Listonosz pomachał spluwą przed jej czołem, jakby chciał przypomnieć niesfornej dziewczynce, że ma bat i nie zawaha się go użyć.

– Nigdy nie poleciałabym na przyszczatego zjeba! Szanuję się i mam gust.

Z każdą chwilą lustrzane odbicie coraz bardziej jej się podobało. Spojrzenie stawało się czarne, wyraz twarzy zaczepny, klatka piersiowa pełniejsza. Rosła i czuła to całą sobą. Pęcherz przestał uwierać, nogi wracały do sprawności, dłonie aż swędziały z chęci sięgnięcia po broń. Głowa również pracowała, jak należy.

Bestyjeczka zdała sobie sprawę, że gra na zwłokę nie ma sensu. Musiała go wkurwić natychmiast, kiedy ciągle chełpił się swoim triumfem. Wtedy najłatwiej o błąd.

– Więc czemu go zabiłaś? – spytał.

– Nie lepiej od razu przejść do sedna? – Teraz zaczynało się najgorsze. – Nie wolałbyś posłuchać, w jaki sposób zarznęłam twoją ciężarną żoneczkę?

Palec Listonosza drgnął na języku spustowym. Cofnął się o krok, jakby wspomnienie tego, o czym mówiła, nie pozwalało mu stać dłużej w jednym miejscu. Tracił panowanie, Sonia postanowiła kontynuować.

– Bo to o nią ci tak naprawdę chodzi, co nie? Nie zaznaczyłeś jej jako moje trofeum, żeby nie zostawić psom wskazówki. Pozostali to tylko dodatek.

Listonosz nerwowo przebierał nogami, sapał z wściekłości, wewnętrzna część maski musiała mu parować. Sonia wyprostowała prawą rękę. Wolałaby użyć lewej, ale to nie był koncert życzeń.

– Jesteś żaloszny... – Zachichotała na siłę. – Spaślaczek sądowy! – Serce waliło jej niczym subwoofer przy techno. Drażniła potwora, grała w rosyjską ruletkę.

On wciąż się wiercił. Musiał odtwarzać tragedię, która latami w nim siedziała, trawiąc jego duszę niczym wirus. Przez Sonię stracił wszystko, dlatego tak długo ją męczył. Potrzebował czegoś mocniejszego niż samo zabójstwo. Im dłużej z nim przebywała, tym większą miała pewność, że jej nie zastrzeli. W ten sposób pozbawiłby się satysfakcji. Tak sądziła, choć lustrzana maska nie przepuszczała emocji, więc mogła się mylić.

– Wiesz, że nie ja ją zabiłam? – spytała.

Listonosz zatrzymał się nagle, jakby wypowiedziała magiczne zaklęcie.

– Sam skazałeś ją na śmierć, wpierdalając się w moje życie. Siłą rzeczy ja wpierdoliłam się w twoje. Na bogato! – W odbiciu zobaczyła swój wredny uśmiezek. Od razu poczuła się pewniej.

– Ania... – zaskomlał niespodziewanie. – Moja Ania...

Zrobił krok w przód, potem następny. Stał tuż przed Sonią. Lufę wycelował w jej lewe przedramię. Szykował się do tortur! Chciał przestrzelić jej rękę, potem

pewnie pośle kulkę w kolano, biodro, udo, brzuch, może kręgosłup. Sonia miała umierać powoli, dziurawiona niczym sitko... Nie było czasu do namysłu.

Walcz albo giń!

Dodała sobie animuszu i nie bacząc na nic, odchyliła prawą rękę, żeby sięgnąć po nóż. Cały czas patrzyła na spluwę. Liczyła się z tym, że on ją postrzeli, zanim przebije mu gardło. To miała być cena za życie. Poczowała dreszcz, gdy palcami wymacała rękojeść noża. Była trochę niedyskretna, ale Listonosz nie reagował. Zawiesił się, wciąż celował w to samo miejsce, palec znieruchomiał mu na spuście. Nie był typem mordercy, tylko obślizgłego kujona. Pewnie nigdy wcześniej nikogo nie skrzywdził. Sonia natomiast uwielbiała krzywdzić, potrafiła być też cicha jak wąż i szybka niczym gepard. Zacisnęła palce na nożu. Napięła mięśnie ud, pięty wbiła w podłogę. Sekunda dzieliła ją od przeprowadzenia szturmu.

– Ja o tym...

Zamarła, słysząc chrapliwy głos Listonosza. Przemówił nagle, zanim zdążyła poderwać się z podłogi. Nie zrozumiała, co powiedział, bo wraz z jego słowami pojawił się rozrywający ból w skroni. W uchu zaczęło szumieć, świat zawirował, głową uderzyła o dywan. Upadając, wypuściła nóż z ręki.

Kolejne ciosy spadały na jej głowę jak kamienie. Leżała na boku, czuła, jak pęka jej czaszka, jak krew wypływa na zewnątrz. Oczy napuchły, w uszach wciąż szumiało, jakby weszła do wielkiej muszli. Następny cios spadł na jej policzek. Kość wbiła się do środka, wypychając kilka zębów z dziąseł. System nerwowy szalał, chyba jeszcze nigdy nic jej tak nie bolało.

Tuż obok niej leżał pistolet, jej największa pomyłka. Koncentrowała wzrok na spluwie i nie zauważyła, że pod bluzą Listonosz miał schowany twardy przedmiot. Choć wydawał się zwieszony, cały czas uważnie obserwował. Czekał, aż Sonia chwyci za nóż, chciał dać jej złudną nadzieję, a potem roztrzaskać ją na drobne kawałki. Po raz kolejny ją zaskoczył.

Sonia próbowała dosięgnąć gnata, ale po kilku uderzeniach mózg przestał obsługiwać ręce. Górne kończyny zdawały się już nie należeć do niej. Czuła w nich

tylko mrowienie. Nogi podrygiwały wbrew jej woli. Nie mogła zrobić nic, nawet wykrzyknąć swojego bólu, bo struny głosowe też zostały odcięte od poleceń wydawanych przez mózg. Nie była w stanie choćby jęczeć. Mogła tylko patrzeć. I to jednym okiem. Drugie po kolejnym uderzeniu widziało tylko krwistoczerwony obraz.

Kiedy nawałnica ustała, Listonosz butem obrócił Sonię na plecy. W lustrzanej masce zobaczyła swoje odbicie. Prawa część czaszki przypominała karoserię samochodu po kontakcie ze ścianą. Zewnętrzne piękno zostało wgniecione do wewnątrz i zastąpione przez flaki. Skronie wbiły się w mózg, stąd paraliż, ucho nie istniało, a oko dwukrotnie zwiększyło swoją objętość. Korpus i nogi drgały mimo jej woli. Wiedziała, że choćby zdarzył się cud, choćby Kuba zjawił się nagle w tym mieszkaniu i zabił Listonosza, ona już nigdy nie będzie sobą. Zostanie po niej zdeformowany kawałek czegoś, co nie potrafi mówić, ruszać się ani pewnie nawet jeść czy szczać. Dopadł ją największy koszmar każdej żyjącej istoty...

Zabij mnie! Zabij mnie! – krzyczała w myślach świadoma, że prawdziwą zemstą byłoby doprowadzenie jej do takiej właśnie postaci i zostawienie przy życiu. Bała się, że on to zrobi, ale wówczas zachodziło ryzyko, że z czasem Sonia odzyska część sprawności i zdradzi jego nazwisko. Choćby wymrużując je alfabetem Morse'a.

Listonosz miał inny plan. W odbiciu maski widziała dokładnie, jak wyjmuje klin, odbezpiecza go i zakłada na zakrwawionej końcówce trzonka, głupiego kawałka drewna, którym ją zniszczył.

Nachylił się nad nią. Chyba coś mówił, a może tylko chciał, żeby patrzyła na efekty jego furii. Jeśli tak, udało mu się. Sonia nie zamykała oka. Wiedziała, że to jej ostatnie chwile. Umierała w męczarniach, tak jak jej ofiary, i tak jak one chciała do końca chłonąć promienie światła, do końca zaciągać się zbawiennymi haustami powietrza.

Jednocześnie wyobraziła sobie Kubę. Wspomnienie Sobańskiego musiało być ostatnim, co zapisze się w jej głowie. Może właśnie tę ostatnią myśl uda jej się zabrać ze sobą? Wtedy już nigdy nie będzie samotna. Zacznie się spełniać w miejscu, do którego trafiają wyjątkowi ludzie pozbawieni duszy.

Gdy to rozważała, Listonosz wziął zamach i jednym ciosem usunął Bestyjeczkę z raju.

## 42

Ciemność mieszkania rozświetlają jedynie lampy w łazience. W dłoni ściskam nóż, ostrze dotyka szyi Listonosza. Morderca Soni ma ręce splecione na karku. Dona jest naga. Na jej brodzie zaschły niestrawione kawałki ciabatty. Wyrzygała ją razem z alkoholem i rohypnolem. Próbuje coś powiedzieć, ale tylko porusza ustami, nie wydając dźwięków. Nie kontaktuje w pełni.

– Domyślam się, że miała spać... – Listonosz odchyła szyję i zwraca się do mnie szeptem. – Powiedz jej, że jestem włamywaczem, i pozwól mi odejść. To najlepsze rozwiązanie.

Propozycja wydaje się logiczna. Wie, że znam jego tożsamość, i wie, że kryłem Sonię. Dzierżymy sekrety, które wpakowałyby nas obu do pierdła. Jestem pewien, że po tej nocy nie zaryzykowałby kolejnego starcia i zniknąłby na zawsze. Nie zdążam jednak zastanowić się nad odpowiedzią, bo nagle przedpokój spowija rażąca jasność. Dona włączyła światło. Robi krok w przód, zatacza się. W jej pięknych, niebieskich spojówkach zaczyna rosnać strach.

– Kuba, co się dzieje?! – Podskakuje na widok swojego odbicia w masce Listonosza. Traci równowagę i łapie się ściany. – Kto to jest? – Patrzy na nas z przerażeniem.

To moja ostatnia szansa. Mogę wypuścić Listonosza i żyć w poczuciu gorszości, nie pomściwszy Bestyjeczki. Mogę przedłożyć własne szczęście nad satysfakcję, zmagać się z niemocą i do końca życia żałować, że zachowałem się jak egoista. Mogę też wejść w nieznane i zrobić to, na co Sonia zasłużyła.

– To były prokurator, nazwiska nie pamiętam, bo nigdy mnie ono nie obchodziło – mówię głośno i wyraźnie. – Zabił Sonię, a teraz przyszedł zabić mnie.

Listonosz pręży się, mocno zaciska dłonie na karku. Jeśli naprawdę liczył, że pozwolę mu odejść, jest pojebany.

– Co? – Dona zrzuca resztki wymiotów z brody. W ogóle nie przeszkadza jej, że jest naga. – O czym ty mówisz? To jakaś głupia gra? Wkręcasz mnie, tak?

Otworzyłem puszkę Pandory, nie mam wyjścia, muszę brnąć dalej. Jeśli nie powiem jej prawdy, Listonosz zrobi to za mnie. Jeśli go zaknebluję, Dona nie uwierzy w żadne moje słowo.

– Nie, Dona. Zabił ją, bo wiele lat temu ona zabiła jego żonę – wymawiam na głos motyw, który był oczywisty, a w który nie uwierzyłem ani ja, ani Sonia.

Według wersji oficjalnej żonę spaślaka zabił zwyrol, wcześniej skazany przez niego za gwałt. Został zastrzelony w trakcie policyjnej obławy, dlatego nie braliśmy byłego prokuratora pod uwagę. A on musiał czuć, że zabójstwo jego żony wkrótce po moim skazaniu nie jest przypadkiem. Nie wiem, co działo się z nim przez te wszystkie lata. Obstawiam, że zmagął się z załamaniem, może się stoczył, może nie. Na pewno analizował zdjęcia z miejsca zbrodni, w którym zginęła jego żona, czytał raporty, snuł domysły, aż w końcu rozgryzł Sonię i dokonał zemsty.

– Przyszedł mnie zabić – powtarzam najważniejsze.

Dona musi zakodować sobie w tej ślicznej, nie do końca trzeźwej główce, że to ja jestem ofiarą. A naprawdę nią jestem. Nie miałem nic wspólnego ze śmiercią żony prokuratora. Byłem wtedy w pierdłu. Kolejna konsekwencja decyzji podejmowanych przez Sonię. Ostatnia...

– Mylisz się, Sobański. Nie wiedziałem, że ta mała suka zabiła Anię. – Słowa Listonosza przeczą wszystkiemu, co uważałem za oczywiste. – Sama mi się przyznała, zanim zmiażdżyłem jej parszywego ryja! Chełpiła się tym! – krzyczy tak głośno, że słychać echo odbijające się od wnętrza maski. – Wiedziałem tylko o chłopakach.



– I z takiego powodu ją zaatakowałeś? – Nie mogę uwierzyć. Straciłem Sonię, bo ten kretyn żałował kilku przypadkowych gówniarzy!

– Niektórzy są wrażliwi na cierpienie ludzkie. – Jego ton przechodzi z agresywnego w łagodny. – I nienawidzą potworów, zamiast się w nich zakochiwać. Bo ty byłeś w niej zakochany, prawda?

– Dzwonię po Dorianą! – Blond piękność nie pozwala mi zaprzeczyć.

Dyskusja z Listonoszem pochłonęła mnie do tego stopnia, że przez chwilę o niej zapomniałem. Sama też sprawiała wrażenie nieobecnej. Teraz odkleja się od ściany i w zwolnionym tempie, jakby biegła przez wodę, przemieszcza się do salonu, gdzie na stole leży komórka.

– Nie, Dona! Żadnej policji! – próbuję powstrzymać ją na odległość. Inaczej nie dam rady, bo musiałbym puścić Listonosza.

– Czemu? Przecież to morderca! – Chwyta telefon, odblokowuje ekran, zatacza się jak przy piruce i siada na oparciu kanapy.

– Bo Sonia Wodzińska zabijała nastolatków podobnych do jej brata – wyjaśnia za mnie Listonosz poirytowanym tonem. – Zrobiła to kilkanaście razy. Była psychopatką, a Kuba Sobański o tym wiedział i ją krył. Jeśli wezwiesz gliny, wróci do pierdła. – Próbuje ratować swoją skórę.

Dona wciąż siedzi na kanapie i wpatruje się w wyświetlacz. Ręka z telefonem telepie jej się jak zimne nóżki w galaretkę.

– Soniacz? Seryjną morderczynią? Co on wygaduje? – Telefon wypada jej z ręki od tych drgawek. Nie wiem, czy trzęsie się ze strachu, szoku czy z zimna. – To jakiś absurd! – Chwyta się za brzuch i kaszle, jakby chciała znów zwymiotować.

Wciąż jest z nią źle. Mimo że pozbyła się pigułki gwałtu, to alkohol nadal krąży po organizmie, a potrzebuję jej sprawnej. Dłoń mi drętwieje od ciągłego trzymania noża, udo piecze pulsującym bólem, a Listonosz coraz bardziej się wierci. Lada chwila stracę przewagę i znów będę musiał z nim walczyć. Nie chcę tego robić przy Donie, wystarczająco przypałowio wyglądam w rękawiczkach i z nożem.

– Dona, posłuchaj. – Zahaczam ostrzem o skórę byłego prokuratora. Niech wie, że jeśli zacznie kombinować, poderżnę mu gardło, nie bacząc na nic. – Zaraz wszystko ci wytłumaczę, ale najpierw musisz wziąć się w garść i zrobić, o co proszę. – Staram się brzmieć trochę chaotycznie, bo przecież muszę być przerażony tym, co się dzieje, a jednocześnie wystarczająco pewnie, żeby ona nabrała przekonania, że wiem, jak z tego wybrnąć. – Dobra?

– Sobański, mogę opuścić ręce? – pyta Listonosz.

– Zamknij się. – Gdybym mu pozwolił, poszukałby sposobu, żeby zabić nas oboje. – Dobrze, skarbie? – ponownie zwracam się do Dony. Moja dziewczyna kiwa głową, raczej nieufnie. – Na stole leży pudełko po tabace, jest w nim kokaina. Wciągnij kreskę albo lepiej dwie. Pobudzą cię. – Chemiczne doładowanie naprawdę może jej pomóc. Szczypta zajebistości tym bardziej. – Dawaj! – ponagliam ją i dopiero wtedy wstaje.

Idzie wzdłuż stołu, ruchy ma ślamazarne, ale jakoś doczłapuje tam, gdzie trzeba. Otwiera pudełko, wysypuje proszek na stół. Obok leży złota rurka. Przykłada ją do nosa i wciąga. Śnieg mocno w nią uderza. Prostuje się jak struna. Po chwili poprawia na drugą dziurkę.

– Sobański, co ty odpierdalasz?! – próbuje mnie zagadywać Listonosz.

– Stul pysk! Lepiej? – pytam Dony.

Blond piękność nie odpowiada, ale przechodzi przez salon znacznie pewniejszym krokiem. Podnosi swój telefon, rzuca go na kanapę i zatrzymuje się przed nami. Gapi się na Listonosza, potem na siebie. Wreszcie dociera do niej, że jest naga. Rozgląda się, namierza moje spodenki i koszulkę, które rzuciłem na podłogę przed wyjściem. Wkłada je i dopiero wtedy pyta:

– Co teraz?

Jej głos wciąż jest zagubiony, a moje udo zaraz eksploduje. Muszę zrzucić najgorszy balast.

– W gabinecie w pierwszej szafce przy biurku leżą trytki do kabli. Przynies dwie. – Nie reaguje, stoi w miejscu. Za to Listonosz wygina łokcie do przodu, coraz

bardziej się wierząc. – Dona, proszę... – zaciągam desperacko.

– Mhm. – Mruknięcie oznacza, że dotarło. Wchodzi do gabinetu.

– Wjebałeś nas obu, Sobański – znów zaczyna głądzić prokurator. – Rozegraliśmy trzy gry, prowadziłeś dwa do jednego. – Ma na myśli procesy sądowe. Nie wiedziałem, że też traktował je na zasadzie gier. – No, powiedzmy, że wsadzenie cię do ciupy liczyło się podwójnie... – W jego głosie słychać satysfakcję. – Ale to, co robisz teraz, to samobójstwo.

– Zamknij wreszcie ryja!

Jego gadka nie pozwala mi się skupić. Cały czas myślę, jak wybrnąć. W głowie rodzą się różne wizje, ale w każdej najgorszą zmienną stanowi Dona. Na razie jest posłuszna. Wraca z gabinetu z opaskami. Staje obok nas. Wie, co zamierzam.

– Pan prokurator powoli opuści ręce. Za plecy – rzucam rozkaz, a on go wykonuje. – Zepnij mu nadgarstki. Drugą trytkę zostaw na podłodze – następne polecenia wydaję Donie.

Blond piękność jest blada jak ściana, blizna dla odmiany zrobiła się jeszcze bardziej czerwona. Wygląda na zdezorientowaną. Ogarniają ją strach i niepewność – uczucia, których Sonia zwykle nie okazywała. Zawsze mogłem na niej polegać. Nawet kiedy musiałem pociąć ją nożem dla ratowania naszych tyłków.

– Zwiąż mu te cholerne ręce! – krzyczę poirytowany brakiem właściwej partnerki. O dziwo metoda przynosi efekt. Dona zniewala nadgarstki Listonosza. – Wreszcie!

Obaj jak na komendę padamy na ziemię. Listonosz na prawy bok, ja na lewy. Ściągam rękawiczki, dotykam swojego uda. Czuję, że jest napuchnięte, na szczęście kość wydaje się nienaruszona.

– Teraz weź dwa ręczniki i idź do wnęki przy windzie. Tam leżą jego rzeczy. Spakuj je i przynieś, tylko niczego nie dotykaj.

Tym razem Dona od razu robi, co trzeba, i bez gadania wychodzi na korytarz. Ruchy ma coraz lepsze, kokaina wyparła zamulacze, dopaminy zredukowały stres.

– Ta twoja panna kumpłowała się z Wodzińską. – Listonosz obraca się na plecy.  
– Kojarzę ją.

Udaję, że nie słyszę. Zmagając się z pulsującym bólem, wstaję, biorę drugą trytkę i spinam mu nogi w kostkach, po czym kuśtykam do salonu. Wyjmuję szluga z paczki na stole. Odpalam. Dym w płucach stanowi malutki powiew rozkoszy w tej dramatycznej sytuacji. Kończę papierosa w chwili, w której blond piękność wraca. Na ręczniku trzyma cały ekwipunek Listonosza – pistolet, klin i trzonek oraz mój nóż.

– W porządku, Kuba. – Rzuca rzeczy na kanapę. – Zrobiłam, o co prosiłeś. – Głos ma pewny, minę wściekłą, strach z jej oczu wyparował. Zastąpiła go determinacja. – Wyjaśnij mi, o co w tym wszystkim chodzi, albo dzwonię po Dorianą. – Podnosi telefon i odblokowuje ekran.

## 43

Nie istnieją poradniki, kursy ani szkolenia, które przygotowałyby mnie do wybrnięcia z sytuacji, w jakiej się znalazłem. Związany Listonosz leży na podłodze między przedpokojem a salonem. Jest spokojny. Wie, że okoliczności są niekorzystne dla każdego z nas, czeka na rozwój wypadków. Dona stoi przede mną z komórką w ręce. Kilka ruchów palcami po ekranie dzieli ją od wezwania pitbulla i zapewnienia mu awansu życia. Zdaje sobie jednak sprawę, że jeśli to zrobi, pójdę siedzieć i jej świeżo poukładany świat legnie w gruzach, a przecież już raz straciła ukochanego. Mimo to żąda wyjaśnień, chce zrozumieć, czemu zniknąłem nagle w środku nocy i wróciłem z zamaskowanym wariatem, przykładając mu nóż do gardła.

– A więc to, co usłyszałaś, to prawda – staram się brzmieć łagodnie. – Sonia zabijała nastoletnich chłopaków i ja o tym wiedziałem.

– Niemożliwe, niemożliwe, niemożliwe... – powtarza, jakby chciała wykasować to z pamięci.

– Każdy przypominał jej brata. – Chwytam ją za rękę, w której trzyma telefon, i ściskam. Jej palec dotyka klawisza blokującego ekran. – Przemek Wodziński gwałcił Sonię latami. Zaczęło się, kiedy chodzili do gimnazjum. Odarł ją z człowieczeństwa, zakorzenił w niej nienawiść. Dlatego wypchnęła go z balkonu.

– A ty udowodniłeś jej niewinność! – nie może sobie odpuścić Listonosz. – Gdyby nie Sobański, gniłaby w więzieniu, a tamte dzieciaki cieszyłyby się życiem. Ania cieszyłaby się życiem. Ja miałbym rodzinę...

– Pierwszy raz spróbowała z młodym Małkowskim. – Ignoruję Listonosza i zaczynam opowiadać Donie legendę. – Nie dała rady, musiałem ją ratować, przez co trafiłem do więzienia. Kiedy siedziałem, jej mrok się rozwinął. Była młoda, samotna, ale potrafiła wyciągnąć wnioski ze swoich błędów. Gdy wyszedłem na wolność, zobaczyłem na jej ręce mnóstwo tatuaży... Od razu przyznała mi się do wszystkiego.

– Półksiężycy? – Blond piękność wyswobadza dłoń z mojego uścisku. – Mnie powiedziała, że robi je, kiedy przydarza jej się coś dobrego... – Kręci głową. – Czasami stroiła sobie z nich głupie żarty.

– Każdy tatuaż oznaczał jednego trupa! – wtrąca prokurator.

Drażni mnie jego udział w dyskusji, ale nie mogę go pobić do nieprzytomności. Nie przy Donie.

– Mówiła mi, że brat wykorzystywał ją w koszmarach. Męczyła się sama ze sobą. Pragnęła odegrać się na nim, choć już nie żył. Gdy zabijała tych chłopaków, koszmary mijały. Na jakiś czas...

– A jego żona? – Nerwowo nadeptuje jedną stopą na drugą.

– Twierdziła, że to zemsta, bo prokurator zabrał jej mnie. Tylko ze mną mogła być szczerą... – Robię załamaną minę, wbijam wzrok w podłogę. Gram zawstydzonego. – Ja jeden nigdy jej nie oceniałem.

– Sukinsynu! – Listonosz bezradnie unosi związane nogi i wali nimi w podłogę. – Młoda cipa zawróciła ci w głowie!

– Kiedy wyszedłem na wolność, już nie zabijała. Polepszało jej się. – Listonosz nie wie o ostatnich tatuażach, nie chcę, żeby drażył. Na szczęście Dona zdaje się też nie pamiętać o dwóch dziarach zrobionych po moim powrocie i o dwóch przed moim aresztowaniem. Albo udaje, że nie pamięta. – To nie była dla niej przyjemność, tylko przekleństwo... – kłamię.

– Czemu ją kryłeś? Dla biurowca?

Tego pytania Dony się spodziewałem.

– Nie prosiłem o Future, sama chciała mi się odwdzięczyć za uratowanie życia. Kryłem ją, bo mi zaufała. – Zbliżam wargi do jej ust, czuję wymioty i parujący alkohol. – Umiem być lojalny wobec kogoś, kto jest lojalny wobec mnie. Bez względu na sekret, jaki mi powierza.

Zamierzam ją pocałować, to zawsze otumania piękne blondynki, ale Dona odwraca głowę.

– Kochałeś ją... – mówi coś, czego wcale nie chcę słyszeć. – Kurwa, jak ty ją kochałeś! – Odpycha mnie, telefon wyslizguje jej się z ręki i upada na podłogę. – Tylko nie zaprzeczaj! – Łapie się za włosy, przykłada je do oczu i odrzuca za szyję. Siada na oparciu kanapy.

– To nie tak... – Siadam obok niej. – Kiedy ją poznałem, Sonia była przerażoną nastolatką. Gdy powiedziała mi, przez co przeszła, zacząłem traktować ją jak młodszą siostrę. Lgnęła do mnie, przyznaję. Spaliśmy ze sobą nie raz, ale nie związałbym się z morderczynią... – Dotykam jej uda. Dona napina mięśnie. – Przecież dla ciebie zerwałem z nią kontakt. Owszem, bałem się, że jej odwali, ale nie mogłem do końca życia być niewolnikiem Soni Wodzińskiej. Była mi bliska, ale w inny sposób, niż myślisz.

– Teraz rozumiem, czemu odebrałeś jej telefon na wakacjach, czemu pojechałeś się z nią spotkać i czemu... – dotyka policzka – pocięła mi twarz. Cud, że żyję... – wyciąga bardzo mądry wniosek.

– Nie rozmawialiśmy ze sobą, ale ona wiedziała, że w razie tych problemów zawsze może się do mnie zwrócić. Stąd klucze do jej mieszkania, stąd pewnie testament. Gdyby chodziło o ciebie, też bym cię krył. Ufam ci. Wiem, że ty mi też ufasz.

Legenda, którą kończę opowiadać, ma jeden cel. Chcę, żeby Dona zrozumiała, że tylko śmierć prokuratora zapewni mi wolność, a jej radosne życie. Liczę, że poczuje zazdrość o Sonię i jednocześnie pobudzi najbardziej egoistyczną część swojej duszy – tę, która nakaze jej udowodnić sobie, że jest lepsza od Soni.

– W porządku, Kuba, doceniam szczerość. – Podnosi się z kanapy.

– Nie miał, kurwa, wyjścia! – Listonosz znów próbuje wbić się między wódkę a zakąskę. – Gdyby ci nie powiedział, ja bym to zrobił! Choć wcale nie jest mi to na rękę. Chciałem tylko pozbyć się psychola kryjącego inną psycholkę – powoli się rozkręca, a ja nie mogę zatkać mu ust. – Nie znasz go! Obronił ojca, który zabił córkę, próbował wybronić Rozpruwacza z Krakowa, dla obrony Wodzińskiej stawał na głowie! Jest pojebany!

Tymi słowami się nie martwię. Dona zna moje prawnicze osiągnięcia. Podziwia je.

– Soniacz seryjną morderczynią, abstrakcja... – zwraca się do mnie, głucha na gadkę Listonosza. – Wiedziała, że ten gwałt w niej siedział. Myślałam, że zatapiała go w Full House i w związku z Michałem. A ona cierpiała już wcześniej, latami i potrafiła to maskować... – Przejeżdża dłonią po twarzy. – Współczuję jej i tym, którzy przez nią nie żyją. Bardziej jednak chciałabym posłuchać o okolicznościach bezpośrednio związanych ze mną. – Wreszcie załącza jej się egoizm. – Czemu wyszedłeś, kiedy zasnąłam, czemu wróciłeś z nim, czemu miałeś rękawiczki, czemu spod twojej koszulki wystaje pas z nożem?

Ta jej cholerna spostrzegawczość...

– Kuba! Nie próbuj udawać niewiniątka! – Prawdę mówiąc, cały czas je udaję. – Wystarczająco długo mnie oszukiwałeś!

– Oszukiwałem cię dla twojego bezpieczeństwa, wiesz o tym. – Celowo używam tych słów. Poprzedni facet Dony też ukrywał swoje mroczne sekrety dla jej dobra. – Dzisiejsza noc jest efektem wielu złych rzeczy...

Opowiadam o listach, które znalazłem w mieszkaniu Bestyjeczki, strachu, paranoi, obawie przed zabójcą, przed powrotem do więzienia i o przesyłce, która czekała na wycieraczkę przed moim apartamentem, doprowadzając nas do tej sytuacji. Tworzę obraz przerażonego gościa, który dla utrzymania sekretu ryzykował życie. Oczywiście pomijam Araka.

Kiedy mówię, w oczach Dony widzę powagę. Minę ma kamienną, ręce lekko jej drżą, więc wkłada je do kieszeni. Słucha w skupieniu, co chwilę spogląda na



Listonosza. Prokurator milczy. Ja natomiast zaczynam się niecierpliwić. Nadchodzi moment podjęcia decyzji. Stoimy z Doną naprzeciwko siebie, żadne z nas nie chce odezwać się pierwsze, choć oboje wiemy, że trwanie w obecnym położeniu do niczego nie doprowadzi.

– Mam dla was propozycję – ciszę przerywa Listonosz. Mówi o „nas”, pokazując Donie, że jej głos jest ważny. – Pozwólcie mi odejść. Jeszcze dzisiaj wyjadę z Krakowa. Każde inne rozwiązanie oznacza więzienie. Dona! – krzykiem zwraca się do blond piękności. – Chcesz, żeby twój facet poszedł siedzieć? Przez Wodzińską?

Nie odpowiada mu, ale kręci głową.

– Wiesz w ogóle, jak zginęła moja Ania?

– Zamknij się! – Poza głupim tekstem nic nie mogę zrobić. Nie w takim momencie, bo Dona zaczęłaby go traktować inaczej.

– Wodzińska zabiła moją żonę, kiedy ta była w ciąży...

Właśnie zyskał przewagę. Blond piękność patrzy tylko na niego, w jej oczach zaczynam dostrzegać współczucie.

– Przybiła jej dłoń nożem do blatu, potem złamała jej rękę, skopała ją, pocięła, a na koniec wbiła ostrze w szyję... – Gdy wspomina swój dramat, głos roztrzaskuje mu się jak lustro.

– Porozmawiajmy w cztery oczy – próbuję desperacji, bo Dona wciąż gapi się na swoje odbicie w masce Listonosza. Nic mi nie odpowiada ani się nie rusza.

– Pomyśl, co czuli rodzice zabitych chłopaków. Wiem o dwóch. Jednemu odcięła genitalia, drugiemu przebiła kręgosłup i zgwałciła twardym przedmiotem. Tak właśnie postępowała Sonia Wodzińska! Nie powinnaś jej żałować, powinnaś pozwolić mi odejść – próbuje ją przekonać, jakby była sędzią, a my dwaj przeciwnikami na sali rozpraw. Wybrał cwany atak na wrażliwość. – Zdejmij mi maskę, spójrz na mnie... – przyjmuje ton dobrego przyjaciela. – Zobaczysz mężczyznę, który nie potrafił uratować rodziny, ale ocalił wiele niewinnych istnień.

Blond piękność stoi w miejscu. Nie odważy się zdjąć mu maski.

– Dona, proszę... Kuba cię posłucha.

Sprytnie pakuje mnie w pułapkę. Jeśli Dona zażąda uwolnienia go, będę musiał spełnić jej prośbę albo ją zabić. Pierwsza opcja jest nierealna, druga praktycznie też. Pomijając stratę kolejnej ważnej dla mnie kobiety, poszedłbym siedzieć.

– Dona... – coraz bardziej przerażony wymawiam jej imię.

Blond piękność odkleja wzrok od lustrzanej maski, staje na palcach, potem na piętach, giba się jak łódka. W końcu przestaje i zaczyna się na mnie gapić. Jej twarz przypomina niedokończoną rzeźbę powagi, bo bez względu na okoliczności zawsze ma w sobie coś słodkiego.

– Chodź... – Chwyta mnie za dłoń i prowadzi do sypialni.

– Zastanów się, zanim zrobisz coś, czego będziesz żałować! – krzyczy Listonosz, kiedy wchodzimy do środka.

Dona zapala światło, trzaska drzwiami. W powietrzu czuć smród, na prześcieradle jest plama zaschniętych wymiotów. Zaczęła zwracać rohypnol przez sen.

– Skarbie...

Chcę coś powiedzieć, ale nie mam pojęcia, jakich słów użyć. „Zabijmy go razem i pozbadźmy się zwłok” przeszłoby tylko z Bestyjeczką.

– Zdaję sobie sprawę, w co wpakowała cię twoja lojalność i jaki masz wybór – wybawia mnie z tarapatów i odzywa się pierwsza. Głos ma łamliwy, choć nie słychać w nim wahania. – Dla mnie te sprawy nie istnieją, rozumiesz? Nie znam sekretów Soni, nie widziałam prokuratora, nie wiem, co tu się stało ani co wydarzy się później. Pokochałam cię, to moje jedyne przestępstwo. Żadnego innego nie popełnię.

– Co zamierzasz?

Udo pali tak wściekle, że mam ochotę sięść.

– Wyjdę stąd, zostawię cię z... nim. Zrobisz, co uznasz za słuszne, a potem wrócimy do stanu sprzed dzisiaj i nigdy nie będziemy o tym rozmawiać.

Atak Listonosza na wrażliwość Dony się nie powiódł. Blond piękność ma dosyć ciężkich klimatów z mężczyznami. Już raz zmiażdżyły jej głowę. Boi się kolejnego obciążenia, chce wyparcia. Patrząc z jej perspektywy, ucieczka jest najwygodniejszym wyborem. Z mojej też, ale wcale się tego nie spodziewałem. Tylko ona nie bierze pod uwagę wszystkich zmiennych.

– Nie chcę cię w to mieszać. – Chwytam ją za policzki, żeby poczuła moje ciepło. – Nie wiem, co zrobię, ale jeśli coś pójdzie nie tak, wychodząc teraz, ryzykujesz. Byłaś ze mną od wielu godzin, twój telefon loguje się tam, gdzie mój. Gdyby nagle w środku nocy przemieścił się na Łazarza, a ja wpakowałbym się w szambo, pojawiłyby się pytania. Mnóstwo pytań. Podobnie gdybyś zamówiła Bolta, wypożyczyła miejską hulajnogę lub przemieściła się do centrum w każdy inny sposób. W Krakowie jest też sporo monitoringu, który mógłby cię uchwycić...

– Skąd... Jak to tak szybko przeanalizowałaś? – pyta podejrzliwie.

Doświadczenie zabójcy.

– Byłem adwokatem przestępców – wyjaśniam. – Zróbmy tak: pójdziesz teraz do mieszkania Soni, tam komórka łączy się z tego samego masztu, co u mnie. Mam klucze, ukradłem jeden komplet, kiedy znalazłem ją martwą... – Celowo przybieram dramatyczny ton. Dona nie reaguje. – Na miejscu nie podnoś rolet. Kiedy skończę, przyjdę po ciebie. Dobrze?

– Czemu... – Nagle rzeźba, którą tworzyła, rozpada się. Z jej oczu płyną łzy, twarz się wykrzywia, nogi uginają się w kolanach. – Czemu nigdy nie może być normalnie? – łka.

– Od lat szukam odpowiedzi, jeszcze nie znalazłem... – Głaskam ją po włosach. – Zrobisz, o co proszę?

Kiwa głową i podchodzi do swojej walizki. Otwiera ją, pochlipując. Wyrzebuje trzy paczki orzeszków, 7daysa i paczkę fajek. Przerzuca to do torebki. Kokaina wzmacnia jej koncentrację. Dona wie, że czekając na mnie, musi mieć prowiant i jakąś używkę. Ale nie wszystko bierze pod uwagę.

– Włóż damskie ciuchy, w tych rzucasz się w oczy, a nikt po drodze nie może cię zapamiętać ani tym bardziej rozpoznać.

Spogląda na mnie zdziwiona i ściąga krótkie spodenki. Idzie do szafy. Wyjmuje szare spodnie od dresów i bluzę do kompletu. Moje. Ubiera się w strój, nie włożywszy wcześniej bielizny. Obszerny dres całkowicie maskuje jej kształty. Kiedy zakłada kaptur, głowa jest praktycznie niewidoczna.

– Czekam dobe – mówi, ścierając łzy rękawem. Wzrok bardziej ma wściekły niż załamany. Kotłuje się w niej masa emocji. – We wtorek rano jadę do domu, a potem do pracy.

Z torebką na ramieniu wraca do przedpokoju. Tam Listonosz znów próbuje ją przekonać. Dona wydaje się całkowicie głucha na to, co mówi. Zgarnia pudełko z kokainą, telefon i idzie do drzwi. Prokurator milknie. Wie, że tę bitwę przegrał. Pozostaje mu obmyślić nową taktykę na drugą rundę, bez sędziego.

– Zejdz po schodach. – Podchodzę do wieszaka przy drzwiach. Z kurtki wydaję klucze do mieszkania Soni i wciskam jej do ręki. – Ta noc nigdy nie miała miejsca. Nie martw się, wszystko będzie dobrze – sprzedaję najbardziej prymitywne i niewłaściwe kłamstwo, jakie znam. – Kiedy dotrzesz, połub ostatni post Full House na Insta. To będzie znak, że jesteś bezpieczna.

– Tobie nie chodzi o moje bezpieczeństwo... Pchasz mnie do pieczary bestii, bo chcesz zorganizować sobie alibi. Lepiej, żebyś go nie potrzebował... – Odwraca się, wychodzi. Bez pocałunku, bez uścisku, bez spojrzenia mi w oczy.

Pozostaje mieć nadzieję, że naprawdę nie będę potrzebował alibi, Donie uda się wyprzeć to, co zobaczyła, i że śnieg, który zamierza wciągać, nie wykończy jej przed naszym spotkaniem. Na razie to małe zmartwienia. Olbrzymie wciąż leży na podłodze.

– Co teraz, Sobański? – Głos Listonosza emanuje nienawiścią.

Zakładam rękawiczki i podchodzę do niego.

– Teraz zostaliśmy sami.

Front maski osłania twarz i zachodzi na policzki. Otworów wentylacyjnych nie potrzeba, bo lustro weneckie kończy się przy brodzie. Szkło złączone jest z elastycznym materiałem, który sztywno przylega do tylnej oraz górnej części czaszki i uszu. Maską nie ma żadnego zapięcia, po prostu wkłada się ją na głowę, a ona skleja się ze skórą. To dzieło sztuki. Musiała zostać wykonana na zamówienie u kogoś specjalizującego się w nietypowych rzeczach.

Chwytam za szkło przy brodzie i ściągam je z głowy Listonosza. Zabójca Soni wygląda inaczej niż w czasach, kiedy był prokuratorem. Wtedy świńskie włoski albinosa zawsze ulizywał, nosił lansiarskie ray-bany, miał zarozumiały wyraz twarzy, bladą skórę i co najmniej jeden zapasowy podbródek. Teraz podbródki zniknęły, lata zmagania się z dramatem ukradły mu sporo kilogramów. Jego gęba jest czerwona i napuchnięta. Policzki i brodę pokrywa zaniedbany zarost. Oczy ma szkliste, są zmęczone, lekko łzawią, może przez soczewki. Włosy ściał na kilka milimetrów, wyraźnie posiwiały. Listonosz przypomina klienta osiedlowej monopolki, który konsumuje towar na ławce w parku. Gdyby nie głos, miałbym problem, żeby go rozpoznać.

– Napatrzyłeś się już? – pyta zirytowany moim zachowaniem.

Wciąż myślę o rytualnym sposobie zakrycia twarzy. On chciał, żeby Sonia widziała odbicie swojej śmierci.

– Nie wiedziałeś, że zabiła ci żonę, a przygotowałeś coś takiego? – Odkładam maskę ostrożnie, żeby jej nie uszkodzić, jakby była zabytkiem wartym miliony. – Wziąłeś tasak, mnie też chciałeś odrąbać głowę. Masz w sobie mrok.

– Oczywiście, że mam w sobie mrok, mnóstwo mroku! – ryczy wściekle. – Nie wiesz, jak to jest identyfikować ciało osoby, na której zależy ci najbardziej. To cię niszczy. Najpierw wysysa chęci, rozszarpuje od wewnątrz, kiedy wyobrażasz sobie, co przeszła, zanim umarła; kiedy myślisz, jak wzywała cię na pomoc, a ty byłeś daleko, bo akurat nadarzyła się okazja wychlać wódkę z szychami. Potem cię to pożera, dzień po dniu, tydzień po tygodniu. Odcłowieczasz się, zachłystujesz bólem, chcesz skoczyć w otchłań. Chcesz, żeby ona była tobą rozczarowana, próbujesz jej pokazać, że bez niej nadajesz się tylko na śmietnik. Pragniesz unicestwienia. Nie masz pojęcia, o czym mówię...

– Mylisz się, znalazłem Sonię – pozwalam sobie na szczerość. – Wiem coś o tym.

– Tak ci na niej zależało, że sypiasz z jej koleżanką. Przestań pieprzyć! – Jego głos przepelnia wstręt. – Jesteś jebanym egoistą, teraz wreszcie to widzę. Ta gadka przed Doną była pokazówką, chciałeś ją urobić. – Jego ryj robi się jeszcze bardziej czerwony. – Powinienem był cię dokładnie sprawdzić, ale zaślepiła mnie wściekłość. Skupiłem się tylko na tej suce.

– Jeszcze raz tak ją nazwiesz, a odrąbię ci łeb – ostrzegam tonem twardym jak beton.

– Aha, czyli jednak byłeś w niej zabujany, ale coś wam nie styknęło? W chuj w tobie sprzeczności, Sobański.

– Czemu obciąłeś jej głowę? Czemu użyłeś takiej maski?

– Maskę wybrałem ze względów bezpieczeństwa. Nic tak nie peszy i nie rozprasza, jak oglądanie samego siebie. Człowiek podświadomie skupia się na swoich ruchach zamiast na ruchach przeciwnika. Też się na tym złapałem, gdy zerknąłem w odbicie – cedzi przez zęby. – To miał być mój atut, ale nie zamierzałem obcinać Wodzińskiej łba. Planowałem ją zastrzelić, choć liczyłem, że dam radę rozwalić jej kręgosłup w rewanżu za cierpienia jej ofiar. Nie zdążyłem, bo powiedziała mi o Ani... – Zagryza wargi, przetyka głośno ślinę. – Wtedy coś we mnie pękło. Zrozumiałem, że rozbicie kręgosłupa to zbyt mało, żeby poczuć

satysfakcję. – W tym przypadku doskonale go rozumiem. – Mówię ci to, bo i tak nie wyjdę stąd żywy. Tylko uważaj, Dona może zmięknąć, a cokolwiek planujesz, ja ci tego nie ułatwię.

Listonosz wysoko mnie ceni, bo na razie nie mam żadnego planu. Według *Sztuki wojny* wciąż stoję na straconej pozycji. Nic nie wiem o przeciwniku, nie mam pojęcia, gdzie mieszka, kto go odwiedza, kogo zaniepokoi jego zniknięcie ani jakie dowody zostawił u siebie. Wiem tylko, że gdy były prokurator przypadnie, pitbulle łatwo nie odpuszczą.

– Najpierw przekonajmy się, co ty planowałeś. – Chwytam końcówkę zamka w jego bluzie i rozpinam.

Na brzuchu odzianym w brązowy T-shirt ma twardą teczkę, którą przyczepił dwiema gumami zawiązanymi wokół talii. Przecinam nożem gumy i wydaję ją. Zapoznaję się z treścią, którą śledczy mieli znaleźć przy moich zwłokach. Widok nowego listu uderza do świadomości tak mocno, że muszę przejść do salonu i zapalić szluga. Dym znów drażni płuca. Właściwie wszystko mnie teraz drażni.

– Zaskoczony? Tylko się nie zesraj, ciołku! – Listonosz próbuje dolać wódki do pożaru. Niepotrzebnie. I tak cały płonę.

Na kartce standardowo widnieje jedenaście półksiężyców, trzy z zaznaczonymi ofiarami. Doszedł nowy nagłówek, naklejony w centralnym punkcie: „Brutalne morderstwo w jednym z krakowskich klubów! Żona prokuratora nie żyje!”. Na szczycie strony widnieje napis z liter wyciętych z gazet: „Sonia, ona zabija. Dopasujcie pozostałe ofiary”. Na dole jest kolejne przesłanie: „Kuba, on wiedział”. Wklejenie informacji o żonie w połączeniu z informacją o śmierci Przemka Wodzińskiego, za którego Listonosz nie dał rady skazać Soni, to niemal instrukcja obsługi.

– Chciałeś dać się złapać... – wymawiam głośno największą głupotę, jaką może zrobić myślący człowiek.

– To, co powiedziała mi Wodzińska, zmieniło wszystko – mówi. Salon wypełnia smród palonego papieru. Puszczam jego list z dymem. – Dopadły mnie wyrzuty inne

niż do tej pory... – W jego głosie słychać czysty ból. – Tak, chciałem dać się złapać, nawet gdyby poprzedni list dotarł na policję. Chciałem opowiedzieć o mojej żonie, o tym, kto naprawdę ją zabił. W ten sposób oddałbym jej hołd. Ale żeby się odważyć, musiałem stracić wszystko i nic już nie mieć. Do tego potrzebowałem czasu... – Jego gadka jest coraz bardziej nienormalna. – Szybko zrozumiałem, że ją kryjesz. Informacja, jaką zostawiłem u Wodzińskiej, nie utrzymałaby się z dala od mediów dłużej niż tydzień. No i nie zamierzałem się ot tak podkładać. Miał mnie złapać pies, który na to zasługuje. Tylko on potraktowałby mnie z należyтым szacunkiem.

– Chuju! – Rzucam płonący papier na stół. Polewam go wodą z butelki. – Gdybym cię wypuścił, spróbowałbyś znowu!

Jego gadka o tym, że obaj pójdziemy siedzieć, a żadnemu z nas to nie leży, to była ściema. Listonosz chciał iść do pierdla. W pewnym sensie byłby bohaterem. Zabił seryjną morderczynię, a potem jej współnika. Zna prawo, zna sędziów, innych prokuratorów, biegłych. Może ugrałby niski wyrok albo nawet niepoczytalność.

– Oczywiście, Sobański! Ja żądam sprawiedliwości i nie mam nic do stracenia! To ty masz biurowiec, laleczkę, która jest w tobie tak zabujana, że ratuje ci dupę, i życie, o jakim większość ludzi marzy! Nic nie wiesz o cierpieniu po czyjejś stracie! Ty się ciągle bawisz, tylko zmieniasz zabawki! – wrzeszczy z pogardą. – Ale zabawa zaraz się skończy... – Śmieje się w głos.

Jego śmiech sprawia, że czuję się paskudnie samotny. W obecnym położeniu niczego nie brakuje mi bardziej niż wsparcia.

– Zabrałeś mi ją! – Gaszę fajkę na stole, podchodzę do niego, wydaję nóż i szykuję się do zadania ciosu.

*Jeden błąd i nigdy więcej się nie zaspokoimy...* – uwodzicielski jak nigdy i rozsądny jak często głos Klary sprawia, że zastygam z ostrzem przed jego mordą.

Na razie nie wolno mi go nawet uszkodzić.

– O proszę. Myślałem, że to już, ale brakło jaj... – Parska, nieświadomy swojej pomyłki. – No dawaj, Sobański! Może na zachętę przypomnę ci, jaką kurwą była



Wodzińska?! Pewnie obciągała każdemu, z kim chlała w klubach! – Chce mnie sprowokować, bo wie, że zabijając go w amoku, mogę popełnić błędy. Nie zamierzam mu ulec.

Idę do sypialni. Noga ciągle rypie, do głosu dochodzą głód i zmęczenie. Adrenalina spada, przez co o mały włos zrobiłbym głupstwo. Potrzebuję doładowania. Z szafki na bieliznę wydaję pudełko po tabace. Usypuję ścieżkę koksu i wciągęm prosto z dłoni wciąż odzianej w rękawiczkę. Zajebistość momentalnie powraca. Ból znika, głód też. Dopamina wprowadza myśli na właściwe tory. Wracam do salonu, sprawdzam Instagram Full House. Dona polubiła ostatnie zdjęcie. Dotarła na Radzikowskiego.

– Dobrze słyszałem? Wciągałeś? – pyta, ale mu nie odpowiadam. – Potrzebujesz chemii, żeby mieć odwagę. Ćpuny są żałosne.

– Kretyni, którzy pozwalają swoim kobietom samotnie zamykać kluby, jeszcze bardziej – odgryzam się i rozpinam kieszeń w jego bluzie.

Ma w niej pęk kluczy, starego iPhone'a i reklamówkę zwiniętą w kłębek. W reklamówce leży kilka ręczników papierowych, pewnie miały służyć do wytarcia ostrza. Telefon ma polskie menu, na tapecie jest zdjęcie płodu z USG. Dostęp blokuje prośba o zeskanowanie linii papilarnej. Ściągęm mu prawą rękawiczkę i przykładam czytnik do kciuka. Trafiam za pierwszym razem. Telefon zostaje odblokowany. Na ekranie głównym uśmiechnięta kobieta pozuje przed bazyliką Mariacką. Jest całkiem ładna, zdecydowanie za ładna na tłustego albinosa. Domyślam się, jak mocno musiał ją kochać. Była najlepszym, co go w życiu spotkało.

– Czego szukasz? – Głos Listonosza zdradza zniecierpliwienie. Pierwszy raz, odkąd Dona wyszła z mieszkania.

Ściągęm rękawiczkę i sprawdzam SMS-y. Są nudne. Reklamy Orange, przypomnienie o wygasającej polisie ubezpieczeniowej, jakaś oferta wakacyjna, alert pogodowy. Dużo ciekawiej jest w mailach. Jego poczta zawiera mnóstwo potwierdzeń logowań do internetowych kasyn, wpłat, wypłat, przegranych

i wygranych. W ciągu ostatnich tygodni obrócił kwotami oscylującymi w granicach miliona złotych! Większość przerznął. Nieco wcześniej wystawił ofertę na OLX dotyczącą sprzedaży domu w Kobierzynie. Następnie ją zdmął. Powodem było: „sprzedałem dzięki OLX”. Opchnął chatę, bo potrzebował forsy na grę...

– Každy z nas tłumia ból jakimś uzależnieniem. Postawiłeś na hazard – wypowiadam na głos swoje myśli.

– Nie jestem hazardzistą, tylko graczem! Wiesz o tym, pojedykował się ze mną! – stwierdza oburzony. – Zawsze uciekałem od problemów w grę. Tyle że po tym, co spotkało Anię, nie potrafiłem już grać w sądzie. Postawiłem na kasyno, ono wyniszcza.

Słuchając jego paplania, docieram do wersji roboczych. Tu jest tylko jeden mail z tematem „Weissa, umowa najmu mieszkania”. W treści widnieje tekst o nieprzedłużeniu umowy, która wygasa w październiku. Tekst jest niedokończony. Mail ma załącznik z potwierdzeniem przelewu opłat do końca trwania kontraktu. Przelew Listonosz wykonał dzisiaj po południu. Sukinsyn wiedział, że lada dzień go aresztują, mimo to chciał być uczciwy i rozliczyć się za mieszkanie, które znajduje się dziesięć minut z buta od bloku Soni...

Samą umowę zawarł trzy miesiące temu. Sprytnie. Mógł mieć Bestyjeczkę na oku, sprawdzać, czy wykonuje polecenia, jak reaguje na listy, z kim się spotyka. Jego przebiegłość całkowicie gryzie się z chęcią poniesienia klęski. Czyżby to brak fizycznego skalania popychał go w stronę autodestrukcji...?

– Dzięki grze rozszyfrowałem małą sukę! – wrzeszczy, sprowadzając mnie na ziemię. – Chcesz wiedzieć jak?

## 45

Muszę skupić się na analizie życia Listonosza. Do tego potrzebuję ciszy, ale prokurator zdaje się czytać w moich myślach. Wie, że od chwili, w której znalazłem zwłoki Soni, chcę poznać odpowiedź na pytanie, jakim cudem ją rozgryzł.

– Jestem diabelsko ciekaw... – Nie odpuszczę sobie jego historii nawet za cenę uciekających minut.

– Mała suczka potrafiła zabijać. – Niezgrabnie przewraca się na plecy. – Ale brakło jej pokory, żeby wciąż cieszyć się życiem.

– To znaczy? – pytam i przechodzę do zdjęć.

Jeśli prokurator prowadził dogłębną obserwację, nie uwieczniał jej na karcie pamięci telefonu. Album zawiera same klasyki, głównie on i jego żona w minionej epoce.

– Już wiesz, że rzuciłem się w wir gry. Wyjechałem też na zadupie, pracować jako urzędnik. Chciałem się w ten sposób ukarać, ale to nic nie zmieniało, więc wróciłem do Krakowa i sprzedałem nasz dom. Wcześniej sprzedałem jej klub... – Zamyka na moment oczy. Gdy je otwiera, widzę w nich pogardę. – Wprowadziłem się do rodziców, po upłynięciu nieruchomości miałem pieniądze na grę. Wychodziłem do kasyn, nie lubiłem grać w sieci, bo oni ciągle przychodzili do mojego pokoju i próbowali mnie ratować... – Parska gorzkim śmiechem. – Nie potrzebowałem pomocy, chciałem cierpieć.

– Katowałeś się, bo nie ocalałeś żony, zamiast zwalczyć traumę. Słabeusz.

– Do walki potrzeba motywacji. – Tu muszę się z nim zgodzić. – Ja nie miałem żadnej. Znalazłem ją dopiero trzy lata temu, w knajpie niedaleko kasyna...

\*\*\*

Często przed grą chodziłem do pubów, które odwiedzaliśmy z Anią. Torturowałem się wspomnieniami, żeby jeszcze bardziej zmotywować się do wyniszczenia. W jednym z takich lokali spotkałem Wodzińską. Przyszła z dziwnym typem, całym w tatuażach. Usiedli przy sąsiednim stoliku, przy którym czekała już blondwłosa laleczka. Na widok małej bratobójczyni poczułem odruch wymiotny. Spojrzałem jej w twarz. Ona też mnie zobaczyła. Oczekiwałem jakiejś reakcji, ale zachowała się, jakby mnie nie poznawała. Wyglądałem inaczej niż pięć lat wcześniej na sali rozpraw. Miałem gęsty zarost, tłuste włosy, nosiłem stare ubrania, przypominałem wyniszczzonego alkoholika. Tragedie zmieniają.

Siedziałem cicho i słuchałem ich paplaniny. Mała sucz kleiła się do tego chłopa, co chwilę się macali, mówili coś o pożegnalnym spotkaniu. Blondynka ewidentnie była poirytowana jego obecnością. W pewnym momencie wyjęła telefon i zaczęła w nim grzebać. Obserwując Wodzińską, myślałem o niesprawiedliwości. Córeczka multimilionerów zabiła brata i była wolna, Ania nie skrzywdziła nikogo i była martwa. Mierziło mnie, zapragnąłem iść do kasyna. Wlałem w siebie reszkę alkoholu i kiedy miałem wstawać, blondynka ryknęła na cały lokal.

– O w mordę! Ktoś zamordował nastolatka w Zabierzowie! Zobaczcie, co piszą! Pokazała im komórkę.

– Damian M. został znaleziony wczesnym rankiem przez kolegę – zaczął czytać towarzysz Soni. – Od kilku dni nocował sam, ponieważ rodzice wyjechali na wakacje. Anonimowe źródło donosi, że ofiara została pocięta nożem i zgwałcona. Prawdopodobnie sama umówiła się z zabójcą. Policja nie potwierdza naszych informacji, ale...

– Anonimowe źródło, dobre – zaśmiała się blondynka. – Pewnie koleś, który go znalazł, sprzedał się mediom za kilka stów – powiedziała jak gdyby nigdy nic i zablokowała telefon.

– Nożownik gwałciciel... – nie dowierzał wydziarany typ. – Niezła jazda.

– Niezła? Odjebana! – krzyknęła Wodzińska z niebywałym entuzjazmem. Upiła łyk kolorowego koktajlu i pokazała świeży tatuaż zaklejony folią. – Ale przestarzała, bo już o tym czytałam. I właśnie z tego tytułu Luko strzelił mi nową dziarękę... – Zaśmiała się obrzydliwie. – Często bierze mnie bez kolejki, a lokalna sensacja wymaga uwiecznienia. Prawda, Dona?

Siedziała twarzą do mnie. Widziałem, jak oczy jej błyszcząły. Była naćpana albo tak bardzo podniecało ją to, co mówi.

– Co ty chrzanisz? Udzieliło ci się jego towarzystwo? – Dona wskazała palcem faceta. – Braliście coś? – spytała, niemal odgadując moje myśli. – Czymś ją odurzyłeś?

– Niczym, przysięgam. – Przyłożył dłoń do serca.

– Wyluzuj, Donka! Na żartach się nie znasz? – Sonia objęła koleżankę i pocałowała w czubek głowy. – Nowe *tattoo* to efekt dobrego wydarzenia, jakim jest zerwanie z Krystianem. Śmierć łebka z Zabierzowa gównu mnie obchodzi. Uwolniłam się od zjeba, znów będziemy miały więcej czasu dla siebie. To najważniejsze.

Paplali dalej, zapominając o mało istotnej sensacji. Może też bym zapomniał i wyszedł, ale przez zboczenie zawodowe zacząłem grzebać w telefonie i znalazłem ten sam artykuł. Widniało w nim zdjęcie Damiana. Patrzyłem na nie, wspominając proces Wodzińskiej i jej brata wypchniętego z balkonu. Potem przypomniał mi się Piotr Małkowski. Był takim samym nastolatkiem. Sonia przez czat umówiła się z nim w opuszczonym domu na seks zabawę w brata i siostrę. Pomyślałem, że może potrzeba zabaw przeszła na wyższy poziom i zboczona uwodzicielka stała się morderczynią... Przecież już raz zabiła... A jeśli wcale nie zgrywała się przed znajomymi, tylko jest do tego stopnia bezczelna, że morduje chłopców podobnych do brata, tatuuje sobie te wydarzenia i przechwala się nimi, bo wie, że nikt nie ma wobec niej choćby cienia podejrzeń...?

Owszem, brzmiało abstrakcyjnie. Wizja została stworzona przez złudzenie wywołane nienawiścią, a nie na podstawie racjonalnych przesłanek. Choć już wtedy

czułem, że kto jak kto, ale ta gówniara jest zdolna do wszystkiego. Sprawdzenie jej stało się moją motywacją. Zapisałem ksywkę tatuażysty, dopiłem piwo i wyszedłem. Zamiast pójść do kasyna, wróciłem do domu i rozpocząłem grę w śledztwo.

Odcięty od narzędzi, którymi operowałem jako prokurator, musiałem improwizować. Zacząłem od najprostszego – zlokalizowania salonu, w którym się dziergała. Znajdował się w lokalu użytkowym na zachodnich obrzeżach miasta. Byłem pewny, że tatuażysta prowadzi grafik klientów albo coś w tym stylu. Żeby to sprawdzić, wynająłem luksusową prostytutkę. Najpierw miała zadzwonić i umówić się na tatuaż. Drugie zadanie polegało na uwiedzeniu tego gościa, zanim zacznie ją dziergać, zaciągnięciu go na zaplecze i dopilnowaniu, żeby wcześniej nie zakłuczył drzwi do salonu. Po wszystkim miała zrezygnować z dziary i wyjść. Gdy to usłyszała, stwierdziła, że salon będzie pusty w ciągu dziesięciu minut.

Zacząłem się blisko wejścia i po kwadransie wszedłem do środka. Oprócz muzyki płynącej z głośników usłyszałem jęki rozkoszy dochodzące z części socjalnej. Miała zabawiać się z nim przez czterdzieści minut. Ja w tym czasie przejrzałem komputer. Facet nie miał grafiku, za to prowadził rozbudowane archiwum swoich prac. Każdy stały klient miał folder podpisany imieniem i pierwszą literą nazwiska. Tam były zdjęcia. Archiwum sięgało trzy lata wstecz. Reszta musiała znajdować się na jakichś dyskach, ale ich nie mogłem zdobyć.

Skopiowałem pliki i w domu zacząłem analizę. Suka w przypisanym sobie folderze miała trzy dziary. Wszystkie identyczne. Według daty powstania plików najnowszą zrobiła dzień po zabójstwie w Zabierzowie. Poprzednią w środku wakacji, rok wcześniej. Przeczesalem archiwum portali informacyjnych z tego okresu. W Krakowie nie było żadnej wzmianki o zabójstwie nastolatka. Mogła zabić poza miastem, ale brakowało mi punktu zaczepienia. Mimo to drażyłem i wydrążyłem głośne zabójstwo siedemnastoletniego chłopaka na koncercie w Mrągowie. Dokonano go pięć dni przed powstaniem kolejnego tatuażu na przedramieniu Wodzińskiej.

Żeby dowiedzieć się czegoś o jej przeszłości, zacząłem sprawdzać ludzi, z którymi chodziła do ogólniaka. Nigdy nie pozbyłem się swoich notatek z żadnej

z prowadzonych rozpraw. Miałem zapisanych wszystkich uczniów z jej klasy. W końcu trafiłem na pozbawiony progów prywatności profil Dony Sabinowskiej. Na nim znajdowały się zdjęcia z wyjazdu na Mazury. Na kilku pojawiła się Wodzińska. Fotki trafiły do sieci trzy dni przed zabójstwem nastolatka.

Ostatni tatuaż pozostał nierozwiązany. Miałem datę, ale do niczego nie potrafiłem jej dopasować. Mimo to czułem, że namierzyłem seryjną morderczynię. Znałem motyw, znałem *modus operandi*, długo nie wiedziałem, co z tym zrobić. Postanowiłem uważnie się jej przyjrzeć.

Samo rozpracowanie Wodzińskiej zajęło mi rok. W tym czasie została właścicielką biurowca. Gdy którymś razem siedziałem w aucie niedaleko Future, przez lornetkę dostrzegłem następny tatuaż. Mimo to gdzieś z tyłu głowy czaiła się myśl, że jednak mi odbija i łączę rzeczy, które chcę, żeby były połączone. Dlatego wysłałem jej listy. Pierwszy próbny, drugi weryfikacyjny. Otwarte okno stanowiło dowód...

\*\*\*

– Przypadek rządzi światem – powtarzam ponadczasową mantrę, wysłuchawszy jego opowieści. Nie raz mówiłem Soni, że przesadna pewność siebie jest zgubna. Gdyby żyła, uderzyłbym ją w tę pustą główkę, którą straciła przez własną głupotę. – Ale czemu tak długo zwlekałeś? Przecież odkryłeś jej sekret kilka lat temu.

– Cóż... Powód jest prozaiczny. Moi rodzice umierali. Najpierw matkę dopadł nowotwór. Szpitale onkologiczne, chemioterapia, opieka nad nią... To był koszmar, który ciągnął się przez rok. Ojciec zmarł siedem miesięcy po niej. Dwa zawały. Drugi skuteczny. Nie w głowie była mi wtedy Wodzińska, mogła poczekać. Ja musiałem pomóc ostatnim żywym, których kochałem.

– Całkowicie odpuściłeś Sonię z takiego powodu? – Choćbym chciał, nie potrafię ukryć zdziwienia.

– Ty nie masz w sobie ludzkich odruchów, co, Sobański? Nikt cię nie obchodzi. Jesteś jeszcze gorszy niż Wodzińska, choć do niej jednej akurat miałeś słabość.

– Daruj sobie, przejdź do rzeczy.

– Po śmierci rodziców sprzedałem rodzinny dom i ich kancelarię. Wtedy zakładałem, że jak uporam się z suczą, to wyjadę i zacznę od nowa. Rozwazałem Pragę albo Budapeszt. Za dobry uczynek należała mi się druga szansa. Ale Wodzińska uświadomiła mi, że wcale na nią nie zasłużyłem... – warczy, wściekły na samego siebie. – Stoczyłem walkę z własnym sumieniem i w końcu postanowiłem, że zacznę grać o wysokie stawki, a gdy stracę wszystko, dam się złapać i zachowam dobre imię. Po drodze wyniknęła twoja kwestia. Ją też należało rozwiązać.

– Jesteś skończonym pojebem... – Inaczej nie umiem go nazwać.

– Mam sumienie i nie zależy mi wyłącznie na sobie, nie zrozumiesz tego.

– Sumienie często równa się głupocie.

– Dasz mi wody? – pyta zaskakująco łagodnym tonem. Wargi ma spierzchnięte, skóra traci barwę. Jego cierpienie sprawia mi radość.

– Dam ci coś innego... – Zwijam w kłębek dwa ręczniki papierowe.

– Sobański! Jeszcze nie skończy... – chce zaprotestować, ale wciskam mu je do ust. Jego spojrzenie znów przepęłnia pogarda, za to ciało jest spokojne. Nie wierci się ani nie wrywa. Brakuje mu sił. Tak to jest, gdy nie dba się o formę.

– Za dużo papłasz. Naprawdę muszę się skupić.

Listonosz wciąż intryguje, ale czas nie stoi w miejscu, a mnie daleko do sukcesu w grze o bezpieczną przyszłość w raj.



## 46

Przypinam go kolejnymi trytkami do kaloryfera. Nie próbuje się bronić, rzezi tylko przez zatkane usta. Jest czwarta trzydzieści osiem rano. Na siłę zapycham się kanapką. Czy tego chcę, czy nie, pozbawiony kalorii jestem bezużyteczny. Udo wciąż boli. Połowicznie znieczulam je śniegiem. Wolałbym zastrzyk, podobnie jak to, żeby ostatnie tygodnie w ogóle się nie wydarzyły, ale nie mam na to wpływu. Zakładam bluzę, czepek, czapkę z daszkiem i rękawiczki. Z plecakiem na ramieniu, korzystając z ostatnich chwil ciemności, biegnę na ulicę Weissa.

Bieg jest katorgą. Mam wrażenie, że wewnętrzna siła stworzona z bólu próbuje oderwać nogę od reszty ciała. Mimo to na miejsce docieram w niecały kwadrans. Na zewnątrz jest spokojnie, choć pierwsi ludzie zaraz zaczną wychodzić do pracy. Chowam się przed nimi w dwupokojowym mieszkaniu na parterze czteropiętrowca wybudowanego w minionej epoce. Adres jest zgodny z treścią kopii roboczej maila w telefonie prokuratora.

W środku sprawdzam każdy kąt. Część znalezionych rzeczy kończy w moim plecaku, a sama wycieczka do siedziby Listonosza daje mi podpowiedź, jak rozwiązać problem zagrażający mojemu bezpieczeństwu. Z jego mieszkania wychodzę wpół do dwunastej, kiedy większość dorosłych jest w pracy, a młodzież korzysta z wakacji, wybierając miejsca pozwalające oderwać się od bloków. Idę powoli, udo nie pozwala już na bieg. Mijam dużo aut, sporo pieszych, ale nikogo bezpośrednio przy bloku. W czapce, z dużym plecakiem i bluzą przewiazaną przez pas bardziej przypominam turystę-autostopowicza niż Kubę Sobańskiego.

Na Salwator wracam w samo południe. Listonosz śpi na podłodze. Między nogami ma mokrą plamę. Zeszczął się. Jest wykończony, nie budzi go nawet mój powrót. Ja też ledwie żyję, potrzebuję regeneracji. Wrzucam zarzygane prześcieradło do pralki, ściągam ubrania i w samych bokserkach kładę się na łóżku. Różne myśli próbują powstrzymać mnie od snu. Słyszę Sonię, Klarę, nie mam pojęcia, co mówią, bo wycieńczenie zalewa je jak sztorm mały kuter. Jest tylko cisza i odpoczynek.

Gdy otwieram oczy, wciąż jest widno i parno. Dopada mnie specyficzna błogość oraz lenistwo. Szybko zostają przepędzone przez dźwięki dochodzące z salonu. Listonosz się obudził i kopie w kaloryfer. Idę do niego. Oczy mu łzawią, czoło ma spocone. Nie może sprawnie oddychać. Wyjmuję mu papierowy knebel z ust.

– Wody...! – Głos ma zorany jak Dona po meczu. – Daj mi pić...

Spełniam jego prośbę i wlewam mu trochę zimnej niegazowanej do otwartej gęby. Wypłuczę w ten sposób pozostałości ręczników z jego jamy ustnej.

– Coś ty taki miły? Odbiło ci? – Nawodniony brzmi dużo lepiej.

– Powiedzmy, że pokazuję ludzkie odruchy, których podobno nie mam.

– Przestań pitolić! Wiem, że byłeś na Weissa! Pozbyłeś się dowodów! – Trudno zaprzeczyć. – Planujesz zagrać tak, żeby moje zniknięcie wyglądało na dobrowolny wyjazd! – Zaczyna szarpać za kaloryfer. – Dalej! Zrób to! Na co jeszcze czekasz?! Zabij mnie, zanim twoja laleczka pęknie i zadzwoni na policję!

Siłą rzeczy przypomina mi o Donie. Blond piękność wciąż jest wielką niewiadomą. Nie mam pojęcia, jakie myśli krążą po jej główce, kiedy od wielu godzin siedzi sama w mieszkaniu Soni i oswaja się ze świadomością, że jej dawna przyjaciółka była seryjną morderczynią, a jej facet będzie pozbywał się innego zabójcy. Chętnie poszedłbym z nią porozmawiać albo chociaż zadzwonił, ale nie mogę. Muszę zdać się na to, co wbija mi do głowy przez wszystkie miesiące naszego związku: na zaufanie.

– Gdybym był tobą, tobym tak nie kusił. No już, spokojnie... – Biorę nóż, odcinam trytki łączące jego spięte kończyny z kaloryferem, żeby więcej nie szarpał.

– Ciesz się powietrzem, póki możesz.

Zostawiam go i idę do łazienki. Zimny prysznic pomaga orzeźwić ciało oraz umysł. Kiedy woda się leje, po raz kolejny analizuję to, co wydarzy się dziś w nocy. Szukam własnych błędów, wcielam się w rolę policji, robię to samo, co przed polowaniami. Na koniec lodowatą wodą próbuję zmniejszyć opuchliznę na udzie. Zrobiło się tak grube, że noga nie weszłaby do dżinsów. Po prysznicu jem śniadanie-obiado-kolację. Wiem, że poza jajecznicą z tostami nic więcej dzisiaj nie przełknę.

Mimo dziwnego położenia staram się zachowywać tak, jakby to był zwykły dzień w raju. Piszę wiadomość do Marty. Oznajmiam asystentce, że biorę dwa dni wolnego, więc wszystkie sprawy spadają na jej głowę. Sprawdzam socjale Dony, jej aktywność na komunikatorach. Nic nie lajkowała, nic nie udostępniała. Ostatni raz użyła Messengera trzy godziny temu. Pewnie pisała z kretynkami z panińskiego. Oby o tym, jak cudny spędza poniedziałek w moim towarzystwie...

Późnym popołudniem zabieram się za kluczowe przygotowania. Plecak z rzeczami przyniesionymi z klitki Listonosza zasypuję kretem. Poleży w wannie do jutra. Potem szykuję nowy strój, akcesoria niezbędne do realizacji planu i okładam udo kompresem lodowym. Nie chcę więcej znieczulać się kokainą. Potrzebuję trzeźwego umysłu.

Przez większość czasu towarzyszy mi paplanie Listonosza. Były prokurator znów się rozgadał, w niewłaściwy sposób. Ubliża Soni, rzuca tekstami, jakich nie powstydziliby się szczyl z podwórka. Potem ostrzega, że i tak pójdę siedzieć. Następnie, gdy słońce zaczyna zachodzić, wjeżdża faza załamania. Wpływ na to mają głód i odwodnienie. Pitoli o swojej żonie. Jeszcze raz prosi o wodę. Nie daję mu.

O dwudziestej drugiej ustawiam muzykę, tak że bit zagłusza jego głos, i jadę wymienić samochody. Polegam na muzie, bo ponowne kneblowanie nie wchodzi w grę. Bmw zostaje w wynajętym garażu. Kiedy wracam škodą na Salwator, serce próbuje wskoczyć mi do przełyku, płuca swędzą, skóra na policzkach drętwieje. W ten sposób organizm reaguje na obawę przed skokiem w nieznane. Przynajmniej Listonosz trochę się zmęczył i uspokoił.

Rozjusza się ponownie późno w nocy, gdy podchodzę do niego w szerokich dresach, czapce, bluzie z kapturem, z rękawiczkami na rękach, sportowym bidonem w prawej dłoni i plastikowym lejkiem z nóżką owiniętą gąbką w lewej.

– To już...? – Jego oczy emanują strachem w najczystszej postaci. – Za zatajenie czyjejs zbrodni wyjdiesz przed pięćdziesiątką, ciągle będziesz miał majątek. Zabójstwo cię pograży! Zastanów się!

– Zgrywasz gotowego na śmierć, ale boisz się jej jak wszyscy.

Kucam przed nim, chwytam go za rzepkę przy kolanie, nie za mocno, ale wystarczająco, żeby zaczął się drzeć. Kiedy ma otwarte usta, wciskam mu do nich lejek. Łapię go za głowę i przelewam zawartość bidonu do lejka. Napój wpływa bezpośrednio do przełyku. Listonosz próbuje się wyrwać, ale jest odwodniony i głodny, leżenie w jednej pozycji też nie pomaga, a napój, który przyjmuje, dodatkowo go osłabi.

– Whisky? Co ty, do cholery, knujesz?! – pyta, krztusząc się, kiedy wyjmuję lejek. Fragmenty ciemnej cieczy spływają mu po policzkach.

Wolałbym załatwić go inaczej, w sejfie ciągle mam kilka gramów ketaminy, którą jeszcze niedawno planowałem okiełznać Sonię, ale boję się, że toksykologia wykaże narkotyk, a prokurator nie jest ćpunem. Golnąć lubi każdy, to bezpieczniejsza metoda.

– Z niewielką ilością soku, żebyś się nie zrzygał – mówię. – Masz pusty żołądek, szybko powinno ci wejść.

Ponownie naciskam go na rzepkę, znów otwiera usta. Wkładam lejek i powtarzam proces. Po wlaniu trzech setek przerywam, żeby sprawdzić jego reakcję.

– Chcesz mnie otruć alkoholem? Jesteś tchórzem, nie umiesz własnoręcznieeeee... – zaciąga ostatni wyraz i zaczyna kaszleć.

– Blisko, ale nie do końca o to mi chodzi.

Krzyczy i wyzywa przez następnych dziesięć minut. Po kwadransie robi się otumaniony, język mu się płacze. Ma wyraźne symptomy osłabienia, choć nadal nie

wygląda na potulnego. Musi wypić więcej.

– Weź to ode mnie! – Znów zaczyna się wyrywać, kiedy podchodzę z lejkiem i bidonem, ale nie ma szans.

Przyjmuje łącznie siedemset mililitrów czterdziestoprocentowego alkoholu. Końcówkę wlewam mu bezpośrednio do ust, żeby wypłukać gąbkę, która mogła się tam dostać. Przez kolejne dwadzieścia minut obserwuję zmieniające się oblicze Listonosza. Potężna ilość alko łyknięta w tak krótkim czasie sprawia, że obszary w mózgu odpowiedzialne za podstawowe funkcje zaczynają słabnąć. Były prokurator ma drgawki, oddech mu spowalnia, poci się, ale nie ma odruchu wymiotnego. To symptomy zatrucia. Podobnie jak niezrozumiały bełkot i uciekający wzrok. Powieki co chwilę mu opadają, a on próbuje z nimi walczyć. W końcu kuli się w kłębek. Ciągle coś mamrocze.

Jestem w stanie wyobrazić sobie, co dzieje się teraz w jego głowie. Przymusowe zamroczenie, otępiełe kończyny, powolne reakcje, zawężone pole widzenia i brak sprawnej kontroli nad własnymi ruchami, choć bardzo chciałby być trzeźwy. Żeby sprawdzić poziom jego świadomości, znów wkładam mu lejek do ust. Tym razem w ogóle nie próbuje się bronić.

– Chyba już.

Przecinam opaskę krępującą jego nogi i podnoszę go za chabety.

Zatacza się na boki, szuka równowagi, ale nogi ma zgięte w kolanach. Z trudem unosi powieki, jakby ważyły tonę. Wykonuje powolne ruchy głową i gdy mnie namierza, próbuje uderzyć z dyńki. Robię unik, chwytam go w pasie, żeby nie upadł.

– Nie poddam się, Sobańsk... – Wisi bezwładnie na moich rękach. – Będę walczyyyy... – Urywa.

Nie wiem, ile potrwa najcięższa faza i jak będzie się zmieniać. Muszę ruszać, a pora ku temu jest idealna. Druga piętnaście w nocy z poniedziałku na wtorek.

Nie puszczając go, z kanapy zgarniam długi płaszcz i zarzucam mu na ramiona. Wybrałem strój kompletnie nieadekwatny do pogody, ale maskujący związane ręce, a pijacy miewają różne jazdy.

– Dokonałeś niemożliwego, rozgryzłeś Bestyjeczkę i zabrałeś mi ją. Czas na konsekwencje.

Na moment go puszczam, żeby zobaczyć, jak się trzyma. Kołuje lewo-prawo, przebiera nogami, chcąc zachować równowagę, ale potyka się i upada na kanapę. Korzystając z chwili, zakładam plecak.

– Nadłeś jej ksywk... – próbuje coś powiedzieć. – Was trzeba utylizować! – Tym razem brzmi nieprzyjemnie normalnie. – Ja to zrbie...

Krótki przebłysk dobiega końca. Jest półprzytomny. Przyciskam go do siebie i prawą ręką obejmuję przez plecy, dłoń zahaczając na klatce piersiowej. Nie walczy. Bez oporu daje się wyprowadzić z mieszkania.

Idziemy do windy, z każdym metrem jest coraz trudniej. Problem stanowią jego nogi. Ma je zgięte, przez co czuję się, jakbym prowadził olbrzymiego ludzika z plasteliny. Bolące udo nie pomaga, ale podświadomie blokuję kontuzję. Jej nie ma, jest tylko koncentracja. Gram o swoją przyszłość.

Na klatce schodowej Listonosz czka, parska i siorbie nosem. Głowę ma opuszczoną, nic nie mówi, za to głośno oddycha. Po minucie przyjeżdża winda. Wciskam przycisk minus jeden, garaż. Jedziemy oparci o ścianę naprzeciwko lustra. W luźnym stroju, z czerwoną, zarośniętą mordą były prokurator wygląda jak menel.

– Zabiję cię! – Odzyskuje nagle wigor.

Próbuje mnie kopnąć. Nogę potrafi unieść ledwie na kilka centymetrów, ale to wystarcza, żeby mi się wyślizgnął. Prawie upada, łapię go w locie. Pluje mi w twarz, zaczyna napierać swoim ciałem na moje, akurat gdy drzwi windy się otwierają. Wypadamy z nich razem. Ląduję na ziemi. On na mnie.

– Sobański krył morderczyyyyynięę! – Jego krzyk roznosi się echem po garażu. Całe szczęście jesteśmy sami. – Wodzińska była ser...

Chwytam go za twarz i kręcę jego głowę. Szybki kołowrotek pomaga. Listonosz czka, zamyka oczy i milknie.

– Jesteś tam? – pytam, ale nie odpowiada.

Unoszę go, jakby był gryfem, który przygniótł mnie w trakcie wyciskania na ławeczce. Gdy obaj jesteśmy w pionie, biorę go na ręce, bo nogi już mu nie działają. Oczy ma zamknięte. Pilotem otwieram garaż, potem škodę i wpycham go na tylną kanapę. Siadam za kierownicą, odpalam silnik. Przede mną jedna z najkrótszych i najtrudniejszych podróży.

Zawsze skradałem się do swoich ofiar cicho niczym skorpion. Wykorzystywałem otwarte okna, niezakłuczone drzwi, nieuwagę podczas powrotu do domu, zbytnią ufność lub momenty roztargnienia. Przewożenie kogoś, kogo chce się zabić, uważam za głupotę. Robią tak ludzie owładnięci rządzą długotrwałej dominacji nad ofiarą. Seksualni zwyrodnialcy, gwałciciele, sadyści. Demony zmuszają ich do podjęcia ryzyka; chcą, żeby postawili na szali wszystko, a nagrodą ma być spełnianie fantazji tygodniami, miesiącami lub nawet latami – zależy, ile czasu utrzymają ofiarę przy życiu. Nie rozumiem tego typu drapieżników. Sam lubię oddawać się demonom krótko, lecz intensywnie. Lubię zachłysnąć się nałogiem, przeżyć euforię i wrócić do normalności, wspominając, jak było przyjemnie. Tyle że moje obecne położenie nie ma nic wspólnego z przyjemnością.

Mam do pokonania dystans dwóch kilometrów. Śmiesznie mało. Jazda obok domów, pustych działek i bloków. Teoretycznie odcinek najbezpieczniejszy z możliwych. A jednak stopa niechętnie dociska gaz. Jadę, nie przekraczając czterdziestu kilometrów na godzinę. Pewność siebie kradnie mi Listonosz, który ocknął się, gdy tylko wyjechałem z garażu.

Wierci się na tylnej kanapie, duka jakieś nieskładne wyrazy. To rozpraszające. Milknie, dopiero gdy jesteśmy blisko celu. Jego mieszkanie znajduje się w bloku przy skrzyżowaniu z Lentza i właśnie tam, pod pomazanym sprejami śmietnikiem, parkuję škodę. Upewniam się, że dookoła nie ma nikogo, zakładam plecak i zaczynam wyciągać Listonosza.

– Panie prokuratorze, sędzia wzywa – szepczę mu do ucha.



– Niedczeknie. Ma na to... – Stara się odkopnąć moje ręce, ale nie potrafi unieść nogi. – Ania będzie dziś... – Przytula głowę do kanapy, znów chce spać.

Cholerny alkohol i jego nieprzewidywalność...

– Chodź, zabiorę cię do Ani.

Imię żony działa. Listonosz w końcu daje się wyciągnąć. Poprawiam mu płaszcz, obejmuję go, jakbyśmy byli kumplami, i ruszamy wzdłuż chodnika. Nogi ma ugięte, potyka się średnio co trzy, cztery kroki, ale idzie. W miarę dynamicznie mijamy tył bloku. Od wejścia do klatki dzieli nas nie więcej niż trzydzieści metrów. Okolica sprzyja zabójcom. Środek nocy, blok klasy pracującej. Ludzie odpoczywają po ciężkim poniedziałku, szykując się na równie ciężki wtorek. We wszystkich oknach jest ciemno.

– Skończysz w pierdlu! – Kolejny zryw dopada go, akurat kiedy po drugiej stronie, kawałek dalej, w tym samym kierunku, co my, idzie trzech gości z puszkami.

Na dźwięk jego słów wszyscy trzej stają i odwracają się. Są w miarę daleko, a my nie stoimy pod latarnią. Z pewnością nie widać naszych twarzy.

– Michał! Przymknij się, bo stara znowu cię nie wpuści i sam skończysz na schodach! – krzyczę sztucznie pijanym głosem. Zataczam się tak samo jak on, nie wypuszczając go z objęcia. – Mówiłem nie brać kolejnej flaszki!

Kolesie śmieją się i idą dalej.

– Ratu... – Listonosz próbuje wezwać pomoc. Zatykam mu usta.

Nadeptuje mnie na nogę i mamrocze coś w moją rękawiczkę. Jego organizm ciągle walczy. Ile, kurwa, jeszcze ma sił?!

Szamocząc się, docieramy do drzwi prowadzących na klatkę schodową. Żeby je otworzyć, muszę uwolnić mu usta. Tym razem tylko mruczy pod nosem. Nie rzuca się, kiedy wprowadzam go do bloku i mieszkania. W środku pada jak długi. Wreszcie mogę odpocząć.

Od wyjścia z apartamentu aż do teraz minęło osiemnaście minut, a czuję się tak, jakbym transportował go z Zakopanego. Opieram się o ścianę, normuję oddech,

dotykam pulsującego uda. Zbieram siły na kluczowy element gry. Scenę przygotowałem wczoraj, brakowało tylko aktora.

Kiedy wszedłem do kawalerki, znalazłem prezent. Listonosz zapakował go w karton. W kartonie leżało mnóstwo zdjęć zrobionych z ukrycia: zdjęcia Soni wychodzącej z biurowca, wracającej do mieszkania, jej bloku, otwartego okna, a nawet wnętrza sypialni. Były też wydruki artykułów o zabójstwie jego żony, zabójstwie Przemka Wodzińskiego, nastolatków w Zabierzowie i w Mrągowie. Głębiej schował kartki z próbnymi rysunkami półksiężyców, gazety z powycinanymi literami, moje zdjęcie, gdy wychodziłem z Future, i fotografię klatki schodowej na moim piętrze. Kretyn gromadził dowody na nalot policji. Brakowało tylko telefonu Bestyjeczki i komputera. Tych pozbył się pewnie, żeby gliny za szybko do niego nie dotarły. W kuchni leżało natomiast sporo butelek po piwie i trzy po whisky.

– Kontaktujesz coś? – pytam, kucając nad nim. Odpowiada mi jego ciężki oddech. – Super, o to chodziło.

Czapkę zastępuję kominiarką, biorę go na ręce i przenoszę do jedyne go pokoju. Tam kładę go na łóżku i zdejmuję mu buty.

– Sobańsk... – Mruga, gdy zapalam lampkę. – Co tu...? – Pijanym wzrokiem omiata wnętrze.

Zdjęcia Bestyjeczki walają się po całym biurku i podłodze. Są też puste butelki po alkoholu i ramka ze zdjęciem żony. Artykuły o jej śmierci wiszą przyczepione do tablicy korkowej na ścianie. Na blacie położyłem dodatkową komórkę, którą znalazłem w szafce w kiblu. Nie miała karty SIM, pewnie z niej zamówił pizzę. Z plecaka wydaję jego spluwę i tasak. Wsuwam je pod łóżko.

Listonosz obserwuje mnie przymulony, choć widać, że nieudolnie stara się zebrać w sobie do wykonania jakiegoś ruchu.

– Zrobiłem przemeblowanie. – Radość w moim głosie zaskakuje nawet mnie. – Brakuje kilku detali – wyjaśniam, zerkając na komputer, który stoi przy biurku obok drukarki.

Na starej stacjonarce dominowały kasyna, nie było żadnych ciekawych plików ani nawet zdjęć. Listonosz woli działać klasycznie i używać papieru. Wyjątek stanowiła karta pamięci z aparatu, ale kodaka zabrałem.

– Czemu... – Próbuje przewrócić się na bok. Nigdy nie widziałem tak powolnych ruchów u pijanego, ale nigdy też nie widziałem, żeby ktoś obalił prawie litra w sprinterskim tempie.

– Otóż w swojej autodestrukcyjnej głupocie sam uratowałeś mi tyłek. – Nie wiem, czy moje słowa do niego docierają, ale chcę mu się pochwalić. – Wszystkie dowody leżały tutaj. Wystarczyło zabrać te, które mi nie odpowiadają, zostawić pozostałe i odpowiednio poukładać.

Z plecaka wydaję wydruki z archiwalnych stron kilku gazet. Zawierają zdjęcia artykułów, których nagłówki krzyczą o sromotnej porażce młodego prokuratora w procesie Soni W., córki przedstawicieli krakowskich elit.

– Odjechało ci po śmierci żony, o tym wszyscy wiedzą – tłumaczę dalej.

Listonosz próbuje zwlec się z łóżka, od razu upada na dywan.

– Piłeś, grałeś, twój rozwalony mózg coraz częściej wracał do sprawy będącej największą zawodową porażką. Uważałeś Sonię za winną nawet po tym, jak sąd oczyścił ją z zarzutów. Potwierdzą to uczestnicy jej, a także mojego procesu. – Wydrukowane kartki przypinam do tablicy korkowej. – Tymczasem gówniara miała się lepiej niż kiedykolwiek, a ty straciłeś żonę i całe swoje życie. To powodowało żal oraz frustrację, które dodatkowo skumulowały się po śmierci rodziców. Nagle w twojej ogarniętej samotnością łepetynie uroiła się pokusa, żeby samemu wymierzyć sprawiedliwość, skoro sąd nie potrafił. Z braku innych zajęć postanowiłeś lepiej przyjrzeć się Wodzińskiej. Wynająłeś kawalerkę blisko jej mieszkania, poznałeś jej nawyki, zauważyłeś, że często otwiera okno na noc. I nagle wpadłeś na pomysł.

– Nit w to ni wirzy... – stara się sklecić zdanie. Nie wiem, czy rozumie, co do niego mówię. Oczy ma zamknięte, głowę przechyloną na bok. Wygląda, jakby zaraz miał się zrzygać.

– Narzędzia zbrodni są, motyw jest. Oczywistym będzie, że uległeś pokusie i wyładowałeś na niewinnej dziewczynie swoje frustracje. Pokazałeś też fanatyczną nienawiść do niej, odcinając jej głowę. Tylko potem pokonało cię sumienie. Próbowaleś na siłę spłukać się w kasynach, zrezygnowałeś z ucieczki, którą być może planowałeś, sprzedając nieruchomości. Ciągłe patrzenie na zdjęcie żony i na fotki z obserwacji Wodzińskiej spędzały ci sen z oczu. Nie mogłeś już z tym żyć, nie miałeś dla kogo. Samotność, wyrzuty, hazard i alkohol to tragiczna mieszanka. W końcu pękłeś i postanowiłeś dołączyć do rodziny. W swojej porządności uregulowałeś jeszcze czynsz za wynajem. Tak to wygląda. – Kłaniam się przed nim bezczelnie.

– Neeeeee ud siii... – Z jego ust wydobywa się urywany krzyk.

Próbuje podnieść się z podłogi. Bez skutku. Mięśnie ma zwiotczałe. Liczba procentów, jaką przyjął, sprawia, że zmniejszyła się zdolność organizmu do rozłożenia i wydzielenia alkoholu z krwioobiegu. Znów zamyka oczy, zaraz całkowicie odleci.

– Ty się o tym nie dowiesz. – Wyjmuję nóż i przecinam ostatnią trytkę, która unieruchamiała mu dłoń.

Zero reakcji.

Bez problemu ściągam mu bluzę i uważnie oglądam nadgarstki. Nie ma śladu krępowania. Trytka to nie sznur czy kajdanki. Dona zapięła ją na grubej bawełnie. Mając pewność co do góry, podwijam mu nogawki w spodniach. Listonosz przypomina lalkę ze słabnącą baterią. Wydaje dźwięki, głównie mamroty, ale to ja muszę poruszać jego kończynami. Na nogach zero śladów krępowania.

– Czas na gwóźdź programu – mówię i zamykam drzwi od pokoju.

Na klamce wisi skórzany pasek, który znalazłem w szafie. Jest zapięty na środkową dziurkę. Wcześniej, na Salwatorze, przeprowadziłem test z własnym. Opłotłem go sobie wokół szyi i kucnąłem. Wciąż czuję lekki ból, siła ciągnąca ku śmierci była niesamowita.

– Ni pozwlę!

Nagle Listonosz, jakby świadom tego, co go czeka, otwiera oczy. Podpiera się rękami o dywan, prawie udaje mu się wstać. W ostatnim momencie chwytam go za ramiona, przeciągam pod drzwi i zakładam pasek na jego szyi. Chce się bronić, ale ruchy jego rąk przypominają muśnięcia papierem.

– Nie chodzi mi tylko o ratowanie własnego tyłka – mówię głośno i wyraźnie. – Naprawdę zależało mi na Soni, choć zrozumiałem to dopiero po jej śmierci. Teraz zależy mi na Donie i tego nie schrzanię. Tobie nie zależało na niczym, inaczej zrobiłbyś swoje i uciekł. Jak prawdziwy gracz. – Znow zamknął oczy, przestał walczyć, alkohol w końcu zatopił jego mózg. – Zostaniesz zapamiętany jako hazardzista i morderca. Tyle będzie warte twoje dobre imię! – Puszczam go. – To moja zemsta za Sonię! Umierasz w sposób, w jaki ona miała umrzeć. Potraktuj to jako zaszczyt.

Pada bezwładnie, uderzając pośladkami o podłogę. Pasek napina się, wznając w jego szyję. Słysząc potworny charkot. Walcząc o tlen, Listonosz natychmiast się rozbudza. Szoruje nogami po podłodze, dłońmi próbuje chwycić morderczy kawałek skóry, ale wszystkie mechanizmy obronne ma osłabione, brakuje mu sił. To właśnie pasek sprawia, że krew przestaje dochodzić do tętnic mózgowych.

– W naszej grze to ja jestem zwycięzcą – mówię.

Listonosz przekręca się na bok, tak że czołem dotyka ściany. Wykonuje dziwne ruchy rękami, jakby wiosłował. Ciało podryguje mu w konwulsjach. Zaczyna się dusić, umiera inaczej i dłużej niż przy powieszeniu na wysokości. Choć tyle mogłem zrobić, żeby cierpiał. Obserwuję proces jego powolnej śmierci, myśląc o Bestyjeczce.

Przeżyliśmy wyjątkowe chwile, ceną za nie było sześć lat czyścica i choć wbrew sobie nie jestem w stanie przestać za nią tęsknić, to wiem, że nigdy nie zniżę się do poziomu Listonosza. Nie pozwolę, żeby żal zachwiał moją równowagę i wpłynął na przyszłość.

Rozkoszny śmiech Soni odbija się w mojej głowie na równi z ostatnim tchnieniem byłego prokuratora. Nie słyszę jej głosu, tylko właśnie śmiech. Jest

szczęśliwa, bo wie, że każdego, kto ją skrzywdził, dotknęła ręka Rzeźnika Niewiniątek. Umarła młodo, jakby nie wolno jej było stracić piękna i animuszu charakterystycznego dla ludzi rozkwitających. Teraz jej nie ma, ale będzie żyć w mojej głowie. Obok siostry. Może któregoś dnia ją pokona...?

– Wybacz, mała. – Spoglądam w dół, jakbym zwracał się do czeluści piekielnych. – Oboje popełniliśmy za dużo błędów, a ja nic więcej nie mogłem zrobić.

Zbieram swoje rzeczy, jeszcze raz sprawdzam miejsce samobójczej śmierci Listonosza, otwieram okno, upewniam się, że na zewnątrz jest czysto, i przeskakuję na drugą stronę. Okno zostawiam w pozycji uchylnej dzięki mojemu sprytnemu urzędzonku. Do škody docieram wpół do czwartej. Oczy same mi się zamykają, udo pęka z bólu. Zagryzam zęby i jadę dalej. Paskudna noc w raju ciągle trwa.

Dziesięć minut po czwartej ponownie wychodzę z apartamentowca na Salwatorze. Škoda wróciła na swoje miejsce, bmw też. Najważniejsze akcesoria zostały w bagażniku królowej zawalidróg. Wziąłem prywatną komórkę, zmieniłem ciuchy i utykając, idę na Radzikowskiego. Jestem podenerwowany, palę fajkę za fajką. Moje myśli dryfują wokół tego, co stało się dziś w nocy. Nie zostawiłem śladów. Poza trójką pijanych typów, którzy nie rozpoznaliby ani mojej, ani prokuratora twarzy, nikt mnie nie widział. Po Listonoszu zachowałem sobie maskę. Leży w sejfie obok mojej. Może kiedyś się przyda, o ile wcześniej nie zgubi mnie zaufanie do kobiety, której głos słyszę w głośniku domofonu.

– Halo?

Jest cichy, niemal szepczący.

Zadzwońłem raz, krótkim sygnałem. Zanim podeszła, wypaliłem pół fajki.

– To ja – mówię chrapliwym tonem.

Gardło mam przejarane, zmęczenie torpeduje mnie od wewnątrz. Na dłoniach wciąż czuję zwaliste cielsko Listonosza. Przed oczami mam jego umierające oblicze. Zabójstwo lubi krążyć w głowie, nawet jeśli nie zostało popełnione dla zaspokojenia.

– Kuba... – mamrocze blond piękność i wreszcie otwiera drzwi.

Wchodzę na klatkę schodową, na której nie byłem od pamiętnego wieczoru, kiedy znalazłem Bestyjeczkę. Wszystko wygląda jak zawsze. Policyjne taśmy dawno zdjęto. Nie ma wieńców, zniczy ani innych smutnych gadżetów. Morderstwo sąsiadki stanowiło ciekawostkę, ale nie tragedię. Z nikim nie utrzymywała kontaktów.

Dona czeka w progu. Ma na sobie krótkie spodenki do biegania i żółty podkoszulek z ułożonym gotyckimi literami wyrazem „sex”. Mdli mnie na ten widok. Ciuchy należały do Soni...

– Cześć, kochanie – wita się zalotnym tonem, cofa o krok i wpuszcza mnie do środka.

Zamykam drzwi, przyglądam się jej. Włosy ma roztrzepane, wyraz twarzy nijaki, na siłę próbuje się uśmiechnąć. Jej spojrzenie jest obojętne, w kącikach oczu dostrzegam śpioszki. Obudziłem ją.

– Dziękuję ci. – To pierwsze, co instynkt każe mi powiedzieć. Nie spękała i przetrwała sama ze swoimi myślami. – Zrobiłaś to dla mnie. – Odruchowo zerkam do salonu.

W mieszkaniu panuje jeszcze większy burdel niż za życia Soni. Mnóstwo rzeczy wala się po podłodze, podobnie jest w otwartej łazience. Tak samo musi być w sypialni, kuchni i pokoju motocyklowym. Podłoga jest zakurzona, czuć stęchlizną. Nikt tu nie zaglądał, od czasu kiedy gliny przetrzepały jej kwadrat. Na stole widzę mnóstwo kiepów, pewnie Dony, pudełko z koksem i cztery butelki wina. Żadna nie jest odkorkowana.

– Za co mi dziękujesz? – Blond piękność obejmuje mnie i daje buziaka. Oddech ma nieświeży, ale nie czuć w nim alkoholu. Z bliska jej wzrok jest czysty i matowy. Brak śniegowego błysku. Chyba postanowiła się męczyć na trzeźwo. – Przecież ja tylko czekałam, aż skończysz pracę, głuptasku. Musiałeś załatwić sprawy firmowe, ja musiałam się ponudzić. Ale już wszystko ogarnięte, tak?

Zachowuje się dziwnie, trochę jakby postradała zmysły. To próba wyparcia. Dona nie chce o tym nie tylko rozmawiać, ale nawet myśleć. Wkręca sobie, że jesteśmy w zwykłej, codziennej sytuacji. Słyszałem o ludziach niedopuszczających do siebie złych czynów popełnianych przez bliskich. Rodzice ignorują błędy dzieci, żony zdrady mężów, ich pijaństwo, czasami znęcanie oraz inne szaleństwa. Miłość jest ślepa, potrafi przesłonić racjonalną ocenę sytuacji i wykasować to, co złe. Jeśli Dona tego potrzebuje, będę ją wspierał.



– Robota ciężka, ale zakończona sukcesem. – Całuję ją w oba policzki i chwytam za biodra, zapominając, czyje ma na sobie ubranie. – Tęskniłem za tobą.

Dona dociska mnie do siebie, jakby chciała nas skleić. Szuka ciepła i bliskości.

– Potrzebuję cię, Kuba. – W jej oczach zubożenie zostaje zastąpione najcieplejszą barwą, jaką emanuje czułość.

– Zrobię, co zechcesz.

W tej chwili naprawdę zrobiłbym każdą głupotę, o którą mnie poprosi. Jeśli w blond główce istnieją wyrzuty albo strach przed konsekwencjami, muszę natychmiast je wyeliminować.

– Po prostu bądź przy mnie... – Stawia swoje stopy na moich. – I pomóż mi zapomnieć, proszę... – szepcze do ucha, jakby się bała, że ktoś ją usłyszy.

Jej ręce brną pod moje spodnie. Drapie mnie po pośladkach, pociera krokiem o mój krok. W ten sposób sugeruje, czego naprawdę jej potrzeba. Dona musi przekonać samą siebie, że między nami nic się nie zmieniło, że potrafi zablokować ostatnią dobę, że gdy staniemy się jednością, nadal będzie czuła to samo, co wcześniej. I chce to zrobić w najgorszym miejscu, jakie mogła wybrać.

Nie mając wyjścia, zanoszę ją na to cholerne multifunkcyjne łóżko, na którym spędziłem tak wiele dziwnych nocy. Seks, intrygi, próby przechytrzenia się nawzajem i żądze – to definiowało moją relację z Sonią. A teraz w jej świątyni rozbieram jej przyjaciółkę z jej ciuchów. Na podłodze walają się jej sukienki, bielizna, kilka erotycznych gadżetów. Nie myślę o tym, staram się koncentrować tylko na Donie. Muszę dać z siebie wszystko, żeby pomóc blond piękności. Jeśli mi się nie uda, będą problemy.

– Szaleję za tobą – mówię. Niech wie, jak wiele dla mnie znaczy.

Dona rozpina mi spodnie. Zsuwa je razem z bokserkami. Zdejmuje mi koszulkę, zatapia się w moim ciele, zaciąga jego zapachem. Może chce sprawdzić, czy cuchnę śmiercią. Jeśli tak, nie da rady. Ten specyficzny odór wyczuwają tylko drapieżnicy. Przejeżdża dłonią po penisie, dając znak. Wchodzę w nią dwoma subtelnymi ruchami. Dalej prowadzę nas powoli, delikatnie, zupełnie inaczej niż zwykle. Dona

musi chłonać moją wrażliwość, upewniać się, że jestem lojalnym facetem, który potrafi zadbać o najbliższą mu osobę, ryzykując wolność. Każdy mój ruch ma wymazywać z jej głowy to, co naprawdę zrobiłem. I tak się domyśli, gdy znajdą Listonosza. Jeśli się postaram, uwierzy w przygotowaną przeze mnie scenę, bo tylko w ten sposób będzie mogła normalnie funkcjonować i nie zwariuje.

Kochamy się, tak jakby to był pierwszy raz dla obojga i jedno bało się zrobić krzywdę drugiemu. Nasze dłonie są splecione, jej nogi krzyżują się na moich biodrach, dociska mój tors do swoich piersi. Oczy mamy otwarte, dwa spojrzenia pełne zaufania odbijają się od siebie. Choć wcale nie chcę, to łóżko, te zapachy i ta atmosfera sprawiają, że zaczynam słyszeć rozkoszne jęki Soni. Przypominam sobie jej ciało, potrzebę dominacji i odtwarzania najgorszego koszmaru tuż przed szczytowaniem.

Przyspieszam. Dona robi się głośniejsza, głos w głowie też. Chciałbym go zatrzymać, ale Bestyjeczka jęczy równo z moją dziewczyną. To chore. Nie mam ochoty przebywać w tym miejscu. Zmuszam się, żeby całować blond piękność, lizać ją po szyi, po uchu, wachać jej włosy. Irytuję się tym i znów przyspieszam. Sonia w głowie wciąż się drze.

– Spokojnie, nie o to chodzi. – Dona dociska pięty do moich pośladków, żeby mnie spowolnić. – Cieszymy się tym, że na siebie trafiliśmy.

Zwalniam jak biegacz przed zbliżającą się przeszkodą, aż w końcu wyhamowuję i ograniczam ruchy do niezbędnego minimum. Bestyjeczka milknie. Z nią nigdy nie było tak grzecznie. Tkwimy w monotonii naszej bliskości, a ja zamykam oczy. Dłużej nie mogę. Ból i zmęczenie mnie pokonują. Przytulam głowę do policzka Dony. Przystaję się ruszać.

– Idealnie, czytasz mi w myślach.

Jej słowa wchodzą jednym uchem, drugim wypadają. Zasypiam, nawet nie wiedząc kiedy.

Sen jest czarną dziurą odpoczynku. Mógłbym kontynuować dryfowanie po niej w nieskończoność, ale Dona szarpie mnie za rękę, sprowadzając do rzeczywistości.

– Pobudka, śpiochu! – krzyczy.

Nie jestem w niej, leżę sam na multifunkcyjnym łóżku. Nagi i odkryty. Ona stoi nade mną. Ma czarną sukienkę w czerwone kwiatki i ciemne sportowe podkolanówki. Ciuchy musiały należeć do Soni, ale nigdy wcześniej ich nie widziałem.

– Która godzina? – pytam.

Rolety są opuszczone, w mieszkaniu panuje noc.

– Szósta trzydzieści. Za dwie i pół zaczynam pracę. – Ciągnie mnie za rękę, próbując podnieść. – No wstawaj, przystojniaku!

Jest wyluzowana, brzmi radośnie. W jej oczach pojawił się zaskakujący entuzjizm. Nienaturalna wręcz bliskość pomogła. Udało jej się też zaciągnąć mnie do łóżka swojej największej konkurencji, to dodaje pewności siebie.

– Wyluzuj... – Zwlekam się w tempie pijanego zółwia.

– *Oh shit!* – Dona zatyka usta z wrażenia. – Ale sobie rozwalileś girę! – Wskazuje palcem coraz bardziej napuchnięte udo. Wczoraj adrenalina połowicznie znieczuliła ból, dziś nie ma po niej śladu. – Mówiłam! Uważaj, jak biegasz, patrz pod nogi, inaczej się potkniesz i wywalisz na jakiś kamień!

W pierwszym odruchu chcę przypomnieć, skąd moje obrażenia, ale gryzę się w język. Faza zaprzeczania weszła na inny etap. Dona układa sobie swoją historię.

– Mój błąd. Chyba czeka mnie wizyta u konowała.

– W istocie. – Schyla się po moje ciuchy. Sukienka jej się podwija, widzę czarne stringi. Znam je, należały do Bestyjeczki. – Tylko umów się od razu, najlepiej prywatnie. Ciało nie fura, żebyś zwlekał z serwisem. – Podaje mi bokserki i spodnie.

Wkładam je, męcząc się okrutnie. Ledwie ruszam nogą. To mały koszt, wyleczę się. Z więzienia bym nie wyszedł.

– Co robimy? – pytam.

– Lecimy na Łazarza! – Entuzjizm Dony zdaje się rosnąć. – Muszę naładować fona. Poza tym jestem głodna jak wilczyca. Przed śniadaniem chciałabym wziąć cię

jeszcze pod prysznic, ale nie ten hotelowy. Za dużo tu bakterii... – Wskazuje kciukiem drzwi do łazienki. – Żarcie też podają do bani. Same chipsy i orzeszki.

– Furę mam w garażu, może skoczmy po nią? – Nie zamierzam komentować jej alternatywnej rzeczywistości.

– Wybacz, ale nie wyrobimy się, a potrzebuję świeżych ciuchów. Ubrania hotelowe śmierdzą... – Zrzuca niewidzialny bród z sukienki. – Weźmiemy Bolta. – Wkłada rękę do moich spodni i wyjmuję komórkę. – Podaj kod, załatwię to.

Wkręca sobie dziwną fazę, a jednak cały czas jest sprytna. To ja miałem zdobyć kod do jej telefonu. Nie udało mi się przez wiele miesięcy. Dona znalazła sytuację, którą łatwo może wykorzystać. Jest w pełni świadoma tego, co się dzieje.

– Sześć, dwa, pięć, cztery, siedem, jeden. – Choćbym chciał, nie mogę teraz odmówić.

– Supcio, zbieraj się, a ja działam. – Wychodzi z sypialni z moim telefonem.

Wkładam koszulkę i buty. Boli mnie wszystko, nawet rzęsy. Kuśtykając, przechodzę do przedpokoju. Dona kończy wzywać Bolta, ewentualnie wgrywać jakieś szpiegowskie oprogramowanie podeślane przez kuzyna lub czytać wiadomości i chowa sprzęt do moich dresów.

– To przed snem było... – mówi, obejmując mnie i mamiąc przy tym błękitem swoich oczu – wyczesanie inne.

– Mnie też się podobało – kłamię. Za nic nie chciałbym powtórki.

– No to spadajmy, a ten syf niech sprząta ekipa hotelowa. Albo właściciel – bezczelnie sugeruje, że muszę wrócić i zająć się bałaganem.

Wrócę, to mała cena za jej zaufanie.

Trzymając się za ręce, wychodzimy z bloku. Na zewnątrz jest gorąco, mimo że to rano. Mijamy biegaczy, rodziców zaganiających dzieci do samochodów, szczury gotowe do startu w kolejnym wyścigu o szmal i parę nastolatków z plecakami. Kraków wraca do życia. My też.

– Odbierzesz mnie dzisiaj z kancelarii? – pyta blond piękność, gdy mijamy szlaban strzegący wjazdu na osiedle. – Kończę o piątej. Moglibyśmy bujnąć się po

komisach samochodowych. Potem kolacyjka i nasze ciała... – Szczypie mnie w tyłek. – Potrzeba ci pielęgniarki.

– Kochanie, mogę cię odebrać – mówię powoli, udając skrzepowanego. – Tylko nie obrazisz się, jeśli dzisiaj będę nocował sam?

– Nie, ale coś się stało? – Dona ściska moją dłoń, jakby chciała ją zgnieść. – Masz problemy?

Muszę pozbyć się rzeczy Listonosza. Nie wiem, co z Klarą, co z Bestyjeczką. Czuję dziwne pobudzenie wewnątrz siebie. Potrzebuję kokainy, alkoholu i własnych myśli, żeby sobie wszystko poukładać.

– Nie, skarbie, potrzebuję odpoczynku. Naprawdę. – Całuję ją w czubek głowy. Od razu się rozluźnia. – Problemy rozwiązane, wszystko jest w porządku, przed nami szczęśliwe życie w raju.

– Pięknie to ująłeś.

## 49

– Gotów na ostatnią rundę? – pyta Celina Żabska.

Jest fizjoterapeutką, do której chodzę, odkąd lekarz zdiagnozował mi obrzęk mięśnia napinacza w okolicy kolca biodrowego i zalecił fałę uderzeniową. Oficjalny powód powstania urazu: bójka w barze.

– A ty byłąbyś gotowa posiedzieć na cielęcym taborecie? – nawiązuję do średniowiecznego narzędzia tortur, opuszczam krótkie spodenki i kładę się bokiem na stole rehabilitacyjnym.

– Zależy, czy masz na myśli wersję ulepszoną o belkę, kiedy kobietę zanurzano w wodzie, żeby ugasić jej nieumiarkowany żar, czy pierwotną, kiedy paradowało się z delikwentką przez miasto...

Celina dużo czyta o tamtych czasach. Jest spoko, choć jej sympatyczna, zawsze uśmiechnięta twarz, rude włosy spięte w kok i mocno wyćwiczone, trzydziestokilkuletnie ciało kojarzą mi się wyłącznie z bólem.

– Wszystko jedno, katusze to katusze – stwierdzam, kiedy wciera w moje udo żelową substancję.

– Nieprawda! – protestuje. – Po torturach u mnie twoje ciało odzyskuje sprawność. Co niby zyskałabym po sesji na cielęcym taborecie?

– Jak to co? Nauczkę za nierząd – żartuję, próbując choć trochę się rozluźnić.

Celina kończy z żelem i chwyta głowicę. Mimo upału przechodzą mnie lodowate dreszcze.

– Zaczynamy?

Nie odpowiadam. Zagryzam zęby, dłonie zaciskam na boku stołu, głowę opieram na środku, przymykam oczy. Fizjoterapeutka jedną ręką przyciska mnie do materaca, żebym się nie wyrwał. Czas na ośmiominutową rzeź.

– Kurwa!! – Blokada z zagryzionych zębów puszcza od razu. Przekrzykuję mechaniczne cykanie, które wryło się już w moją głowę jak śmiech mordercy z horroru. – Mam tego dosyć! – Walę pięścią w materac.

– Jesteś twardzielem, nie zachowuj się jak beksa – rzuca motywacyjnie, a ja jak zawsze staram się odpłynąć myślami do ostatnich wydarzeń. Tylko wspominki potrafią oderwać mój mózg od cierpienia.

Właściciel mieszkania na Weissa znalazł ciało Listonosza trzy tygodnie temu. Zawiadomili go sąsiedzi, gdy smród stał się naprawdę uciążliwy. Od razu poleciał przeciek do mediów. Były prokurator zabójcą córki multimilionerów – sensacja uderzyła w Kraków z siłą meteorytu. Gliniarze mieli wszystko podane na tacy. Motyw, narzędzie zbrodni, zdjęcia z obserwacji, a mimo to Szyszka przeprowadziła dogłębne śledztwo. Przez moment naprawdę się spinałem.

– Ja pierdołę! – znów zdzieram gardło. To przez stresujące wspomnienie. – Wystarczy!

– Sześć minut. – Głos Celiny zdradza dziwną satysfakcję, jakby kręciły ją moje męki. – Chcesz przerwę?

Przerwa jest najgorsza. Ciało odpoczywa, ale głowa wie, że zaraz zacznie się następne okrążenie. Wywołuje to efekt jeszcze większej psychozy.

– Nie stajemy! Walczę! – Zamykam oczy, przypominam sobie, co było dalej, próbując zablokować ten paskudny ból.

Szyszka odwiedziła mnie we Future. Wystraszyłem się, ale ona chciała tylko, żebym opowiedział, co wiem o grubasku. Zasypałem ją szczerą prawdą o awersji prokuratora do Soni. To samo potwierdzili sędziowie prowadzący nasze procesy, jego były asystent, kilku gliniarzy oraz znajomi z dawnego okresu. Wpływowi znajomi. Nawet prezydent miasta, z którym prokurator popijał kiedyś wódkę,

wspomniał, że pijany narzekał na uniewinnienie Wodzińskiej i szczyił się, że pakując mnie do pierdła, odegrał się na niej.

O tym dowiedziałem się tydzień później od Doriany, w barze na przedbiegach przed inauguracyjnym sezon meczem Wisły. Po spotkaniu gliniarz oznajmił, że śledztwo zostało oficjalnie zamknięte. Pitbulle uwierzyli w moją wersję, brakowało im tropów czy choćby logicznych przesłanek wskazujących na upozorowanie odebrania sobie życia przez osoby trzecie. Samobójstwo alkoholika, podobnie jak hazardowy maraton, który rozpoczął się po śmierci Bestyjeczki, uznano za skutki przegranej z wyrzutami sumienia.

– Jeszcze trzy i pół minuty – przerywa potok moich myśli Celina. Wciąż sunie po udzie niewinnie wyglądającym urządzeniem, które okrucieństwem dorównuje nożom.

– Wiem, zabieg jest irytujący, ale myśl o korzyściach.

Zabieg boli, irytujący to był Remigiusz Wodziński.

– Próbuję!

Ojciec Soni przyjechał do Future kilka dni po odnalezieniu zwłok Listonosza. Miał ze sobą butelkę ekskluzywnej skandynawskiej wódki. Całkowicie zmienił narrację. Zaczął od przeprosin. Potem przyznał, że gdy dowiedział się, komu córka zostawiła majątek, poleciał oczyścić głowę na Bahamy. Tam ochłonął, zrozumiał, że bez względu na kwasy byłem dla Soni najważniejszy. Czuł się głupio, bo naskoczył na mnie zaraz po jej śmierci, nie pytając nawet, jak się czułem, gdy ją znalazłem. Słowa „przepraszam”, „złość mnie wykoleiła” i „napijmy się” powtórzył z dwieście razy. Ewidentnie czuł się lepiej. Gorzej z jego żoną. Marianna Wodzińska wciąż nie umie się podnieść. Zamknął ją w prywatnym ośrodku, pewnie żeby mieć spokój. Chciał pogadać przy wódce, ale odmówiłem. Nie zamierzam utrzymywać kontaktów z ludźmi, których Bestyjeczka nienawidziła.

– Dużo zostało?! – ledwie wyciskam z siebie pytanie. Ostatnio poza wizytami u fizjoterapeutki odzwyczaiłem się od bólu.

Jak to często bywa po dokonanej zbrodni, nawiedziło mnie wyciszenie związane z obawą przed konsekwencjami. Klara milczy, noce mam wolne od koszmarów.



Głosu Soni też nie słyszałem. Bestyjeczka jest zaspokojona, być może ucichła na zawsze. Nie chciałbym tego. Póki co, wolny od demonów, rozwiązuję codzienne problemy.

– Minuta – mówi Celina. – Wiem, że odbierasz ją jak godzinę, ale czas jest czasem. Nie oszuka cię – próbuje zagadywać. Nie wie, że cierpienie mogą uśmierzyć tylko własne myśli, a te dryfują w stronę blond piękności.

Dona nadal zachowuje się tak, jakbym nie zabił Listonosza, a Sonia nie odpowiadała za serię morderstw. Gdy Dorian przyjechał na Łazarza powiedzieć nam, że znaleźli prokuratora i narzędzie zbrodni, była zdziwiona, przejęta, trochę zła, ale z satysfakcją stwierdziła, że ogólnie jest „happy, bo zabójca Soniaczki dostał za swoje”. Ze mną nie próbuje o tym rozmawiać, choć musi być świadoma, że upozorowałem samobójstwo. Wyparcie weszło jej morowo niczym zimny browar w upalny dzień. Dużo pracujemy, ona jeszcze więcej się uczy. Brak czasu w tygodniu sprawia, że spędzamy razem całe weekendy. Wróciliśmy do ostrego i głośnego seksu. Jest mi z nią dobrze jak nigdy wcześniej, a tydzień temu moje poczucie bezpieczeństwa gwałtownie wzrosło.

– Trzydzieści sekund – odlicza fizjoterapeutka.

Właśnie wtedy nadkomisarz Sarnat zorganizował obławę na Harcerza i jego ludzi. Nie wiem, skąd zdobył datę i miejsce rozładunku narkotyków, może udało mu się odwrócić kolejnego gangusa, a może posiłkował się wiedzą zostawioną przez Araka. Grunt, że podczas obławy doszło do strzelaniny, w której oprócz bossa krakowskiej mafii zginęło trzech policjantów i siedmiu gangsterów. Zabrali do grobu tajemnicę zniknięcia narkokuriera, który posuwał Bestyjeczkę. Po wielu przeciwnościach i problemach fart znów się do mnie uśmiecha.

– *Finito*, bohaterze! – Celina po raz ostatni zabiera mechaniczną obrzydliwość z mojego ciała. – Rehabilitacja skończona. Kilka dni odpoczynku i możesz wracać na biegowy szlak.

– Ja myślę! – Oddycham głośno. Jestem spocony. Serce uderza w klatkę piersiową. – Nie cierpiałem na marne. – Wstaję z łóżka, podciągam gacie.

– Luz, Kuba. Widzę, że jest dobrze. Znam się na tym.

Fizjoterapeutka czyści sprzęt i odkłada na miejsce. Sięgam do kieszeni po szmal. Gdy moje palce chwytają banknot, telefon zaczyna wibrować. Przyszedł SMS. Obcy numer.

„Dzień dobry, wizyta u psychoanalityka w najbliższy wtorek 17.30. Potwierdza pan termin?”.

Tobiasz, mój diler, ciągle zmienia telefony. Zawsze używa szyfru, który ustaliliśmy. Psychoanalityk oznacza odbiór towaru na działce na skrzyżowaniu Olszanickiej z Pod skałą. Gdyby napisał o wizycie u kosmetyczki, chodziłoby o parking przy przedszkolu na Fiszera.

Odpisuję:

„Potwierdzam, będę”.

Po przymusowym detoksie moje zapotrzebowanie na kokainę znów wzrosło. Dona, choć nadal nie tyka mięsa i zwykle unika alkoholu, na dobre wróciła do jarania szlągów, a nasze rozrywkowe wciąganie powoli staje się normą. Może tego po niej nie widać, ale ma problemy, które chętnie zasypuje śniegiem. Dobrze mieć towarzystwo przynajmniej w tej słabości.

– Dzięki za rehabilitację – mówię i zbieram się do wyjścia.

– Kuba, jeszcze jedno... – Celina brzmi dziwnie, jakby coś ją peszyło.

– No?

– Słuchaj, nie chciałbyś jutro wyskoczyć ze mną na piwo? – pyta, lekko się przy tym rumieniąc.

Choć nie mogę biegać, resztę porannych rytuałów wykonuję z pełnym zaangażowaniem. Zniknął stres, wróciła pasja, efekty przychodzą szybko. Kręcę ją, miłe uczucie.

– Chętnie, ale moja dziewczyna jest uczulona na trójkąty.

– Jasne, szanuję wierność. – Jej wzrok zdradza zawstydzenie. – Nie było pytania, nie uśmiecha mi się cielący taboret...

– Zostając przy średniowieczu... Dona prędzej wybrałaby oblanie twoich policzków gorącym żelazem.

– Grubo. – Celina przewraca oczami. – Zadzwoń za jakiś czas i pochwal się postępami.

– Na łączach – kłamię, bo nie zamierzam nigdy do niej dzwonić. – Trzymaj się, cześć! – Wychodzę.

W poczekalni siedzi kobieta w średnim wieku. Ściska torebkę i patrzy na mnie z lekką obawą.

– Nie boli, pani Żabska to profesjonalistka. Tak tylko się darłem, trenuję gardło przed jutrzejszym meczem – rzucam cwaniackim tonem.

Na zewnątrz zakładam okulary przeciwsłoneczne i odpalam szluga. Dym znów pieści płuca. Jaramie sprawia mi radość, podobnie jak wszystko inne. Ciągłe jest lato, rozważam wypad z Doną w ciepłe miejsce. Jestem zmęczony rajem, tu każdy mur i każda ulica ma wypisane jakieś wspomnienie, najczęściej dotyczy Soni. Potrzebuję odpocząć i zatęsknić za Krakowem.

Gaszę fajkę, wsiadam do auta. Przeciskając się przez popołudniowe korki, popijam smoothie, słucham rocka i sprawdzam telefon. Zaczynam od maili. W skrzynce dominują wiadomości od Marty. Asystentka informuje, że przyjmie dziś dwóch potencjalnych klientów, pisze, kim są, jakie lokale ich interesują i że jutro pochwali się efektami. Ostatnio coraz bardziej się wyrabia. Już załatwiła umowy na kilka pustych lokali odziedziczonych po Soni, nie miała też problemu z wyrzuceniem nieodpowiadających mi klientów. Po mailach przechodzę do Messengera. Dona wysłała mi wiadomość godzinę temu.

„Hej skarbie, Merk wychodząc z firmy, przywalił mi papierkami. Powalczę z nimi w nadgodzinach i wpadnę do Ciebie koło 20, poświntuszymy sobie! Pasi?”

Toczę się Opolską i odpisuję:

„Świntuszenie z Tobą zawsze na topie! BTW, jest tak gorąco, że tęsknię za śniegiem”.

Tekst doprawiam emoji diabła. Dona odpisuje po niecałej minucie kilkoma emotkami serduszek.

Zwykłe elementy codziennej normalności wprawiają mnie w jeszcze lepszy nastrój. Nawet krakowskie zakorkowanie nie przeszkadza. Wykorzystuję je, żeby przejrzeć wakacyjne oferty last minute. Zerkam też na mapę Europy. Po głowie chodzi mi wycieczka do Pragi, Amsterdamu, Berlina, może Madrytu. Autem, z wieloma noclegami w różnych hotelach. Przetrwałem bombardowanie, chcę chłonąć wolność, nie zamierzam marnować czasu.

Owszem, wciąż tęsknię za Sonią, dużo o niej myślę, ale nauczyłem się radzić sobie z jej brakiem. Ten etap mojego życia już się skończył. Wiem, że zawsze będzie dla mnie wyjątkowa i nigdy o niej nie zapomnę, ale w przeciwieństwie do Listonosza idę dalej. Buduję nowy świat na zgliszczach dawnego i dobrze mi to wychodzi.

Z uśmiechem na twarzy dojeżdżam na Salwator, parkuję bmw, wsiadam do windy i jadę na górę. Zastanawiam się, czy skoczyć do galerii i kupić Donie pierścioneł albo bransoletkę. Blond piękność wiele dla mnie poświęciła, zasługuje, żeby o nią dbać. Wszystkie pozytywne myśli przyskają niczym bańki mydlane, gdy wsiadam na dziesiątym piętrze. Na korytarzu stoi Dorian. Ma pistolet i celuje mi w głowę.

## 50

Dzieli nas nieco ponad metr. Dorian ściska glocka w prawej dłoni.

– Wsiądź z windy z rękami w górze – mówi i cofa się o krok.

Jego przesiąknięte złością spojrzenie, wyważone ruchy, prosta sylwetka i władczy głos wskazują na olbrzymią pewność siebie. Wie, co robi, jest świadom uprawnień, zdaje sobie sprawę, że to on kontroluje sytuację. Ja też o tym wiem, dlatego wykonuję polecenie.

– Stary, co jest grane? – pytam całkowicie zdezorientowany.

Kuzyn blond piękności wygląda, jakby szykował się do zdjęcia groźnego bandziora, który będzie stawiał opór. Ciężkie buty, policyjne spodnie bojówki, czarna koszulka, pod nią kamizelka kuloodporna. Na pasku kabura, obok kajdanki, na szyi łańcuszek z odznaką przypominający obrożę.

– Przemieść się na środek korytarza – w odpowiedzi znów mi rozkazuje. – Powoli.

Robię, co każe. Pocą mi się ramiona, stopy lekko drżą, poniżej pleców zaczynam czuć swędzenie. To panika.

– A teraz twarzą do ściany, rączki w górę i opierasz je o beton.

– Rozmawiałeś z Doną? – znów próbuję go zagadać.

– Stul się, Kuba.

Obmacuje mnie, zaczyna od góry, jakbym mógł coś skitrać pod cienką, letnią koszulką. Potem przez brzuch dochodzi do spodenek. Wyjmuje fajki, klucze, kluczyki i zapalniczkę. Z zapinanej kieszeni wyciąga telefon. Wszystko rzuca na podłogę.

– Jestem aresztowany? – przechodzę na ostrzejszy ton. Panika mija, koniec grzecznego Kubusia. – Mam dzwonić po adwokata? – Dorian wciąż nie reaguje. – Wiesz, że jeśli rozwalisz mi coś, kiedy nie stawiam oporu, będziesz musiał za to zapłacić?

Nic nie mówi. Sprawdza moje buty, a gdy stwierdza, że nie przemycam bazooki w skarpetkach, wygina mi ręce i skuwa za plecami.

– Idziemy.

Zgarnia moje rzeczy i prowadzi mnie na klatkę schodową zamiast do windy. Dziwne. Schodzimy w ciszy. Dorian trzyma mnie pod rękę, jakbym był jego dziewczyną. Opuszczamy apartamentowiec. Na zewnątrz, jak to przy ekstremalnym upale w środku dnia, pusto. Prowadzi mnie do czarnego opla insignii, który stoi na kopcach przed samą klatką. Na dachu ma kogut, tylne szyby są zaciemnione. Właśnie na tył wsadza mnie Dorian.

– Mam swoje prawa – mówię coraz bardziej poirytowany sytuacją.

– Masz prawo milczeć, korzystaj z niego. – Przyciska mi broń do biodra i wkłada rękę pod fotel. Wyjmuje... czarny worek. – Sprawa jest poważna – szepce mi do ucha i zakłada go na głowę.

Świat spowija ciemność, a mój nos wypełnia smród kojarzący się z przepoconym ubraniem. Dorian zawiązuje sznurek przy szyi i trzaska drzwiami. Po chwili wsiada za kierownicę. Ruszamy.

– Wiesz, że to, co robisz, jest nielegalne? – Nie poddaję się. Gadka to obecnie moja jedyna broń.

– Legalność jest pojęciem względnym. Kwestia uprawnień, świadków lub ich braku...

Trudno się z tym nie zgodzić.

– Dokąd jedziemy?

– Przekonasz się, a teraz przymknij wreszcie jadaczkę. – Jest nieugięty.

Podróż trwa. Na początek staram się zapamiętywać zmiany kierunków i postoje, ale szybko daję sobie spokój. W krakowskich korkach stajemy co chwilę, a po kilku

zakrętach zaczynam się gubić. Zamiast odgadywać topografię, zastanawiam się, o co tu może chodzić.

Pierwsza krytyczna myśl: Dona spękała i pochwaliła się prawie bratu o tym, co zrobiłem z Listonoszem. I o Soni. Dlatego Dorian przyszedł sam, wiedział od kuzynki, kiedy wracam, i chce sobie zapewnić awans. Ale przecież powinien mi przedstawić nakaz, a nie przewozić w nieoznakowanym aucie z workiem na głowie. Wszystko, co robi, jest niezgodne z procedurami.

– Stary... – zaciągam marudnie. – Za co mnie zgarnąłeś? Czemu w ten sposób?

– Nie słyszę cię – odpowiada obojętnie.

Po chwili głębszych przemyśleń odrzucam możliwość zatrzymania za Listonosza. Pomijając procedury, naprawdę ufam blond piękności. Ona trzyma moją stronę. Wsypując mnie, obciążałaby samą siebie.

– Wiesz, że to, co robisz, to nie aresztowanie, tylko porwanie?! – akcentuję każdą literę.

Pitbull ma to gdzieś.

Ciągle jedziemy. Nie wiem, czy trwa to pięć minut czy pół godziny. Czas kompletnie się zatarł. Prowadzę kolejne analizy, próbuję znaleźć choćby jedną logiczną przesłankę wyjaśniającą sytuację, w której się znalazłem. Nic nie przychodzi mi do głowy, myśli zaczynają brnąć w kierunku bardziej irracjonalnych rozwiązań.

Dorian pracuje w wydziale kryminalnym. Nie licząc zabójstwa Bestyjeczki, nigdy nie opowiada mi o swojej robocie. Nie mam pojęcia, jakie sprawy prowadzi, z jakimi ludźmi się zadaje, jakie ma kontakty. Może ktoś z przeszłości na mnie dybie? Celowo pogrążyłem w sądzie kilku gwałcicieli i Rozpruwacza z Krakowa.

Nie, to nie to. Oni nie mieliby dojścia do świeżego policyjnego pitbulla. Ale Remigiusz Wodziński już tak... Co, jeśli jego przeprosiny były grą?

Na pewno poznał Doriana w trakcie przesłuchań. Młody gliniarz mógł go zaciekawić. Wodziński prześwietlił pitbulla, coś na niego znalazł albo zwyczajnie przekupił, żeby wywiózł mnie gdzieś, gdzie zostanę z nim sam na sam. Tylko że kasa

mogłaby nie wystarczyć. Ojciec Soni musiałby mieć mocniejszy argument. Może Bestyjeczka zostawiła dodatkową polisę, która wyszła na światło dzienne, a Dorian razem z jej ojcem wiedzą, że jestem seryjnym mordercą?!

– Stary, cokolwiek chcesz zrobić, zapłacę ci za to, żebyś tego nie robił – próbuję zaatakować nową bronią. – Podaj kwotę za klucz do kajdanek.

– Cicho, już prawie jesteśmy na miejscu.

Oplem mocno buja, jakbyśmy wjechali na wertepy albo drogę zbudowaną z leżących policjantów. Chwilę później silnik gaśnie. Dorian wyprowadza mnie z auta, idziemy przed siebie. Ciągle mam ten jebany worek na głowie, słońce mocno go przypieka. Pod stopami czuję coś grząskiego – piasek albo błoto. Stajemy. Słysząc brzęk kluczy i czegoś jeszcze, chyba łańcucha, potem głośnie metaliczne skrzypienie jak przy przesuwanych drzwiach, których dawno nie potraktowano smarem.

– Ruchy! – Dorian popycha mnie do środka.

Promienie słońca znikają, pojawia się jeszcze głębsza ciemność, zupełnie jakby moja głowa została zakopana pod ziemią. Ciało atakuje przenikliwy chłód, którego nie byłaby w stanie wygenerować klimatyzacja. Jesteśmy w hali albo w magazynie. Idziemy po betonowej podłodze, w powietrzu unosi się specyficzny zapach siarki – tak silny, że przenika przez worek.

– Co to za miejsce?! – Niepewność zmienia się we wściekłość. – Ja pierdołę! – Staję, choć on mi nie kazał. Mam to gdzieś, pitbull przegina. – Mógłbyś przestać traktować mnie jak zakładnika? – Obracam się, próbując go kopnąć, ale nie wiem, gdzie stoi, więc nie trafiam. – Myślisz, że jesteś kozak? Rozkuj mnie, to zobaczysz!

W rewanżu Dorian kopie mnie w piszczel. Zaskoczony ląduję na twardej podłodze. Zaraz dostaję następnego kopniaka, w okolice lędźwi. Zagryzam zęby, żeby nie krzyknąć. Poprawia jeszcze raz, gdzieś obok kontuzjowanego uda, i przestaje.

– Zamknij się, leż i czekaj. – Głos ma oschły, bezuczuciowy. Niepodobny do swojego codziennego.



Idzie w głąb budynku. Słyszę wyraźnie echo kroków. Na szczęście tylko jego, więc raczej jesteśmy sami. Mam możliwość wstać i rzucić się do ucieczki, pamiętam kierunek, z którego przyszliśmy, ale to bez sensu. Dorian ma przewagę, dorwie mnie od razu. Pozostaje czekać i nasłuchiwać.

Słyszę dźwięk rozpinanego zamka, szelest folii albo reklamówki, brzęk kluczy i metaliczne klikanie. Niewiedza doprowadza mnie do szału. Serce wali mocno, płuca zderzają się ze sobą, wypychając ostatni posiłek ku górze, a zwieracze ledwie utrzymują wcześniejszy. To efekt psychozy wywołanej dźwiękami. Potęguje się, gdy szelest jest coraz bliżej.

– Już. – Dorian chwyta mnie za chabety, podnosi i ciągnie do przodu. Idziemy kilka metrów, po czym znów rzuca mną o ziemię. – Teraz spokojnie. – Rozwiązuje sznur przy mojej szyi i ściąga mi worek z głowy.

Mrużę oczy, przyzwyczajając się do nowej odmiany ciemności. Nie jest tak gęsta jak za materiałem worka, tylko lekka, przejrzysta. Dostrzegam nawet minimalne źródło światła. Promienie słoneczne uderzają w dwa zakurzone lufciki okienne przy samym dachu. Rzeczywiście jesteśmy w magazynie, archaicznie wyposażonym, z dwiema rampami, przesuwными drzwiami i kantorkiem służącym za biuro. Brak towarów, wózków widłowych, palet. Jest tylko brud, kurz, metalowe odłamki przypominające pestki porozrzucane na podłodze i w kilku miejscach zaschnięte czerwone plamy. Na jednej takiej siedzę. To bez wątplenia krew...

– Powiesz wreszcie, o co chodzi?! – Chcę wstać, ale nogi mam kruche jak ciastko. Organizm sam blokuje niepotrzebne ruchy. Przecież i tak nie mam szans uciec. – Na chuj te przebieranki?! – Krzykiem maskuję stres.

Wygląd Doriana nie pozostawia złudzeń co do intencji. Zniknął policyjny sprzęt, zniknęła odznaka. Teraz ma dresową bluzę z kapturem mocno naciągniętym na głowę, twarz aż do oczu zasłania sportowa chusta, dłonie zakrywają rękawiczki. Nogi i buty ma owinięte wodoodpornymi osłonami na gips. Widziałem takie u pacjentki podczas rehabilitacji. Trzyma pistolet i mierzy we mnie. To inny gnąk niż ten, który widziałem wcześniej. Obok leży torba, z której wystają rolki folii. To wszystko wygląda jak miejsce przyszłej zbrodni.

– Właśnie w tym budynku – Dorian omiata lufą wewnątrz – tydzień temu zabiłem trzech skurwysynów. I sprawiło mi to przyjemność.

Jest dumny, arogancki, oczy mu błyszczą, widzę w nich wściekłą satysfakcję. Nie przypomina Dorian, jakiego znam. Przechwala się zabójstwem, pokazując swoje prawdziwe oblicze, a to niebezpiecznie kojarzy mi się z człowiekiem, którego oglądam w lustrze...

– Zawsze chciałem pracować z narkotykowymi. W końcu mi się udało, wziąłem udział w obławie. Doszło do strzelaniny. Dwóch gangusów sprzątnąłem w wymianie ognia. – Dorian zdaje się rosnąć z każdym wypowiedzianym słowem. – Trzeci dostał w nogę, upadł dokładnie w tym miejscu, gdzie siedzisz. Rzucił broń, podniósł ręce, błagał o litość, a ja wpakowałem mu kulkę między oczy. Handlarze to najgorsze ścierwa – mówi z niekrytym obrzydzeniem. – Dwóch gości z wydziału patrzyło na tę scenę. I wiesz co? Kryli mnie, tak samo jak ja kryłbym ich. My wiemy, że gównu trzeba utylizować... – Wargi unoszą mu się pod chustą. Uśmiecha się, na pewno. – Na pamiątkę wziąłem sobie kopyto tego śmiecia. – Macha splotką, jakby chciał potwierdzić, że o nią chodzi.

– Chłopie, nie wiem, co masz do mnie, ale ochłoń, bo się pogrążysz. Gliniarz w pierdłu? Słabo to brzmi...

Przyjęcie opanowanego tonu zakrawa na cud. Pomaga świadomość, że Dorian popełnił błędy. Zdjął mnie w biały dzień, w moim bloku. Choć w sumie nikt nas nie widział... Użył psiarskiego rynsztunku w razie przypału. Sprytnie. Opla ktoś mógł zauważyć, ale to gliniarz, na pewno wie, co robi. Jeśli wpakuje mi kulkę w tym magazynie, nikt go z tym nie powiąże. Potem zawinie mnie w folię, wywiezie do lasu i zakopie. Nawet gdyby odnaleziono moje ciało, broń, z której zostanę zastrzelony, nie należy do Doriana.

– Oficjalnie jestem teraz na spotkaniu z kilkoma ważnymi gliniarzami – mówi, jakby na potwierdzenie moich domysłów – a przynajmniej mój telefon jest z nimi. Twój natomiast został na klatce schodowej... – Przepełnia go obrzydliwa

satysfakcja. Wie, że ma absolutną kontrolę. Podobnie brzmiałem, rozmawiając z Listonoszem. – Auto w przyszłym tygodniu trafia na licytację. Nikt nic mi nie udowodni, więc mogę zrobić z tobą, co chcę.

– Dorian, proszę... – Chyba jeszcze nigdy nie brzmiałem tak żałośnie. – Pomyśl o Donie – odwołuję się do blond piękności, bo wciąż nie rozumiem jego motywacji.

Przeżył ekstazę, likwidując bezbronny gangusa, odkrył swoją mroczną stronę i chce to powtórzyć? Ale gdyby tak było, nie robiłby tego mnie. Zazdrości mi? Leci na swoją kuzynkę? Natłok dziwnych myśli połączonych ze strachem jest potworny.

– Cały czas o niej myślę.

Dorian nie przestając celować, sięga do kieszeni bluzy i wyjmuje telefon, jakiś stary szmelc. Dwa razy naciska zewnętrzny guzik, odblokowując ekran. Potem naciska go jeszcze raz i podstawia mi pod oczy. Leci słabej jakości nagranie – kobieta siedzi na podłodze przed łóżkiem z poszarpaną pościelą. Tapeta w pokoju jest pozdzierana, dywan wypłowiały. Pomieszczenie kojarzy się ze speluną z lat dziewięćdziesiątych. Kobieta jest po pięćdziesiątce, może koło sześćdziesiątki. Ciężko stwierdzić. Skórę ma wysuszoną, twarz pokrywają zmarszczki, na rękach widać siniaki i rozdrapane rany. Ciemne włosy zdają się wypłowiałe niczym papier na słońcu. Drapie się po przedramieniu i patrzy na dywan.

– Opowiedz mi to jeszcze raz. – Słysząc głos Dorian. – Proszę, to dla mnie bardzo ważne.

Kobieta oblizuje wargi, przymyka na moment oczy, jakby próbowała odkopać wspomnienie, i zaczyna mówić.

– W różowych czasach często kończyłam w tamtej klinice. Właśnie tam ją poznałam, choć rzadko ze sobą rozmawiałyśmy. Ona była dużo młodsza i patrzyła na mnie z góry. No, wygrywała coś, co ja ciągle przegrywa...

– Mniejsza o to, skup się!

– Odwiedzała ją jedna taka, przypominała punkówkę. Siedziały w jej pokoju, nigdy nie wychodziły. Lubiłam się zakradać pod okno. Zresztą nie tylko pod jej... – Wygina się, prostuje ręce, ma dziwne tiki. – Słyszałam wyraźnie, jak mówiła do

punkowy, że pamięta, kto podał jej heroinę. Wymieniła imię i nazwisko, Kuba Sobański. Wspomniała, że szprycował ją też śniegiem. Później napisała książkę o seryjnym mordercy, z którym się pukała. Jego obwiniła za wszystko, pewnie tego drugiego musiała bardzo kochać...

– Jesteś pewna?

– Tak, tak, tak. – Giba się w przód i w tył, jakby od tego zależało, czy go przekona. – Byłam wtedy trzeźwa, zapamiętałam nazwisko! Jej też, nazywała się Julia Merk!

Nagranie dobiega końca. Dorian chowa telefon, a ja próbuję okiełznać strach, poukładać to, co zobaczyłem, i znaleźć wyjście z sytuacji. Nie wiem, jakim cudem pitbull dotarł do kogoś, kto miał styczność z Julią. Na szczęście ciągle jestem kimś więcej, a mózg w sytuacji podbramkowej działa na najwyższych obrotach. „Handlarze to najgorsze ścierwa”, przypominają mi się słowa Doriana.

– Ja... Ja jej nic nie podałem! Przysięgam! – Odegranie spanikowanego frajera przychodzi mi łatwo, bo naprawdę panikuję. – Dobra, wciągałem z nią śnieg, ale to była tylko zabawa. Byliśmy młodymi studenciakami! Serio, nigdy bym jej niczym nie naszprycował! Zrobił to Rogowski! Rzeźnik Niewiniątek! Coś jej się poprzestawiało! Naprawdę! Nie... – Próbuję wymusić płacz. – Nie rób mi krzywdy! – Dorian prowadzi jakąś osobistą krucjatę. Żaloszność to w tej chwili moja najlepsza broń. Niestety łzy nie chcą wypłynąć mi z oczu.

– Pani z nagrania jest moją mamą... – W jego głosie słyszę żal. – Od lat zмага się z herą. Kiedyś wszyscy się o nią troszczyli. Tata, dziadkowie, wujkowie. Wysyłali ją do klinik, płacili za odwyki, starali się. Teraz każdy ma ją w dupie. Poza mną.

– Przy... Przykro mi – dukam, świadom, że może chcieć coś takiego usłyszeć.

– Często ją odwiedzam, mam świadomość, że już się kończy. Niedawno wspomniałem jej o tobie, mimochodem. Okazało się, że już słyszała o Kubie Sobańskim. Jej opowieść otworzyła mi oczy. – Jego głos robi się bezosobowy, przypomina robota. – Przyjrzałem ci się, Kuba. Julia Merk spotykała się z tobą

i skończyła uzależniona od śniegu oraz hery. Popelniła samobójstwo. Sonia Wodzińska wciągała jak odkurzacz, już nie żyje. Teraz Dona...

Wreszcie dociera do mnie, o co mu biega. Powinienem był zauważyć to wcześniej, jednak stres blokuje pewne mechanizmy.

– Dorian, nigdy bym jej...

– Zamknij się! – Wymachuje gnatem. – Kiedy dowiedziałem się, co zrobiłaś tej Merk, przycisnąłem Donę. Chciałem wiedzieć, czy czymś ją częstujesz. Zaczęła zaprzeczać. Powiedziałem, że przebadam jej włosy. Wtedy przyznała, że dużo razem wciągacie, a to, kurwa, nie jest zabawa. – Serce staje mi dęba, tyłek zaczyna piec. – Przy Wodzińskiej o dziwo nie wciągała, ale ty tak działasz na te biedne dziewczyny, co? Uzależniasz je od siebie, od dragów, ciągniesz na dno i doprowadzasz do obłędu. Nie pozwolę, żeby podobny los spotkał Donę. Wystarczy, że pół życia oglądam upadek mamy.

Sytuacja robi się coraz gorsza. Dorian próbuje chronić kogoś, kogo kocha, a ja w jego mniemaniu stanowią zagrożenie. Tracę wszelkie argumenty do negocjacji. Jestem skuty i zdany na łaskę gliniarza, który lubi pociągać za spust.

– Nie spotka jej nic złego, obiecuję. – Krótkie zapewnienie opuszcza moją jamę ustną.

– Wiem, bo tutaj twoja historia się skończy. Znikniesz, a ja pomogę Donie przez to przejść. – Robi krok w tył, nie chce się zabrudzić, kiedy odpryski tego, co wciąż jest schowane pod moją czaszką, eksplodują.

– Proszę...

Nic więcej już nie zrobię. Dorian stoi na ugiętych nogach, celuje mi w głowę. Moje ciało zachowuje się jak sparaliżowane. Kończyny mam napięte, żołądek, płuca i oczy zastygają w bezruchu. Podobnie myśli. Nie wspominam nikogo, nie panikuję, po prostu czekam wpatrzony w lufę pistoletu. Czekam na spotkanie z Klarą, Adą, Sanią, Julią i wszystkimi innymi, które przeze mnie znalazły się w podobnej sytuacji. Wiem, że przegrałem. Jedyne realne szansa na walkę przepadła w apartamentowcu.

Teraz zostaje tylko nadzieja, że Dorian zmieni zdanie i jednak nie strzeli. Jego wzrok błyszczy wściekłością i czymś w rodzaju... szczęścia. Naprawdę świetnie się bawi.

Los jest przewrotny. Skończę jako ofiara szaleńca zmagającego się z własnym demonem w postaci traumy zbudowanej na nietrafionych decyzjach matki. I to tylko dlatego, że wiele lat temu poczułem skrawek ludzkich uczuć do Królowej Piękności i postanowiłem odegrać się na niej za to, że mnie odrzuciła. Koniec jest coraz bliżej, palec Doriana przesuwa się po języku spustowym, spoglądam w twarz śmierci.

– Nie! – Desperacki krzyk ucieka z mych ust równo z hukiem rozdzierającym przestrzeń.

Bębenki w uszach puchną, słyszę gwizd, czuję siarkę, moje ciało jest mokre, jakbym stanął pod natryskiem, z którego leci pot, ale wciąż oddycham. Ulga rozprzestrzeniająca się po moim ciele jest jak orgazm połączony z wciągnięciem ścieżki i wypatroszeniem Klary. Paraliż mija. Zerkam w bok, widzę kulę w podłodze, centymetry obok mnie. To nie był przypadek.

– Masz jaja, Sobański. – Dorian zsuwa chustę z twarzy. Jego mina zdradza satysfakcję, ale w oczach widać... rozczarowanie. – Myślałem, że będziesz skamlał, a czekałeś na śmierć z godnością.

– Czemu chybiłeś? – Mój głos wciąż drży, za to przepływ powietrza do płuc jest niesamowity. Chyba jeszcze nigdy tak bardzo nie doceniałem możliwości swobodnego oddychania.

– Rozmyśliłem się – rzuca beztrosko. Ciągłe nie chowa gnata. – Udało mi się stworzyć odpowiednie okoliczności, żeby cię zabić, będę mógł stworzyć je ponownie. Dziś chciałem, żebyś zrozumiał, kim jestem, i wysłuchał mojej obietnicy.

– Obietnicy?

Kuca nade mną, przykłada mi lufę do brody. Nie wiem po co, przecież nie strzeli. Na pewno nie z takiej odległości.

– Twój los gównie mnie obchodzi. – Wbija lufę w mój podbródek tak mocno, że robi mi się niedobrze. – Dona jest dla mnie jak siostra, troszczę się o nią.

– Nie będę jej więcej częstował – mówię coś, co chyba chciałby usłyszeć.

– To nie tak, Kuba. Ty też schodzisz z twardych dragów. Dziewczyna ćpuna jest współzależniona, a ja do tego nie dopuszczę. – Łapie mnie za szyję. – Palcie sobie zioło, pijcie browar, na tym koniec. A jeśli się dowiem, że jest inaczej, stworzę nowe okoliczności i nie chybię. Zabiłbym cię już dziś, ale masz fart, bo Donie na tobie zależy. – Puszczaj mnie. – Dotarło?!

– Dotarło... – odpowiadam, walcząc z kaszlem. – Nigdy więcej, masz moje słowo. – Zgrywam potulnego, choć każda część mnie ma ochotę rozszarpać go na strzępy.

– Od tego zależy twoje życie. – Z kieszeni wyjmuję kluczyk do kajdanek i rzuca w głąb hali. – Rozkujesz się, kiedy wyjdę. A gdyby dopadły cię wątpliwości, pomyśl o byłym facecie Dony. Mówiła ci o nim, co nie?

– Tak – przyznaję.

– Szmaciarz, który woził towar i też podawał go Donie – zaskakuje mnie. Tego nie wiedziałem. – Ćpali razem, kiedy chodziła do ogólniaka, niedużo, ale bałem się, że ona popłynie. Dlatego skończył na drzewie, choć wszyscy myślą, że zginął, bo obnosił się z kasą i bossów zaczęło to drażnić. – Jego oczy wypełnia dobrze mi znana pustka. Wspomina zabójstwo, kolejne, które ma na koncie... – Nie byłem wtedy jeszcze gliną, ale jak widzisz, mam różne metody rozwiązywania problemów.

– Jesteś mordercą... – Udaję totalnie przejętego.

Niech wie, że się go boję.

– No, ale w dobrej wierze, a ty nic mi nie udowodnisz, eksprawniku. – Wrzuca pistolet do torby. Ściąga osłony z nóg. – Kubula, głowa do góry, wszystko okej. Nic się między nami nie zmieniło. – Nagle przybiera luzacki ton, jakbyśmy gadali w barze. Potrafi zakładać różne maski. – Jutro gra Wisetka, bawimy się, zdzieramy gardziołka i je przepłukujemy. Będzie wyczesanie, jak zawsze! Cześć! – Macha uśmiechnięty od ucha do ucha, odwraca się i wychodzi.

Sam opuszczam magazyn po długim i zaciętym pojedynku z kajdankami. W progu leżą moje rzeczy. Dorian blefował z komórką. Sprawdzam swoją lokalizację, odpalam fajkę i ruszam w stronę miasta. Wściekłość w moim wnętrzu miesza się



z odprężeniem. Trudno pogodzić się ze zniewagą, ale cieszę się, że ten debil nie strzelił.

Najgorsze, że ledwie pozbyłem się jednego rywala, a już trafił się następny, gorszy, bo muszę go akceptować, a nawet się z nim kumplować. Śmierć Dorian wywołałaby lawinę problemów. Nie jest wart ryzyka. Musi żyć, przynajmniej na razie, i musi czuć, że wziąłem sobie jego obietnicę do serca. Krótka smycz to najlepszy sposób na okiełznanie niesfornego pitbulla. Wiem, że jest zepsuty, ale inaczej niż ja. Szuka usprawiedliwienia dla swoich czynów. Jeśli nie dam mu pretekstu, będę miał go z głowy.

Cała ta sytuacja przypomina mi, że na codzienność składają się przede wszystkim problemy, którym trzeba stawić czoła. Wciąż jestem największym drapieżnikiem, dlatego poradzę sobie ze wszystkim, co przyniesie nowe życie w raju.

## EPILOG

### *Dwa miesiące później*

Październik cechuje drastyczna zmiana pogody, a co za tym idzie – ludzkich nawyków. Koniec z ciepłymi dniami, wcześniej robi się ciemno, studenci wracają na zajęcia, znikają parasole, nocne życie skupia się wokół klubów w podziemiach kamienic. Właśnie tę porę upatrzył sobie mój demon do wyrwania się z letargu.

Klara towarzyszy mi przy większości wykonywanych czynności. Nieważne, czy biegam, pracuję czy idę do kina. Wszędzie ją widzę, ciągle ją słyszę. Apogeum nastąpiło w zeszłym tygodniu, podczas seksu z Doną. Siostra nagle zastąpiła blond piękność. Widziałem ją, czułem i słyszałem, omal nie zwymiotowałem. Do miana sztuki urosło maskowanie targających mną obrzydliwości. Dziś wszystko wróci do normy.

Wtorkowa noc oznacza wyludnienie także na blokowiskach. Osiedle przy ulicy Ugorek nie stanowi wyjątku. Około drugiej trudno spotkać tu żywą duszę. Škodę zaparkowałem na Fiołkowej, przy podobnych blokach. Do końca rozważałem użycie ścigacza Soni. Ostatnio mam sporo wolnego czasu, wykorzystuję go między innymi na naukę jazdy motocyklem. Zrezygnowałem w ostatniej chwili. Yamaha na osiedlu budowanym pięćdziesiąt lat temu bardziej rzucałaby się w oczy niż auto kameleon. Do dziesięciopiętrowca wchodzę bez problemu. Zdążyłem przeprowadzić solidną obserwację i poznać kod.

Przyczajam się na schodach między trzecim a czwartym piętrem. Od korytarza oddzielają je drzwi z matową szybą. Za nimi po lewej mam starą windę, która jest tak głośna, że usłyszałbym jej przyjazd, nawet gdybym włożył słuchawki i puścił

techno. Kawałek dalej, po prawej, pod dziewiętnastką mieszka jedna z niewielu osób, które w środku październikowego tygodnia wracają nocą z pracy.

Kama Rudzka zawładnęła moimi rządami. Charyzma, odwaga i bezpośredniość stanowią kolorowe ksero cech mojej siostry. Już wtedy, na parasolach przed hotelem Forum zrozumiałem, że ona należy do mnie. Gdy Klara wróciła, z miejsca przesłuchałem wszystkie podcasty Grypserki. Muszę przyznać, są szalone. Kama bez najmniejszej krępacji rozmawia z ludźmi, którzy siedzieli za gwałt, za znęcanie czy nawet za zabójstwo. Pyta ich, jak się czuli, atakując ofiarę, co ich do tego popchnęło, jakie męki przeżywali w więzieniu i jak odnajdują się po powrocie na wolność. Rozmawia z nimi swobodnie, jest niezwykła, zupełnie jak Klara.

Podcasty lecą w Radio Alternatywa w każdy wtorek o dwudziestej trzeciej. Nie są puszczone na żywo, ale Grypserka zawsze jest wtedy w studiu, w budynku skupiającym różne media, bo po programie odpowiada na pytania słuchaczy. Zawsze opuszcza budynek około pierwszej w nocy i zawsze w przesadnie krótkiej miniówie. Odpala szluga, zamawia Ubera i jedzie do swojego mieszkania. Sama, choć wystarczyłoby, że skinie palcem, i od razu pojawiłaby się przy niej armia mężczyzn gotowych paść u jej stóp.

Ona tego nie chce, jest twarda, niezależna, nie boi się nikogo. Nie wie, że pycha kroczy przed upadkiem, a przecież lista zboczeńców chętnych przeżyć z nią wyuzdane momenty jest dłuższa niż ogon aligatora. Pewnie każdy ze skazańców przelatuje ją wzrokiem, dlatego są tacy rozmowni. Któryś mógłby wejść w posiadanie ścigacza albo vespy i śledzić jej trasę pod sam blok. Następnym razem mógłby obczaić budynek, poznać kod i czekać na klatce schodowej, żeby sprawdzić, pod którym numerem mieszka. Kolejnym razem mógłby ją zaatakować... O tak, Kama Rudzka nie stanowi przesadnego ryzyka, dlatego nie boję się polować w Krakowie.

Dźwięk przypominający odpalenie betoniarki, a w rzeczywistości wydawany przez windę, wzmaga moją koncentrację. Sięgam pod bluzę, macam rękojeści noży, czuję dreszcze na plecach, ból przy pośladkach się nasila. Wyobraźnia przypomina

najgorsze i najlepsze momenty z siostrą. Dodają mi motywacji. Winda staje, na korytarzu robi się jasno, słysząc stukot obcasów. Kama zawsze chodzi w szpilkach.

Mija mnie, nawet nie zerkając w stronę uchylonych drzwi na klatkę schodową. Kiedy kroki stają się cichsze, wychodzę na korytarz. Kama skręca za róg. Przyspieszam, żeby zmniejszyć dystans. Nie usłyszy mnie, buty do biegania mają wyciszoną podeszwę. Kiedy docieram do rogu ściany, dziewczyna stoi już przed drzwiami naprzeciwko. Ma płaszcz do połowy ud, spod którego wystaje skrawek spódniczki. Wyjmuje klucz i wkłada do zamka. Przekręca górny, potem dolny.

Napięcie uderza do głowy, ciało staje się twarde jak skała, wewnątrz buzuje. To radosna reakcja organizmu. Każda część mnie wie, że za moment skończą się męki. Dziewczyna chowa klucze, chwytając za klamkę. Ruszam.

Formę mam znakomitą, dwa szybkie susy i jestem przy niej. Zwalniając, prawą ręką chwytam ją za usta, lewą przyciskam do siebie, zniewalając jej dłonie, jakbym był sznurem. Ciało Kamy sztywnieje w utęsknionym efekcie szoku. Czuję zapach imbirowych perfum, nawet to musi być w niej ostre. Związani swoimi ciałami wchodzimy do mieszkania. Butem zamykam drzwi i jeszcze mocniej przyciskam Grypserkę do siebie. Mieszkanie oświetla pełnia księżyca wdzierająca się przez okno.

– Dobry wieczór, Klaro. Tęskniłem – mówię do niej mrukliwym tonem. – Ty też, ale to już wiemy. Długo kazałem ci czekać...

Kiedy pierwszy szok mija, Kama próbuje wyswobodzić się z mojego objęcia, pazury wbija mi w bluzę, chce też kopnąć mnie szpilką, ale obejmuję jej nogi swoimi, blokując możliwość wykonywania ruchów. Mimo to wciąż się szarpie, jej tyłek ociera się o mój krok, oferując wrażenia, których nie chcę.

*Pieszczę twój mózg, mogę pieścić również ciało...* – Klara wariuje, w głowie słyszę jej rozchochocony głos.

– Znowu próbujesz mnie uwieść? – szepczę. – Niedoczekanie!

Rzucam nią o ścianę. Uderza głową i osuwa się na ziemię. W trakcie szamotaniny rozpięły jej się napy w płaszczu. Pod spodem ma top odsłaniający

dekolt i brzuch. Wygląda uwodzicielsko.

*Kręcę cię, przyznaj to wreszcie!* – wrzeszczy rozsierdzona siostra. *Czyściec nas zmienił! Pożądamy się nawzajem!*

– Sobański?! – Grypserka wpatruje się w moją maskę. Postawiłem na mima, choć do końca zastanawiałem się nad dziwactwem skradzionym Listonoszowi. – Spokojnie, powiedz, czego chcesz – próbuje przybrać opanowany ton. – Kto to jest Klara?

Myśli, że wie, jak sobie radzić z niebezpiecznymi ludźmi. Jest w błędzie. Żaden z jej degeneratów nie dorasta mi do pięt.

– Poprawka. To ty zawsze mnie pożądałaś. – Kama Rudzka przestaje istnieć. – Teraz widzę to wyraźnie... – Schylam się nad nią, żeby podziwiać jej ciało. – Pożądałaś, ale nie umiałaś tego okazać, Klaro.

– Wal się, frajerze! – Zgina nogę i kopie mnie w brzuch.

Obcas trafia w splot słoneczny, ledwie udaje mi się utrzymać równowagę. Klara nie zamierza uciekać. Przeciwnie, wstaje, wkłada dłoń do kieszeni płaszcza i rzuca się na mnie. Słyszę kliknięcie, a po nim dostrzegam błysk hartowanej stali. Nóż! W ostatniej chwili udaje mi się złapać jej nadgarstek.

– Siostrzyczko, to było imponujące... – Wykręcam go tak mocno, że musi rozluźnić palce. Jęczy z bólu, choć brzmi, jakby zaznawała rozkoszy. Jej broń ląduje na ziemi. – Wreszcie jesteście sobą.

– Siostrzyczko? – Nie przestaje gapić się na maskę. – Kim ty jesteś, debilu? – Unosi nogę, żeby mnie kopnąć.

Klara zna sztuki walki, nie wie, że ja też się podszkoliłem przez ostatnie miesiące. Łapię jej łydkę, blokując cios. Lewą ręką cały czas ściskam ją za nadgarstek. W tej pozycji dokładnie widzę majtki i koronę wytatuowaną po wewnętrznej stronie uda. Przypomina mi się tribal, gumowa pałka i wszystko inne z tamtych czasów...

– Jestem Rzeźnikiem Niewiniątek. – Mój głos przepełnia duma. – Ty mnie takim stworzyłaś.

Rzucam ją na podłogę. Sięgam po swój nóż i zanim udaje jej się podnieść, tnę ją nad piersią, jednocześnie lewą dłonią zatykając jej usta. Klara unosi się w spazmie cierpienia, przejeżdżam ostrzem pod szyją. W jej oczach wciąż nie widzę strachu, jest tylko złość. Bije mnie pięściami w lewą rękę, próbując odłączyć ją od ust. Obrywam kolanami w biodro i w udo. Czuję ból, ale sprawia mi on przyjemność. Mojej siostry nie da się poskromić bez bólu.

– Znakomicie, wrywaj się. Tak właśnie lubię. – Tnę ją ponownie, nad pępkiem. – Tylko nie krzycz, bo rodzice nas usłyszą.

Oczami wyobraźni przenoszę się do rodzinnego piekła. To ten dzień, po moich siedemnastych urodzinach. Nie przepychamy się, walcząc o to, które pierwsze zada jeden jedyny, śmiertelny cios. To ja mam broń i mogę krzywdzić Klarę tak długo, jak tylko mi się podoba.

Jeżdżę nożem po jej brzuchu, rozcinam top, pod spodem nie ma stanika. Tnę jej piersi, coraz więcej płatów skóry odchodzi od ciała. Obieram ją jak ziemniaka. Ona traci siłę. Już nie bije mojej ręki, maca dłońmi miejsca, w których rany są najgłębsze. Oddycha szybko i nierównomiernie, w oczach gaśnie blask. Przestaje mnie kopać.

Zadaję jej kolejny cios, jednocześnie nie zapominając o dawnych zbrodniach. Potrzeba samokontroli w trakcie rytuału czyni mnie drapieżnikiem doskonałym. Wiem, że nie mogę jej wypatroszyć, nie mogę wydłubać jej oczu ani przerobić krocza na krwawą miazgę. Dzisiejsza noc przebiegnie inaczej.

– Twój problem polega na tym, że zachowujesz się zbyt wulgarnie. – Muszę jej o tym powiedzieć. – Zawsze chodzisz w miniówkach, do szkoły, na trening, do miasta... – Przesuwam się w bok, nie odrywając ręki od jej ust. Przejeżdżam ostrzem po zewnętrznej stronie prawej nogi. Oczy Klary wypełniają łzy. – Widziałem twoje zdjęcia z dzieciństwa. Wtedy też nosiłaś kratkę. Zrozum, uroda to atut, ale bywa przekleństwem, gdy nie umie się nią odpowiednio kierować. Mogłaś ubierać się inaczej! – Ciacham jej nogę. – Może ten pedofil nie zwróciłby na ciebie uwagi! – Kolejny atak ostrza na skórę. – Może wciąż byś żyła, a ja nie musiałbym

zмагаć się z nałogiem! Może potrafilibyśmy być normalni! Ale ty zawsze musisz uwodzić!

Następny cios sprawia, że ciało Klary podryguje jak podłączone do prądu. Tryska krew, mnóstwo krwi. Trafiłem w tętnicę udową. Siostra umiera, a ja wpatruję się w nią jak w wymarzony obraz. Chcę zapamiętać tę chwilę, spełnienie związane z sięgnięciem po nałóg. Lodowate dreszcze biegnące wzdłuż kręgosłupa zapewniają mi ekstazę, uciążliwy głos Klary milknie, myśli znów układają się właściwie. Wypełnia mnie wewnętrzne szczęście, jakie może dać tylko odebranie życia tej, której nienawidzę najbardziej.

\*\*\*

Godzinę później otwieram drzwi do mojego apartamentu. Towarzyszy mi nutka niepokoju. Znika, gdy wchodzę do środka i widzę, że żadne światło się nie pali. Idę do sypialni, oświetlam przestrzeń telefonem. Dona śpi jak zabita. W tygodniu zawsze kładzie się koło dwudziestej drugiej, o siódmej wstaje do pracy. Wiem, bo dwa miesiące temu złożyła propozycję, której nie mogłem odmówić. Strach przed konsekwencjami mi nie pozwolił.

– Kuba, najwyższa pora, żebyśmy zamieszkali razem – powiedziała, gdy leżeliśmy na łóżku w mojej sypialni wieczorem, kilka godzin po moim starciu z Dorianem. – Jesteśmy sobie najbliżsi, definiuje nas zaufanie, a ja nie chcę być gościem w twoim świecie, chcę go z tobą dzielić. Na zawsze.

Dona doskonale zdaje sobie sprawę, że to, co zrobiliśmy, jest trwalsze niż małżeństwo. Wykorzystała wspólną tajemnicę i podstępem wślizgnęła się do mojego królestwa. Myślałem, że po Soni spadam z deszczu pod rynnę, a wspólne życie wprowadzi zamęt. Cóż, myliłem się. Ostatnie dwa miesiące pokazały mi, że da się to pogodzić.

Kiedy nasze noce przestały być świętem, wkradła się codzienna rutyna, a wraz z nią jej nieodłączny element – nawyki. Dona każdy dzień zaczyna od kawy, kończy szklanką soku grejpfrutowego. Uzbrojony w tę wiedzę, zainspirowany przejściami blond piękności, powiedziałem dilerowi, że mam problemy ze snem. Ma

zaprzyjaźnionego farmaceutę, bez problemu załatwił krople nasenne Sonirem, których barwa jest żółta i mają w składzie substancje pomocnicze, takie jak kwas cytrynowy i stężony kwas solny. Sok z grejpfruta hamuje rozkład leku i czyni go niewyczuwalnym. Jest doskonały, zwłaszcza kiedy to ja wspaniałomyślnie przygotowuję mojej dziewczynie ulubiony napój przed snem.

Sposób działania kropeł testowałem siedem razy. Robiłem przerwy, żeby jej nie uzależnić, co skutkowałoby potem syndromem odstawienia. Sprawdzałem, jak długo Dona śpi, czy coś ją budzi i jak zachowuje się rano. Skarżyła się na bóle brzucha, ale zgoniła to na stres związany z pracą, innym razem na miesiączkę albo na zjedzenie ciężkostrawnej ryby na kolację. Zdarzyło się też, że o poranku poczuła się jak po imprezie. Tu również winny był stres oraz odstawienie kokainy.

Groźbę Dorianą wzięłem sobie do serca i zaproponowałem śniegowy detoks. O dziwo chętnie na to przystała, stwierdziła nawet, że jest ze mnie dumna. Nie zdążyła mocno się uzależnić, więc przeszła kilka kryzysów, które zredukowałem jej ziołem. Teraz jara trawę w weekendy, czasami sięga po piwo, a ja przyjmuję śnieg, gdy jest poza domem, śpi lub nie zauważa tego, spalona ganją. Paradoksalnie sam też zacząłem się ograniczać.

Ciągle nie znalazłem sposobu na pozbycie się Doriany. Póki co jest nietykalny, inna sprawa, że nie próbuje się mnie czepiać, co zmniejszyło moją motywację do zajęcia się nim. Zachowuję czujność, ale nie popadam w paranoję. Wiem, że kiedyś znajdę jego słaby punkt. Zwykle widujemy się w dniu meczu, zachowując minimalny dystans. Raz w barze mnie pochwalił, bo Dona powiedziała mu o naszym detoksie. Stwierdził, że jestem twardym zawodnikiem i możemy być kumplami w pełnym tego słowa znaczeniu. Myśli, że wygrał, a blond piękność nic już nie bierze. Nie ma racji.

W odurzaniu Dony doszedłem do takiej wprawy, że jeśli pojawia się potrzeba, po dwudziestej trzeciej mogę swobodnie wyjść z mieszkania. W tygodniu, gdy moja dziewczyna siedzi w kancelarii, dzięki asystentce również często mogę robić, co chcę. Nie tracę swojej wolności i jednocześnie czerpię radość z jedynej żyjącej istoty, na której mi zależy. Dona powiedziała kiedyś, że jest najlepszym, co mnie spotkało, tylko jeszcze o tym nie wiem. I chyba miała rację.



Liczę, że przy niej demony nie będą kusily tak intensywnie jak przy Soni, a mroczna potrzeba nie wróci za szybko. Namiastka normalności może być zbawienna, bo jak każdy nałogowiec dążę do ograniczenia w przyjmowaniu zakazanej używki. Mam nadzieję, że odpowiedni balans pozwoli mi jeszcze długo żyć szczęśliwie w raju.

\*\*\*

Andrzej Cieślak już dawno pogodził się z losem przeciętniaka. Miał czterdzieści dziewięć lat, przeciętną żonę, przeciętną córkę, przeciętną pracę w hali produkcyjnej i przeciętne mieszkanie na pierwszym piętrze w starym bloku przy ulicy Ugorek. Jedyne, z czym nie umiał się pogodzić, to przeciętny samochód. Całe życie jeździł tanimi używkami: golfem, škodą, peugeotem, a nawet daewoo. Marzyło mu się coś nowego, ale życie rodzinne oznaczało pasmo niekończących się wydatków.

Dopiero gdy córka wyprowadziła się z domu, mógł zacząć odkładać. Efekt oszczędności wspartych kredytem od kilku dni stał na parkingu pod blokiem. Kia rio, prosto z salonu. W niedzielę chciał wziąć żonę na wycieczkę, ale gdy zszedł przed blok, zmierzył się z pierwszymi oznakami zazdrości. Gorsza część osiedla nie mogła strawić tego, że Andrzej posiada takie cacko. Drzwi kierowcy były umorusane gównem. Psim lub ludzkim, pojęcia nie miał. Zamiast na wycieczkę, pojechał na myjnię samoobsługową.

Domyślał się, kto był za to odpowiedzialny. Kilku pseudokolegów z dawnych lat kłuła w oczy jego przyjemność. Tamci mieli po kilkoro dzieciaków, większość wciąż z nimi mieszkała, jeden nawet sprowadził żonę.auta z salonu brzmiały dla nich abstrakcyjnie. Podobnie jak święty spokój i cisza we własnym mieszkaniu. Wszyscy stale spotykali się w weekendy, topiąc smutki codzienności w wódce. Andrzej chciał ich przyłapać. Nie jego winą było to, że okazał się od nich bardziej obrotny, ale bez dowodów nie miał co liczyć na pomoc policji. Należało je zdobyć.

Myślał nad tym cały poniedziałek. We wtorek po pracy pojechał na zakupy. Potrzebował miniaturowej kamery, która nagrywa nocą. Wydał sporo, ale jeśli chodziło o zemstę, cena nie grała roli. Tego samego dnia wieczorem zainstalował

sprzęt przy podsufitce po stronie kierowcy. Kamera była niewidoczna z poziomu chodnika. Zadowolony położył się spać.

Następnego ranka zaparzył sobie kawę, włączył aplikację w telefonie i zaczął przeglądać nagranie. Nie miał złudzeń, nic nie powinno się wydarzyć. Zazdrońcy też chodzili do pracy. Dopiero w najbliższy weekend, gdy wódka przejmie nad nimi kontrolę, przypomni im o poczuciu własnej niższości i rozpali w nich zawiść, znów doczepią się do jego auta. Wtedy ich nagra i poda gliniarzom ich tożsamości.

Na razie chciał tylko ocenić jakość nagrania i sprawdzić opcje oferowane przez apkę. Przewijał film, popijając kawę. Czarny napój utknął mu w przełyku na widok mężczyzny w bluzie z kapturem i z twarzą zasłoniętą maską. Postać minęła samochód i weszła do jego bloku.

## OD AUTORA

*Rywala diabła* zacząłem pisać pod koniec marca 2022 roku, zaraz po redakcyjnym maratonie, w którego trakcie pracowałem nad dopieszczeniem wszystkich poprzednich Diabełków. Można powiedzieć, że byłem w cugu przygód Kuby i praktycznie nie wychodziłem z jego świata. Było to tak przyjemne, że przedłużyłem sobie tę imprezę. Ostatnią kropkę *Rywala* postawiłem w lipcu, tuż przed wyjazdem na urlop.

Pisanie kolejnej części serii zawsze jest wyzwaniem. Zaczynając pierwszy tom, dziewięć lat wcześniej, nie sądziłem, że rozciągnie się do sześciu, a Kuba dożyje prawie czterdziestki ;) Choć samo pisanie było czystą frajdą, to powieść nie powstałaby bez wsparcia kilku osób.

Jak zawsze w pierwszej kolejności dziękuję mojej żonie Darii. Kiedy miałem wątpliwości, Ty uzmysłowiłaś mi, że spontaniczny pomysł na Listonosza nękającego Bestyjczkę nie jest zły i powinienem go rozwinąć. To sprawiło, że dostałem najlepszą motywację do pracy. Służyłaś mi świetnymi radami, jak choćby przy wyśledzeniu Araka, pomagałaś w symulacjach z paskiem i klamką, a przede wszystkim zawsze byłaś przy mnie i nie zostawiłaś mnie z żadnym problemem samego.

Ewie Stykowskiej z blogu Biblia Horroru dziękuję za kolejną paczkę uwag, choć tym razem krytyka nie bolała tak bardzo jak zazwyczaj. Chyba ostatecznie dałaś się uwieść Kubie Sobańskiemu ;)

Malwinie Paś-Myszce za podpowiedzi dotyczące prawa, notariuszów i pomoc w wybrnięciu z kilku ślepych zaułków. Obiecuję nękać Cię w tych tematach również

przy kolejnych książkach.

Podziękowania dla Mileny Majchrzak-Skalik z Centralnego Laboratorium Sądowego za długą konsultację, w której trakcie pomogła mi Pani wyeliminować błędy i wybrać wiarygodny sposób popełnienia „samobójstwa” przez Listonosza.

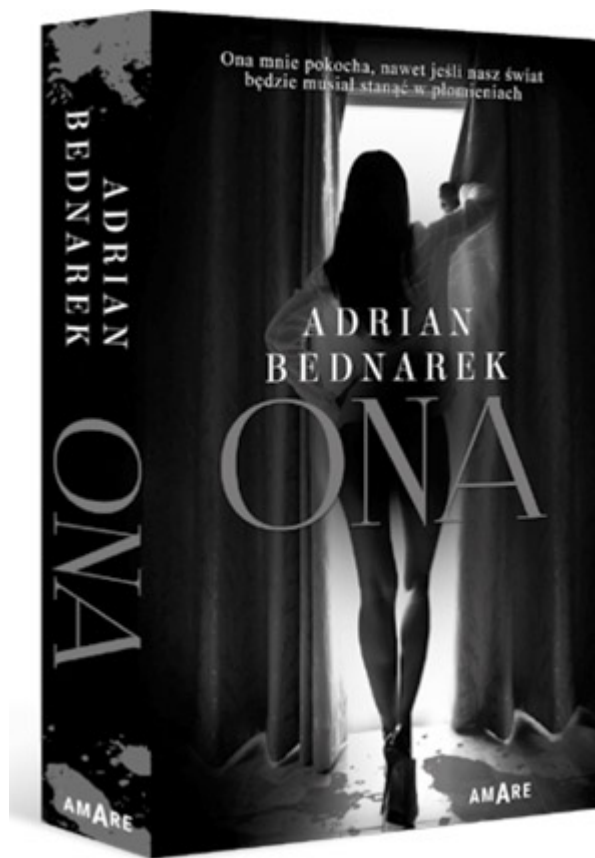
Agnieszce Majchrzak dziękuję za odpowiedni dobór leku dla Dony i metodę jego podania. Dzięki Tobie blond piękność smacznie śpi, a Kuba może grasować. Dobrze mieć farmaceutkę na szaleńczym pokładzie Kuby Sobańskiego.

Dziękuję Jędrzejowi Szuldze za kolejną diabelską redakcję, która podniosła jakość książki. Cieszę się, że pobudziłem Pana wyobraźnię przy leżących policjantach :)

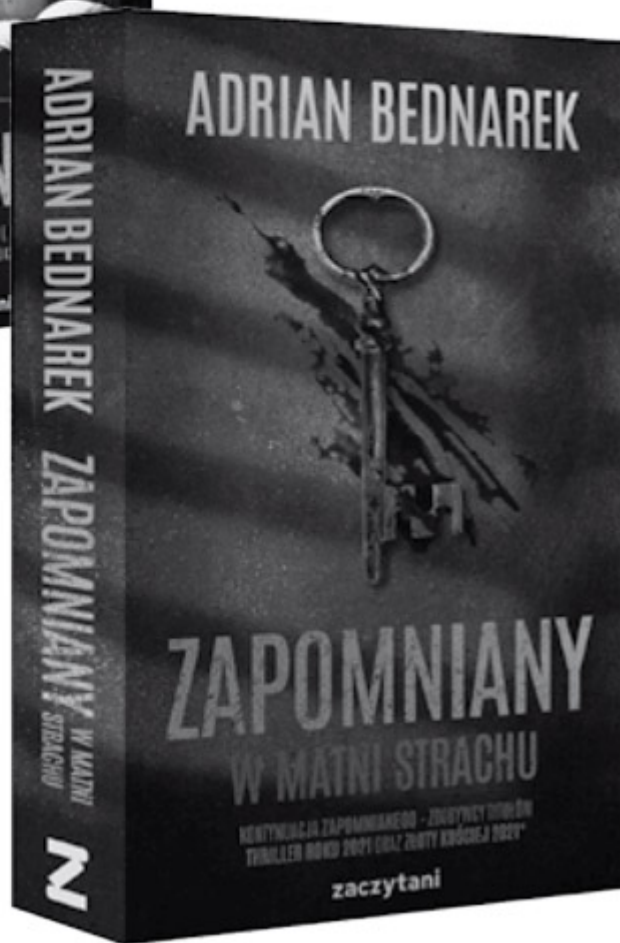
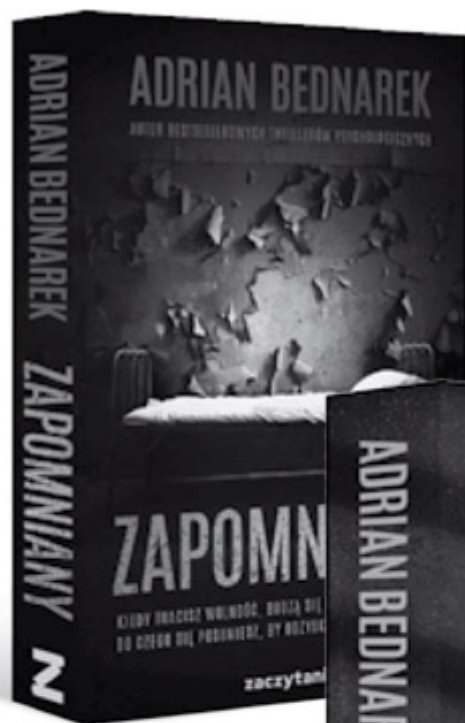
Podziękowania dla całej ekipy Zaczytanych. Dbacie o moje książki, zapewniacie im znakomitą oprawę, świetną promocję i sprawiacie, że w kwestiach zawodowych mam czystą głowę, a praca jest dla mnie przyjemnością.

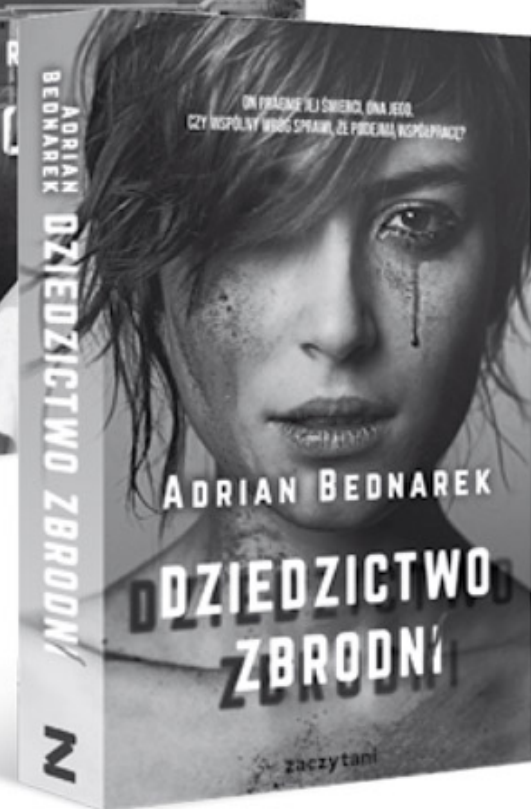
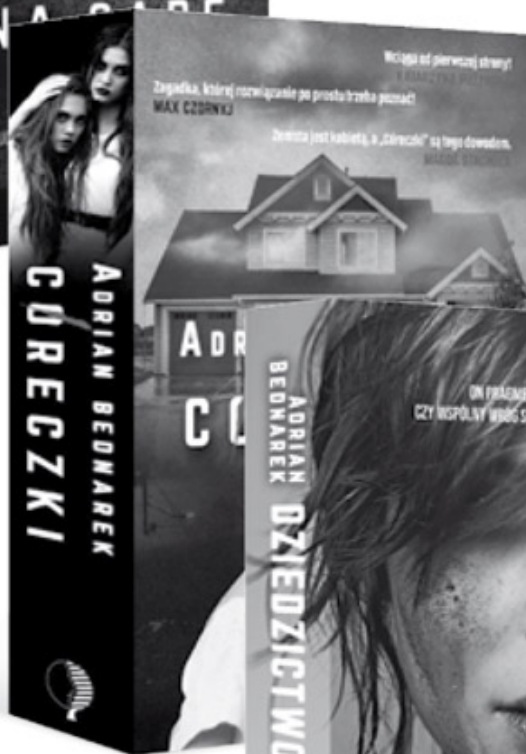
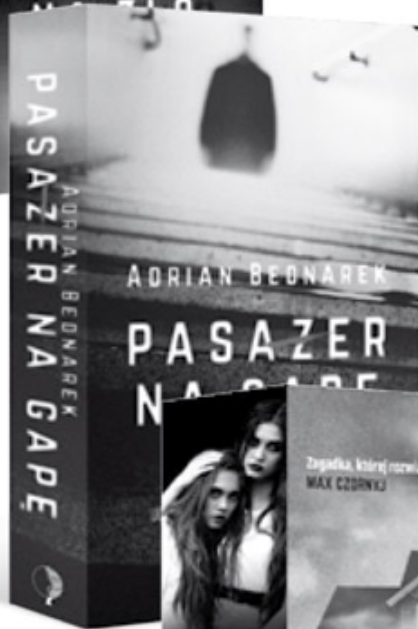
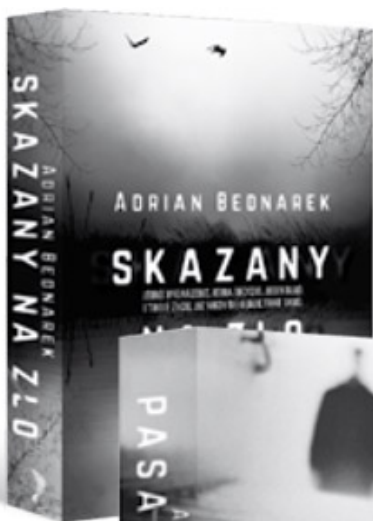
Osobne podziękowania składam wszystkim czytelnikom. Mam nadzieję, że szósty tom podróży przez raj dostarczył Wam oczekiwanych emocji, pozwolił oderwać się od codziennych problemów i zaznać takiej odmiany mrocznej rozrywki, na jaką liczyliście. Razem z Kubą, Doną, Listonoszem i Bestyjeczką daliśmy z siebie wszystko, żeby tak właśnie się stało. Wkrótce kolejny thriller i nowi, pokręcani bohaterowie, a więc do przeczytania!

## Polecamy również:



**ONA** ma na imię Alicja. Jest jedyną kobietą, której pożądam. Gdy byliśmy nastolatkami, potajemnie odwiedzałem jej pokój, śledziłem ją, poznawałem sekrety i próbowałem się do niej zbliżyć. Ona nigdy nie zwracała na mnie uwagi. Potem wyjechała, ale ja z niej nie zrezygnowałem. Zmieniłem wygląd, rozkochałem w sobie jej przyjaciółkę, nauczyłem się trudnej sztuki manipulowania ludzkimi uczuciami. Po sześciu latach Ona wróciła, a ja wreszcie jestem gotowy. Nie obchodzi mnie, że wkrótce ma wyjść za mąż. Nie obchodzi mnie, że jest zakazaną trucizną, a to, co zamierzam, wywoła chaos. Ona mnie pokocha, nawet jeśli nasz świat będzie musiał stanąć w płomieniach.







ADRIAN  
BEDNAREK

# INSPIRACJA

ADRIAN  
BEDNAREK

Świat zła  
Adriana Bedna  
fascynuje od  
samego początku  
Polecam:  
MAX CZORN

NOVAE RES

ADRIAN  
BEDNAREK

# OBSESJA

ADRIAN  
BEDNAREK

Przera:  
o ludzi  
i nami  
Polecam:  
MAGI  
STAC

NOVAE RES

ADRIAN  
BEDNAREK

# FASCYNACJA

ADRIAN  
BEDNAREK

Przeczytałam  
jednym tchem!  
Teraz czas na Ciebie!

Polecam  
ALICJA SINICKA

NOVAE RES



# SPIS TREŚCI:

Karta tytułowa

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22  
Rozdział 23  
Rozdział 24  
Rozdział 25  
Rozdział 26  
Rozdział 27  
Rozdział 28  
Rozdział 29  
Rozdział 30  
Rozdział 31  
Rozdział 32  
Rozdział 33  
Rozdział 34  
Rozdział 35  
Rozdział 36  
Rozdział 37  
Rozdział 38  
Rozdział 39  
Rozdział 40  
Rozdział 41  
Rozdział 42  
Rozdział 43  
Rozdział 44  
Rozdział 45  
Rozdział 46  
Rozdział 47  
Rozdział 48  
Rozdział 49  
Rozdział 50  
Rozdział 51

Epilog

Od autora

Karta redakcyjna

*Rywal diabła*

ISBN: 978-83-8313-058-3

© 978-83-8313-424-6 i Wydawnictwo Zaczytani 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Redakcja: Jędrzej Szulga

Korekta: Emilia Kapłan

Okładka: Izabela Surdykowska-Jurek



**Wydawnictwo Zaczytani należy do grupy wydawniczej Zaczytani.**

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: [wydawnictwo@zaczytani.pl](mailto:wydawnictwo@zaczytani.pl)

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej [zaczytani.pl](http://zaczytani.pl).

Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Katarzyna Rek